

P



WYDAWNICTWO IMIENIA M. BRZEZIŃSKIEGO.

O KRZYSZTOFIE KOLUMBIE

I
ODKRYCIU AMERYKI.

Napisał
ANTONI POTOCKI.

WYDANIE SIÓDME.



Printed in Poland

WARSZAWA

„Księgarnia Polska” Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej.

1925.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Dziś każdy człowiek choć trochę oświecony wie, że ziemia jest kulista i że na niej dookoła są różne morza i lądy. Każdy prawie słyszał, że jest na kuli ziemskiej pięć wielkich lądów, czyli części świata: Europa, Azja, Afryka, Australja i Ameryka. W książkach czytamy o tem, jakie w tych częściach świata są kraje i narody, jakie zwierzęta i rośliny. Najwięcej wiemy o Europie, bo w niej mieszkamy sami. W Europie leży nasz kraj, Polska.

Gdyby od nas jechać kilka dni i nocy koleją na południo-zachód, toby się wreszcie dojechało do południowego brzegu Europy, do wielkiego morza, które się nazywa Śródziemnem. Morze to nazywa się Śródziemnem dlatego, że leży pośród trzech różnych lądów: z jednej jego strony jest Europa, z drugiej Afryka, z trzeciej Azja.

Otóż zgórą czterysta lat temu ludzie z Europy wiedzieli tylko o trzech częściach świata, a o czwartej — Australji i o piątej — Ameryce nic nawet nie słyszeli.

Wiedzieli prócz tego, że na zachodzie za Europą i Afryką jest morze jeszcze większe, niż Śródziemne, i myśleli, że tam już kończy się świat. Dużo o tem nawet mówili i pisali.

Nad brzegiem morza Śródziemnego mieszkali, tak jak i teraz, Grecy, Włosi, Francuzi i Hiszpanie — i oni to najwięcej wiedzieli o świecie.

Były to wszystko narody, które prowadziły wielki handel. Ich kupcy nie tylko jeździli po lądzie, ale także pływali po morzu i rozwozili towary na okrętach. Były nawet takie miasta, które zajmowały się tylko handlem morskim. Jedno z nich, Genua w ziemi włoskiej, było bardzo bogate. Mieszkali tam prawie sami kupcy, którzy co rok wypływali na dużych statkach na morze i handlowali w różnych krajach. W Genui tak samo z dziada pradziada zajmowali się ludzie handlem, jak u nas rolnictwem. Całe rodziny kupeżyły i odbywały dalekie podróże na okrętach.

W tej właśnie Genui 450*) lat temu żyła kupiecka rodzina Kolumbów. Stary Kolumb dorobił się na handlu morskim porządnego majątku, ale później go stracił. Nie wyrzekł się jednak handlu i latał jako-tako biedę z rodziną. Dzieci Kolumba nie mogły się wiele uczyć, ale najstarszy z nich, Krzysztof, był chłopak niegłupi.

Dzieciakiem jeszcze będąc, lubił bardzo chodzić nad brzeg morza. Tam z drzewa wyrabiał małe łódki i puszczal je na wodę. Łódki odpływały od brzegu, a Kolumb patrzył za nimi i wzdychał.

— Jak wyrosnę, — myślał — zbuduję wielki okręt i sam popłynę na morze...

Takie już miał upodobanie od dzieciństwa. Później poszedł do szkoły i tam czytał wiele książek. Z książek zajmowały go znowu najbardziej te, które opisywały różne kraje zamorskie. Nieraz nawet dokuczano mu, że czas na głupstwa traci. Wtedy Krzysztof odpowiadał:

— Jak wyrosnę, pojedę do tych krajów zamorskich.

Ludzie się śmiali z chłopca. Któż mógł wiedzieć, że z jego rojeń kiedyś będzie naprawdę wielki pożytek dla świata.

Dorósłszy, Krzysztof zaraz wstąpił do służby na okręcie.

W owe czasy Włosi i Francuzi prowadzili handel z Indjami Wschodniemi: był to kraj bardzo bogaty na południowym brzegu Azji. Do kraju tego jeżdżą dziś przez wielkie morza okrętami. Ale dawniej ludzie nie znali tej drogi morskiej i wędrowali do Indyj lądem przez stepy i pustynie. Podróż taka była bardzo uciążliwa. Zbierało się razem po sto i więcej ludzi i z wielkim strachem wyruszali w drogę. Część drogi odbywano konno, ale dalej trzeba było jechać już tylko na wielbłądach, bo koń nie wytrzymałby takiej podróży przez piaski i skały, a wielbłąd jest zwierzęciem bardzo cierpliwem i do podróży w pustyni nawykłem. Ludzie w podróży nieraz cierpieli głód i straszne pragnienie. Często musieli się bronić od rozbójników, którzy napadali w pustyniach. Jednak do Indyj wędrowali, bo tam zaopatrywali się w cenne towary, jakich nigdzie indziej nie było. Z Indyj przywożono perły i złoto, drogie tkaniny i korzenie, jedwab i ryż. Nie dziw więc, że kupcy jeździli do tego kraju przez pustynie i piaski.

Krzysztof Kolumb nasłuchiwał się o Indjach w młodości, a kiedy wyrósł, nieraz zastanawiał się nad tem, czy nie dałoby się wyszukać lepszej drogi do tego bogatego kraju.

— Możeby się tam udało dostać morzem? Wszakże ziemia jest kulista... — myślał Kolumb. — Zamiast więc jeździć do Indyj na wschód słońca lądem, przez pustynie pełne rozbójników, czyby nie było lepiej pojechać do tychże Indyj morzem, na zachód słońca?... Niechby naprzykład jabłko wyobrażało ziemię, a dwie plamki na niem — jedna niech przedstawia Europę, a druga — Indie w Azji: można dojść od jednej plamki do drugiej — prowadząc palcem albo na prawo, albo właśnie na lewo. I do Indyj więc można jechać nie tylko lądem na prawo, na wschód, ale i morzem prosto na zachód od Europy... Koniecznie trzeba by taką podróż urządzić.

Nie było jednak czasu na spełnienie tych marzeń, bo właśnie wtedy Genua rozpoczęła wojnę z innym miastem.

a ponieważ Kolumb służył na okręcie wojennym, więc musiał jechać na wojnę razem z innymi. Markotno mu było, że, zamiast podróżować, musi się bić. Ale się tem pocieszał, że gdy się wojna skończy, to pojedzie szukać nowej drogi do krajów zamorskich. Stało się wszakże inaczej.

Okręty, odpłynawszy od miasta, po kilku dniach spotkały nieprzyjaciół. Zaczęła się między nimi bitwa. Było to bardzo daleko od Genui, przy brzegach innego kraju — Portugalji. Bitwa źle się skończyła dla okrętu Kolumba: nieprzyjaciele pobili go i wielu ludzi potopili. Na szczęście, stało się to niedaleko brzegu. Kolumb, szukając w ostatniej chwili ratunku, rzucił się do wody, przepłynął spory kawał, wydostał się na ląd i ruszył dalej w świat. Droga była trudna i długa. Szedł w obcym kraju, często musiał uciekać od złych ludzi. Ale jakoś dostał się szczęśliwie do stolicy portugalskiej, która się nazywa Lizbona.

W Lizbonie wśród obcych ludzi Kolumb długo nie mógł dać sobie rady. Ale że był to człowiek, który się niełatwo poddawał biedzie, więc potem znalazł sobie zajęcie i zamieszkał przy pewnej rodzinie portugalskiej. Do domu wracać nie mógł i niebardzo nawet tego pożałował.

Kiedy Kolumb przybył do Lizbony, był już mężczyzną w sile wieku. Zwiedził wiele krajów, dużo rzeczy widział i próbował różnych zajęć. Zawsze jednak najbardziej lubił podróże i nie przestawał myśleć o nieznanych krajach zamorskich. A zdarzyło się tak, że gospodarz, u którego zamieszkał, sam był kupcem morskim i znał się dobrze na tej rzeczy. Nazywał się on Perestrello i uchodził za wielkiego bywalca.

Perestrello opowiadał Kolumbowi o swoich wędrówkach, a Kolumb wypytywał go, czy nie słyszał o drodze morskiej do Indyj.

O drodze takiej Perestrello nie wiedział nic: zato opowiadał Kolumbowi, jak, pływając po różnych morzach, przekonał się, że muszą być na ziemi kraje, których ludzie

z Europy jeszcze nie znają. Naprzykład mówił, że czasem morze wyrzuca na brzeg jakieś drzewa i rośliny, które nigdzie w znanych krajach nie rosną. Kolumb słuchał tego uważnie i nabierał coraz większej ochoty do wędrówki. Pierwej myślał tylko o wyszukaniu drogi do Indyj; teraz chciało mu się jeszcze odszukać te nieznane kraje, o których mówił Perestrello. Tymczasem zaś uczył się, czytał książki i obmyślał sposoby, jak swoją podróż doprowadzić do skutku.

W jakiś czas potem ożenił się z córką Perestrella i zaprzyjaźniwszy się ze starym żeglarzem, jeszcze więcej się do wyprawy na nieznane morza zachęcił.

Tymczasem rok schodził za rokiem. Umarł teść Kolumba, umarła mu żona, i został sam z synem. Parę razy próbował o swojej podróży mówić z bogatymi ludźmi, ale ci go nie słuchali. Chodził nawet do króla portugalskiego, ale i to nic nie pomogło. Król mało go nawet słuchał, bo myślał, że Kolumb poprostu jest warjatem.

Kolumb zaczął wtedy szukać pomocy u bogatych kupców w swem rodzinnem mieście Genui.

— Dajcie mi — mówił — okręt i ludzi, a ja popłynę i odszukam dla was nowe kraje, albo znajdę drogę morzem do Indyj: wtedy będziecie bezpiecniej i taniej wozili stamtąd drogie kamienie i perły.

Nic jednak nie wskórał swem przemówieniem. Wtedy na jakiś czas ręce zupełnie opuścił. Siedział w Lizbonie parę lat, nie próbując nowego szczęścia. Aż wreszcie, kiedy synowi minęło lat dziesięć, znowu zaczął myśleć o swojej podróży. Pewnego dnia sprzedał wszystko, co miał w Lizbonie, zabrał syna i ruszył w świat.

W owe czasy bardzo silnym i sławnym był naród hiszpański. Kolumb postanowił pójść do Hiszpanji i tamtejszemu królowi opowiedzieć o swych zamiarach.

— Król hiszpański — myślał — jest potężny i bogaty; on mi pomoże. A jeśli nie on, to już chyba nikt.

Kolumb nie miał konia, musiał więc z dzieckiem wędrować pieszo. Nieraz po drodze brakło mu siły, ale wypocząwszy, szedł dalej.

Raz, bardzo zmęczony, zaszedł po drodze do wielkiego klasztoru. Było to już w Hiszpanji. W klasztorze nakarmili go i напоili, jak gościa. Kolumb odpoczywał tam kilka dni. Najstarszy zakonnik w klasztorze, przełożony, polubił go i często z nim prowadził gawędy. W tych rozmowach Kolumb opowiedział mu, co zamysła robić, a zakonnik go pochwalał.

Po kilku tygodniach, kiedy Kolumb już zupełnie wypoczął i zaczął się wybierać w drogę, zakonnik mu powiedział:

— Zostaw tu u mnie syna; poco ma dziecko iść na niewygody?

Kolumbowi żal było rozstawać się z chłopcem, ale wkońcu się zgodził. Na pożegnanie ksiądz dał mu list do królowej hiszpańskiej Izabeli.

— Weź ten list, — mówił — królowa mnie zna, to łaskawiej wysłucha twojej prośby.

Wtedy już nie mogło Kolumba wstrzymać. Pożegnał się z dobrym zakonnikiem i synem i ruszył dalej w drogę.

Wreszcie po wielu trudach przybył do Madrytu, jednego z głównych miast Hiszpanji. Tutaj zaraz wyprosił, żeby go dopuścili przed króla, i wyłożył mu swoją prośbę.

Król hiszpański zajęty był wtedy wojną z Arabami. Wysłuchał więc prośby Kolumba jednym uchem i zaraz o niej zapomniał. Kolumb udał się wtedy do królowej.

Królowa Izabela przeczytała list zakonnika i kazała przywołać przed siebie Kolumba. Ten opowiedział jej o swoim zamiarze. Królowej podobało się to, co mówił Kolumb, obiecała więc, że wstawi się za nim do króla. Wreszcie wojna się skończyła. Król pobił Arabów i był z tego bardzo zadowolony. Królowa skorzystała z dobrego usposobienia męża i przypomniała mu o Kolumbie. Z początku król

nie zgadzał się, ale wkońcu ustąpił. Wtedy znowu przywołała Kolumba, i musiał jeszcze raz wszystko powtórzyć.

Kolumb mówił o sławie, jaka czeka Hiszpanję, gdyby podróż jego się powiodła, — o nowych ziemiach, jakie zapewne odkryje po drodze, — o bogactwach, jakie się znaleźć mogą w tych nieznanym krajach...

Król, królowa i cały dwór zgromadzony słuchali go z największą uwagą. Wkońcu król kazał Kolumbowi spisać to wszystko na papierze.

Po wielu sporach i naradach z różnymi uczonymi król dał wreszcie swoje przyzwolenie na podróż. Stało na tem, że Kolumb dostanie okręty i ludzi, a jeśli odkryje nowe kraje, król ma go wynagrodzić i zrobić wicekrólem nad wszystkimi temi krajami.

Kolumb zaczął zbierać ludzi i przygotowywać się do odjazdu. Upłynęło jednak niemało czasu, nim można było wyruszyć. Ludzie za nic nie chcieli odważyć się na taką drogę. Ale Kolumb nie zważał na żadne przeszkody: póty zabiegał, póty pracował, aż wreszcie dopiął swego.

Sporządził trzy okręty i namówił 120*) ludzi, żeby się puścili z nim w podróż. Wiele w tem dopomogli mu dwaj bracia żeglarze: Wincenty i Alojzy Pinzonowie. Obaj ze swemi okrętami i ludźmi poszli na służbę do Kolumba.

Co prawda, i okręty i ludzie byli nieszczególnego rodzaju. Pomiedzy ludźmi było wielu nieponiów, którzy jechali, bo w kraju nie mieli nic do roboty; okręty trzeba było dopiero naprawiać i łątać.

Kolumb widział to wszystko, ale rad był, że tak czy owak dopiął swego. Co można było naprawić, naprawił i ruszył w drogę.

Czas już był wielki.

*) Sta dwudziesta ludzi.

Na staraniach i zabiegach zeszła Kolumbowi dobra połowa życia, liczył on już wtedy przeszło 50 lat.

W 1492 *) roku, tego dnia, kiedy Kolumb ze swymi ludźmi wsiadł na okręty i odpływał, całe miasteczko Palos, skąd wyruszała wyprawa, zbiegło się na brzeg.

Wszyscy szli popatrzeć na tego śmiałego człowieka, a każdy prawie myślał, że on już nigdy nie wróci.

Kolumb kazał podnieść kotwicę, odbił od brzegu — i okręty wypłynęły na otwarte morze. Długo ludzie nie rozchodzili się z nad brzegu, patrząc za statkami, które szybko płynęły naprzód.

Patrzyli i łamali sobie głowy: co to z tego będzie? dokąd te statki zapłyną?

ROZDZIAŁ DRUGI.

Kto się uczył geografji, to jest nauki, która opisuje ziemię, ten wie, że dużo jest na niej lądów, ale więcej jeszcze wody—wielkich mórz.

Otóż na zachód od Europy, a także od Afryki, tej części świata, która leży po drugiej stronie morza Śródziemnego, rozciąga się ogromny przestwór wody. Jest on większy, znacznie większy od morza Śródziemnego i nazywa się oceanem Atlantyckim. Można po nim jeździć tygodnie i miesiące wzdłuż i wszerz—i nie widzieć nigdzie lądu.

Kolumb, wydostawszy się z morza Śródziemnego, płynął po tym właśnie oceanie. Z początku okręty szły niedaleko brzegów Afryki, które ludzie dobrze znali; było im więc jeszcze rażno. Chociaż niektórzy już zaczęli wyrzekać na Kolumba, że ich skusił na daleką, a nieznaną drogę.

*) Tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim.

Kilku majtków *) zmówiło się nawet i popsuli w okręcie ster, myśląc, że Kolumb nie da sobie rady i każe wracać. Ale Kolumb nie dał się oszukać: naprawił ster i płynął dalej.

Po tygodniu mniej więcej drogi okręty dopłynęły do wysp Kanaryjskich.

Kolumb przypuszczał, że za temi wyspami długo już nie spotkają ziemi, tylko będą płynęli wodą a wodą. Dlatego kazał raz jeszcze opatrzyć okręty i zabrać, co się dało, wszelkiej żywności. Trzy tygodnie odpoczywali na wyspach Kanaryjskich, a na początku czwartego puścili się w dalszą drogę.

Teraz już naprawdę nawet najśmielsi zaczęli trochę upadać na duchu. Z okrętów, jak okiem zajrzeć, nie było widać nic, tylko bezbrzeżną wodę i niebo. Rankiem słońce wstawało z za wody, wieczorem za wodę zachodziło... A co było dla ludzi Kolumba najprzykrejsze, to że żaden nie wiedział, dokąd jedzie.

Na okrętach wszyscy zmarkotnieli. Jednemu tylko Kolumbowi serce rosło, bo wierzył, że, płynąc wciąż na zachód, musi wkońcu dopłynąć do Indyj lub innego zamorskiego kraju.

A tymczasem starał się uważać na gwiazdy, na morze, żeby sobie coś poradzić. Przypatrywał się każdej rybie, jaką złapali z okrętu, rozglądał morskie rośliny — i wszystko zapisywał sobie dla pamięci.

Chociaż ziemi nigdzie widać nie było, wszyscy czuli, że w tych stronach jakoś całkiem inaczej, niż u nich w kraju. W nocy widzieli nad sobą niebo pełne gwiazd, ale gwiazdy były ułożone inaczej. Dni stały się nadzwyczaj upalne. W morzu pływały inne ryby i rosły inne rośliny. Raz na-

*) Majtkami nazywają ludzi, którzy pełnią niższą służbę na okręcie.

potkali ociosaną belkę. Był to kawałek okrętu, który widać rozbił się i utonął. Wszyscy przestraszyli się bardzo i szeptali:

— Tak będzie i z nami!...

Kolumb to słyszał, ale nic nie mówił. I dobrze zrobił, bo ludzie jeszcze sami mogli swój strach przetrzymać. Bali się trochę, ale też mieli na co patrzeć.

Pewnego dnia na okręt spadła im ryba. Ryba była ładna, srebrzysta i miała bardzo szerokie pletwy, jak skrzydła.

— Dziwny kraj!—mówili—tu nawet ryby nie pływają, lecz latają.

Co prawda, wszędzie są ryby, które mogą dać tęgiego susa z pod wody. Ale w tym oceanie Atlantyckim żyją takie, które mogą wyrzucić się z wody wysoko i przelecieć powietrzem kilkanaście sążni. Takie ryby nazywają się latającami.

Razu pewnego przed wieczorem okręty zaczęły płynąć między jakiemiś roślinami. Dziwny to był widok: dookoła woda, a na niej mnóstwo traw i zielska. Zielsko to pływało po wodzie ogromnemi kępami bez końca. Okręty szły z wielką trudnością, bo musiały rozrywać zrosłe łodygi. Już i noc zapadła, a zielska tego jeszcze nie przebyli. Wtedy ludzie przerazili się na dobre. Już nie gadali po cichu, ale krzyczeli głośno na Kolumba. Jedni lamentowali, że tu się świat kończy i okręt już nigdy z tego miejsca nie wyjdzie; drudzy odgrążali się, że Kolumba zabiją. Kolumb nie stracił głowy, ale zwołał starszych na radę.

— Uspokójcie — mówił — ludzi, bo będzie źle i im, i wam, i mnie.

Na szczęście, po pewnym czasie okręty wyszły z tego pływającego zielska, i naokoło była znów czysta woda.

Tak minęło blisko miesiąc czasu. Kolumb kierował swoje statki ciągle na zachód i rad był, że ich nie spoty-

ka żadne nieszczęście. Ale ludzie jego zaczęli znowu między sobą szeptać i złorzeczyć.

— Co on sobie myśli, ten obieżyświat? Chce nas zgubić, chce, żeby nas tu morskie potwory pożarły!

Inni mówili, żeby sobie sam płynął na stracenie, a oni chcą wracać. Kolumb widział, że **teraz** trzeba ich uspokoić. Chodził więc od jednego do drugiego i tłumaczył, żeby się nie lekali, bo w końcu muszą dopłynąć do ziemi.

— Obowiązaliście się, — mówił — że będziecie posłuszni: czekajcie konca!

Ludzie niebardzo się uspokoiли, ale jakiś czas było cicho. Tak upłynęło znowu parę tygodni.

Pomimo obietnic Kolumba, ład nie było widać... Znowu dały się słyszeć klątwy i pogrożki. Nawet bracia Pinzonowie niebardzo słuchali Kolumba.

— Chce mu się — mówili — wielkiej sławy, a tymczasem nas wpakuje do grobu.

Trudno było na to wszystko wymyślić radę, ale Kolumb i tu nie zginął. Pewnego dnia zwołał wszystkich i rzekł:

— Teraz wiem na pewno, że już prędko dopłyniemy do ziemi. Niech każdy z was patrzy na morze. Kto pierwszy zdaleka dojrzy ziemię, temu obiecuję garść złota i aksamitne ubranie.

Odtąd wszyscy patrzeli w dal, myśląc o nagrodzie. Często nawet ktoś krzyczał: „Ziemia!“ Zwłaszcza zdarzało się to o zmroku. Ale rano znowu widzieli naokoło tylko wodę i niebo. Wtedy domyślali się, że to była nie ziemia, lecz obłoki.

Zawsze jednak zyskał na tem Kolumb parę tygodni czasu; ludzie mieli o czem myśleć, więc było cicho, a okręty tymczasem płynęły i płynęły dalej...

Kolumb mierzył codzien głębokość wody i w końcu zauważył, że teraz już nie jest tak głęboko, jak poprzednio.

— Musi być ziemia niedaleko — mówił.

O Krzysztofie Kolumbie

Nocami spać nie mógł, myśląc o nieznanych krajach. Czasem słyszał na okręcie jakieś szept. Nie pierwszy to już raz było, więc poznał, że znowu zmawiają się na niego. Prosił Boga o siły, żeby mógł ludzi opamiętać. Pokryjomu płakał i modlił się gorąco. Żał mu było całego życia: gdyby się teraz nie udało, to już nigdy nie mógłby odszukać tej nowej ziemi. Rano jednak wychodził do ludzi spokojny i tylko wypatrywał, czy nie widać gdzie brzegu.

Brzegu widać nie było, ale zato nad okrętami zaczęły latać ptaki. Kolumb cieszył się z tego.

— Widzicie—mówił do ludzi:—ptaki latają. To znak, że ziemia blisko. Ptaki na wodzie nie mogą żyć.

Nie to jednak nie pomagało. Wszyscy się od niego odwracali i czuł, że przychodzi jego ostatni kres.

— Niech zginę,—myślał—ale na swoim pierwszej postawię.

Na okrętach tymczasem aż kipiało. Śmielsi namawiali, żeby Kolumba zabić, a samym wracać do kraju. Nikt już Kolumba nie bronił. Pinzonowie także zacięli się i nie chcieli mu pomagać; jaki taki tylko mówił:

— Jak zabijemy Kolumba, to król nas ukarze.

— Wszystko jedno — odpowiadali inni na to; — niech lepiej król ukarze, niż mamy marnie zginąć w morzu.

Na okrętach zaczął się wielki hałas. Niektórzy wołali, żeby skończyć z Kolumbem zaraz.

Kolumb ze swego miejsca widział to wszystko i słyszał.

A kiedy cała gromada, krzycząc i klnąc, obstała go, wstał i zawołał:

— Stójcie na miejscu i powiedzcie, czego chcecie!

Kilku wysunęło się naprzód:

— Chcemy ciebie zabić, bo ty nas gubisz! — krzyczał jeden.

— Oszukujesz nas! — krzyczał drugi — żadnego tu kraju няма, a ty jesteś warjat!

Kolumb spojrział po gromadzie. Niektórzy podnosili już drągi do góry.

— Słuchajcie! — zawołał Kolumb — chcecie mnie zabić? A kto wam pokaże drogę do domu? Ja tylko jeden wiem, którędy trzeba płynąć,

Na te słowa wszyscy ucichli. Nikt naprawdę nie dałby sobie rady na morzu. Milezeli więc i patrzali na Kolumba. A on tymczasem na gorąco mówił dalej:

— Chcecie wracać do domu? Dobrze!... Ale musicie jeszcze trzy dni płynąć dalej. Jeżeli przez te trzy dni nie dopłyniemy do lądu, wtedy wracamy. Przysięgam to wam pod przysięgą.

Po tem przemówieniu Kolumba wszyscy zgodzili się płynąć jeszcze trzy dni. Innej rady nie było, bo między nimi Kolumb tylko jeden był uczony i mądry i potrafił na morzu nie zbłądzić.

A tymczasem naokoło coraz więcej zjawiało się znaków, że ziemia niedaleko... Ptaki latały całemi chmarami; były między niemi słabe i małe, które nigdy nie oddalają się bardzo od brzegu.

Na drugi dzień zaczęły się na wodzie pokazywać kawałki drzewa i kory, a raz pod sam okręt podpłynęła ucięta gałąź ze świeżemi jeszcze liśćmi.

Na trzeci dzień przed wieczorem woda koło okrętów była zupełnie płytka i powietrze jakby trochę cieplejsze.

Kolumb nie spał całą noc, i wszyscy razem z nim czekali dnia. Zaczęło świtać. Ludzie zbiegli się na przód okrętu. Kolumb tylko został z tyłu przy sterze. Jemu najbardziej rwało się serce z niepewności, bo wiedział, że w tym dniu będzie albo jego zguba, albo największe szczęście.

Wreszcie rozedniało już tak, że można było widzieć co się dzieje dokoła.

Wtedy naraz kilka głosów zawołało:

— Ziemia!... Ziemia!

Stało się to w roku 1492 w piątek, dnia 12 października.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Na okrętach zapanowała wielka radość. Ludzie od dwóch miesięcy nie widzieli nic, tylko wodę i niebo. A tutaj przed nimi tuż tuż ląd, lasy i pola... Skakali, śpiewali i modlili się, a okręty podpływały tymczasem blisko do brzegów.

Wtedy Kolumb kazał wsiąść w łodzie i płynąć do ziemi. A kiedy wyszli na suchy brzeg, Kolumb wziął do ręki wielką chorągiew i zatknąwszy ją w ziemię, objął uroczyście nowoodkryty kraj w posiadanie Hiszpanji.

Odebrawszy od swych ludzi przysięgę, że będą tej ziemi bronili, Kolumb zaczął chodzić i rozglądać się naokoło. Ziemia była ładna, urodzajna. Rosły na niej różne rośliny. Drzewa były ogromne i wysokie, a kwiatów na nich co niemiara.

Kiedy tak Kolumb z Hiszpanami rozglądają się po nowej okolicy, z lasu zaczęli ukazywać się jacyś ludzie.

Byli oni niepodobni do Hiszpanów. Nie nosili żadnego ubrania, tylko nagie ciało mieli pomalowane w różne figury. Na twarzach nie rosły im ani wąsy, ani brody. Skóra na ciele była nie biała, jak u nas, lecz jakby ciemno-kasztanowata.

Długi czas stali oni za drzewami, bo bali się białych ludzi... Ale wreszcie powysuwali się; Kolumb dawał im znaki przyjazne, więc dzicy ośmielili się i podeszli bliżej. Niektórzy padali przed Hiszpanami na twarz, a inni to podchodzili, to znów w wielkim pędzie uciekali do lasu.

Kolumb na migi pokazywał, że nic złego im nie zrobi, a kiedy jeden dziki podszedł bliżej, kazał mu dać świecących paciorków. Dzikiemu to się podobało jak dziecku. i zaraz pobiegł pokazywać swoim. Wtedy z lasu już zaczęli wychodzić dzicy bez strachu; szły i kobiety, i dzieci.

Hiszpanie zabrali z nimi dobrą znajomość i na migi wypytywali się o kraj. Dzicy odpowiadali, jak mogli.

Okazało się, że ziemia, do której dopłynął Kolumb, była niewielką wyspą, którą z łatwością można było opłynąć. Spostrzegłszy, że dzicy mają w uszach i na rękę wielkie złote pierścienie, Kolumb dał im znowu paciorków i rozmaitych świecideł, a dzicy oddawali mu chętnie swoje złoto. Za jeden mały mosiężny dzwoneczek dali Kolumbowi kilka złotych pierścionków. Dzicy dziwili się, że biali ludzie dają paciorki i dzwonki za złoto, bo myśleli, że paciorki są więcej warte.

Widząc, że tutaj tyle złota, Kolumb był pewien, że jest niedaleko kraju Indyjskiego, i dzikich ludzi **nazwał** Indjanami, wyspę zaś, na którą wysiadł pierwszy raz, **nazwał** wyspą Zbawiciela.

Ale wyspa ta nie była wcale blisko Indyj. Za nią ciągnęły się inne większe i mniejsze wyspy, a o jakie paręset kilometrów drogi leżała nowa, nikomu z Europy jeszcze nieznana ziemia. Kolumb wypytywał Indjan, skąd mają tyle złota, a oni mu odpowiadali, że przywożą z innych wysp.

— Na zachód od nas — pokazywali — są kraje, gdzie jest dużo złota.

Hiszpanie byli bardzo chciwi bogactwa. A i Kolumb chciał mieć jak najwięcej, żeby było z czem wracać przed króla. Dlatego, wypocząwszy trochę, ruszył dalej. Zabrał z sobą kilku dzikich, żeby mu pokazywali i pomagali w drodze.

Niedaleko za wyspą Zbawiciela leżała druga, jeszcze większa i bogatsza wyspa — Kuba. Na niej znowu Ko

lumb obładował się złotem i napatrzył różnych dziwów. Na wyspie tej rosło mnóstwo ziela o szerokich, bujnych liściach. Ziela tego nikt nie uprawiał; Indjanie obrywali jego liście, suszyli i palili z glinianych fajek albo skręciwszy w trąbki. Pałac wypuszczali z ust kłęby sinego, śmierdzącego dymu. Były to liście tytuniowe.

Przedtem nikt w Europie tytuniu nie znał. Pierwszy Kolumb przywiózł go z Kuby razem z innemi osobliwościami. Hiszpanie chodzili po wyspie i codzień wracali do okrętu z czemś nowem.

— Szczęśliwy naród ci Indjanie! — mówili między sobą — wszystkiego mają po uszy, nawet bez pracy...

Indjanie ci naprawdę niewiele mieli do roboty. Zbierali po lasach owoce, ogrodów ani pól nie uprawiali, bo wokoło był wielki dostatek. Mięsa jadali mało, a kiedy czasem zechcieli pieczystego czy ryb — to mogli tego upolować i nałowić dowoli. W lasach pełno było ptactwa i zwierzyny; w morzu nie brakło wszelkich ryb i raków. Ale najlepsze było to, że Indjanie ci żyli z sobą w zgodzie i gromadzie. Razem urządzali polowania, razem wyruszali na połów ryb. Jeżeli były jakie kłótnie między nimi, to rozsądzali ich starsi. Starsi radzili o ważnych sprawach i wybierali wojaków, którzy na wypadek wojny byli naczelnikami.

Kolumb poznał życie tych Indjan i nieraz dziwił się w duchu.

— Toć to — myślał — poganie, a żyją przykładniej od naszych chrześcijan!

Bardzo polubił Indjan za ich łagodność, bo byli dobrzy i weseli, jak małe dzieci.

Hiszpanie tymczasem nie próżnowali i, gdzie mogli, wyłudzały złoto.

Indjanie dziwili się i mówili:

— Trzeba im pokazać kraj Haiti; dostaną tam złota więcej, niż u nas.

Powiedzieli o tem Kolumbowi. Haiti jest również wyspą i leży trochę na południe od wyspy Kuby.

Kolumb popłynął do tej wyspy. Po drodze miał mnóstwo małych wysepek. Rosły na nich pyszne drzewa palmowe, a w lasach pełno było różnobarwnych ptaków. Na gałęziach drzew krzyczały niebieskie i zielone papugi; nad wodą stały, jak nasze bociany, czerwone ptaki o cienkich nogach; na kwiatach siadały małe kolibry. Takie to było maleństwo, że para ich schować się mogła w jednym kielichu lilji, a przytem były bardzo ładne, bo świeciły wszelkiemi barwami, jak tęcza.

W drodze do wyspy Haiti Kolumba spotkało nieszczęście. Pewnej nocy na morzu powstała burza. Jak zaczęło okrętem miotać o skały i kamienie, to nad ranem okręt poszedł na dno.

Szczęściem brzeg był niedaleko. Kolumb i jego ludzie uratowali się na drugi okręt, a Indianie z wyspy zaraz podpłynęli na łódkach i uratowali, co się dało, z rzeczy.

Kolumb był im bardzo wdzięczny i nazajutrz posłał do wodza Indjan, czyli kacyka, że chce go odwiedzić. Z Kolumbem wybrało się jeszcze kilku Hiszpanów. Spędzili w wiosce indyjskiej cały dzień. Hiszpanie dawali Indianom paciorki, a dzicy odpłacali im złotem.

Nie domyślali się wtedy Indianie, że swoją dobrocią i gościnnością sami sobie zaszkodzą; dawali Hiszpanom złota do zbytku. A Hiszpanie brali i między sobą mówili:

— Przyjdziemy tu później i weźmiemy im wszystko

Kacyk, który poratował Kolumba, nazywał się Guakanagari. Był on bardzo dobry dla swego narodu. Rządził Indianami sprawiedliwie i za ich zgodą, Indianie bowiem sami go sobie obrali.

Guakanagari i Kolumb zaprzyjaźnili się z sobą na prawdę. Kolumb darował kacykowi ładne ubranie, a kacyk w radości oddał mu swoją koronę ze szczerego złota

— Weź — mówił — widzę, że lubisz złoto, a mnie ono niepotrzebne.

Później Guakanagari oprowadzał Kolumba po swoim kraju. Wszędzie witali ich z radością.

— Jesteś dobrym człowiekiem — mówił Guakanagari do Kolumba.

Zapoznawszy się z nowoodkrytą ziemią, Kolumb postanowił wrócić do Hiszpanji. Pilno mu było do swoich, chciał w kraju opowiedzieć, że nie napróżno przepłynął ocean.

Tymczasem jeden z braci Pinzonów, Alojzy, pozazdrościł Kolumbowi sławy. A że miał swój okręt, więc pewnej nocy uciekł z kilkunastu ludźmi. Kolumb się tem bardzo zasmucił. Przykro mu było, że go przyjaciel oszukał, a prócz tego nie wiedział, co począć. Ludzi miał dużo, a okręt tylko jeden, bo drugi rozbił się i zatonął. Wtedy Guakanagari poradził mu tak:

— Zostaw połowę ludzi u nas. Jeżeli oni będą z nami żyli w zgodzie, to się im nic złego nie stanie.

Kolumb ucieszył się i zaraz tak zrobił. Kazał Hiszpanom wybudować sobie dom, ogrodzić go naokoło i czekać jego powrotu.

Kiedy dom był skończony, Kolumb zostawił im dość sprzętów i broni, a sam ruszył z powrotem do kraju.

Odjeżdżając, prosił i upominał, żeby żyli z Indianami w zgodzie.

— Pamiętajcie, — mówił — że oni was na własnej ziemi przyjęli jak gości. Żyćcie z nimi jak z braćmi i przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Dwa dni płynęli już Hiszpanie z powrotem. Minęli wszystkie wyspy i znowu weszli na czysty ocean. Nad ranem trzeciego dnia spotkali się z tym statkiem, na któ-

rym umknął Alojzy Pinzon. Kolumb domyślił się, że Alojzy chciał pierwiej od niego dostać się do kraju, ale już nie nie mówił. Odtąd płynęli razem. Znowu dokoła nich była woda i niebo, ale teraz nie czuli strachu, bo raz już tę drogę przebyli. Tylko że teraz jechali nie na zachód, lecz na wschód słońca, i płynęli prędzej i śmieiej.

Przebyli już tak dobrą połowę drogi, kiedy naraz niebo się zachmurzyło i powstała okropna burza.

Straszna to rzecz burza na otwartem morzu. Niema tam gdzie ukryć się, a wichher rzuca okręt jak drobną łupiną. Bałwany wtedy podnoszą się ogromne jak domy i biją a biją w okręt. Czasem fala wpada aż na wierzch statku. Ludzie wówczas muszą się trzymać za burty *), żeby ich nie strąciło w ton.

Na okrętach Kolumba **wszyscy** truchleli i myśleli, że już wybiła ich ostatnia godzina. Modlili się więc gorąco i patrzyli w niebo. A na niebie wichher gnał czarne chmury i była noc. Dokoła w ciemnościach były pioruny; fale z wielkim łoskotem **przewalały się jedna przez drugą** i uderzały w okręt...

Nawet sam Kolumb **złakł się** i stracił nadzieję. Ale jemu nie tyle żal było życia, ile próżnej pracy.

Tyle trudów i niebezpieczeństw przebył, nim odkrył zamorskie kraje! Chciał, żeby się ludzie o nich dowiedzieli, Kolumb zapisywał wszystko, co widział w drodze. Otóż, kiedy inni truchleli ze strachu, on myślał, jak ocalić te papiery.

Wziął je, włożył do beczki, beczkę zalał smołą i rzucił do morza.

— Ludzie — myślał — **kiedys mój papier odnajdą i dowiedzą się, którądy trzeba jechać do nowej ziemi.**

Na szczęście, przed świtem niebo zaczęło się wypogadzać. Wiatr prędko ustał i okręt mógł znowu spokojnie płynąć dalej.

*) Burta jest to bok okrętu.

Ale podczas nocy zginął znowu okręt Alojzego Pinzona. Wszyscy myśleli, że biedny Alojzy utonął z okrętem i ludźmi.

Resztę podróży przebył Kolumb szczęśliwie. Po drodze odpoczywał parę dni na wyspach Azorskich, które leżą jeszcze dalej na zachód, niż Kanaryjskie, ale także były już znane Europejczykom.

Nareszcie pewnego dnia ujrzeli zdala brzegi rodzinnej ziemi... Podpływali do tego samego miasta Palos, z którego blisko rok temu odjeżdżali w niepewną drogę... W mieście również zdaleka poznano okręt Kolumba. Na przywitanie zaczęto bić we wszystkie dzwony i strzelać z armat na wiwat. Nie było końca radości i przywitaniom; każdy chciał choć spojrzeć na dziwnych ludzi, których kilku przywiózł z sobą, Kolumb.

Podróżni opowiadali o swych przygodach i pokazywali różne osobliwości, które z sobą przywieźli. Ale Kolumb niedługo siedział w Palos, bo musiał jechać do króla.

Król Ferdynand i królowa Izabela bawili wówczas w mieście Barcelonie. Kolumb posłał do nich umyślnego z opisaniem swojej podróży, a zaraz za nim ruszył sam z Indjanami i ze wszystkim, co przywiózł z nowego kraju.

Wszędzie go spotykano i witano jak największego mocarza. W całej Hiszpanji było jakby jedno wielkie święto.

Ale najwspanialej przyjął swego gościa król Ferdynand. Kiedy Kolumb podjechał pod miasto Barcelonę, król kazał wyjść na spotkanie wojsku i wszystkim urzędom.

Kolumb wtedy kazał stanąć na przodzie ludziom ze złocistemi tacami. Nieśli oni na tych tacach tytuń, różne owoce i rośliny z nowego świata. Za nimi stanęli ludzie z żółtymi i niebieskimi papugami; inni znowu nieśli ryby i wypchane zamorskie zwierzęta. Dopiero za tymi szło sześciu Indian ze złotem i w złotych koronach na głowach. A tuż jechał na pysznym koniu przybrany w bogate stroje

Kolumb. Na samym końcu szło wojsko i mnóstwo ciekawego ludu.

Tak przeszła ta procesja przez całe miasto, aż przed króla. Król i królowa uściskali Kolumba i posadzili go obok siebie. A Kolumb wtedy począł po kolei opowiadać, jak jechał i co widział.

Król rad był bardzo, że Kolumb odkrył nowe kraje. Ale nie zapomniał o złocie. Zaraz mu Kolumb dał wszystko, co przywiózł; wtedy król rozculił się na dobre i dziękował Kolumbowi za gościnę.

Król Ferdynand zrobił go już przedtem naczelnikiem wszystkich tych krajów, które odkryje; teraz więc tylko pytał, czego mu potrzeba. Kolumb żądał przedewszystkiem różnych statków i narzędzi, a także bydła i koni. Tak na rozmowach i przepytywaniach zeszło mu dość czasu. Codzień bywał Kolumb u króla i rozmawiał z nim o nowej wyprawie.

Kiedy już dobrze odpoczął, zaczął myśleć o powrocie. Król go pożegnał i wydał rozkazy, żeby Kolumba wszędzie słuchano.

Kolumb wrócił znowu do Palos. Po drodze duże ludzi napraszało się, żeby ich wziął z sobą. Kolumb brał stolarzy, cieśli, rolników, a próżniaków odpędzał.

— Poco wy nam? — mówił. Niech do nowych krajów jadą ludzie, którzy do pracy są zdolni. Obejdziemy się bez was.

W Palos Kolumb widział się z synem i z tym zakonikiem, który mu niegdyś pomógł u królowej. Tutaj dowiedział się, że na drugi dzień po jego przybyciu przypłynął okręt z Alojzym Pinzonem. Alojzy nie utonął, ale znowu po nocy uciekł od Kolumba i chciał pierwszy stanąć w kraju. A kiedy przyjechał i dowiedział się, że Kolumb jest już u króla, to ze złości i wstydu zaniemógł.

Kolumb gotował się pośpiesznie do drogi. Król dał mu teraz siedemnaście okrętów, dużo broni i narzędzi, wszel-

kich nasion i bydła, a Kolumb sam dobierał sobie ludzi. Kiedy miał ich już półtora tysiąca, rozkazał wsiadać na okręty. I znowu popłynęli na zachód i jechali blisko miasta. Kolumb płynął na pierwszym okręcie, a inni kierowali się za nim. Dziwnie było patrzeć, jak na morzu, wpośród wody a nieba, płynęło tyle statków, a w każdym pełno ludzi.

Po miesiącu drogi znowu zobaczyli przed sobą ziemię. Kolumb i ci, którzy pierwsi z nim byli, poznali odrazu, że to Haiti; ale zdziwili się bardzo, nie widząc na brzegu ani domu, ani swoich towarzyszków. Podjechali bliżej. Widzą, że zamiast domu czernieje popielisko, a na niem kości ludzkie.

Kolumb bardzo się zasmucił i zachodził w głowę: co się tu stało? Posłał tedy na brzeg swoich Indian. Ci bawili tam cały dzień, a nad wieczorem przyszli i dali Kolumbowi taką odpowiedź:

— Jak tylko wyjechałeś, zaraz twoi ludzie zaczęli naszym dokuczać. Chodzili ciągle po kraju i wyłudzali złoto. Z początku nasi im dawali, ale później przestali. Wtedy twoi ludzie zaczęli się z naszymi kłócić i bić. Gdzie mogli, odbierali złoto, a ciągle się odgrażali: „My was wszystkich wytłuczemy!...” Nasz kacyk Guakanagari jest twoim przyjacielem i człowiekiem dobrym. Prosił więc ich, żeby żyli w zgodzie. Ale twoi ludzie robili jak na złość, i było coraz gorzej. Wreszcie tak dokuczyli wszystkim, że inny kacyk zaczął z nimi wojować. Pewnej nocy podkraść się pod ich dom, napadł na nich, dom podpalił, a ich wszystkich co do jednego wymordował.

Kolumb słuchał tego opowiadania smutny; szkoda mu było swoich ludzi, ale widział, że sami sobie byli winni, bo nawet nierozumne zwierzę broni się, kiedy je krzywdzą.

Gdy Indianie skończyli, Kolumb zapytał:

— A cóż robił Guakanagari?

— Guakanagari chciał bronić twoich ludzi, ale został ranny w bitwie i teraz jeszcze leży chory.

▲ później dodali:

— Byłby może obronił, ale inni mu nie chcieli pomagać; a i Guakanagari bronił tylko przez przyjaźń dla ciebie.

Na drugi dzień Kolumb kazał Hiszpanom wysiąść z okrętów na brzeg. Zaczęli radzić, co teraz począć. Kolumb poszedł odwiedzić chorego kacyka.

Guakanagari przyjął go serdecznie; skarżył się, że nie mógł sobie z Hiszpanami poradzić.

— Ale teraz, — rzekł — gdy ty jesteś, będziemy znowu żyli w zgodzie.

Kolumb poznał z tego, że Guakanagari jest naprawdę jego przyjacielem.

Wróciwszy na brzeg, rozkazał Hiszpanom zabierać się do roboty. Część ludzi zostawił przy okrętach dla pilnowania dobytku, z częścią wyruszył do lasu po budulec.

Potem wybrał miejsce nad morzem między wzgórzami i zaczął tam stawiać domy. Robota szła prędko: w parę miesięcy na miejscu, gdzie był las i pustkowienie, stało miasteczko. Kolumb nazwał je Izabelą na cześć królowej, która dopomogła mu w jego wyprawie.

Było to pierwsze miasto, jakie Europejczycy zbudowali w tych krajach.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Zbudowawszy miasto, Kolumb przedsięwziął nową wędrowkę. Indianie opowiadali mu, że dalej na zachód są góry, w których można znaleźć dużo złota. Prócz tego Kolumb sam chciał poznać kraj, żeby później jak najlepiej w nim gospodarować.

Ale przed wędrowką musiał jeszcze zrobić ład w mieście.

Jak wiemy, Kolumb nie chciał brać z sobą próżniaków; trafiło się jednak między jego ludźmi kilkudziesięciu niby panków. Teraz, kiedy inni pracowali każdy na swem, ci nie mieli co robić. Włoczyli się po mieście i spędzali czas na gadaniu. Kolumb część ich wziął do swego wojska, a części, żeby nie próżnowała, rozdał rozmaite urzędy. Później rozkazał zasiać zboże i posadzić warzywo, które przywiózł z sobą z Hiszpanji.

Spełniono wszystko, jak kazał, chociaż byli tacy, co wyrzekali, że przyjechali tu nie poto, żeby ziemię orać.

Kiedy zboże powschodziło, Kolumb zebrał swoich i rzekł:

— Teraz czas nam w drogę. Nim obejdziemy wyspę i doszukamy się złota dla króla, zboże dojrzeje i czas będzie wracać na żniwo.

Zebrał swoje wojsko, robotników i nieco Indjan i wyruszył na wyprawę.

W drodze dużo mieli kłopotu z końmi. Dziecy nigdy przedtem nie widzieli koni; więc kiedy który Indjanin spotykał konnego, przestraszał się bardzo i umykał do lasu. Wkońcu jednak przywykli do koni i już się ich nie bali.

Hiszpanie spotykali dużo rzeczy zupełnie nowych. Szli po większej części lasami, a lasów takich nigdzie u siebie nie widzieli.

Trafiwały się tam nieraz drzewa po 30 sążni wysokości; po sześciu ludzi stawało dookoła i ledwo drzewo mogli objąć. Pełno było wszędzie kwiatów, nawet na tych ogromnych drzewach, a las cały wyglądał jak ogród z bajki. Między drzewami płątały się grube, jak powrozy, wijące się łodygi roślin, zwanych pnączami. U nas tak czasem po pniach puszcza się chmiel; ale chmiel ma łodygi nie tak grube. Po gałęziach skakały małpy całemi stadami, a w powietrzu był hałas wielki od ptasich śpiewów i krzyków.

Raz zacięli drzewo toporem: z drzewa popłynął gęsty białawy sok. Sok ten na powietrzu zaraz krzepł i ścinał się. W owe czasy Hiszpanie sami nie wiedzieli, na co taki sok może się przydać, później dopiero nauczyli się wyrabiać z niego różne przedmioty. Drzewo to nazywa się gumowem. Rosły tam także krzaki z długimi strączkami, mającemi bardzo mocny zapach: była to wanilja.

Kolumb kazał wszystko to zbierać dla osobliwości; sam rozpytywał Indjan, co z tego można robić, i zapisywał sobie. Dużo, bardzo dużo nowych rzeczy spotykali Hiszpanie w nowym świecie. Nie widzieli oni nigdy dotychczas ani takich roślin, ani takich zwierząt, jakie tam były.

Nad rzekami płodziły się tam ogromne jaszczurki aligatory, mające po parę sążni długości. W zaroślach syczały jadowite gadziny. Indjanie ze strachem opowiadali Kolumbowi, że w lasach często można spotkać węża grzechotnika. Jest to wąż długości czasem na sążeń, gruby jak ręka ludzka i bardzo jadowity. Na ognie ma suche pęcherzyki, które brzęczą jak grzechotka, kiedy wąż pełźnie. Zwierzęta i ludzie, zasłyszawszy to grzechotanie, uciekają co prędzej.

Żyje tam jeszcze inny wąż, większy od grzechotnika; wąż ten nazywa się boa-dusiciel. Boa całemi dniami czatuje na drzewie na zdobycz; a kiedy zobaczy w pobliżu jakie zwierzę, rzuca się na nie, dusi, oplótnie swem ciałem dokoła, i potem pożera.

Wreszcie wyszli z lasów i dotarli do okolicy wzgórzystej. Indjanie pokazywali Kolumbowi, gdzie może być złoto. Zwłaszcza dużo znajdowali go w strumieniach. Z gór płynęły potoki, a na dnie ich często było dużo złotego piasku. Hiszpanie zbierali ten piasek, ale gór nie rozkopywali, bo mało na to mieli czasu. Obiecywali tylko sobie, że tu później przyjdą. Było jednak kilku takich, co chcieli w tych górach zostać. Kolumb znowu kazał im pobudować domy i osadził ich w tem miejscu. Rad był nawet, że ich się pozbył z miasta, bo byli chciwi i niespokojni.

Minęło na tej robocie sporo czasu i należało wracać do miasta. Zapasy, które zabrano z sobą, już się wyczerpały; niepokoił się też Kolumb, co się bez niego dzieje w Izabeli.

W Izabeli tymczasem nie było dobrego porządku. Ludzie odwykli od pracy. Każdy myślał, że znajdzie furę złota i odrazu będzie panem. Na polu zboże już dojrzało, ziarno się nawet sypać zaczęło, a nikt nie troszczył się o żniwo. W sam czas powrócił Kolumb. Hiszpanie wykręcali się od roboty na wszystkie sposoby; ale Kolumb zmusił ich do pracy, i prędko zboże z pola sprzątnięto.

Ledwie uporał się z jednym, aż tu nowa bieda: trzeba się brać do młocki, trzeba ziarno zemleć, tymczasem ani cepów, ani młyna. Znowu więc Kolumb musiał zabiegać o radzić.

Każdemu sprzykrzyłoby się z takimi nieposłusznymi ludźmi. Kolumb miał na głowie dużo kłopotów, a tu jeszcze znaleźli się tacy, co mu zaczęli brózdzić. Był tam jeden szczególnie, nazwiskiem Fonseka. Ten Fonseka nie lubił za coś Kolumba i korzystał ze sposobności, żeby mu zaszkodzić. Kiedy Kolumb chodził w góry, Fonseka obmawiał go przed ludźmi:

— Oszukuje was: — mówił — zawiózł do nieznanych krajów i zaprzągnął do roboty jak niewolników.

Byli tacy, co nie słuchali Fonseki; ale inni przytakiwali mu i wygadywali na Kolumba. Zwłaszcza kupcy i różni pankowie: tym się bardzo nie podobało, że muszą razem ze wszystkimi brać się do pracy na roli...

Teraz, kiedy trzeba było mleć i młócić, Fonseka znowu zaczął swoje. Chodził od jednego do drugiego i pociachu ludzi buntował.

Znalazło się kilku nieprzychylnych Kolumbowi, którzy dali się namówić, żeby pojechać na skargę do króla. Przyszli więc do Kolumba i proszą, żeby im dał okręt, bo chcą wracać do domu.

Kolumb im nie przeszkadzał.

— Bardzo dobrze: — myślał sobie — mniej będzie w Izabeli próżniaków.

Nie wiedział on, co mu ci nieponie zgotują.

Tak na pracy i zabiegach schodził Hiszpanom czas w nowym świecie. Było im tu dobrze, bo wszystko rosło jak na drożdżach: ziemi mieli wbród, a na niej zwierzyny i wszelkiego dobytku huk.

Ale Kolumb nie zapomniał, że ma odszukać drogę do owych azjatyckich Indyj. Dzicy opowiadali mu, że za temi wyspami jest bardzo wielki ląd, który ciągnie się od południa do północy. Kolumb myślał, że to są właśnie Indje, i ciągle się wybierał tam płynąć.

Przygotował już okręty i ludzi, zarządził ląd w miejsce — aż tu naraz przysyłają do niego posłańca z gór.

Pamiętamy, że Kolumb w górach zbudował fortecę i zostawił w niej kilkudziesięciu Hiszpanów. Otóż ci ludzie zaczęli znów włóczyć się po okolicy i dokuczać dzikim. Sami nic nie robili — nie siali i nie sprząтали, a zjadali chleb Indjanom. Nie koniec na tem: kazali im jeszcze pracować na siebie i zabierali, gdzie mogli, złoto. Słowem, postępowali tak samo, jak ci, których Indjanie przedtem wymordowali.

Długo czas znosili to dzicy, ale wreszcie przebrała się miara.

U Indjan był taki zwyczaj, że, gdy mieli co ważnego, to zbierali mądrzejszych i starszych na naradę. Otóż i teraz zebrali się w lasach i radzili: co począć?

Odrazu wszyscy zgodzili się, że trzeba Hiszpanów wypędzić albo wymordować, żeby mieć na własnej ziemi spokój.

Posłańcy opowiedzieli właśnie o tem wszystkiem Kolumbowi. Kolumb zaraz zebrał wojsko i ruszył na pomoc Hiszpanom.

Jednocześnie z Kolumbem ruszyło też i indyjskie wojsko, tak że spotkali się pod fortecą.

Indian było dużo. Wszyscy byli postrojeni na wojnę i zbrojni. Ciało mieli pomalowane rozmaitemi rysunkami, we włosy powplatali różnokolorowe pióra. Hiszpanie pierwszy raz takie wojsko widzieli. Z początku śmiali się z dzikich, ale później zobaczyli, że z nimi nie żarty.

Dzieci nie mieli strzelb ani armat, tylko strzały i łuki, z których jednak strzelali bardzo celnie. Prócz tego mieli długie i krótkie dzidy i grube pałki, nasadzane kamieniami. Niektórzy znowu rzucali z proc kamienie.

Kolumb nie rozpoczynał bitwy, ale czekał nocy. Wiedział on, że mając tylko dwustu ludzi, nie da sobie rady z dzikimi. Wziął się więc na taki sposób. Hiszpanie wzięli z sobą dużo psów zjadłych i silnych. Otóż Kolumb w nocy kazał wszystkie te psy wypuścić na nieprzyjaciół, a za nimi sam wpadł z ludźmi.

Indianie, zaskoczeni we śnie, nie rozumieli, co się wołało dzieje: potracili głowy i zaczęli uciekać, a Kolumb prażył ich z tyłu i z boku. Do rana rozpedził wojsko indyjskie i poszedł dalej w głąb kraju. Nigdzie już więcej Indianie nie próbowali bić się z Hiszpanami. Dawali im złoto i prosili, żeby ich nie krzywdzono.

Byłoby się może uspokoiło w kraju, gdyby nie to, że Kolumb ciągle domagał się od Indian wiele złota, nie tyle dla siebie, ile dla króla hiszpańskiego.

— Teraz — myślał — pojechał tam Fonseka, będzie na mnie plótł niestworzone rzeczy; trzeba królowi posłać znowu złota.

Kazał więc Kolumb Indianom znosić jak najwięcej złota. Indianie dawali, dopóki mogli, ale wreszcie nie mieli skąd brać. Wtedy Kolumb wymyślił inny podatek: rozkazał, żeby Indianie dawali mu tkaniny i przędzę.

Tego było za wiele. Chociaż dżicy nie chcieli wojny, ale już wytrzymać nie mogli. Znowu zaczęli zbierać się i radzić.

— Z Kolumbem bić się wprost nie możemy, — mówili — bo on od nas silniejszy, ale możemy mu inaczej zaszkodzić.

Rzeczywiście robili Hiszpanom szkody, gdzie tylko mogli. Wypędzali im bydło do lasu, podpalali domy, a ludzi, jak mogli, zabijali pojedynczo. W kraju było bardzo niespokojnie, i Hiszpanie wychodzili za miasto tylko wielkimi kupami.

Wreszcie Indianie wzięli się na nowy sposób. Widzieli, że Hiszpanie potrzebują dużo jeść, a do pracy są leniwi. Otóż zaczęli palić zboże, nie tylko hiszpańskie, lecz i swoje własne. Sami uciekali w góry i lasy.

— My sobie damy radę, — mówili — a oni niech giną! Poco przyszli do naszego kraju i krzywdzą nas.

Żleby się stało z Hiszpanami, ale na ich szczęście przyjechały z Hiszpanji nowe okręty i przywiozły nasion i zapasów.

Z okrętami temi przyjechał brat Kolumba Bartłomiej. Bracia już bardzo dawno nie widzieli się z sobą, więc się ucieszyli niezmiernie. A zwłaszcza rad był Kolumb, bo miał teraz komu zaufać i mógł wreszcie popłynąć na nowe odkrycia.

Zaraz po przyjeździe brata wyznaczył urzędników, jego zrobił swoim zastępcą, a sam popłynął do owej ziemi, o której mu tyle opowiadali Indianie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Dotąd Kolumb odkrył tylko kilka wysp. Prawda, że niektóre z nich, jak Kuba i Haiti, były wielkie, ale każda można było objechać dookoła w parę dni. Teraz zaś Indianie opowiadali, że przyjadą do ziemi bardzo wielkiej, jakiej jeszcze nie spotykał Kolumb na tym oceanie.

Okrety płynęły wolno i często zatrzymywały się przy mniejszych wyspach, bo Kolumb chciał poznać cały kraj. Często sam z Indjanami wysiadał na brzeg i oglądał okolice. Na wyspach tych żyli tacy sami dżicy, jak na Haiti albo Kubie. Był to naród niebrzydki i dobrze zbudowany; wszyscy chodzili nago, mając tylko przepaskę na biodrach. Skóra ich była koloru brązowego, włosy mieli po największej części czarne. Ci, którzy mieszkali na większych wyspach w lasach, żyli z myślistwa. Za broń używali łuku i strzał. Strzały smarowali i napuszczali trucizną.

Kolumb dużo już widział tych Indjan, ale nigdzie nie spotykał rolników. Ziemia na tych wyspach była wszędzie żyzna, i rosło na niej coniemiarą drzew owocowych dziko, bez uprawy. Ale sami Indjanie nie siali, ani orali. Nigdzie też nie widział Kolumb bydła domowego.

Zato na brzegu morskim i nad brzegami rzek spotykał dużo rybaków. Leśni Indjanie żyli ptastwem i zwierzyną, a ci znowu rybami. Rybacy zbierali rozmaite ślimaki morskie, łapali raki i ryby. Na ryby mieli dużo sposobów. W tych morzach żyje nieduża, ale bardzo żarłoczna i silna ryba. Otóż rybak naprzód ją stara się złowić. Później przywiązuje jej do ogona długi i mocny sznurek i puszcza do wody. Ryba łapie inne, nawet większe, niż sama, bo ma ogromne i mocne szczęki. Rybak wtedy wyciąga ją z wody i wydziera zdobycz.

Pewnego razu Kolumb przyglądał się, jak Indjanie łapali żółwia. Żółw znajduje się i u nas w Europie, tylko bywa tutaj nieduży. Na tych zaś wyspach, które odkrył Kolumb, są żółwie ogromne i ważą nieraz po 2, po 3 pudy. Na grzbiecie mają twardą skorupę i poruszają się na lądzie powoli. Indjanie, zobaczywszy żółwia na brzegu, zaraz starają się go przewrócić na grzbiet. Wtedy żółw nie ucieknie, i łatwo go dobić. Mięso żółwi jest bardzo tłuste i smaczne, a ze skorupy ludzie wyrabiają grzebienie i inne przedmioty.

Jeżdżąc tak od wyspy do wyspy, Kolumb dobrze poznał Indian; nauczył się nawet z nimi rozmawiać i rozpytywać o ich życie. Indianie opowiadali mu, że mieszkają w swoich wioskach po lasach i nad rzekami. W każdej wiosce jest kacyk, czyli naczelnik, a prócz niego wszystkiem zarządza jeszcze rada. Rada też wybiera kacyków. A jeżeli jest jaka bardzo ważna sprawa, wówczas zbierają się dla narady wszyscy.

Umarłych Indianie nie grzebali, lecz układali na wolnem powietrzu na wysokich noszach, twarzą do słońca. Wierzyli w Wielkiego Ducha, to jest w Boga. Opowiadali Kolumbowi, że po śmierci idą do niego na wieczne polowanie i zabawy. Prócz tego mieli wiele zabobonów; modlili się mało, bo mówili, że to rzecz kapłanów. Kapłani indyjscy ubierali się cudacznie i przy modlitwie tańczyli, wykrzywiali się i krzyczeli. Nie podobało się tylko Kolumbowi to, że Indianie na ofiarę swemu Bogu zabijali czasem ludzi.

Wreszcie wydobył się Kolumb z pośród wysepek i dotarł do owej zapowiadanej wielkiej ziemi. Wtedy istotnie przekonał się, że to jest ogromny ląd. Próbował jechać wzdłuż brzegów w jedną stronę i w drugą. Wszędzie, jak zajrzeć, ciągnęły się brzegi.

„Muszą to właśnie być Indje azjatyckie“ — myślał Kolumb. Kazał uwiązać bezpiecznie okręty i wysiadać na ląd.

Hiszpanie szli brzegiem długi czas, nie napotykał nikogo. I tutaj, tak samo jak na wyspach, rosły ogromne lasy, a w lasach tych mnóstwo rzeczy niewidzianych. W niektórych miejscach był taki gąszcz, że nikt się nie mógł przerznąć. Drzewa i krzaki stały jakby zbite w ściany. W innej znowu stronie leżały wielkie jeziora i płynęły rzeki. Nad brzegami rzek i jezior ciągnęły się trzęsawiska. W zaroślach pełno było dzikiego zwierza i ptactwa. Za zaroślami znowu łąki i lasy. I tak bez końca.

Indianie opowiadali że daleko wglęb tej ziemi mieszkają różne narody, a między nimi jeden bardzo sławny i liczny. Ale Kolumb już tam nie dochodził. Widział tylko, że ma przed sobą kraj ogromny, dotąd nieznany.

Hiszpanie nazwali tę ziemię Nowym Światem, a wyspy odkryte najpierw nazwano Indjami Zachodnimi.

Gdyby Kolumb opłynął tę ziemię dookoła, byłby zobaczył, że jest cztery razy większa od Europy, że za nią leży drugi ocean, jeszcze większy od tego, który przepłynął. Ten drugi ocean poznali ludzie w kilkanaście lat później i nazwali go Wielkim. Dopiero za owym oceanem Wielkim był ten kraj, do którego Kolumb chciał znaleźć drogę morską, to jest Indje azjatyckie, czyli Wschodnie.

Kolumb o tem wszystkiem nie wiedział. Ale rad był tymczasem, że odkrył nową, ogromną ziemię. Ziemię tę później, po śmierci Kolumba, nazwano Ameryką, od nawiska niejakiego Ameryka, który ją pierwszy opisał; ta zaś część lądu Ameryki, którą zwiedził Kolumb, po dziś dzień na pamiątkę nazywa się Kolumbją.

Spory kawał czasu przebył Kolumb w Ameryce. Z dnia na dzień odkładał powrót do Izabeli, bo miał na co patrzeć. Codzień napotykał w lasach nową osobliwość. Rosły tam naprzykład bardzo wysokie drzewa kokosowe. Drzewa te rodzą smaczne orzechy kokosy. Ale dostać się do tych orzechów trudno, bo pień jest bardzo wysoki i gładki. Dopiero na samym wierchołku pod gałęziami wiszą kokosy. Ale Indianie znaleźli na to sposób. Na kokosowych drzewach lubią przesiadywać małpy. Indianie zbierają kamienie i ciskają niemi w małpy. Małpy się złoszczą i rzucają na ludzi orzechami. Kokosy są tak duże, jak głowy ludzkie, łupinę mają twardą, a w środku ziarno, młode zaś wyborny, gęsty sok.

Wreszcie Kolumb postanowił wracać na wyspę. Czas już był, bo zbliżała się zima. W tej części Ameryki zima podobna jest do naszej jesieni, niema tam wcale śniegu, ale

dzień i noc prawie leje deszcz. Po kilku tygodniach takiej ulewy niebo się znowu wypogadza i nastaje lato.

Kolumb chciał jeszcze przed deszczami stanąć w Izabeli. Stary już był i zaczynał słabować. Po tylu trudach należał mu się dobry wypoczynek. W tej nadziei wracał do domu; ale źli ludzie przygotowali mu nie wypoczynek, tylko zgryzety i niepokoje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

W Izabeli, jak zwykle podczas nieobecności Kolumba, Hiszpanie kłócili się z sobą i z Indjanami. Ludzi było coraz więcej, a z nimi coraz więcej kłopotu. Kolumb dałby sobie radę ze wszystkim, ale mu przeszkodził Fonseka.

Fonseka, jak wiemy, był zły na Kolumba i pojechał skarżyć się na niego przed królem. Królowa Izabela nie chciała wierzyć temu, co mówił o Kolumbie Fonseka, ale król był łatwowierny i zaczął się na Kolumba gniewać. Fonseka był chytry i wiedział, co mówić królowi.

— Kolumb oszukuje ciebie — mówił. Tobie przysłał tylko trochę złota, a resztę zostawia sobie. Z ludźmi źle się obchodzi i wszystkich krzywdzi.

Król, wysłuchawszy oskarżeń Fonseki, posłał do Ameryki swego urzędnika, żeby sprawdził, co Kolumb robi. Urzędnik ten, przyjechawszy do Ameryki, nie pytał nawet o Kolumba, lecz odrazu zaczął trzymać stronę jego nieprzyjaciół. Wszyscy nieponie, których Kolumb za cokolwiek ukarał, przychodzili do urzędnika i skarżyli się. Nie dziw więc, że, wróciwszy do Hiszpanji, nagadał królowi na Kolumba jeszcze więcej, niż Fonseka.

Ale tym razem Kolumb potrafił się obronić. Na jego szczęście, jeden Hiszpan odkrył w górach kopalnię złota.

Zebrawszy tedy wielkie bogactwo, Kolumb wsiadł na okręt i popłynął do Hiszpanji.

Król przyjął go z początku źle, ale Kolumb opowie-
wiedział mu szczerze, jak było, i jakoś zażegnał nie-
szczęście. Dużo mu w tem pomogła królowa Izabela, a jesz-
cze więcej złoto. Król złoto przyjął, a Kolumbowi pozwo-
lił odjechać napowrót.

Kolumb wracał już nie tą samą drogą, ale zboczył
nieco na południe. W tym samym mniej więcej czasie
(w roku 1498) jeden podróżnik, Portugalczyk, Wasko de
Gama, odkrył był drogę morską do Indyj, opłynawszy do-
koła Afrykę. Otóż Kolumb chciał zobaczyć, którędy pły-
nął Wasko de Gama. Do Indyj nie dojechał, bo nie miał
czasu, ale znowu zwiedził kawał świata.

Widział więc znowu rozmaite narody i doznawał róż-
nych przygód. Ale kochało go wrócić do Izabeli, gdzie nie
wszystko zostawił w porządku.

Brat jego Bartłomiej sprawował się na wyspie dobrze.
Nim Kolumb wrócił z podróży, Bartłomiej wybudował na
wyspie Haiti nowe miasto i nazwał je San-Domingo.
W Izabeli już było ludziom za ciasno; a zresztą Bartłomiej
w żaden sposób nie mógł dojść do zgody z drugim naczel-
nikiem, Roldanem.

Ten Roldan, podobnie jak Fonseka, wicherzył i chciał
rządzić na własną rękę, nie słuchając Bartłomieja. Miał
więc Kolumb nowy kłopot, przyjechawszy z Hiszpanji.
Musiał Roldana uspokoić i ukarać tych, co nabroili.

Czas jakiś było spokojnie. Kolumb objeżdżał miasta
i zamyslał nawet budować jeszcze jedno. Z Indjanami
wojny nie było, i zdawało się, że już teraz nikt nie będzie
bródził.

Zaledwie jednak ucichł Fonseka, już się znaleźli nowi
oszczercy. Coraz to ktoś jeździł do króla i znowu oskar-
żał Kolumba. Roldan, którego Kolumb zmusił do posłu-

szeństwa, pojechał także i bodaj że najwięcej zaszkodził Kolumbowi.

Król po raz drugi wysłał do Izabeli urzędnika. Niez szczęście spadło na Kolumba jak grom. Niezego się nie spodziewał, kiedy raptem zjawił się przed nim urzędnik królewski z żołnierzami. Ten już nawet o nic nikogo nie pytał, ale odrazu kazał zakuć Kolumba i powiózł go do Hiszpanji.

I znowu wjeżdżał Kolumb do Palos, do tego samego miasta, gdzie go przed kilku laty witano jak mocarza. Wieźli go teraz jako więźnia w kajdanach... Kiedy się Hiszpanie dowiedzieli o tej niesprawiedliwości, zaczęli się domagać, żeby Kolumbowi zdjęto łańcuchy. Sam król nawet był nierad i swego urzędnika za to ukarał. Na Kolumba jednak już był niełaskaw. Rychło zapomniał, ile mu Kolumb sławy i bogactwa przysporzył!

Kolumb łatwo oczyścił się z zarzutów; tym zaś, którzy opowiadali, że kradł złoto, powiedział, że taki sam biedny wrócił, jak niegdyś wyjechał. Nic to jednak nie pomogło. Nieprzyjaciele jego ciągle podburzali króla, i Kolumb wkońcu sam nie chciał być naczelnikiem nad Izabelą. Stracił serce do ludzi i zgorzkniał bardzo. Kajdany kazał zawiesić w domu swoim i pokazywał każdemu, opowiadając, czem mu król za pracę odplacił. W tym samym czasie umarła królowa Izabela, i Kolumba już nikt przed królem nie bronił.

Zaczął też i Kolumb zapadać na zdrowiu. Starość go opanowała, a więcej może strapienie i zgryzota, że tyle krzywdy doznał od ludzi, którym robił tylko dobrze.

W 65-ym roku życia odważył się jeszcze na podróż i popłynął, jak za dawnych czasów, przez ocean Atlantycki do Ameryki. Na wyspach naczelnikiem był Hiszpan Oranda, człowiek okrutny i niesprawiedliwy.

Oranda nie uszanował Kolumba, i biedny starzec wrócił wkrótce do kraju znękany.

Niedługo już Kolumb patrzył na ludzką niesprawiedliwość; umarł w półtora roku po powrocie z ostatniej, czwartej, podróży *).

ZAKOŃCZENIE.

Od chwili odkrycia Ameryki przez Kolumba minęło blisko 430 lat.

Wielu śmiałych podróżników zwiedzało po nim tę nową część świata. Zjeździli ją oni wzdłuż i wszerz i opisywali w książkach. Pierwszy opis podał — jak wspominaliśmy — Włoch Ameryko, od którego imienia zaczęto całą tę część świata nazywać Ameryką.

W Ameryce nie wszędzie było tak, jak to widział Kolumb. Były tam i inne kraje, ludniejsze; w niektórych krajach mieszkańcy mieli swoje wielkie miasta i uprawiali rolę.

Kiedy później ludzie dochodzili dalej i dalej na północ, przekonali się, że i w Ameryce nie wszędzie jest bardzo ciepło. Są i tam kraje, gdzie pada śnieg i jest nawet zimniej, niż u nas. Są także miejsca skaliste i bezpłodne, gdzie nic nie rośnie; są też ogromne bagna, koło których ludzie żyć nie mogą z powodu zgniłego powietrza.

W kilkanaście lat po śmierci Kolumba podróżnicy przedostali się przez stepy i lasy aż na drugi kraniec Ameryki, na brzegi oceanu Wielkiego albo inaczej „Spokojnego. Nad brzegami temi ciągną się największe w Ameryce góry Kordyljery.

Otóż, zwiedzając ten kraj górzysty, natrafili podróżnicy na miejsca, gdzie rosła jakaś dziwna, nie spotykana przedtem nigdy roślina. Rosła ona na stokach gór bujnie

*) Kolumb umarł w roku tysiąc pięćset szóstym (1506).

i krzaczasto. Indianie wykopywali mączyste okrągławe narośle, tworzące się na podziemnych łodyżkach tej rośliny, i piekli je w popiele. Smak tych okrągławych gul był przyjemny, słodkawy. Później sprowadzono tę roślinę do Europy i zaczęto ją tu uprawiać. Dziś niema prawie kraju na świecie, gdzieby nie używano tych gul podziemnych na pokarm — a roślinę tę znamy wszyscy pod nazwą kartofla, czyli ziemniaka.

W innej znowu stronie Ameryki podróżnicy spotkali roślinę kukurydzę. Podobna jest ona do znanej u nas teraz wielkiej trawy, zwanej końskim zębem. Rośnie wysoko, liście ma duże, podługne, a owoce złożone z ziaren mączystych i pożywnych. Kukurydza jest mniej znana u nas, niż kartofle; ale na południu Europy mają z niej ludzie wyborne pożywienie.

Nie dziw, że, dowiedziawszy się o nowym a prawie pustym naówczas kraju, zaczęli do niego ludzie z Europy płynąć a płynąć. Z początku w Ameryce gospodarowali jedni Hiszpanie; później zaczęli osiadać w niej Francuzi, Anglicy, Włosi i Niemcy. Tam, gdzie dawniej były lasy i łąki, powyrastały, jak grzyby po deszczu, miasta. Indianie nie byli wcale radzi gościom, próbowali bronić swojej ziemi; ale biedacy nic nie mogli wskórać i musieli z życiem uciekać w puszcze i stepy, gdzie resztki ich dotychczas się tułają.

Ludzie, którzy przyjeżdżali z Europy do Ameryki, byli przemysłni i gospodarni. Palili i karczowali niedostępne lasy, orali ziemię, uprawiali różne rośliny, zajmowali się polowaniem i prowadzili handel z całym światem. Zwłaszcza w Ameryce północnej, której powietrze podobne jest do europejskiego, zagospodarowali się dobrze Anglicy.

Różne narody podzieliły potem między siebie cały ład amerykański. Ameryka jednak południowa, w której leżą kraje: Brazylja, Argentyna, Paragwaj, dotąd z powodu strasznego gorąca, wielkich a smrodliwych błot, ciężkich

chorób — jest mało zaludniona i dzika. Inaczej jest w Ameryce północnej: są tam miasta ogromne, większe od naszych i nawet największe pod względem obszaru na świecie. Jedno z nich, mające dwa miliony ludności, nazywa się Nowy-Jork (po angielsku pisze się: New-York, a wymawia się: Niu-Jork). New-York jest największym co do ludności miastem w Ameryce, a trzecim z rzędu na całej kuli ziemskiej.

W miastach tych, tak jak wszędzie, zajmują się ludzie handlem, rzemiosłami, pracują w fabrykach, Amerykanie pobudowali sobie koleje żelazne dłuższe i lepsze, niż my w Europie. A w rzemiosłach, uprawie zboża i przemyśle nie tylko dorównali Europejczykom, ale umieją wiele rzeczy lepiej od nas.

Tak się zmieniła Ameryka w te czterysta lat, które przeszły od śmierci Kolumba.

Ale ludzie zawsze pamiętają, kto pierwszy odkrył tę ziemię. Kolumbowi w Ameryce i Europie wystawiono pomniki, a choć żył bardzo dawno, wiedzą o nim wszyscy dobrze.

O Kolumbie dlatego ludzie pamięć zachowują, że był na swoje czasy człowiekiem śmiałym. Nie lękał się puszczać na niebezpieczne wędrówki, przepłynął ogromny ocean Atlantycki. A robił to nie dla własnej korzyści, lecz przez ciekawość i chęć nauczania się i zobaczenia nowych rzeczy. Przytem chodziło mu i o to, żeby ludzie z jego podróży mieli pożytek. Dlatego to dobra pamięć o Kolumbie żyje dotychczas wśród ludzi i żyć będzie zawsze.

KONIEC.

Wydawnictwo imienia M. Brzezińskiego.

Dzielnii Górale.

Napisałi

ERCKMAN i CHATRIAN.

Przełożyła z francuskiego

Z. N.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.

„Księgarnia Polska“ Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej

1924.

ROZDZIAŁ I.

Przy końcu roku 1813 groziło Francji wkroczenie w jej granice wojsk mocarstw sprzymierzonych przeciwko Napoleonowi I. Uboga wioska Szarm w górach Wogeskich ¹⁾ składała się w owych czasach z trzydziestu domów, wyciągniętych w łańcuch wzdłuż łożyska rzeki Sarry, domów pokrytych omszałemi gontami i ciemnozielonym wieńcem chodników. Ze ścian tu i ówdzie zwieszają się zeschnięte gałązki bluszczu i zwędłe powoje, w głębi złocą się słomiane daszki na zimę opatrzonych pasiek, sterczą smutne, nagie drzewa, szarzeją linje ogrodzeń i płotów. Na lewo, w oddali, pod samym prawie skalnym szczytem, rysują się wyniosłe mury starożytnego zamku Falkensztajnow, dzisiaj już w szczątkach, nawpół rozwalone, przed dwustu blisko laty zniszczone przez Szwedów. Z pośród stosów gruzu i kamiennych złomów ukazują się krzaki tarniny i czerwienieją purpurowe głogi. Resztę zbocza zarasta gęsto las jodłowy, z szeroką drogą, zasłaną odłamami spróchniałych, połamanych schodów, — tedy od wieków staczano świeżo zrąbane pnie prastarych świerków, jodeł i sosen. Na prawo pochyłości góry widnieje folwarczek Dąbrowa, zabudowany dostatnio, porządnie, — obory stodoły, szopy, zabezpieczone od północnych, groźnych wichrów — płaskim dachem,

¹⁾ Góry w Alzacji i Lotaryngji, prowincjach Francji.

przyciśniętym wielkimi kamieniami. Na łączce pasą się nie-liczne krowy, opodal wspinają się kozy po złomach skał.

Spokojnie tu, cicho. Wzdłuż sinych brzegów lasu drżą czerwone plamy ognisk, koło których grzeją się bose, przemarznięte dzieci, pomimo nadchodzącej zimy w koszulach i spodeńkach ze zgrzebnego płótna. Wąskie smugi szaroniebieskiego dymu tłuką się po rżysku i leniwie podnoszą się w górę, na niebie ciągną się nieruchomo srebrzyste i białe obłoki, dalej jeszcze strzelają dumnie nagie szczyty Dononu¹⁾ i Grosmanu²⁾.

Domek położony na samym krańcu wioski, z płaskim dachem, zaopatrzonym w dwa zakratowane, maleńkie okienka, o jednych niskich drzwiach, z wysokim progiem, wychodzących na ciasną, błotnistą uliczkę, należał w roku 1813 do Jana Klaudjusza Hullina, żołnierza napoleońskiego z 1792 roku, a teraz szanownego i pracowitego rzemieślnika, co na całą okolicę słynie z wyrobu sabotów³⁾. Stary żołnierz cieszy się jeszcze doskonałym zdrowiem, szerokie jego usta rozjaśnia zwykle dobry uśmiech, szare oczy, ocienione gęstymi, siwiejącymi już brwiami, patrzą pocziwie i prosto. Jedno kochanie ma tylko na świecie: — Ludwikę, dziecko, które przygarnął przed laty, porzucone przez bezdomnych nędzarzy, co się włóczyła od wioski do wioski, od miasta do miasta i pobielają rondle, umieją lać łyżki cynowe, naprawiać i drutować potłuczone statki. Przywiązał się do niej serdecznie niby do rodzonej córki, pieści ją i psuje.

Stary w przyjaźni żyje ze wszystkimi, a już prawdziwie zażyłe stosunki utrzymuje z właścicielką Dąbrowy, Katarzyną Lefewr, bliską swoją krewną, której syn Kasper jest narzeczonym Ludwiki. Teraz go wzięto do wojska i cała rodzina z upragnieniem oczekuje powrotu ulubieńca, co naturalnie nie nastąpi, dopóki wojna się nie skończy.

Hullin zawsze wspomina z zachwytem wyprawy do Włoch i do Egiptu.

¹⁾ i ²⁾ Szczyty górskie w Wogezach.

³⁾ Trzewiki drewniane, używane przez francuskich wieśniaków.

Wieczorem po pracy często go można spotkać przy tartaku, pośród pni spiętrzonych i okrytych jeszcze korą. Sadowi się wygodnie na pierwszej lepszej kłodzie, otaczają go usmolone twarze drwali, traczów i węglarzy, obok jasnym płomieniem palą się trociny, poruszają bezustannie tarcze kół zębatych, zgrzytają heble i piły, — a on pyka z fajki, łokcie wspiera na kolanach i opowiada ciekawym słuchaczom o Napoleonie, o jego orlim, przenikliwym wzroku, co zda się wszystko czyta w duszy. A wokoło słuchają go z zapartym oddechem.

Krew starożytnych przodków płynie w żyłach Jana Klau-djusza Hullina, krew walecznych i nieustraszonych Gallów¹⁾. Za największą przyjemność uważa niezwykle, trudne przedsięwzięcia, jakieś rozgłośne czyny, wyprawy pełne niebezpieczeństw, — za najmiłszy okres życia ten, który spędził w znojach uciążliwych wojen. Spokojna praca rzemieślnika nie trafia mu bardzo do smaku, ale w poczuciu obowiązku spełnia ją uczciwie.

Przykrości i kłopoty osładza mu Ludwika. Dziewczyna wyrosła wysmukła i zgrabna, o bladej cerze i błękitnych, zadumanych oczach, złote, jedwabiste włosy spływają na plecy w ciężkich splotach, ręce ma delikatne, małe, jak panienka. Pogodny uśmiech opromienia jej niewinne usta, pod bladym czołem mieszkają czyste myśli, drobna twarzyczka przypomina słodyczą twarze świętych.

Ludwika kocha kwiaty, łąki, pola z łanami pokornie do jej stóp pochylonego zboża, na wiosnę uśmiechem i łzami wita pierwsze piosenki skowronka, zna wszystkie chabry w polu, wszystkie polne róże, ukryta w swojej izdebce śledzi jaskółki, powracające do gniazd opuszczonych. Nie może na miejscu usiedzieć chwili.

Upływały dni, tygodnie i miesiące w spokoju i cichej pracy, — i z coraz większym utęsknieniem oczekiwano powrotu narzeczonego Ludwika.

¹⁾ Przodkowie Francuzów.

Od Kaspra już dwa miesiące przeszło nie było żadnej wiadomości.

Jakoś w połowie grudnia 1813 roku, około czwartej po południu, Hullin, pochylony nad warsztatem, wykończył właśnie parę podkutych sabotów, zamówionych przez drwala Roszarta, a Ludwika przystawiła gliniany, w piękne malowany kwiaty garnuszek do ognia, z którego raz po raz wybiegały maleńkie isierki. Ciszę mącił tylko głuchy trzask palącego się drzewa i monotonny szmer wahadła przy starym zegarze. Brał mróz. Na ulicy w zagłębieniach ścinała się woda i wszędzie już połyskiwały cienkie, kruche tafelki przezroczystego lodu; od czasu do czasu z za okna dochodziło dudnienie sabotów po stwardniałej ziemi, przez zapocone szyby migały futrzane czapki przechodzących, i znów wracało milczenie i z jękiem płonęły sosnowe polana, mruzczała woda w rynce i pracowicie warczał kołowrotek Ludwika. Tak minęło kilka godzin.

Nagle drzwi się otworzyły zcicha i w progu stanęła Katarzyna Lefewr, właścicielka Dąbrowy. Jan Klaudjusz przetarł oczy ze zdumienia, — stara krewna nie zjawiała się nigdy tak późno.

Kobieta postąpiła naprzód pewnym krokiem. Mogła mieć około sześćdziesiątki, ale na znacznie młodszą wyglądała z energicznych ruchów. Szare, dobre oczy dziwnie odbijały od dużego, wydatnego nosa, zakrzywionego jak u drapieżnego ptaka. Policzki poorane głębokimi brózdami i wdół opuszczone kąty ust nadawały twarzy wyraz goryczy. Głowę otulał brązowy kaptur w czarne prążki, z pod którego wymykały się kosmyki siwych włosów aż na skronie; resztę ciała okrywała ciepła peleryna. Cała postać oznajmiała charakter stanowczy, zacięty, a zarazem malował się w niej smutek i wielka powaga, przejmujące mimowoli szacunkiem i bojaźnią.

— To ty, Katarzyno? — wyrzekł wreszcie Hullin, nie mogąc jeszcze uwierzyć swym oczom.

— Jak widzisz — odparła zwolna. — Mam do pomówienia z tobą. Czy Ludwika niema?

— Dziś u Magdaleny Roszart wieczornica.

— Więc się doskonale składa. — Odrzuciła kaptur i usiadła z boku, przy warsztacie. Jan Klaudjusz patrzył na nią z nateżeniem, i zaczynał go ogarniać niepokój na widok tego niezwykłego wstępu.

— Co się stało? — zapytał szeptem, machinalnie porządkując narzędzia na stole.

— Niepokoi mnie milczenie Kaspra — odezwiała się kobieta. — Czuję, że napisał do mnie, ale dlaczego listy jego nie dochodzą? Zobaczysz, Janie, że się źle skończy ta wojna — przeciw nam są wszyscy, to nie trudno zauważyć. Kiedy byliśmy górą i szło zwycięstwo po zwycięstwie, zewsząd uśmiechano się przyjaźnie; ale od czasu klęsk, które ponieśliśmy w Rosji, musiała widocznie odwrócić się karta i z pewnością niedawni nasi sprzymierzeńcy nie będą bardzo rachować się z obecnym naszym rządem.

— Wszystko ci się przedstawia w zbyt czarnych kolorach.

— Niech Bóg broni, żeby sprawdziły się moje przecucia — odpowiedziała Katarzyna z goryczą, — ale bardzo się na to zanosz. Najwięcej mnie to niepokoi, że od jakiegoś czasu nie dochodzą nas żadne wiadomości z szerokiego świata, zupełnie jakbyśmy żyli setki mil od Francji, jakbyśmy od reszty kraju zostali odcięci. I ciągle mi się widzi, że pewnego pięknego poranku, wtedy właśnie, kiedy się najmniej będziemy spodziewali, spadną nam na kark kozaki, albo Austriacy...

Jan Klaudjusz spotkał pełne niepokoju oczy Katarzyny i nagle uczuł dziwną trwogę w duszy.

— Rozumnie mówisz — rzekł głucho, — nie zaprzeczam, że domysły twoje mogłyby okazać się prawdą. Nie sądzę, żeby rzeczywiście tak źle było z nami, nie zaszkodzi jednak się przekonać. Wybierałem się na przyszły tydzień do Falsburga¹⁾, żeby zakupić trochę skór baranich do sabotów, — teraz postanawiam iść jutro. W fortecy albo na poczcie najłatwiej będzie zasięgnąć języka, tam przecież chyba wiedzą, co się dzieje. Czy cię to uspokoi?

— Tak; dziękuję za pocziwość.

¹⁾ Twierdza w Wogezech.

— Więc jutro raniutko wyruszę. Mamy pięć mil ¹⁾ do miasta, około 6-ej po południu powinienem być z powrotem. Przekonasz się, Katarzyno, że niepotrzebnie głowę sobie nabijasz strachami.

— Niczego nie pragnę więcej — odparła z wdzięcznością. — Bóg zapłać za wszystko. Dobranoc, przyjacielu!

— Dobrej nocy, Katarzyno!

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, Hullin przywdział odświętne spodnie z grubego niebieskiego sukna, obszerny brązowy kaftan aksamitny, z pod którego wyglądała czerwona kamizelka, ozdobiona rzędem błyszczących mosiężnych guzików, nacisnął na głowę góralski pilśniowy kapelusz i uzbrojony w kij jarzębinowy, puścił się szybko drogą do Falsburga.

Falsburg należy do mniejszych, drugorzędnych fortec i znajduje się na cesarskim trakcie ze Strasburga ²⁾ do Paryża. Jego mury panują nad zboczami Sawernji. Zdaleka już widnieją wieże, odwachy; twierdzę otacza na sto stóp szeroka fosa, a głęboka na trzydzieści, chronią ją wysokie, wykute w skale szançe. Oprócz kościoła, budynku, w którym rezyduje zarząd gminy, dwóch bram—od Niemiec i Francji, i słupów prochowni, reszta miasta kryje się za wały.

Hullin szedł sprężystym, śpiesznym krokiem, pogwizdując zcicha, daleki od ponurych myśli, bo jego dobrodusznia i prosta natura nie umiała nigdy trwożyć się widmem przyszłych niebezpieczeństw, dlatego też pogłoski, jakie zaczynały tu i ówdzie krążyć o świeżych klęskach, uważał on za plotki, rozpuszczane przez ludzi złej woli. Możecie więc wystawić

¹⁾ Mowa o milach francuskich.

²⁾ Stolica Alzacji.

sobie jego osłupienie, kiedy po wydostaniu się z lasu ujrzał całą najbliższą przestrzeń wokoło Falsburga ogołoconą doszczętnie z ogrodów i sadów, aż do najdrobniejszego krzaka — na odległość mniej więcej armatniego strzału. Gdzieniegdzie jeszcze snuły się gromadki biedaków, którzy bładzili wśród poniszczonego dobytku z pochylonemi głowami, zbierali nieliczne szczątki i smutno ciągnęli do miasta. Wszędzie przerażająca pustka, tylko na widnokręgu czernią się szeregi wałów. Hullin ręką potarł czoło, nie chcąc zrazu wierzyć oczom, potem odetchnął z wysiłkiem, głęboko.

— Prorocze przeczucia — szepnął smutnie. — Spodziewają się widać napadu.

— Nikt inny, tylko Austriacy, Niemcy i te trzecie sprzymierzone wojska zmówiły się na nas — powtórzył z zapalem, wymachując laską. — Drogo zapłacą za tę śmiałość!

I ogarnął go niespodziewanie gniew, jakiego doznaje każdy uczciwy człowiek, kiedy go wyprowadzą z ostatecznej cierpliwości. Biada temu, kto z nim wtedy zadrze!

W dwadzieścia minut później wchodził do miasta, poprzedzany przez długi szereg wozów, zaprzężonych w pięć i nawet więcej koni, z trudem ciągnących olbrzymie pnie prastarych drzew, z których nagwałt miano budować blokhausy na wielkim placu, służącym zwykle do manewrów. Z pośród tłumu całego woźniców, chłopów, pomęczonych i zziających koni rysowała się ostro postać starego żołnierza, który nie spuszczał oka z pracujących i co chwila coś ganił, pochwalał, wskazywał.

— Prędzej, prędzej, przyjaciele! — wołał szorstko — dwa razy już tylko obrócimy dzisiaj.

W mieście panował ruch niezwykle, zgiełk i zamieszanie, drzwi domów były rozwarłe naosiecz, mężczyźni, kobiety i dzieci biegali tam i z powrotem, pomagali przenosić prochy, broń, pociski. Tu i ówdzie stały mniej lub więcej liczne kupki ludzi i skwapliwie udzielały sobie wiadomości.

— Hej, sąsiedzie! — krzyczał któryś.

— Co takiego?

— Przybył goniec, koń zajeżdżony na śmierć. Wjechał przez bramę francuską.

— Zapewne oznajmia nadejście gwardji narodowej z Nansy ¹⁾.

— Może konwój z Metz ²⁾ się zbliża?

— Mądrzeście rzekli, sąsiedzie. Właśnie brakuje kul szesnastego kalibru, przydałyby się też kartacze. Jeżeli ich nie dostaną, trzeba będzie porozwalać piece.

Niektórzy z zakasanemi rękawami wspinali się po stołach wyniesionych z mieszkań na ulicę i zabijali okna długimi belkami, zakładali otwory słomą, siennikami i pościelą, inni zataczali przed domy wielkie kadzie z wodą.

— Pomagaj Boże! — odezwał się uroczyście Jan Klaudjusz. — Doskonałe przyjęcie szykujecie sprzymierzonym!

Nawprost szkoły stał policjant z papierami w ręku i raz po raz wołał wpół ochryłym głosem: „Podaje się do wiadomości, że wkrótce lochy forteczne zostaną otwarte i oddane do publicznego użytku. Każdy obywatel ma prawo znieść tam siennik i 2 kołdry. Panowie komisarze od jutra rozpoczną przegląd, mający na celu sprawdzenie, czy wszyscy mieszkańcy posiadają zapasy na trzy miesiące możliwego oblężenia. Dan 20 grudnia 1813 roku. Podpisano: Jan Piotr Mennier, gubernator“.

Hullin objął cały ten widok jednym krótkim rzutem oka — miasto było w nieustającym, ciągłym ruchu.

Uliczką, prowadzącą do arsenału, kilkunastu gwardzistów ciągnęło wielkie działo, a że pochyłość była znaczna, więc robota szła zwolna, z trudnością. — Dalej! Naprzód! Razem! Ależ razem, do kroćset! Naprzód! Jeszcze! — wołali, szeregując się z dwóch stron lawety. I wśród głów pochylonych, naprężonych ramion błyskała paszcza bronzowa armaty, posuwała się wolniutko, a wokoło odzywała się ziemia głuchym jękiem.

Jan Klaudjusz pracę ich śledził rozjaśnionym wzrokiem, w duszy mu błądziły wspomnienia żołnierskie: dalekie marsze, szczytne, długie, uciążliwe warty i zwycięskie bitwy,

¹⁾ Stolica Lotaryngji.

²⁾ Twierdza francuska.

w oczach zjawiały się plany przyszłej walki, zarysy okopów, rosło pragnienie bohaterskich czynów.

— Dosyć narobiłem się sabotów: — myślał — chwała Bogu, że nadarzy się sposobność zdjęcia ze ściany muszkietu, a biedaczysko musiał już dobrze zardzewieć! Pokażemy tym psubratom Austriakom i Prusakom, że umiemy jeszcze broń nabijać!

Zapał ogarniał starego żołnierza, ale radość ta, niestety, krótko trwała.

Bo oto na wielkim placu przed kościołem dostrzegł nagle wozy pełne rannych, co przybywały aż z Lipska. Błede wynędzniałe twarze, błędne oczy, usta spieczone gorączką — leżały szeregami na zmiętej, pokrwawionej słomie; niektórzy mieli ucięte ręce, nogi, na bandażach świeciły ciemne plamy krwi zakrzepłej; inni spoczywali z przymkniętymi powiekami, z rysami ściągniętymi bólem, i czekali śmierci z rozpaczą. Przy wozach stały uwiązane chude, stare szkapę, okryte łachmanami, mającemi je chronić od zimna, i zagłębiały pyski w worki, w których nic prawie nie było. Na stopniach kościoła drzemali woźnice poobwijani w dziurawe, mocno poniszczone płaszcze, w kapeluszach naciśniętych dla ciepła na czoło. Pod wrażeniem tego ponurego, smutnego widoku mimowolny dreszcz przebiegał ciałem. Okropnie było patrzeć na tych nieszczęśliwych ludzi w szarych mundurach, na których jaśniały liczne purpurowe ślady, na te dziesiątki rąk potrzaskanych, zdruzgotanych ramion, głów otulonych w krwawe płachty. Na wielu już występowało piętno śmierci, nie brakło i umarłych z posiniałą twarzą, — tu i ówdzie przez szczeble drabinek zwisały bezwładne, martwe ręce.

Hullin stał jak wryty i nie mógł oderwać przerażonych oczu.

Na sąsiedniej bryce uderzała postać młodego chłopaka, który wołał ciągle matki zamierającym, urywanym głosem. Starsi spoglądali na niego ukradkiem i ocierali rękawem zwilgotniałe oczy, niektórzy bezmyślnie patrzyli przed siebie.

Jan Klaudjusz patrzył ciągle z litością, z współczuciem.

Wtem uchyliły się drzwi pobliskiego domu i stary piekarz wyszedł śpiesznie, dźwigając oburącz wielki rondel z ro-

sołem. Poruszyły się nawpół umarłe widma, zabłysły oczy i usta zakwitły uśmiechem, życie wstępowało w wycieńczone ciała, nieszczęśliwi umierali widać z głodu.

— Jestem, dzieci! — odezwał się dobrotliwie staruszek. — Jeszcze trochę cierpliwości. Dostaniecie wszyscy.

Zaledwie się jednak przybliżył do pierwszego, kiedy ogromny żołnierz pochylił się gwałtownie, porwał z rondla kawałek mięsa i ukrył pod płaszczem. Z zajazdu wyjrzała głowa starego sierżanta, w lot zrozumiał, o co idzie, skoczył i odebrał mięso bez namysłu.

— Mógłbyś za karę nic nie dostać — powiedział z oburzeniem. — Trzeba to teraz podzielić na dziesięć równych części.

— Jakto? Jest nas przecie ośmiu -- wyrzekł dziwnym głosem jeden z rannych.

— Co ty pleciesz?

— Prawdę mówię, sierżancie, bo dwóch już za chwilę nie będzie. Szkoda jadła...

Stary objął twardem spojrzeniem leżących.

— Racja! — mruknął szorstko — osiem części.

Uczciwa dusza Hullina nie mogła znieść więcej, zakrył oczy i powlókł się do oberży naprzeciwno. Tutaj zaopatrywał się zawsze w futerka i skóry.

— To wy, panie majstrze? — zawołał ze zdziwieniem Witman, oberżysta. — Cóż tak wcześniej? Spodziewałem się was dopiero w początkach przyszłego tygodnia.

Jan Klaudjusz usiadł ciężko i bez słowa odpowiedzi. Ręce mu się trzęsły.

— Co wam się stało? — spytał gospodarz zaniepokojony.

— Widziałem rannych — szepnął Hullin głucho.

— Aha! Pierwszy raz, rozumiem! Ale gdybyście ich zobaczyli — jak my na przykład — 15,000, tobyście przyzwyczaili się prędko!

— Półkwaterek wina!¹⁾ — rzucił zmienionym głosem Jan Klaudjusz. — Och! ludzie... ludzie!.. — ciągnął ciszej i jakby

¹⁾ We Francji wieśniacy mają wino z własnych winnic, lekkie i bardzo tanie.

do siebie. — I to są bracia!... Więc naprawdę przewieziono tędy tyle rannych? — odezwał się z niedowierzaniem.

— I to mało liczę — zapewnił Witman stanowczo. — Nie mówię nawet o tych, co zostali w dolinach, albo z tamtej strony Renu... Zabrakło wozów dla wszystkich, — zresztą niektórych nie było poco już zabierać.

— Ale czemu ci stoją na placu? — zapytał Jan Klau-
djusz. — Dlaczego ich nie wiozą do szpitala?

— Do szpitala! — zaśmiał się gospodarz obojętnie. — Co-
znaczy i dziesięć szpitali (dla 50,000 rannych? Przecie prze-
pełnione są wszystkie od Koblencji do Falsburga. Okropny
tyfus szerzy się podobno i więcej ofiar zabiera, niż wojna,
pozarażali nawet okoliczne wioski, ludzie mrą jak muchy.
Chwała Bogu, że nadchodzą mrozy, może przecie jakoś się
uciszy.

Drzwi otworzyły się nagle z hałasem i starszy sierżant
ukazał się w progu. Widocznie już zrobił porządek...

— Mrozik bierze — ozwał się rubasznie. — Dobrze za-
rządziliście z tym ogniem, panie Witman. Dajcie-no szklan-
kę konjaku, człowiek musi się troszeczkę rozgrzać.

Małutkie oczki patrzyły podejrzliwie i nieufnie, nos ha-
czykowaty rzucał cień ogromny na pomarszczone, kości-
ste policzki, boki twarzy zarastały rudawę, rzadkie faworyty,
na ustach błąkał się bezwstydnym uśmiech. Wysoka, sztywna
postać znamionowała wytrawnego żołnierza, w ruchach prze-
bijająca się przebiegłość, śmiałość, — wielki kask, szary mun-
dur, temblak i naramienniki leżały jak ulane i zdawały się
nieodłączną częścią jego osoby. Teraz przechadzał się miar-
owym krokiem po zajeździe, co chwila zacierając ręce, Wit-
man pośpiesznie nalewał mu wódki. Jan Klau-
djusz usunął się milcząc pod okno i spoglądał na starego sierżanta z pod
oka. Odrazu zauważył numer pułku 6 — lekkiej kawalerji, —
toż Kasper w nim służy! Poruszył się wzruszony — może za-
sięgnąć wiadomości o narzeczonym Ludwiku — ale serce zaraz
zabiło gwałtownie. „A nuż chłopak nie żyje? Nuż spotkał go
los tylu innych!?”

Zacisnął zęby. — Lepsza niepewność — przemknęło mu
przez głowę.

Ale zaraz zawstydził się słabości.

— Panie sierżancie—zaczął drżącym głosem — czy pan jest z 6 pułku kawalerji?

— Tak, mój przyjacielu — odparł tamten, zatrzymując się na środku obozu.

— A nie zna pan przypadkiem Kaspra Lefewra, nowozacieżnego.

— Czy go nie znam? — rzekł sierżant z zabawnym zdumieniem. — Ależ to ja przecie go uczyłem obchodzić się z bronią! Dzielny chłopiec — na trud zahartowany. Gdyby takich było więcej!

— Więc zdrów, żyje?

— Naturalnie. Tylko ja wyruszyłem z obozu już przed ośmiu dniami, idzie ze mną konwój rannych, rozumiesz zatem przyjacielu, że w wojennych czasach nikt niczego nie może być pewny. Ale tydzień temu, 15 grudnia, Kasper Lefewr z innymi stawał do apelu.

Jan Klaudjusz odetchnął głęboko.

— Dlaczegoż więc nie daje od dwóch miesięcy znaku życia? — wywarło mu się mimowoli.

Wojskowy uśmiechnął się z politowaniem.

— Cóż to myślisz, mieszczuchu, że na wojnie niema nic lepszego do roboty? — rzucił szorstko.

— Sam byłem żołnierzem—odpowiedział urażony Hullin.— Odbywałem z Napoleonem wyprawę do Włoch, do Egiptu, i jakoś to nie przeszkadzało wysyłać swoim wiadomości.

— Ja także byłem w Egipcie—przerwał sierżant—byłem wszędzie. — ale teraz to zupełnie co innego!

— Taka uciążliwa wojna?

— Uciążliwa!! Trzeba mieć rogatą duszę, żeby z niej wynieść kości! Wszystko się przeciw nam sprzysięgło: choroby, zdrajcy, chłopci, mieszczenie, sprzymierzeńcy wreszcie, wszyscy! Z tego oddziału, co tak znakomicie okryty wyruszył z Falsburga przed rokiem, powraca zaledwie 32 ludzi. Zdaje się, że Kasper jest jedynym tegorocznym popisowym, który pozostał przy życiu. Biedni ci rekruci! Bili się, co prawda, dobrze; coś kiedy jeść musieli dużo, i topnieli, topnieli, jak masło na patelni.

Zbliżył się do stołu i wychylił duszkiem szklanke.

— Za twoje zdrowie, przyjacielu. Możesz ty ojciec tamtego?

— Tylko krewny.

— No, no! Pewnie się w rodzinie chlubicie dobrą budową? Tęgi chłopak! Dlatego wytrzymuje trudy, tymczasem jego towarzysze mrą jak muchy. — Ludzi nam brak — prawil dalej sierżant. — Co prawda, od dwudziestu lat nam nie dają wytchnienia... Teraz znowu cała Europa wali przeciwko nam. Cesarz jest w Paryżu, nagwałt obmyślają plany... Gdyby tak można odpocząć do wiosny, człowiek nabrałby sił świeżych.

— Dziękuję za dobrą wiadomość — powiedział Hullin. — A jeśli spotkacie, panie sierżancie, Lefewra, powiedzcie mu, że go Jan Klaudjusz ściska i prosi o częste pisanie.

— Dobrze, dobrze, nie zapomnę.

Hullin dokończył kubka w zamyśleniu.

— Paczka gotowa, Witmanie? — rzekł krótko.

— Gotowa, panie majstrze.

Klaudjusz zatknął pakunek na kiju, zarzucił go na ramię i wyszedł.

III.

Podczas gdy Hullin z brwią ściągniętą i pofałdowanym czołem w las się zagłębiał ociężale, zwolna, z myślą pochłoniętą wieściami o klęsce, na folwarku Dąbrowie życie szło zwyczajnym trybem i nikt nie przeczuwał smutnej prawdy. Michał zapędził do dojenia krowy, pastuch rozrzucał świeżą słomę po oborze, Jadwiga i Anka zbierały z mleka kwaśnego śmietanę, jedna tylko Katarzyna snuła się jak duch pomiędzy nimi, posępna, milcząca, za rtara, żeby się otrząsnąć tak prędko z silnego wrażenia. Wieczorem nie zasiadła, jak zwykle, z czeladzią, ale zamknęła się w bocznej izdebce.

W kuchni zapanował wkrótce ruch niezwykle, ładowano do koszów jarzyny, sypano w worki ziarno, chwymano kurczęta do kójców, bo Michał, skoro świt, wyrusza na jarmark do miasta.

Na kominie stoi ogromny kocioł, pełny obierzyn kartofli, buraków, przeznaczonych na strawę dla bydła; po dnie, czarnem od sadzy, raz po raz przebiegają purpurowe i złote języki; ogień płonie jasno, podsycany ciągle świeżemi naręczami drzewa,—na półkach błyszczą rondle, wazy, półmiski i łyżki; z zadymionych belek pułapu zwisają wiązki czosnku, wieńce rudawej cebuli, wielkie poćcie słoniny i szynki. Na tle ciemnej ściany rysuje się głowa Jadwigi w pięknym błękitnym koronie, płomień oświeca jej jaskrawą spódniczkę,—dziewczyna co chwila miesza w kotle drewnianą warząchwą; ciszę przerywa jedynie coraz słabsze gdakanie kur, nie mogących się wygodnie pomieścić w ciasnej łozinowej klatce, i suchy, urywany szelest łap brytana Rozboja, co bez przerwy tłucze się po kątach, szukając chciwie pożywienia. Ze strychu, po schodach, trzeszczących za każdym stąpieniem, schodzi z trudem najmłodszy parobek, na schylonym grzbiecie dźwiga wór wielki, napęczniony grochem, opodał przez otwarte drzwi na podwórku majaczy postać Michała, oświetlona słabo blaskiem małej latarni, — stoi na wozie, zajęty układaniem koszów.

— Jeszcze dwa worki potrzebne, Szymonie — mówi donośnym głosem, odbierając ciężar z rąk chłopaka.

W kuchni na podłodze ciemnieje zając, zabity przez strzelca Henryka i przeznaczony również na sprzedanie, śliczny, zielonorudy cietrzew z martwemi oczyma i kroplą stężalej krwi na końcu dzioba. Praca wre aż miło.

I właśnie zaczęła przyciechać, kiedy skrzypnęła niespodzianie furtka i na podwórzu zadudniały śpieszne kroki. Brytan zastrzygł uszami i poskoczył warcząc, ale wrócił zaraz i ze spokojem kończył wylizywać miskę.

— To chyba ktoś z domowych — odezwała się zdziwiona Anka. — Rozbój ani myśli czekać.

— Dobry wieczór, panie majstrze. Skąd tak późno?—zabrzmiiał nagle głos Michała.

— Byłem dziś w Falsburgu i chciałbym u was odpocząć — odparł przybyły spokojnie. — Gospodyni w domu?

W progu ukazała się barczysta postać Jana Klaudjusza. Jednocześnie uchyliły się drzwi przyległej izby i wyrzwała z nich twarz Katarzyny. Obrzuciła Hullina przeciągiem, głębokiem spojrzeniem, jakby mu z oczu odrazu pragnęła wyczytać nowiny.

— Już z powrotem? — zapytała krótko.

— Jak widzisz. Przyniosłem po trosze dobrego i złego.

Prędkim ruchem wskazała mu czeladź i zaraz weszli do najparadniejszej izby, od góry do dołu okrytej pięknymi rzeźbami z drzewa. Pod ścianami rzędem biegły szafy z masywnych, starych dębów, zdobne w błyszczące okucia; w jednym z rogów wznosił się kominek z lanego żelaza, od którego rury prowadziły aż do kuchni. Dalej wielki, skórą wyścielany fotel, który, sądząc z pozoru, musiał chyba pamiętać dzieśnięć conajmniej pokoleń. Hullin powoli złożył na stole kij i zakupione skóry.

Gospodyni siadła śpiesznie z niespokojną twarzą i milcząc podsunęła Hullinowi krzesło.

— A teraz słucham — rzekła drżącym głosem.

— O Kasprze wieści są pomyślne—zaczął stary.—Zdrów podobno wyśmienicie znosi wszelkie trudy, chłopaczysko zahartuje się na całe życie, więc śmiało z tego możemy się cieszyć. Ale te drugie wiadomości... te drugie... ot, co tu długo obwijać w bawełnę, będzie wojna — wyrzucił jednym tchem strapiony.

Katarzyna wyprostowała się nagle i surowe, przenikliwe oczy utkwiła w mówiącego.

— Wojna... tutaj... u nas? — szepnęła pytająco.

— Tak. Z dnia na dzień należy oczekiwać pojawienia się wojsk sprzymierzonych.

— Domyślałam się tego... byłam nawet pewna... Co wiesz więcej?

I Hullin, z głową opartą na łokciach, zaczął opowiadać wszystko, co widział w miasteczku, ostrożnie, przyciszonym głosem: o wałach wznoszonych dokoła Falburga, o zaciąga-

nych na murach baterjach, o tem, że komendant ogłosił miasto w stanie oblężenia, o rannych, wreszcie o spotkaniu z sierżantem, i starał się powtórzyć jego słowa o grozie ostatniej, niebywalej wojny. Chwilami zatrzymywał się, żeby zaczerpnąć oddechu, a Katarzyna wtedy przymykała oczy, jakby pragnąc uprzytomnić sobie lepiej zasłyszane wieści. Na wspomnienie rannych drgnęła: „Niechaj Bóg czuwa nad Kasprem“ — wymknęło się z jej ust zbielejących.

Jan Klaudjusz umilkł, wkońcu zaległa głucha cisza, patrzyli na siebie bez słowa, jakby wrażenie odjęło im mowę, na twarz wystąpił wyraz goryczy i smutku.

Katarzyna otrząsnęła się pierwsza z tych posępnych myśli.

— Widzisz... — przemówiła dziwnym tonem.

— Austriacy już nadciągają — mówił dalej Hullin. — Bezwzględnie trzeba postanowić, czy im pozwolimy przejść swobodnie, czy też się zdobędziemy na rozpaczliwą odwagę obrony.

— Czy się zdobędziemy?! — zawołała kobieta z ogniem zapалу w oczach. — Do kogo ty mówisz, Hullinie?! Jakto? mielibyśmy puścić do kraju wrogów?

— Więc się nie cofniesz przed niebezpieczeństwem?

— Nigdy! dopóki jedna kropla krwi zostanie w żyłach, do ostatniego tchnienia! Tak mi dopomóż, Boże! Mogą przyjść, niech przyjdą! Ja się nie ulękne! Potrafię stać na straży ogniska zmarłych ojców!

Dźwignęła się z krzesła i uroczyście rękę podniosła do góry, jakby Najwyższego wzywała na świadka. Fala krwi zabarwiła jej blade policzki, źrenice sypały iskry, siwe włosy aureolą otoczyły głowę.

Jan Klaudjusz patrzył na nią ze szczerem uznaniem, usta zabłyśły mu uśmiechem dumy.

— Chwała niech będzie Panu! — wyrzekł wkońcu — nie skarłała nasza rodzina. Poznaję ciebie w tej przysiędze, Katarzyno. Ale teraz się uspokój, bo musimy pomówić o bardzo ważnych rzeczach. Przedewszystkiem, w jaki sposób mamy się bronić.

— Rozmaicie, każdy dobry, — uzbroimy się w siekiery, widły, kosy...

— I ja nie pogardzam niemi, ale przyznasz chyba, że najlepsze są strzelby i kule. To właśnie bieda, bo wprawdzie górale posiadają fuzje, ale rzadko który zdobywa się na proch, naboje.

— Masz słuszość — powiedziała kobieta. — Zaradzimy temu. Marek Diwe, przemytnik, ma ich z pewnością do zbytku. Koniecznie jutro musisz iść do niego. Powiesz, że Katarzyna Lefewr kupuje wszystek proch i wszystkie kule — za gotówkę. Że potrzebuję ich dużo. I niech się nie obawia o zapłatę: sprzedam ziemię, folwark, bydło, a dostanę pieniędzy.

— Piękny czyn spełniasz, Katarzyno.

— Piękny? — zapytała ze zdziwieniem. — Tylko obowiązek.

— Więc mam iść do Marka? — rzucił krótko.

— Koniecznie. Nie zapomnij także o ołowiu. Warto również odwiedzić okoliczne wioski i uprzedzić ludzi, na co się zanosí. Najlepiej byłoby obmyślić jakie umówione znaki na wypadek niespodziewanego wtargnięcia. Powinniśmy wtedy być razem.

— Już ja to załatwię. Bądź spokojna!

A teraz możecie sobie wyobrazić szczęście Ludki, kiedy ojciec oznajmił jej dobre nowiny o Kasprze. Biedaczka już od dwóch miesięcy żyła w ciągłej trwodze, w ciągłym niepokoju o ukochanego. Jan Klaudjusz nie miał odwagi zasępnąć rozjaśnionych oczu córki wiadomością o groźnej chmurze, co się ukazała nad spokojną wioską. Noc spędził bezsennie, zgryziony, — z izdebki na górze dochodził nieustanny odgłos otwieranych szuflad i pudełek, szelest papieru, szmer słów wymawianych z uniesieniem, wśród których imię Kaspra zjawiało się często, najczęściej. Czytała może dawne listy, przeglądała nieliczne pamiątki... i radowała się jak ptaszyna, co, zbита deszczem i cała jeszcze drżąca, wesołym świergotem wita pierwsze zwycięskie promienie słoneczne. Stary zasnął wreszcie nad ranem ciężkim snem.

A kiedy nazajutrz odryglował okiennice, ujrzał wszystkie góry i najbliższe szczyty pokryte grubą warstwą śniegu. Wierzchołki, wczoraj jeszcze srebrzące się mchami, i zbocza poro-

słe bujną zielonością zaległ biały, puszysty, miękki całun; jodły, sosny i szare, nagie drzewa otuliły się koronką szronu; a słońce zapalało w nich blaski tęczowe. Nieokreślony smutek przeniknął duszę Jana Klaudjusza na widok tej wielkiej zmiany, co nastąpiła ledwie w parę godzin. Może przyszło mu na myśl, że wróg mógłby nadciągnąć równie niespodzianie?

Westchnął ciężko. I w zwykłych czasach nastanie zimy nie usposabiało do wesołych myśli; bo w górach stokroć więcej, niż w dolinach, daje się ona we znaki, wiatr halny niejednokrotnie zawiewa wsie śniegiem i wtedy znajdują śmierć wszyscy mieszkańcy. Ogień dniem i nocą płonie na kominie, z dworu dochodzi żalosne ćwierkanie wróbli, co z nastroszonymi piórkami kryją się pod strzechę. Tylko wewnątrz chaty wygląda odświeżenie — pojaśniało od niepokalanie białej szaty ziemi.

Hullin wyciągnął z szafy saboty z podwójną podeszwą, wyściełane futrem, i na kaftan zarzucił ciepłą gunię. Na górze, w stancji pod dachem, ozwały się kroki Ludwiki.

— Ludka! — zawołał głośno — Ludka! ja wychodzę!

— Jakto, ojciec? i dziś jeszcze? — wykrzyknęła ze zdziwieniem.

— Muszę. Nie zdążyłem załatwić bardzo pilnej sprawy.

Wielki kapelusz góralski nacisnął na głowę i wszedł na schody, prowadzące do pokoju córki.

— Nie czekaj na mnie, moje dziecko, — rzekł — drogę mam daleką i zapewne powrócę późno. Pamiętaj, niepotrzebnie się nie obawiaj! Gdyby ktokolwiek chciał wiedzieć, dokąd wyruszyłem, powiedz, że niespodzianie wypadł mi interes do starego Mateusza do Sawernji.

— A śniadanie, ojciec?

— Wziąłem flaszkę wódki i kawał chleba do kieszeni, to wystarczy. Bądź mi zdrowa, dziecko!

Po krótkim namyśle skreślił w lewo, w stronę najbliższej doliny Bulo. Po kwadransie szybkiego marszu minął ją ukosem i wstąpił na ścieżynę, która krętym węzłem wije się wokoło Falkensztajnu. Posuwał się teraz wzdłuż szczątków niegdyś obronnego muru; zewsząd tu wiało zgnilizną i wilgocią, tu i ówdzie wychylały się kupy mokrych liści, igieł,

brudna woda spływała strumieniem po ścieżce. Wreszcie wysoki mur zagroził drogę, liczne uszkodzenia umożliwiły jednak dalszy pochód Hullinowi, — jak po drabinie przedostał się na drugą stronę. Za nim o dwa karabinowe strzały zostawała wioska. Zatrzymał na niej przelotne spojrzenie. Ruch już był na dobre: odmiatano śnieg z przed domów, gdzie-niegdzie na przyzbie czerniały nieliczne postacie starców z siwemi brodami, a siny dymek, unoszący się w czystym powietrzu, zdradzał, że palili fajki. Słońce wschodziło pogodnie.

Marek mieszkał po tamtej stronie Falkensztajnu, u stóp skały, z której ongi strzelały dumne mury zamku. Wyżłobił w niej z żoną rodzaj płytkiej jamy, zamykanej niskimi drzwiczkami, niezgrabnie skleconemi z belek i kawałków drzewa; nieco wyżej widać dwa krzywe otwory, zaklejone drobnymi szybami, noszące szumną nazwę okien. W okolicy oddawna krąży wieść tajemna, że wewnątrz jamy łączy się ze starożytnem obszernem podziemiem zapomocą nikomu nieznaney szczeliny. Żandarmi, strażnicy odbywają w niej drobiazgowę i częste rewizje, dotąd jednak nie natrafiono na najmniejszy ślad kryjówki. Jan Klaudjusz zna się z Markiem od dzieciństwa: razem wybierali niegdyś jaja z gniazd jastrzębiom, sowom, razem płatali figle i kochali się serdecznie. Drogi ich życia potem się rozeszły, ale spotykali się jeszcze czasem przy tartaku, podczas ulubionych wycieczek Hullina, który ciągle nie tracił nadziei, że potrafi dawnemu przyjacielowi obrzydzić dzisiejsze rzemiosło. Idąc, rozmyślał, jak też jego propozycję przyjmie Marek, i był prawie pewny zgody; starał się również odgadnąć, co postanowi żona jego, Bajzel, osoba mocno podejrzliwa i stanowcza.

Po dobrej godzinie uciążliwej drogi wstąpił na niebezpieczną ścieżynę, co się kończyła opodal stromym występem skalnym. Tuż za nim błysnęły dwa krzywe okienka i zmurzałe, nawpół uchylone drzwiczki, — przy progu leżała wielka, obrzydliwa kupa śmieci.

Po chwili wysunęła się na dwór kobieta i zaczęła je wygarniać do przepaści miotłą z zielonych janowców. Powierzchność jej dziwnie zgadzała się z panującym wokoło niechlujstwem i brudem: niska, chuda, rozczochrana; z zapadłych

głęboko policzków sterczy nos kościsty, wąskie, czerwone usta ukazują szereg zdrowych, białych zębów, oczy błyszczą niby dwa jarzące węgle. Okrywa ją krótka, zaplamiona obficie spódnica i koszula ze zgrzebnego płótna.

— Jak się masz, Bajzel? — odezwał się niespodziewanie Jan Klaudjusz. — Zawsześ zajęta, zawsze mocna i zdrowa, aż przyjemnie spojrzeć!

Kobieta odwróciła się ruchem łasicy.

— Hullin? Czegóż on chcieć może? — mruknęła szorstkim, wcale nie uprzejmym tonem.

— Przyszedłem do Marka — tłumaczył spokojnie stary żołnierz. — Mam ważny interes.

— Jaki?

— To już do ciebie nie należy. Pozwólże mi przejść nareszcie, bo się śpieszę.

— Mąż śpi — rzekła krótko.

— To go obudź! Nie mam czasu czekać.

I zmierzał do drzwi bez dalszych wyjaśnień. Próg przestąpił skurczony we dwoje i znalazł się w wilgotnej, ciemnej jamie, ograniczonej sklepieniem ze skały, pooranem w dziwaczne fałdy i szczeliny.

— Czy to ty, Hullinie? — zabrzmiał donośny głos w sąsiedniej norze.

— Ja, Marku.

— Zaraz wyjdę, poczekaj!

Zaszeleściła słoma, odpadła drewniana zasuwka i przez drzwi wyrzwał ogromny, barczysty mężczyzna, trochę przygarbiony, o bujnych ciemnych włosach i ogorzałej cerze. Ziewnął szeroko raz, drugi, potem wyprężył ramiona, chcąc się pozbyć resztek snu — i wyszedł nareszcie do kuchni.

Na pierwszy rzut oka wydaje się zwykłym, spokojnym człowiekiem, tak przynajmniej zdaje się o tem świadczyć niskie czoło, krótkie, wtył odgarnięte włosy, nos prosty i długi, a przedewszystkiem łagodny wyraz czarnych oczu. A jednak to o nim przecież chodzą trwożne wieści po dolinach, — że jeżeli zdarzy mu się podczas nocnych wypraw spotkać przypadkiem strażnika, bez najmniejszego skrupułu posługuje się siekierą, karabinem, nie pogardza żadnym środkiem obrony.

Jemu również przypisują tajemnicze zniknięcie skarbnika, co przejeżdżał kiedyś przez te lasy; przeciwko niemu istnieją coraz liczniejsze poszlaki — ale dowodów dotąd nie zdołano zebrać. Przemysłnik zna wszystkie okoliczne i najdalsze drogi, wszystkie trudne, niedostępne przejścia i niewiadome nikomu przesmyki, — w razie jakiego podejrzanego wypadku potrafi zawsze dowieść bytności swojej o kilkanaście mil od miejsca napadu, czy zbrodni.

— Jak się masz, Hullinie — zawołał wesoło. — Bajzel! Podajże mu stołek!

Sam usiadł na kamieniu plecami do ognia i wzrok uważny obrócił na wąską ścieżkę, przeglądającą przez drzwi uchylone.

— Czy mogę na osobności rozmówić się z tobą? — zapytał Jan Klaudjusz po krótkim wahaniu.

— Ja i żona nie mamy sekretów. Mów spokojnie!

— A więc... przychodzę zakupić od ciebie wszystek proch i kule—wyrzucił jednym tchem, śledząc uważnie twarz Marka.

— Czy myślisz zapolować na zające? — zauważył przemysłnik, mrużąc oczy.

— Nie. Będziemy bić się z Rosjanami i z Niemcami.

Nastało milczenie.

— Dużo ci potrzeba?

— Ile tylko będziesz mógł dostarczyć.

— Dzisiaj nie mam więcej, jak za 3000 franków ¹⁾.

— Biorę.

— A za tydzień postaram się o drugie tyle — rzekł dobitnie.

— Biorę.

— Bierzesz! — zawołała Bajzel ze źle ukrytym przekąsem. — Ale kto zapłaci?

— Cicho, stara, — ozwał się mąż gniewnie. — Wystarcza mi słowo Hullina.

¹⁾ Frank — moneta francuska, równa mniej — więcej złotemu polskiemu.

— Oto moja ręka — mówił dalej, zwracając się do dawnego przyjaciela. — Sprzedam ci, czego żądasz, ale pamiętaj, że i ja chcę mieć udział w t a m t e m. Czy rozumiesz?

— Dziękuję ci, Marku. Chciałbym zapłacić zaraz.

— Zaraz! Słyszysz? — mruknęła kobieta.

— Jeszcze nie ogłuchłem. Bajzel! Idź-no lepiej, wygrzeb tam z jakiego kąta wódki. Zapijmy skończony interes. Ucieszyłeś mnie szczerze, Hullinie. Nie pójdzie „cesarskim“ tak łatwo, jak myślałem. W dolinach chcą się bronić?

— Nie na żarty.

— Ale skąd weźmiesz pieniądze na kule?

— Katarzyna Lefewr płaci wszystko, ona mię tutaj przysłała — objaśniał wzruszonym głosem Jan Klaudjusz.

— Katarzyna? — powtórzył przemytnik przeciągle. — To jest kobieta!... Kobieta... nie znam takiej drugiej! Wypijmy jej zdrowie, Hullinie!

Spełnili kolejkę w milczeniu.

— Zaczynacie trudną, niebezpieczną sprawę — ciągnął Marek ciszej— powinniście z gór ściągnąć wszystkich drwali, oderwać wszystkich ludzi od tartaku, nie gardzić żadną pomocą, choćby kłusowników, przyjmować w szeregi obrońców każdego chętnego... Byłem niedawno za Renem... Tuż nad granicą stoją Austriacy, kozacy, huzarzy, Niemcy, Bawarowie, Włosi i licho wie jakie tam jeszcze narody, ziemia od nich czarna. Nie pomieściły ich wsie ani miasta, więc obozują w dolinach, na łąkach, w górach, wszędzie, wszędzie.

— Ale damy sobie radę, byle tylko każdy przyłożył rękę do obrony. Zapal mi latarkę — rzucił rozkaz żonie — pokażę zapasy prochu Hullinowi.

— Od lat dwudziestu nie prowadziłeś nikogo do „składu“— zachnęła się gniewnie kobieta.—I ten mógłby uwierzyć na słowo! Czyś dostał pieniądze? Obietnica za obietnicę! Nie dam ci latarni!

Marek powstał spokojnie, zbliżył się spokojnie do kąta, w którym leżało przygotowane do palenia drzewo, i wyciągnął ze stosu najgrubsze polano. Stara ruchy jego śledziła ukradkiem, potem się porwała z ziemi jak szalona i znikła w ciemnem wnętrzu drugiej nory. Nie przeszło pół

minuty, kiedy już była z powrotem. W ręku niosła ślepa rogową latarkę... Marek Diwe zapalił ją przy ogniu.

— A teraz zapamiętaj, Bajzel, raz na zawsze — wyrzekł twardo, kładąc kij na dawnym miejscu, — że Hullin był kiedyś najlepszym moim przyjacielem, wtedy jeszcze, gdy sam wiodłem inne życie. Wiedz, że sto razy więcej mu ufam, niż tobie, bo dawnobym już wisiał, gdybyś się nie bała, że los mój podzielisz chcący czy nie chcący. Chodź, Hullinie!

Wyszli zwolna. Przemysłnik skierował się zaraz na lewo, w stronę owego skalnego występu, co nad przepaścią wisiał wielkim, wydłużonym na dwieście stóp szpicem. Na samym skraju rósł dąb, okryty jeszcze nielicznymi liśćmi. Marek przystanął, rozejrzał się wkoło podejrzliwym wzrokiem, prędko rozchylił gałęzie i znikł nagle, jakby się pod ziemię zapadł. Jan Klaudjusz zadrżał, przejęty mimowolnym lękiem. Dopiero po chwili ujrzał głowę Marka, niby wciśniętą między skały.

— Wyciągnij rękę w lewo — zabrzmiał szept Marka — i chwyć za wgłębienie! Potem śmiało wysuń nogę, natrafisz na stopień, a wtedy obróć się na pięcie!

Hullin wykonał przepis z zapartym oddechem, rękę oparł na skale, znalazł stopień, zrobił rozpaczliwe pół obrotu i znalazł się tuż obok przewodnika, w sklepionej, owalnej wnęce. Trochę dalej otwierał się rodzaj niskiej podziemnej galerji.

— Jakimże sposobem odkryłeś to schronienie?—zapytał zdumiony Jan Klaudjusz.

— Stara historia. Krótko mówiąc, przy podbieraniu gniazd ptasich, przeszło trzydzieści pięć lat temu—odparł niechętnie Marek.

Jan Klaudjusz wślizgnął się za przewodnikiem w wąską, krwistym kamieniem wyłożoną czeluść i pograżyli się w ciemną galerję, do której w najjaśniejsze dni nawet nie przenikały słoneczne promienie.

Nie uszli trzydziestu kroków, kiedy rozwidniło się nagle i zdumionym oczom Hullina ukazał się loch obszerny, oświetlony górnem światłem, — w sklepieniu znajdowała się widać szczelina. Pod ścianą stały rzędami beczułki, napętnione prochem, ocenił je wprawnym wzrokiem na pięćdzie-

siąt; z boku leżały ciężkie ołowiane sztaby, dalej worki tytoniu, przenikające powietrze ostrą, charakterystyczną wonią.

Marek ostrożnie postawił latarkę w skalnej szyi i spojrzął na towarzysza z dziwnym błyskiem w oczach.

— Oto co odkryłem przed laty—objaśnił tępym głosem. Loch był pusty i tylko w kącie białł szkielet lisa, co pewnie zdechł tu niegdyś ze starości. Spokojne legowisko wynalazł niecnota! Miałem wtedy rok trzynasty... a odrazu przyszło mi do głowy, że kryjówka ta będzie dla mnie bardzo pożyteczna. Nie wiedziałem tylko jeszcze, na co... Później, kiedy poznałem się z Kubą i zacząłem przekradać się przez pas graniczny do Szwajcarii, kiedy nas przez dwie zimy prześladowali zajadle strażnicy, pomyślałem o tem niedostępnem, nieznanem schronieniu. Jakoś w tym samym czasie zaznajomiłem się z Bajzel, służyła wtedy w Dąbrowie, — pamiętasz, u ojca pani Katarzyny? Ożeniłem się, wziąłem w posagu sto franków i osiedliliśmy się tutaj.

— I nie przykrzy ci się takie życie, Marku? — zapytał nieśmiało.

— Takie życie?—powtórzył zgorszony.— Ależ nie zamieniłbym się na dwa tysiące rocznego dochodu i najpiękniejszy choćby dom w Strasburgu! Czy dwadzieścia trzy lata przyzwyczajenia nic nie znaczy? Bo od tylu lat właśnie składam tu swoje towary: cukier, kawę, tytuń, proch i wódkę.

— Nigdy nie wpadną na ślad tej kryjówki — ciągnął Marek podniecony.

— Wierzę—pomyślał Hullin, czując dreszcz mimowolny na wspomnienie zawrotnego przejścia. — Czy nie odstręcza cię niebezpieczeństwo? — odezwał się głośno.

— Z początku pot mi ciało oblewał ze strachu, kiedy musiałem wchodzić objuczony. Teraz nie doznaję najmniejszego lęku.

— A gdyby ci się pośliznęła noga?

— No, więc byłby koniec — odparł z zimną krwią przemysłnik. — Wolę roztrzaskać sobie łeb o skały, niż całe lata stękać na sienniku.

Powoli wzniósł latarnię w górę.

— To najlepszy proch angielski—mówił dalej, wskazując na rzędy beczulek, — połóż na rękę — wygląda niby ziarnka srebra. I nie trzeba go dużo: wystarczy tyle, co małutki naparsteczek. Tam leży czysty ołów, bez domieszek cyny; dziś Bajzel będzie lała kule, sam się przekonasz, do jakiej doszła wprawę.

Prędko minęli kurytarz, i blask dnia, co rozbłysnął nagle, tak olśnił Jana Klaudjusza, że gdyby nie spokój i przytomność Marka, idącego przodem, byłby się zachwiał i kto wie, czy nie runąłby w przepaść, oszołomiony niespodziewanym zawrotem głowy.

Uprowadził go do najgłębszego kąta wnęki i odpoczywali długą chwilę.

— A teraz naśladowaj mnie we wszystkim — powiedział przemytnik. — Oprzyj się mocno nogami, prawą ręką chwyć za szczerbę, prawą nogą stań na schodku, pół obrotu — i jesteśmy przy dębie, na pewniejszym gruncie.

Po powrocie Marek rzekł do żony:

— Uważaj, co powiem: od dziś, od zaraz, masz zacząć lać kule wszystkich używanych tu u nas kalibrów. Ja się wybieram do Szwajcarii. Za tydzień powinnaś odebrać nowy transport broni... Teraz dawaj buty!

Wciągnął je prędko na nogi, owinał koło szyi kraciastą czerwoną chusteczkę, na ramiona zarzucił opończę, zielonej zgniłej barwy, jakiej w górach używają najczęściej pastuchy, nadział obdarty kapelusz na rozczochrane włosy, w rękę ujął grubą, żelazem okutą pałkę — i stanął gotowy do drogi.

— Wykonaj, co kazałem, Bajzel, albo popamiętasz! — pożegnał na odchodnem starą wiedźmę.— Ruszajmy, Hullinie!

Puścili się śpiesznym krokiem, rozgniewana kobieta nie raczyła nawet się odwrócić. Dwaj mężczyźni szli razem aż do podnóża najniższego szczytu.

— Idziesz w góry, Hullinie?—spytał Marek krótko.

— Tak. To najważniejsze. Muszę uprzedzić o najeździe drwali, węglarzy, okoliczne wioski; niechże ich to nie zaskoczy.

— Więc nie zapomnij o starym Hengście i dwóch jego synach, o Mateuszu, Jakóbie z Potoka, o Józefie. Powiedz im,

że to ja dostarczam prochu i będę bić się razem z wami... Czy powtórzysz? — naglił dziwnym tonem.

— Bądź spokojny!

— Do zobaczenia zatem!

Podali sobie ręce.

Przemytnik wykręcił na prawo, ku siniejącemu szczytowi Dononu, Hullin udał się w lewo, wzdłuż łożyska Sarry.

Nagle zatrzymał się i pogończył za Markiem donośnym wołaniem:

— Słówek jeszcze — krzyknął, przykładając do ust dłoń, zwinęta na trąbkę, — hej, Marku! Wstąp do Katarzyny i powiedz, że wszystko dobrze, że zrobię tak, jak się umówili.

Marek skinął głową i obaj pośpieszyli ze zdwojoną szybkością.

ROZDZIAŁ IV.

We wszystkich górskich wioskach panował od jakiegoś czasu ruch niezwykły, wszędzie już zaczynały krążyć głuche wieści o niedalekiem a ogromnem najściu wrogów, przedostawały się nawet do chat samotnych, zaszytych po lasach, do najniebezpieczniejszych, najdalszych lepianek. Druciarczyki, żebracy, wędrowni kramarze, bezustannie włóczący się po okolicy, codzień przynosili z nad Renu dziwne, niepodobne do wiary nowiny. Opowiadali, że miasta szykują się nagwałt do obrony i zaopatrują się w zapasy mąki, mięsa, zboża, — że wszystkie drogi z Metz, Strasburga, Nansy zapełniły konwoje z żywnością i bronią. Gdzie okiem sięgnąć — posuwają się jaszczyki z prochem, przewożą naboje, granaty, — ściągają zewsząd piechotę, artylerję i konnicę. Sam marszałek stoi z dwunastoma tysiącami ludzi na gościńcu, prowadzącym do Sawernji, fortece ogłoszono w stanie oblężenia, zwodzone mosty podnoszą o 7-ej godzinie wieczorem i dostęp zamknięty do rana.

Naturalnie, że owe przygotowania nie mogły zwiastować nic bardzo dobrego, — najto zgadzali się wszyscy; ale choć ten i ów uczuwał trwogę w obliczu nadchodzącej wojny, choć kobiety z płaczem do nieba wyciągały ręce, większość zaczynała poważnie myśleć o obronie, zbrojono się pocichu, ukradkiem, w milczeniu.

Nic dziwnego, że w takich okolicznościach z radością wszędzie przyjęto Hullina.

Zaczynało się ściemniać, kiedy dotarł do leśnej chaty Hengstów, najlepszych myśliwych z okolicznych górali. Przenocował u nich, bo drogi górskie są bardzo niebezpieczne i nie można chodzić niemi poomacku, jak w dolinach. Stary strzelec już wiedział o wszystkim, przyrzekł z synami — Kasprem i Franciszkiem — bacznie strzec najbliższych wąwozów i odpowiedzieć umówionym znakiem na sygnał, dany w stanowczej chwili z Falkensztajnu.

Teraz pośpieszył do Jakóba, drwała. Cały dzień razem obchodzili wioski i przypominali rodakom o prawdziwej miłości ojczyzny, zagrzewali wszędzie do obrony. I tutaj nie zbrakło chętnych, — jak jeden mąż stanęli mężczyźni.

Jakób towarzyszył jeszcze Hullinowi do Daniela Hirsza, co niegdyś był puszkarzem na okręcie, — tu ich powitano serdecznie. Hirsz obiecał nawet zawiadomić całą gminę osobiście.

I tak Jan Klaudjusz apostołował przez tydzień po górach, zdeptał szczyty, aż puścił się w powrotną drogę.

Szedł prędko, żołnierskim, równym krokiem, dumając o dawnym obozowym życiu, utrudzających pochodach i gorących bitwach, po których zachował niezatarte wspomnienie, — gdy nagle woddali, w sinych przedwieczornych zmierzchach zamajaczyła cicha, znana wioska... w pióropuszech przejrystego dymu, pełna drzew starych, огоłoconych z liści, srebrząca się mchami gontów. Z boku, z lewej strony i na zboczu góry, czerniały zabudowania folwarku Dąbrowy; w głębi widniał tartak, nawpół ukryty w ciemnej czeluści wąwozu; najbliżej odcinał się mały domek na tle białej chmury.

Uczuł nagle ogromny, niewytłumaczony smutek.

W kwadrans później przedzierał się przez ostrokrzewy wąską, zarosłą, oddawna nieuczęszczaną ścieżyną, co wiodła prawie przed drzwi jego chaty.

I sztywnym krokiem wszedł do izby.

— Oto wróciłem, Ludko — wyrzekł nieswoim głosem, zwolna.

Dziewczyna drgnęła i podbiegła z radosnym okrzykiem.

— Nareszcie jesteś, ojczel! — przemówiła serdecznie. — Oczekiwałam ciebie z takim upragnieniem, dni tak się dłużyły... Nareszcie!

— Widzisz, dziecko, — zaczął niepewnym tonem, kładąc kapelusz na stole i kij umieszczając w zwykłym miejscu, w kącie, — widzisz...

Ale słowa nie chciały przechodzić przez gardło.

— Nie tłumacz się, ojczulku, — przerwała domyślnie — ja wiem, dlaczego nie było ciebie tyle czasu, wiem wszystko, pani Lefewr wszystko mi opowiedziała.

— Jako? wszystko? — podchwycił Hullin ze zdumieniem. — I ty mówisz to z takim spokojem? Chwała Bogu, dziecko, zdjęłaś mi ogromny ciężar z piersi: myślałem, że będziesz płakała, a tymczasem...

— Zobaczysz, jaka ja będę odważna. Nie znałeś widać dotąd, ojczel, swojej córki!

Spojrzała mu w oczy z poważnym uśmiechem.

— Pójdziemy na wojnę... będziemy się bili... będziemy bronili naszych gór kochanych.

Przyciągnął ją do siebie i przygarnął ciepłym objęciem.

— Dwanaście lat mija w tym roku, jakem cię znalazł napół zmarzniętą w śniegu — odezwał się pieszczotliwie, gładząc jej złote włosy. — Przyniosłem cię tutaj, położyłem na łóżku przy ogniu i ogrzewałem, póki z sinej nie zrobiłaś się biała, potem otworzyłaś oczy i uśmiechnęłaś się słodko. Podbiłaś mnie tym uśmiechem, — odtąd wszystkie twoje zachcianki były dla mnie wolą i wiem, że zawsze postawisz na swoim. Trudno, nie mogę znieść łez twoich, moje dziecko — dokończył z niezwykłym wzruszeniem.

Ucałowali się serdecznie.

— Pewnie zapomniałaś o wieczerzy? — zagadnął ojciec dziewczynę.

— Wmieg się zakrzątne, zobaczysz, ojczulku. Nie wiedziałam przecie, że dziś wrócisz — broniło się dziewczę.

— I to racja. Przygotuj tam cokolwiek, tylko prędko, bom porządnie głodny. Wypalę tymczasem fajkę.

— Dobrze.

Usiadł na brzegu zydlu i powoli zaczął krzesać ognia. Ludka z pośpiechem dorzuciła drew do komina, wybijała jajka, kręciła się po izbie, niby pracowita pszczołka, zręcznie, żwawo, z dziwnem jakimś światłem w oczach. Hullin pykał z fajki, o stół się wspierając łokciem, i cały pogrążył się w myślach, od czasu do czasu bezwiednie i trochę jakby mimowoli wilgotnem spojrzeniem obejmował Ludkę, a twarz mu rozjaśniał zaraz uśmiech dumy. Nie przeczuwał w niej dotąd tyle stanowczości i odwagi, tyle świętego zapału; wątle to i delikatne, niby mgiełka, a postępuje jak dorosły mężczyzna. Skąd się to bierze w dziewczynie? A zwija się, że i najwprawniejsza gospodyni nie potrafi lepiej. Przygotowała chleb, już i jajecznicę na półmisku.

— Wszystko gotowe, ojcze, — oznajmia, stawiając przed nim dymiącą potrawę.

Przysunęła sobie stołek i przypatruje mu się teraz przeciągle, z uwagą. Cisza. Słyszać tylko jednostajny szmer płonących polan, czerwony blask ognia układa się w długie smugi na podłodze, oświeca pułap, poczerniałe belki, wślizguje się przez uchylone drzwi do alkowy.

Ludka nie czuje w sobie żadnej trwogi, ani nawet żalu za spokojnem życiem; ogarnia ją niezwykajne, dziwne pragnienie bohaterskich czynów, chęć znoszenia uciążliwych trudów wojny... Jej dni staną się podobne do dni Kaspra...

Nagle z zamyślenia wyrwał ją głos ojca. Drgnęła.

— Strasznie znużony jestem, moje dziecko — rzekł, ociężale dźwigając się z ławy. — Zaraz spać idę, dobranoc!

Hullin powoli zaczął się rozbierać. Wtem wzrok jego niechcący padł na karabin, wiszący na ścianie. Oczy mu zabłyśły. Zdjął broń ostrożnie, starł kurz rękawem, odwiódł zamek, próbował cygnąć...

— W porządku wszystko—odezwał się z zadowoleniem.

— Dziwnie się czasem dzieje—ciągnął półgłosem dalej.— Ostatni raz służył mi pod Marengo ¹⁾ — będzie temu pewnie lat czternaście. A mnie się widzi, jakby to było wczoraj.

Za oknem śnieg zaskrzypiał, ozwały się czyjeś przyspieszone kroki, — Jan Klaudjusz wstrząsnął się cały pod wrażeniem nagłej, nowej myśli, wstrzymał oddech i jął nasłuchiwać bacznie.

Ktoś się zbliża. Teraz zabrzęczały cicho szyby stłumionem, dwukrotnem stukaniem. Stary otworzył okno drżącemi rękami. Z ciemności wyjrzała głowa mężczyzny w wielkim, na czoło naciśniętym kapeluszu, zmarznięta, oszroniona. Padł na nią blask kominka i Hullin poznał niespokojną twarz Marka.

— Jakież nowiny, Marku? — rzucił krótko.

— Czyś uprzedził górali? Byłeś u Mateusza, Józefa, u Hengstów?

— U wszystkich.

— Czas już największy. Tamci już przeszli granicę.

— Już przeszli? — powtórzył zmienionym głosem Jan Klaudjusz,

— Na całej linii. Piętnaście mil brnąłem po śniegu, żeby o tem donieść.

— Więc trzeba zapalić sygnały — wyrzekł Hullin z mocą. Ogień na szczycie Falkensztajnu. I niechaj Bóg będzie z nami!

Przeżegnał się z pobladałą twarzą, w oczach rozbłysnął mu gorący płomień. Włożył kożuch, zabrał kij jarzębinowy i bez szmeru prawie wysunął się na dwór.

Nie wyszło i dwóch pacierzy, a na białej od śniegu, stromej ścieżce zaczerniały dwie postacie ludzkie.

ROZDZIAŁ V.

O północy oblała niebo krwawa luna, a szczyt Falkensztajnu gorzał wielkim ogniem, co słał czerwone kosmyki w ciemność, niby złota gwiazda i triumfował zwycięsko nad

¹⁾ Miejscowość, gdzie zaszła bitwa za Napoleona w roku 1800.

nocą, bo uczyniło się jasno, jak we dnie, aż zbudziły się okoliczne wioski...

Zrywali się ze snu górale, naciągali z pośpiechem kamasze, chwyтали karabiny, strzelby, szable i zagłębiali się w milczeniu w lasy, w niedostępne, zarosłe wąwozy, — we wszystkich mózgach była myśl o wrogu, co się ośmielił najechać spokojne równiny Alzacji. Nad ranem góry rozbrzmiały echem dzwonów, bijących na trwogę we wszystkich kościołach po miastach i wsiach okolicznych, uroczystym dźwiękiem wzywając do obrony wszystkich silnych, zdrowych, wiernych.

Około szóstej światło z Falkensztajnu zbladło, a doliny i góry zaczęła powlekać szafirowa barwa świtu. Ogromny wąwóz u stóp Jegertalu tonął cały w śnieżnych zaspach, odślaniając się powoli ze zmierzchów kończącej się nocy.

Zamajaczyły najpierw szare pnie starych, rozłożystych buków, potem jeszcze nawpół rozwalony szałas, z którego wydobywały się żółtawe błyski ognia i nikły w blaskach coraz wspanialszego świtu. Przy ogniu migwały czapki, kapelusze i ostre profile górali, siedzących wkoło długim, ścięśnionym łańcuchem.

Było coraz widniej i mróz łagodniał zwolna, jakby przeczuwając zbliżanie się słońca. Z mgły wyglądały liczne ognie na całej przestrzeni doliny, na wszystkich zakrętach pełzały złotawe płomyki i ciemniały gromadki uzbrojonych mężczyzn, wylekniionych kobiet, skulonych, siedzących na śniegu.

Niebo szarzało ciągle, a w miarę znikających mroków znikało także podniecenie, niepokój, niepewność. Ludzie się przybliżali, gawędzili, szukali znajomych.

— Patrzcie! stary Daniel! I wyście przyszli?

— A co lepszego mogłem zrobić, Mateuszu? Żonę nawet wziąłem z sobą.

— Co? Joannę? Przecie nie widać jej tutaj.

— Siedzi pod tamtym dębem, z wujem Hansem — objaśnił wesoło stary.

Ściskano się za ręce. Inni przyrzucali gałęzi na ogień, rozgrzewali się wódką, ziewali, „zabijali“ zziębłe ręce i ustępowali potem miejsca jeszcze innym, bardziej zmarzniętym, czy świeżo przybyłym.

— Czas się naradzić i coś postanowić! — zawołał ktoś z gromady.

— Tak! Tak! Naradzić się! Wodzów chcemy obrać! — rozległo się zewsząd.

— Nie wszyscy się jeszcze zebrali—tłumaczył stary Daniel niecierpliwym.—Przyjdą przecież z Dagsburga, z Dąbrowy. Spójrzcie tylko!

I wskazał ręką na góry, na których sznurami czerniły się postacie ludzkie, — ze wszystkich stron licznie nadciągali chętni: węglarze, drwale, flisacy, setki obrońców zstępowały w obszerną dolinę, parobcy prowadzili małe wózki, naładowane żywnością, za nimi szły kobiety, dzieci.

Dziwnie uroczyście i świątecznie wyglądał ten wąwóz, wypełniający się powoli ludźmi, otulony cały w puchy śniegu, obramowany majestatycznymi szeregami jodeł, pnących się po stromem zboczu, aż pod szczyty, usiany ciemnymi czeluściami pomniejszych jarów, co rozbiegają się na prawo, w lewo, wszędzie... A nad wąwozem królują nagie skały Falkensztajnu, na czystem niebie rysują się posępne ruiny zamczyska.

Twarze górali, zahartowane na trudy i mrozy, brodate, pełne stanowczości, głowy doskonale osadzone na silnych ramionach, żyłaste ręce, oczy błyszczące zaciętością i zapałem — czuć było, że ci ludzie potrafią się bronić, że postanowili drogo sprzedać wolność. Niektórzy, znacznie wyżsi, o rudych włosach i o białej cerze, obrośnięci wielce obfitym zarostem, rośli, silni, zdolni wyrwać z korzeniami drzewa, przybyli zdaleka, z gór najdzikszych. Do nich należy stary Hengst z synami: Franciszkiem i Kasprem. Wszyscy trzej uzbrojeni w pyszne, krótkie karabinki, odziani w kamasze z błękitnego płótna, zapięte na błyszczące mosiężne guziki i okrywające nogi za kolana, w ciepłe opończe z koziej skóry, w kapeluszach odrzuconych prawie na tył głowy, — tędzy, zdrowi, nie raczą nawet zbliżyć się do ognia.

Wtem z pomiędzy jodeł na zakręcie ukazała się bryczka Katarzyny, a z tysiąca piersi wyrwało się radosne wołanie:

— Jadą! Już jadą!

Stary Mateusz powstał z pnia powoli, na twarzy jego odmalowało się silne wzruszenie.

— Tak, to oni — szepnął uroczystym głosem.

Tłumy się rozkołysały i poczęły płynąć w kierunku jadących; długi, przeciągły dreszcz przebiegł wszystkie ciała i uczuli wszyscy, że oto zbliża się chwila wielka, święta, niecofniona. Widać już doskonale siwą głowę Katarzyny z biczem w rękę, zarumienioną twarzyczkę Ludwika.

— Niech żyje pani Katarzyna! Niech żyje Francja! — zerwał się nagle zewsząd okrzyk potężny i powtórzyły mu na odzew góry...

Za bryczką postępował sprężystym krokiem Jan Klau-djusz z karabinem, w pełnem uzbrojeniu i serdecznie się witał ze wszystkimi.

— Jak się macie, Danielu! To wy, Mateuszu? Bywajcie! Bywajcie!

— Będzie ciepło, co, stary? — zaczął go jeden z przyjaciół.

— Kto wie, może od owego gorąca kasztany w zimie zakwitną—zaśmiał się domyślnie Hullin. — I wy już jesteście, Józefie? Na wielką rzecz się porywamy, prawda?

— I ciężką. Ale wierzę, że nam się powiedzie z pomocą bożą.

Bryczka stanęła właśnie przed tartakiem, Katarzyna zsunęła się prędko na ziemię i zaraz się zwróciła do otaczających z prośbą o wydobyć z pod siedzenia beczułki z wódką.

Jan Klau-djusz tymczasem witał się przyjaźnie z Hengstem i jego synami.

— Czemu tak późno? — pytał stary strzelec.

— Nie mogliśmy wcześniej. Toż trzeba było pójść na Falkensztajn i wrócić, zabrać karabin, spakować kobiety. Teraz zato nie powinniśmy już tracić czasu. Zadmiń w swój róg, Lagarmitte, niechaj się przysuną wszyscy! Musimy się naradzić, mianować przywódców.

Za chwilę rozbrzmiewał przenikliwy głos piszczałki, gromadziły się tłumy, z wszystkich stron wąwozu ciągnięto z pośpiechem, — przed tartakiem szumiało wkrótce morze głów ludzkich: blade twarze kobiet, zmienione wzruszeniem

i dumne, spokojne czoła mężczyzn, ogarniętych żądzą czynu, pragnieniem obrony.

Hullin wstał na wielką kłodę z niezwykłą powagą i powiódł wilgotnem okiem po stojących.

Uczyniła się uroczysta cisza.

— Bracia! Wróg już Ren przeszedł przedwczoraj wieczorem. Wiemy, że się śpiesznym marszem posuwa przez góry,—wkroczyć chce do Lotaryngji. Strasburg już jest obleżony. Za trzy dni należy nam się spodziewać kozaków i Niemców.

— Niech żyje Francja! —wybuchło gorące wołanie. Odkryły się wszystkie głowy.

— Niech żyje Francja! — powtórzył z mocą Jan Klau-dusz. — Bo, pamiętajcie, że jeśli się sprzymierzeni przedrą do Paryża, to odrazu staną się panami kraju! Spróbujcie tylko puścić tę szarańczę!

Głuchy pomruk poszedł poprzez tłumy, potem zaległo milczenie jeszcze uroczystsze.

— Zebraliśmy się tutaj, żeby bronić kraju, żeby bić się z wrogiem, jakśmy postanowili przed tygodniem. Rozumiecie, że to święty obowiązek? — pytał Hullin zdławionym ze wzruszenia głosem.

— Bić! Bić się chcemy! — zaszemrało groźnie.

— Namyślcie się dobrze! Są pomiędzy wami ojcowie, żywicieli licznych rodzin,—wrogów płyną chmury,—na każdego z naszych wypadnie dziesięciu, stu może,—kto wie, czy wielu nie czeka śmierć pewna,—na wszystko musimy być przygotowani... Jeśli więc są pomiędzy nami tacy, którym to dotąd nie przyszło do głowy, którzy się nie czują na siłach dotrwać do najsmutniejszego choćby końca, — jeśli są tacy, niechaj odejdą w spokoju. Na obrońców potrzeba ludzi, których przywiodła tutaj dobra wola, nie namowy. Do innych nie będziemy chować żalu.

Umilkł i wymownem, głębokiem spojrzeniem ogarnął szeregi zasłuchanych mężczyzn. Nikt się nawet nie poruszył.

— Więc wszyscy, doprawdy wszyscy pragniecie tej walki? — przemówił donośnie, gromko i twarz mu się rozjaśniła ogromną radością.—Nikt się nie cofa? Chwała niech będzie Bogu! Dzięki wam, bracia, w imieniu ojczyzny! — A teraz

przystąpić trzeba do obioru wodza. W niebezpieczeństwie najważniejszą rzeczą jest karność i posłuch, — jam dawny żołnierz, z doświadczenia mówię. Raz obranego wodza musimy wszyscy słuchać ślepo, — od tego zależy pomyślność obrony. Radźcie, a mądrze — i pamiętajcie, że w ręku przysłego naczelnika nasze losy.

Z pnia zeszedł i wmieszał się w tłumy, — gorączka ogarnęła wszystkich. Ludzie podzielili się na wsie, na gminy — i każda obradować pragnęła osobno, każda proponowała swego kandydata, każdy burmistrz chciał mieć ostateczne zdanie. Godziny upływały na sporach i bezowocnych, nudnych mowach, — Katarzyna Lefewr, niespokojna, z krwistemi wypiekami na chudych policzkach, z trudnością hamowała wzrastające rozdrażnienie. Powstała wkońcu i znak dała niecierpliwym ruchem ręki, że chce mówić.

Doświadczona, rozumna [kobieta zdawna już zażywała szacunku u ludzi, ceniono jej zdanie, uwielbiano prawość, więc też otoczyło ją zaraz wielkie koło pragnących usłyszeć, co powie.

— Czas marnujemy, przyjaciele — odezwała się z niezwykłą stanowczością. — Każda chwila nam droga, a już tyle ich minęło bezpowrotnie. Czegóż nam potrzeba? Człowieka nieskazitelnego, żołnierza, co niejedną odbył wojnę i najlepiej potrafi wyzyskać nasze niedostępne góry, prawda? Więc możebyśmy obrali Hullina? On się zna dobrze na wojskowych sprawach. Ja z czystym sumieniem stawiam kandydaturę Jana Klaudjusza. Naradźcie się i postanówcie zaraz, koniecznie zaraz, jak najprędzej — wszyscy. Jeżeli dalej tak pójdzie, jak dotąd, Austyrjac nadciągną, zanim zamianujecie wodza.

— Hullin! Hullina chcemy! — zaczęli wołać najbliżej stojący, — za tymi powtórzyli dalsi, jeszcze inni, aż cały wąwóz zawtórował jednogłośnie echem.

— Głosować! Głosować! — niecierpliwili się gorętsi.

Marek skoczył na pień ściętego buku i usiłował przekrzyć wołanie.

— Niech podniosą rękę przeciwni obiorowi Jana Klaudjusza! — przedarło się wreszcie wołanie przez dolinę od końca do końca.

Milczenie.

— Niech podniosą rękę ci, którzy go chcą za wodza! — zawołał Marek donośniej jeszcze.

Tysiące rąk pobiegło w górę.

— Ciebie wybrano, Hullinie — wzruszonym głosem rzekł przemytnik.

Stary żołnierz objął twarz zgromadzonych przenikliwym, badawczym spojrzeniem i pobrał nagle, słowa mu uwieźły w gardle... Ale opanował prędko wzruszenie.

— Więc wszyscy chcecie? — przemówił spokojnie, choć z mocą.—Dobrze, ja przyjmuję. I przystąpimy bez zwłoki do koniecznych przygotowań. Pieret, Labarb, Józef, Marek, Katarzyna i Mateusz przejdą ze mną do tartaku na radę. Za kwadrans wydam rozkazy,—tymczasem wyznaczcie po dwóch ludzi z każdej wioski, ci udadzą się na Falkensztajn z Markiem po prochy i kule.

ROZDZIAŁ VI.

Wymienieni przez Jana Klaudjusza skierowali się pośpiesznie do szałasu i zasiedli półkołem tuż przy okapie wielkiego komina; podniecenie i radość błyszczały im w oczach. Zaplanowała krótka cisza.

Hullin powstał.

— Towarzysze — wyrzekł uroczyście — znacie kraj cały i znacie doskonale góry. Wiemy także wszyscy, że Wogezy i Alzację przecinają dwie cesarskie drogi. Obie rozpoczynają się aż w Bazylei. Jedna biegnie wzdłuż Renu do stołecznego Strasburga i przechodzi do Lotaryngji po zboczach Sawernji. Broni ją kilka fortec z Falsburgiem na czele. Druga skręca w lewo, wkracza w góry i dosięga Lunewilu. Otóż wróg przede wszystkim zaleje te trakty, bo wtedy swobodnie będzie mogła pójść konnica, artylerja, nawet tabor. Po drodze napo-

tkają łańcuch fortec obronnych; przygotowanych i gdyby się pokusili je oblegać, to wojna może się przeciągnąć do nieskończoności i wtedy nic nam nie grozi strasznego; ale wątpię, czy będą tyle naiwni. Ja myślę, że wezwą do poddania wszystkie obronne twierdze z tej strony Wogezów, a potem ruszą na nas.

— A teraz słuchajcie uważnie — ciągnął dalej, głos zniżając. — Za Falsburgiem jest mnóstwo wąwozów dostępnych dla pieszego wojska, ale jeden jedyny możliwy dla armat, mianowicie droga, która biegnie koło Dononu, stąd zaledwie o dwie mile... Rozważcie, com obmyślił. Zdaje mi się oto, że najlepiejby było zagrozić to przejście, usadowić się w jakim wygodnem do obrony miejscu, na przykład na którym z najbardziej płaskich szczytów, — trzebaby naturalnie ogołocić go z drzew, zniszczyć mosty, mostki, nawet kładki, rozebrać chaty słowem, utrudnić jak najbardziej dostęp. Musielibyśmy także pościnać co najstarsze drzewa i zawalić drogi — to lepsze może, niż okopy. Urządzilibyśmy też zasadzki i, sami ukryci i bezpieczni, widzielibyśmy wszystko, co się dzieje. Takie zasieki zdobywają się zwykle po piędzi, nie można po nich biec do ataku, nie można rzucać mostów, — myślę, że nie znajdziemy lepszego sposobu. Ludzie zwiną się z tem do jutra, — we dwa dni najdalej, ręczę. Ale wybrać i ufortyfikować miejsce to dopiero łatwiejsza połowa obrony. Trudniej przeszkodzić zdobyciu.

— Rozumiemy to chyba wszyscy — odezwał się stary Mateusz z powagą. — A mnie wydaje się jeszcze, że z dolin Austriacy równie mogą wykręcić na lewo, choćby w wąwozy Hazlachu. I jeśli opanują Szletsztad, nic im nie przeszkodzi uderzyć potem na nas...

— Łatwo zaradzić temu — z żywością przerwał Jan Klau-djusz. — Potrzeba tylko obsadzić wszystkie przejścia wzdłuż Sarry i Zornu na prawo i wąwóz Blanru z naszej strony. A uczynić je niedostępnymi to znaczy opanować szczyty, dlatego chcę wysłać stu ludzi z Pieretem na czele na najbliższe zbocza; Józef zająłby wierzchołki Grosmanu, żeby bronić drogi koło Sarry; Labarb strzec będzie lewych pochyłości i licznych dolin Hazlachu. Chciałbym owe oddziały

utworzyć z ludzi, mieszkających w pobliżu wymienionych szczytów, kobiety przecież dostarczać im muszą żywności,—więc tak będzie najlepiej i najmniej kłopotu. Przytem ranni... może ich wypadnie dostawić do wiosek, a każdemu miło umierać przy swoich. Główną kwaterę dziś jeszcze założymy na Dononie, dowódcy oddziałów co wieczór przysyłać mi powinni sprawozdania i zarazem będą otrzymywać hasło na każdy dzień następny. Przydałoby się trochę ludzi mieć w odwodzie, pomówimy o tem, skoro już zajmiecie wyznaczone stanowiska, kiedy się przestaniemy lękać najścia na nieprzygotowanych.

— A mnie nie wyznaczysz żadnej pracy? — spytał nieśmiało Marek. — Czy mam z założonemi rękami patrzeć, jak się inni biją?

— Tobie powierzyć pragnę pieczę nad całą naszą amunicją. Nikt z nas nie umie obchodzić się tak doskonale z prochem, strzec go od ognia i wilgoci, lać kul, przygotowywać pocisków, kartaczy.

— Ale to babska robota! — z zabawnem oburzeniem wykrzyknął przemysłnik. — Bajzel potrafi to lepiej ode mnie! Jakto? mam nie wystrzelić jednego naboju?

— Myślę, że ci nie zabraknie sposobności — zauważył Hullin ze smutnym uśmiechem. Przedewszystkiem Falkensztajn stanie się ogniskiem wszystkich ruchów; powtórę, tutaj będą składy broni, prochu — tutaj cofniemy się w razie porażki... stąd pójdą konwoje z amunicją dla wszystkich oddziałów, — nieprzyjaciel dowie się o tem z pewnością przez szpiegów, posypią się wycieczki, zechcą może nieraz odbić, — nie zardzewieje bagnet w twoich rękach, Marku — wierz doświadczonemu. Przytem, gdybyś wolał bić się, trzebaby powierzyć komu twoje składy, wyszukać człowieka pewnego. Jeżeli jednak obstajesz koniecznie...

— Namysłilem się inaczej — odparł Marek prędko, bo mu do przekonania trafiła odrazu wzmianka o kryjówce. — Jak zwykle, masz rację, Hullinie. Zgadza się pomieścić na Falkensztajnie pewną liczbę uzbrojonych ludzi, będę czuwał nad prochem, a jeśli sposobność się zdarzy, z ochotą poślę Austriakom kilka kulek.

— Przyjmujcie zatem moje plany? — zwrócił się Jan Klaudjusz do otaczających.

Naturalnie.

— Bóg wam zapłać, towarzysze! Już dziesiąta. Niechże teraz każdy powraca do siebie i gromadzi jak największe zapasy żywności. A pamiętajcie, że jutro raniutko muszą być zajęte wszystkie przejścia.

Wyszli z szałasu i Hullin mianował dowódców oddziałów. Potem mieszkańcom najbliższych wiosek wzdłuż łożyska Sarry rozkazał się stawić w Dąbrowie w jak najkrótszym czasie, przynieść siekiery, rydle, motyki, karabiny.

— Wyruszymy o drugiej pod Donon — objaśnił góralom — i tam przetniemy wpoprzek trakt cesarski. Jutro o świcie zaczniemy urządzać zasieki.

Ludzie się zaczęli rozchodzić z pośpiechem.

Mateuszowi i młodemu Hengstom oznajmił, że pierwsza bitwa nastąpi prawdopodobnie tam właśnie i że liczy na nich, jako na najlepszych strzelców, dlatego wciela ich do swego oddziału.

Katarzyna siadała tymczasem na bryczkę, z powagą w twarzy, z jasnym ogniem w oczach, serdecznie całowała Ludkę.

— Co to za człowiek — szepnęła nagle dziewczęciu do ucha — co to za człowiek! Jak on potrafi przekonywać ludzi! Znam go przecież lat czterdzieści, a podziwiam dzisiaj.

— Hej! Hullinie! — zwróciła się wesoło — szynka na nas czeka i parę butelek omszałego wina, — tych już napewno nie skosztują Austriacy!

— I mnie się tak zdaje — odpowiedział z uśmiechem. — Jedźcie już, jedźcie, dogonię was zaraz.

Wąwóz tymczasem opróżniał się szybko i Katarzyna miała właśnie ruszać, kiedy zdała, na skraju dalekiej ścieżki pojawiła się sylwetka wysokiego, wielkiego mężczyzny, siedzącego niezgrabnie na wychudłej, rudej szkapie. Głowę jego okrywała czapka z zajęczego futra z dużym, płaskim daszkiem, co mu przeszkadzało widzieć drogę. Za jeźdźcem biegł czarny pies owczarski.

— To doktor Lorken — odezwał się Jakób z Potoka, śledzący nadjeżdżającego już od dłuższej chwili — ten, co to leczy darmo najbiedniejszych. A pies to chyba Pluton.

— Stójcie! Hej! Stójcie! — dobiegło głośnie wołanie.

Wkrótce już można było rozpoznać twarz zaczerwienioną od gwałtownej jazdy, bystre oczy, ciemną brodę, z którą igrał wiatr niemiłosiernie. Człowiek galopem przebył łąkę, dosięgnął stóp góry, nie wyszło dwóch Ojcie Nasz, kiedy osadził konia przed szafasem. Zeskoczył, odsapnął ciężko i groźnym wzrokiem obrzucił zebranych.

— Cóż to myślicie sobie?! — zaczął nawpół opryskliwie, nawpół gniewnie — beze mnie się zmawiacie, beze mnie idziecie na wojnę? Poczekajcie, odpłacę wam z nawiązką!

Ręką wskazał skrzynkę przytroczoną do grzbietu rumaka.

— Poczekajcie, chwaty! — powtórzył trochę drwiąco, usiłując nadać twarzy srogi wyraz — mam ja w tem pudełku zabawki, z którymi w krótkim czasie zawrzecie znajomość! Są nożyki i noże, okrągłe, śpiczaste i ostre, są duże i małe lancety, skalpele, co się zapoznają prędko z waszą skórą. Przydadzą się do „wyłuskiwania“ kul, kartaczy i wielu innych pocisków, którymi was Austriacy nie omieszkają z pewnością częstować.

I zaśmiał się rubasznie, rad z dowcipu. Dreszcz niemiły wstrząsnął ciałami słuchaczy, niejeden uczuł, że skóra mu cierpnie.

— Wart jesteś dostać za uszy, Hullinie — ciągnął dalej doktor, poważniejąc nagle. — Sam się zastanów tylko! Zbie-racie się, aby radzić o obronie kraju, a mnie pomijacie? I muszę dowiadywać się o tem od innych, obcych, i prawie przypadkiem?! Zdaje mi się, że doktor może chyba być potrzebny. Żal mam do ciebie, stary przyjacielu!

— Przebacz, doktorze, — przemówił Jan Klaudjusz serdecznie, wyciągając rękę — przebacz, bo tyle zważyło się na moją głowę od tygodnia! Uznaję swoją winę, sędzę jednak, że człowiek, jak pan, doktorze, nie potrzebuje zaproszenia, gdy chodzi o spełnienie obowiązku.

— Wszystko to bardzo pięknie — odparł doktor prawie już udobruchany — wina przecież pozostaje winą: przez ciebie

oto przebywam za późno, z pewnością rozebraliście najważniejsze czynności już pomiędzy siebie, a co dla mnie? Gdzież dowódca, niechże mu się przynajmniej poskarżę.

— Stoisz przed nim, doktorze.

— Ty, Hullinie?

— Tak i mianuję pana naszym naczelnym chirurgiem.

— Naczelnym chirurg powstańców w Wogezach? To brzmi nieźle, przyjmuję. Zapomnijmy o urazie, Janie Klaudjuszu — zdecydował wesoło.

Zbliżył się do bryczki i z kolei pytał Katarzyny, czyby mu pomogła w zaopatrzeniu w niezbędne rzeczy ambulansów i czy przyjąłaby nad nimi nadzór.

— Niechże pan będzie spokojny — zapewniła z gotowością — już ja pomyślę o wszystkim, zaraz po powrocie zabierzemy się do tego z Ludką. Pomożesz mi chętnie, nieprawdaż?

— Naturalnie — odrzekło dziewczę, uradowane, że i ono będzie pożyteczne. — Do przygotowań weźmiemy się zaraz czy dobrze, mateczko? Jeśli trzeba, mogę pracować i w nocy. Pan Lorken nie poskarży się na mnie z pewnością.

— Więc w drogę! — postanowiła pani Lefewr gorąckowo.

Hullin, Mateusz i dwaj jego chłopcy postępowali w tyle, o kilkaset kroków, trzymając karabiny na ramieniu, niby regularne wojsko, i cały orszak znalazł się wkrótce w dolinie, a po chwili roztoczyły się przed nimi zabudowania Dąbrowy.

ROZDZIAŁ VII.

Ruch tam panował niezwykły. Parobcy i dziewczki biegali tam i z powrotem niby nieprzytomni, i bez przerwy rozlegało się jakieś wołanie, bez przerwy szły nowe rozkazy, odzywało się szczekanie widelcy i noży — sprawnie robiono przygotowania. Powracających przywitał długi okrzyk.

Bez zwłoki wszyscy zasiedli do stołu w najparadniejszej, pamiątkowej izbie i z wesołem obliczem gotowali się przyjąć ostatni posiłek pod dachem. Na wielkim półmisku dymiła wspaniała szynka, przed każdym stał kubek do wina.

A właśnie był wtorek, dzień, w którym się piekło zwykle chleb na następny tydzień, — tym razem zarządzono wypiek z całego zapasu mąki.

W kuchni wrzało od świtu. Michał z zawiniętymi rękawami koszuli nieruchomo stał przy piecu i co chwila wygarniał sznury gorących bochenków, które z kolei odbierała Anka i układała przy kominie w wielkie stosy. Po całym domu rozchodził się przyjemny zapach świeżo upieczonego chleba. Ludka obsługiwała do stołu, a Katarzyna nad wszystkimi czuwała bacznie okiem gospodyni.

— Śpieszcie się, dzieci! — od czasu do czasu zachęcała służbę. — Trzeci wypiek musi być gotów, kiedy nadciągną górale od Sarry. Każdy powinien dostać po 6 funtów chleba.

Dosłyszał ostatnie słowa Jan Klaudjusz i spojrzał na nią z głębokim uznaniem.

— Dzielna kobieta! — rzekł półgłosem. — O wszystkim pamięta! Jak Bóg miły, nie znam takiej drugiej. Wypijmy jej zdrowie!

— Zdrowie Katarzyny! — zgodnie ozwali się współbiesiadnicy.

Stuknęły kubki i kieliszki, i znów się potoczyła rozmowa o atakach, bitwach, zasiekach i szajcach. Z niezachwianą wiarą rozprawiali o przyszłym zwycięstwie, do niczyjego serca nie wkradał się cień zwątpienia.

— Będzie dobrze — z otuchą powtarzali wszyscy.

A niebo im dnia tego zesłać miało jedną jeszcze radość. Zbliżało się południe, promienie słoneczne zaczynały powoli topić lód na szybach i niewidzialnie strącać kwiaty szronu, a wielki czerwony kogut coraz zamaszyściej się przechadzał po kurniku i głośno nawoływał kury, — gdy nagle ozwało się szczekanie starego Zagraja wpół żalosne, wpół wesołe. Pies był bezzębny, prawie ślepy i zwykle całe dnie spędzał na drzemce. Obecni patrzyli w stronę drzwi ze zdziwieniem.

W kuchni robota dosięgała właśnie najwyższego szczytu, bo trzeci wypiek wybierano z pieca, a jednak uderzyło wszystkich to uporczywe, przeciągłe szczekanie. Pani Katarzyna drgnęła.

— Coś dziwnego się dzieje — szepnęła do siebie.

— Zagraj nie czekał tak od wyjazdu Kaspra — dodała głośniejszym głosem, błędnie mocno.

Na dziedzińcu rozległy się pośpieszne kroki.

— To on! — krzyknęła Ludka, rzucając się do drzwi, ale ugięły się pod nią kolana i stanęła na środku izby, zwracając w stronę wejścia rozszerzone oczy.

Po chwili drzwi skrzypnęły lekko i w progu ukazał się żołnierz, raczej cień żołnierza, obdarty, wychudły, odziany w strzępy szarego munduru, na którym tu i ówdzie świeciły jeszcze wytarte cynowe guziki, w zabłoconych, dziurawych kamaszach, chwiejący się, blady.

Wszyscy niby zastygli w niemem przerażeniu.

Postąpił parę kroków z wysiłkiem i zwolna kolbę karabinu opuszczył na ziemię... Drgać mu zaczęły delikatnie chrząstki wydatnego nosa, ciemne wąsy, wychudła, ostra broda... Stał tak bez słowa, bladł coraz bardziej i czuł, że coś go dławi w gardle i że się oczy napełniają łzami...

Na dworze pies raz jeszcze zawył i szczełnął łańcuchem, w izbie słyhać było suchy trzask drzewa, płonącego w kuchni — tak się uczyniło cicho. Milczenie rozdarł dopiero spazmatyczny okrzyk pani Katarzyny.

— Kasper! Dziecko moje! — wołała, tuląc głowę młodego żołnierza do piersi.

— Matko! — przemówił miękkiem, przerywanym głosem. Zawtórowało im łkanie Ludki. Mężczyźni powstali.

— Matko! Matusiu! — szeptał z serdeczną tkliwością. — Tak często myślałem o tobie...

Oswobodził nagle ręce z jej kurczowo zaciśniętych dłoni.

— Ludka? Gdzie Ludka? — pytał z gorączkowym błyskiem w oczach. — Ja widziałem Ludkę.

Dziewczyna pobiegła do niego z promienną, rozjaśnioną twarzą, — przygarnął ją długim, nieśmiałym objęciem i spotkały się ich usta w niemej, rozkosznej słodczy...

— Nie poznałaś mnie, prawda? — zagadnął z łagodnym wyrzutem.

— Nie... Nie... — zaprzeczyła, oblewając się mocnym rumieńcem—poznałam ciebie, jeszcze zanim wszedłeś.

W drzwiach stanął teraz stary Michał i patrzył na przybyłego osłupiałym wzrokiem.

Pamiętał Kaspra od dziecka, zdrowego, odzianego zawsze dostatnio, porządnie,—pamiętał odjazd,—wyświeżony był wtedy, w pięknym mundurze z ponsowemi wyłogami... W głowie mu się pomieścić nie mogło, gdzie się to wszystko podziało,

— A mną już pogardzasz? Nie przywitasz się z nami. Kasprze?—zabrzmiało niespodzianie drżący głos Hullina.

Chłopak odwrócił się i radośnie krzyknął..

— To wy, ojcze?! Mateusz? Franek! I pan doktor?! Oj-cze, dobry ojcze!

Wybuchły śmiechy, posypały się wesołe żarty, uściśnienia rąk, ożywiło się w przestronnej izbie, pojaśniało. Pani Lefewr z uśmiechem w nieobeschłych oczach piastowała tornister synowski, Ludka—karabin, Michał—kaszkieta, co chwila ktoś przesuwał palcami po zwilgotniałych ze wzruszenia policzkach.

— Ależ siadajmy! Jedzmy!—zawołał niespodzianie doktor z komiczną rozpaczą.—Kręćcie się tylko wszyscy, jak muchy w ukropie.

— Szczęśliwy jestem, że widzę cię zdrowym i całym — mówił serdecznie Hullin. — I wiesz, co ci powiem? Daleko przystojniejszy teraz z bladą twarzą, niż wtedy, kiedy krew ci tryskała z policzków; prawda, Ludko? Podobniejszy się zrobiłeś do mężczyzny; przypominasz mi współtowarzyszy z czasów wyprawy do Egiptu, ha! ha! — zaśmiał się swobodnie, szczerze.—Nie poświeciło wtedy na nas słońce, na każdy okruszek rzucaliśmy się niby wygłodniałe szczury. Żęby zato były ładne, białe...

— I ja się znam na tem—odpowiedział wesoło młody żołnierz.—Jakimże szczęśliwym trafem spotykam tu wszystkich?

— Nie wiesz? Całe góry się ruszyły, musimy się bronić przecież.

— Słyszałem coś nie coś. Więc to prawda?

— Czy prawda? Wszyscy się zgodzili jednogłośnie. A mnie mianowano naczelnikiem.

— Onieśmielasz mnie, ojciec. Do kroćset, co za godność! Radość mię ogarnia, gdy pomyślę, że nie pozwolicie kołków sobie ciosać na głowie „cesarskim“! Proszę o tamten nóż, ojciec. Och, jak to dobrze czuć się wśród swoich—rzekł zcicha, obejmując narzeczoną stęsknionem spojrzeniem.—Ludko, kochanie moje, usiądź przy mnie! Gdybym tak mógł codzień spoglądać na ciebie, a przytem nie przymierać głodem, nie targać zdrowia w uciążliwych marszach, to prędko, oj, prędko odzyskałbym dawną fantazję i siły. Koledzy nie poznaliby mnie w dwa tygodnie.

Wszyscy wilgotnym wzrokiem śledzili twarz młodego, twarz mizerną i zapadłe oczy, ze ściśniętem sercem przysłuchiwali się opisom strasznych przejść i bitew, w których wyginał kwiat najprzedniejszy młodzieży francuskiej. Kasper jadł za czterech i mówił przytem bezustanku, a jego rozjaśnione spojrzenie co chwila szukało uśmiechniętych oczu matki i promiennego wejrzenia kochanej.

Służba folwarczna, Józek, Anka, stary Michał z niemym zachwytem słuchali słów gorących młodego żołnierza. Ludka podsuwa mu coraz nowe półmiski, dolewa do kubka. Pani Lefewr usunęła się tymczasem na bok i skrzętnie przegląda zawartość tornistra; wyjęła dwie koszule dziurawe jak przetak, całe w strzępach, parę wykrzywionych, podartych kamaszy, butelkę pustą, złamany grzebień o trzech zębach, ładownicę, z której wypadł kawałeczek laku...

Twarz starej kobiety kurczy się jakby do płaczu, usta drżą mocno, wstaje, w milczeniu otwiera szafę, wyciąga czyścącą bieliznę.

— Boże! Boże! — szepcą blade wargi. — I dziwić tu się, że ich tyle ginie z nędzy!

Doktór sypie jeden za drugim dowcipy, zaciera ręce i z uznaniem wpatruje się w Kaspra.

— Setny chłop z ciebie — odzywa się wreszcie—żołądek musisz mieć nielada! Zawija, aż się uszy trzęsą. Niechaj ci będzie na zdrowie!

— Dawnemi czasy, kiedy sam jeszcze byłem bardzo młody—zwraca się stary Mateusz do synów—i kiedym nieraz zimą zabawił się dwa albo trzy dni za zwierzyną w górach, to wracałem z takim wilczym apetytem do chałupy, żem potrafił zjeść odrazu cały sarni udziec. A na starość wystarczają mi dwa funty mięsa. Co to jednak znaczą lata!

Hullin zapalał zwolna fajkę, czoło przecięta mu głęboka bródza, myśl pracowała usilnie i ciężko, od czasu do czasu dziwnym, zmętniałym wzrokiem obrzucał jedzącego Kaspra.

— Słuchajno, chłopcze—zaczął nagle, szorstko—jakimże sposobem znalazłeś się tutaj? Twój pułk powinien chyba być nad Renem po tamtej stronie Strasburga.

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć, ojcie—odparł młody z leciutką goryczą — masz na myśli dezertków, zbiegów z pod chorągwi, prawda?

— Wierzę, że nie byłbyś zdolny do takiego czynu, jednak...

— Jednak wolisz mieć niezbitą pewność, że tak nie jest? — zapytał Kasper, uśmiechając się pomimowoli. — Nie obraża mię wątpliwość twoja, ojcie, dałem ci prawo do czuwania nad memi krokami, a ktokolwiekby nie stanął do apelu, kiedy Austriacy są w granicach Francji, — zasługuje na rozstrzelanie bez litości. Takie jest i moje zdanie, proszę ojca. Oto pozwolenie.

I podał niewielką, trochę zmiętą kartkę.

Jan Klaudjusz wziął papier i zaczął czytać półgłosem: „Pozwolenie opuszczenia pułku na 24 godziny. Wydane Kasprowi Lefewr z 2-ej kompanji 6-go bataljonu lekkiej kawalerji. Dnia 3 stycznia 1814 roku“. Podpisał dowódca 6-go bataljonu. — Wszystko w porządku — wyrzekł Hullin z radością — schowaj to głęboko, chłopcze, mógłbyś zgubić.

Podrapał się z zakłopotaniem w głowę.

— Widzicie, dzieci—ciągnął uroczyście—wiem ja dobrze, co to miłość. Są w niej rzeczy szlachetne i piękne, ale i złych nie brak, złych szczególnie dla młodych żołnierzy, którzy zanadto zbliżą się w czasie wojny do rodzinnej wioski.

Zdarza się, że wracają, ścigani przez oddział żandarmów... sam widziałem nieraz. Za to, że czekałeś, aż ci dadzą po-

zwolenie, napijemy się jeszcze po dobrym łyku porządnego wina. Czy nie przeciwko temu nie masz, Katarzyno? Górale z nad Sarry nadsięgnąć mogą każdej chwili, minuty nasze policzone.

— Słusznie powiadasz, Janie Klaudjuszu — potwierdziła pani Lefewr, ocierając oczy.—Anko! Zejdź do piwnicy i przynieś trzy butelki z ostatniego loszku!

— Kiedy wydano ci to pozwolenie? — zwróciła się nagle do syna.

— Wczoraj o ósmej wieczorem, matko. Pułk mój cofa się w kierunku Lotaryngji, więc dziś o tej samej porze muszę się z nim połączyć w Falsburgu.

— Siedem godzin przed tobą, a najmniej sześć trzeba odliczyć na drogę, bo ścieżki strasznie zawalone śniegiem — szepnęła kobieta, usiłując zachować choć pozorny spokój.

Przysunęła się do Kaspra i wzięła jego rękę w swoje dłonie. Z drugiej strony tuliła się Ludwika, kryjąc mu na piersiach zapłakane oczy. Hullin wytrząsał z wolna popiół z fajki i czoło marszczyło mu się coraz bardziej, — mężczyźni cofnęli się w głąb izby. Po chwili Anka przyniosła butelki.

— Odwagi, Ludko, bój się Boga! — odezwał się łagodnie Jan Klaudjusz, wyciągając korek. — To wszystko już nie potrwa długo, skończy się przecie ta przekłeta wojna, a coś mi mówi, że pomyślnie. Kasper potem wróci i zaraz zrobimy wesele.

Nalał po trochu do kubków złocistego płynu, Katarzyna patrzyła na jego ruchy szklanym wzrokiem.

— Łotry! — wybiegło z jej ust zaciśniętych. — Oni są przyczyną tych klęsk wszystkich! Niechże teraz tutaj przyjdą!

Wychylono kolejkę bez słowa, wkrótce jednak po ciele rozeszło się rozkoszne ciepło i wszyscy na świat spojrzeli weselej. Rysy Kaspra przybrały znów spokojny, hardy wyraz i opowiadanie popłynęło dalej, o krwawej walce pod Bautzen i Lutzen, o smutnej bitwie pod Lipskiem, gdzie nowozacieżni bili się jak stary, wyćwiczony żołnierz, po chlubnych zwycięstwach, co biegły ich szlakiem, póki nie znaleźli się niegodni zdrajcy, póki nie opuścili sprawy sprzymierzeńcy.

Zebrani słuchali w głębokiem milczeniu, na pobludłej twarzy Ludki malowało się kolejno przerażenie i zachwyt, a kiedy nadchodził opis niezwykłych, groźnych niebezpieczeństw,—atak na bagnety, zdobywanie pozycji pod nieprzyjacielem ogniem, uciążliwy odwrót, — wtedy w jej ślicznych oczach zjawiał się błysk trwogi i łzy, jak perły, zaczynały płynąć bez szelestu, a wąła dziewczęca postać przytuliła się z całą mocą do ramienia młodego żołnierza, jakby bronić go chciała przed niepewnem jutrem, które osłaniały kiry śmierci... Wzrok Hullina tymczasem płonął coraz potężniejszym blaskiem i rodziło się w nim gorące pragnienie odwetu i czynów. Doktor co chwila pytał o pozycję ambulansów, Mateusz i dwaj jego chłopcy z zajęciem wyciągali długie szyje, targali ciemne brody, rzucali półgłosem przekleństwa — z każdą minutą rościło podniecenie, zwiększał się zapal. — Ach, zbóje, łotry, piekielniki! Poczekajcie tylko, jeszcze nie wszystko skończone! — krążyło wokoło stołu cichym szmerem.

Pani Lefewr przysłuchiwała się opowiadaniu jedynaka z uśmiechem macierzyńskiej dumy, usta jej poruszała błagalna modlitwa o zachowanie przy życiu tego, co za chwilę wrócić miał w wir niebezpieczeństw, o których pamięć we Francji nie zginie po wieki.

Nagle drzwi skrzypnęły lekko i na progu ukazała się szara kapota pastucha, długa pischcałka z kory, czarny szeroki kapelusz, z pod którego wyglądały rozwiane w szybkim biegu siwe włosy. To Lagarmit, co miał pilnować nadejścia górali... W izbie uczyniło się odrazu cicho, — wszyscy wyczekując spojrzeli na starca. — Nasi idą... od Sarry... — wybełkotał zmęczonym, przerywanym głosem...

Na wieść tę zamarły ożywione słowa, mężczyźni z miejsc powstali, każdemu w myśli stanęły obrazy przyszłych walk, okropnych mordów, krwi rozlewu, może klęski...

Twarz Ludki zbieiała niby przejrzysty opłatek, drobne ręce opłotły szyję narzeczonego z niemą, wymowną rozpaczą.

— Nie odchódź! — szeptały drżące usta — zostań, zostań z nami!

Kasprowi rysy zmieniły się wzruszeniem; zaległa głucha cisza.

— Żołnierzem jestem—odparł wkońcu z wysiłkiem, oddychając ciężko. — Kocham cię tysiąc razy więcej, niż własne swe życie, ale przodkowie moi przedewszystkiem wypełniali obowiązek. Nie zrobię wstydu prochom zmarłym...

I odsunął łagodnie jej dłonie, a Ludka przysiadła na zydlu i wybuchnęła głośnym, rozżalonym płaczem.

Rozdzieliła ich postać barczysta Hullina. Uścisnął rękę przyszedłego syna mocno, długo.

— Postąpiłeś, jak uczciwy, prawy człowiek uczynić powinien — wyrzekł wzruszony do głębi.

Teraz zbliżyła się matka i powoli zaczęła mu spinać tornister—bez słowa skargi, z brwią ściągniętą i zaciśniętymi nerwowo wargami; tylko dwie łzy ogromne spływały cicho po wyschłych policzkach. Skończyła wreszcie, odstąpiła trochę, oczy obtarła rękawem.

— Dobrze, idź już, dziecko — przemówiła po chwili prawie niedosłyszalnym głosem—i weź błogosławieństwo matczyne na drogę! A jeśli zabierze cię wojna—nie umrzesz, bo ze mną i z Ludką pamięć twoja zostanie na zawsze. Nie miej za złe biedaczce, że cię zatrzymać chciała: za młoda ona na to, by wiedzieć, że żyć to znaczy cierpieć.

Do drzwi ruszyli wszyscy, Ludka została sama w pustej izbie. W kuchni stuknęła głucho kolba o deski podłogi, zadudniły liczne kroki ludzkie, zaskrzypiały przeraźliwie wrzesciędzie u podwoi... Dziewczę zerwało się z jękiem i pędem wybiegła za nimi.

Za chwilę już dotykała ramienia narzeczonego, lękliwie, z nieśmiałością wielką.

— Kochany — zabrzmiał szept błagalny tuż przy uchu młodego żołnierza — spojrzuj, jam odważna, nie płaczę wcale... nie będę ciebie odwozić z drogi obowiązku, — tylko nie odchodź zagniewany na mnie, — zlituj się, bo zamrę.

— Zagniewany? na ciebie!? Ludko, co ty mówisz, Ludko — szepnął Kasper zcicha. — Nie mogę poprostu patrzeć na twoją rozpacz, najdroższa, strach, co się wtedy dzieje ze mną! Pragnąłbym cię widzieć silniejszą na wszystko... Teraz odejdę szczęśliwy.

— Będę silną, przyrzekam — odparła ze słodyczą, pocatuj mnie, Kasprze! Ja już nawet jestem inna, a obiecuję stać się zczasem podobną do matki.

Objęli się przeciągłym, serdecznym uściskiem, Kasper całował włosy i oczy Ludki... Jan Klaudjusz tuż przy nim trzymał gotowy karabin i wszyscy stali bez ruchu, bojąc się przerwać pożegnanie młodych.

Pani Lefewr położyła wreszcie rękę na ramieniu syna. Drgnął cały, zawahał się chwilę, wziął broń od Hullina i zaczął się oddalać sprężystym, stanowczym krokiem. Nawet nie odwrócił głowy.

A wzgórza czerniały nadciągającymi ludźmi, co nieśli strzelby, młoty i siekiery i zbliżali się szybko nieprzerwanym sznurem.

Po krótkim marszu Kasper stanął i raz jeszcze przesłał pożegnanie ręką. Kobiety odpowiedziały mu smutnym, spokojnym uśmiechem i obie nakreśliły krzyż, który strzec miał od złego ukochaną niknącą postać... Jan Klaudjusz postępował tymczasem na spotkanie przybywających górali, a doktor uważnie śledził oddalającego się Kaspra.

— Może pani być dumną ze swojego syna — zawołał wreszcie z uwielbieniem — zacny chłopak i ma serce. Bóg niech nad nim czuwa!

Ostatnie słowa zagłuszył szum rozlicznych głosów ludzkich, napływający do doliny wielką falą, wiatr przyniósł żarty, śmiechy, — na wojnę wszyscy szli bez żalu, ochotnie, niby na wesele.

ROZDZIAŁ VIII.

W Dąbrowie wrzała gorączkowa praca, zamęt — gotowano się śpiesznie do wymarszu w góry. Ładowano ciepły jeszcze chleb na wózki, bito woły, opatrywano broń oddziału, który właśnie wyruszał na Donon. Przedtem już wyszedł

Hullin, doktor i Ludka, a z nimi wieśniacy z nad Sarry. Przed folwarkiem stał teraz wóz ogromny, zaprzężony w cztery konie, a pani Katarzyna pilnowała osobiście pakowania obfitych zapasów mięsa, wódki, chleba; co chwila wybiegano i wbiegano do domu, wszyscy byli w ciągłym ruchu, każdy chciał przyłożyć rękę do przygotowań i wspólnego celu.

Rozkazy Hullina wypełniono ściśle: wszystkie przejścia koło Sarry, Zornu i Grosmanu zostały obsadzone przez silne oddziały, najbardziej zagrożony i najdalej wysunięty wąwóz Blanru ufortyfikowano pod czujnem, doświadczonem okiem Jana Klaudjusza. On osobiście miał bronić tej pozycji na czelę trzystu najdzielniejszych ludzi, stanowiących główną siłę i całą nadzieję górali.

Tam właśnie, na wschodniem zboczu Dononu, zająć miała najgorętsza walka.

Powyżej szerokiego traktu, który biegnie po pochyłości pod samym prawie szczytem, rozsiadła się zagroda, otoczona paru morgami uprawnej ziemi, własność starego Pelsli, anabaptysty¹⁾. Do twardej skały czepiały się długim szeregiem stajnie, obory i chlewy.

Górale rozłożyli się obozem wkoło folwarku, bo stamtąd się otwierał rozległy widok na oddalone nawet okolice. U stóp ich rozpościerają się Grandfonten i Framon, miasteczka w niedostępnym, zwężonym wąwozie, dalej, na zakręcie przyległej doliny, starożytne ruiny zamczyska, dalej jeszcze, wzdłuż zębatego górskiego łańcucha, widnieje niebieskawa wstęga rzeki. Na lewo sterczy nagi wierzchołek Dononu, strojny w śpiczaste, poszarpane cyple, u podnóża ich zieloną plamą wyblyskuje tu i ówdzie karłowata jodła i znędzniałe, zwyrodniałe świerki. Przed nimi ciemnieją rozkopane drogi, piętrzą się pnie i kłody, splecione ze sobą gałęziami, zawałają przejście, gdzie okiem sięgnąć.

Przez śnieg, topniejący leniwie w dolinach, przegląda rozmiękła, czarna gleba, gdzieniegdzie ciągną się znaczne

¹⁾ Anabaptyści—należący do jednego z wyznań protestanckich.

obszary zupełnie zamarznętej ziemi, z której ciepłą osłonę zwiały bezlitosne wiatry.

Jak okiem sięgnąć—poważnie i pusto. W wioskach cicho, niby po pomorze, drogi stoją milczące w promieniach słonecznych, nigdzie człowieka, ni wozu — rzekłbyś, wymarło już wszystko od wieków.

Zato ruch wre około zagrody i licznie na zboczu rozsypane ognie, z których biją w niebo sine słupy wilgotnego dymu, zdradzają ukrycie powstańców, nieomylny ślad ludzkiego życia.

Przy ogniskach gotuje się w tej chwili strawa i otaczają je zwartemi szeregami górale, każdemu z pleców zwiesza się karabin, a wszyscy czegoś markotni. Siedzą w milczeniu, z podwiniętymi nogami i wygasłą fajką, grzbiet im ze znużenia pochylił się w kabłąk — trzecią już dobę napróżno czekają na wroga.

Opodał przysiadł stary Mateusz z synami, na progu od czasu do czasu pojawiają się poważna, ale pogodna twarz Ludki — i znika znowu, wezwana do pracy. Po podwórku przechadza się ogromny kogut i uroczyście grzebie w nawpół zgniłej słomie, po krzakach szukają pożywienia zgłodniałe, zapomniane kury. Przy wielkim ogniu zapiekają na długich rożnach wspaniałe polcie blado-różowej słoniny, a tłustość spływa do kotła popielatemi kroplami, niby duże perły... wzrok przyszłych obrońców ojczyzny często, bardzo często wybiega w tę stronę: trudno, trzeba posilić przecież grzeszne ciało... Z tego samego powodu parę razy dziennie szereg górali odwiedza beczkę, stojącą na wozie pani Katarzyny, która wydaje im przyobiecane porcje wódki, koniecznej podczas obozowania pod otwartem niebem.

Około ósmej rano ożywił się ruch wśród zebranych, — warty dostrzegły człowieka pomiędzy dużym a małym Dononem. Szedł prędko i przyjaźnie powiewał wielkim kapeluszem. Po niejakiem czasie rozpoznano w nim gajowego Miłkołaja.

Zawrzało przy wszystkich ogniskach, pobiegli zaraz uprzedzić Hullina, który spał już od godziny z doktorem na

słomie, rozesełanej we wszystkich izbach dla zmieniających się na warcie ludzi.

Wyszli zaraz. Przed domem stała już gromadka najciekawszych, a z nimi pastuch Lagarmit, który pełnił obecnie czynności trębacza, i gospodarz, człowiek poważny, siwy, z obfitym zarostem, w dużej czapce z kutasem i w szarej obszernej kapocie, zapiętej na błyszczące guziki. Rozmawia właśnie z przybyłym góralem, ręce zagłębił po łokcie w kieszeniach.

— Co nam przynosisz, Mikołaju? — zawołał donośnym głosem Jan Klaudjusz.

— Nic nowego tymczasem, dowódco — odparł z pośpiechem zapytany. — Tylko od strony Falsburga słychać jakby grzmienie burzy. Utrzymują, że to jest huk armat — i bardzo być może, bo całą noc widzieliśmy jakieś dziwne błyskawice nad lasem. A dzisiaj od rana włóczy się szary tuman po równinie.

— Oblegają miasto, to widoczne — wyrzekł Hullin krótko. — A od Lucelsztajnu?

— Głucho.

— To znaczy, że postanowili zdobyć twierdzę i tam gromadzą siły. Tam także nadciągnęli pewno sprzymierzeni. — Nie możemy pozostawać dłużej w tej nieświadomości — zwrócił się do Mateusza. — Ty, przyjacielu i twoi synowie zaraz pojedziecie zasięgnąć języka.

Twarz starego strzelca rozjaśniła się szczerą wdzięcznością.

— Chwała Bogu! — wyrzekł z ulgą. — Nogi mi już nie zdrtwieją. A może też natrafimy na jakiego szelmę Austriaka.

— Czekajno, Mateuszu — przerwał Jan Klaudjusz z niezwykłą powagą. — Nie o to wcale mi idzie. Ja potrzebuję tylko pewnych wieści. Kasper i Franciszek broń zabiorą, ale ty zostawisz karabin, nóż myśliwski i róg z prochem.

— A to poco?

— Ponieważ trzeba dostać się do wiosek, a gdyby ujrzało cię uzbrojonego, natychmiast byłbyś rozstrzelany.

— Rozstrzelany?

— Tak myślę. Pamiętaj, że nie jesteśmy regularnem wojskiem, — takich nie biorą do niewoli, — załatwiają się z nimi odrazu. Pójdiesz więc do Szirmeku, ale tylko z kijem w rękę, a chłopcy lasem podążą za tobą, oddaleni o pół strzału karabinowego. Gdyby cię zaczepili jacy maruderzy, których przecie pełno włóczy się za każdą armją, — to obaj skoczą ci na pomoc, a jeśli oddział jaki, rekonesans — tedy pozwolą cię zabrać.

— Pozwolą zabrać! — wykrzyknął oburzony strzelec — proszę, chciałbym temu wierzyć!

— A jednak to najłatwiejszy sposób: — tłumaczył łagodnie Hullin — człowieka bezbronnego wypuszczą z pewnością, inna sprawa będzie z uzbrojonym. No, i nie potrzebuję chyba cię uprzedzać, że możesz zamilczeć przed Austryjakami o celu wyprawy...

— Zaczynam rozumieć — przemówił Hengst udobruchany. — Rzeczywiście, może tak będzie najlepiej. Nie wypuszczałem dotąd karabinu z ręki, ale jak wojna, to wojna. Trzeba się poświęcić, niema rady. Oto nóż mój, Hullinie, róg, karabin. Kto z was, towarzysze, pożycz mi kija i siermięgi?

Mikołaj zwlekł pośpiesznie bluzę, zdjął z głowy kapelusz, używany przez mieszkańców równin, podniósł kij sękaty i wręczył Mateuszowi gotowe przebranie.

Stary zaczął odziewać się szybko i po chwili stanął przed zebranymi jako wieśniak alzacki, od którego tylko dziwnie odbijały sumiaste, siwe wąsy, bo wiadomo przecież, że w dolinach wszyscy noszą się bez zarostu. Obecni patrzyli na niego z podziwem.

Dwaj młodzi, dumni, że biorą udział w tak ważnej wyprawie, ocierali lufy, próbowali ostrza długich, błyszczących bagnatów i szerokich noży myśliwskich, poprawili wielkie, z pleców zwisające torby i uspokojeni toczyli po zgromadzonych rozjaśnionym wzrokiem.

— A pamiętajcie, chłopcy, co powiedział Jan Klaudjusz — odezwał się rubasznie doktor. — Ostrożność przedewszystkiem. Jeden Niemiec mniej, czy więcej — na setki tysięcy — ani pomoże nam, ani zaszkodzi, a gdyby z was który wrócił „naznaczony“, toby prawdziwą krzywdę wyrządził Alzacji.

— Niech się pan o nas nie boi, doktorze — odparli obaj jednocześnie. — Potrafimy mieć oko na wszystko.

— Synowie moi to wytrawni strzelcy — zapewnił stary Hengst z ojcowską dumą. — Umieją czekać cierpliwie i korzystać z chwili. Żaden nie strzeli, póki nie przyzwę na pomoc, możecie być spokojni. A teraz ruszajmy, musimy rozkaz wypełnić przed nocą.

— Powodzenia! — krzyknął Hullin za oddalającymi się śpiesznie.

Trzej mężczyźni zeszli z traktu i brnęli po kolana w śniegu, chcąc uniknąć uciążliwego, zmudnego przedzierania się przez pnie i kłody. Wkrótce skreśli na ścieżkę, co prostym prawie szlakiem zbiegała w doliny.

Powstańcy śledzili ich chciwem spojrzeniem, i serca rosły wszystkim na widok sprężystych, sprawnych ruchów, barczystych pleców i szerokich ramion, nóg stąpających pewnie po stromej ścieżynie. — Nic im się nie stanie, choćby się natknęli na pięciu i więcej „cesarskich“ — myśleli z otuchą górale.

Po kwadransie takiej drogi zakryły ich pierwsze jodły lasu, porastającego gęsto niższe zbocze, i zniknęli z przed oczu patrzących.

ROZDZIAŁ IX.

Mateusz i obaj chłopcy długo szli w milczeniu. Białe słońce zimowe oblewało jasnym blaskiem nieskończone pola śniegu i zapalało na nich bogactwo różnobarwnych światel, ale ścieżka ciągle była zamrznięta, jednakowo twarda, bo słońce siły nie miało roztopić zeskorupiałej, jednolitej warstwy. Woddali, na błękitnawem tle dolin, rysowały się nieregularne, poszarpane linje świerków, dziwnie szlachetnie i czysto; tu i ówdzie błyskały czerwone plamy skał nagich, widniały wioski jednostajnymi szeregami dachów, zdobnych w koronki przeczoczystych sopli. Promienie słoneczne załamywały się w nich

tysiącami świateł, pieściły zamarzłe, ukwiecone szyby, ślizgały się po zaśnieżonych murach, oszronionych drzewach, po ziemi spowitej w białe, nieskalane puchy.

Najbliżej ukazywało się spore miasteczko Grandfonten, wpół zakryte jeszcze występem Dononu. Powoli, leniwie wstawało dzisiaj do pracy, — po uliczkach snuli się ociężale nieliczni przechodnie, na przyzby wylegli zgrzybiali staruszkowie, aby wypalić fajkę, pogawędzić trochę, — opodał, przy dużej przerębli w sadzawce, gromadka młodych dziewcząt pierze chusty. A wszyscy poruszają się niby bez szmeru, do uszu idących nie dobiega żaden odgłos, żaden najśłabszy nawet szelest.

Stary leśnik zatrzymał się na skraju lasu.

— Sam pójde do wsi — rzekł stanowczo — wstąpię do Diubrejla, właściciela zajazdu „Pod jodłową szyszka“.

Kijem wskazał obszerny, podłużny budynek, z szeregiem drzwi i okien, okolonych żółtawą obwódką. Nad głównym wejściem zwieszała się zamiast szyldu ogromna gałąź jodłowa, obciążona mnóstwem szyszek.

— Zaczekajcie tutaj — ciągnął ojciec dalej — jeśli się okaże że nie nam nie grozi, tedy stanę na progu z kapeluszem w rękę i przyjdziecie posilić się trochę.

Puścił się szybkim krokiem naprzelań po śniegu, przez rozległą szachownicę niewielkich warzywnych ogródków, potem szeroką brózdą dotarł do łąki, co już leżała w dolinie, minął staw zmarznięty i wkroczył w główną ulicę miasteczka. Synowie patrzyli za nim, powstrzymując oddech — znikł wreszcie we wrotach oberży. Ale wkrótce ukazał się znowu i tym razem powiewał dużym kapeluszem...

Nie przeszło dziesięć minut, połączyli się z ojcem w przestronnej sali zajazdu, niskiej, okopconej dymem, obficie wysypanej żółtym piaskiem. W rogu izby mruczał spory piecyk z lanego żelaza, umalowany na szafirowy piękny kolor, a przez całą długość biegły wąskie sosnowe stoły, wyszorowane pracowicie skrzypem.

Oprócz oberżysty Diubrejla, który słynął z niesłychanej tuszy wśród wszystkich właścicieli zajazdów w Wogezach i który właśnie „napelniał“ sobą w tej chwili wielki skórzany

fotel przy kominku, a napełniał tak szczelnie, że już z trudnością mógł powstać z niego, — w izbie znajdował się tylko Mateusz, a przed nim trzy kubki i butelka wina. Okrągłe, wylupiaste oczy oberżysty przyglądały się staremu podejrzliwie, aż mu się trząśł pulchny potrójny podbródek i duża brodawka na prawym policzku. Na zegarze wybiła przed chwilą dziewiąta, tak przynajmniej oznajmił misternie wyrobiony cietrzew, który wyskoczył z boku cyferblatu.

— Dzień dobry, panie Diubrej! — ozwały się dwa młode szorstkie głosy.

— Jak się macie chłopaki, jak się macie! — wykrztusił gospodarz z wielką łaskawością. — Nic nie przynosicie? — zagadnął ze zdziwieniem po niejakim czasie.

— Tak się złożyło — oddał Kasper krótko. — Zima oto idzie, trzeba będzie wyprawić się na dziki.

Postawili karabiny za ławą, przy oknie, a niedaleko, na wszelki wypadek. Potem okraczyli stół niezgrabnie i zasiedli naprzeciwko ojca, w należytem, szacunku pełnem oddaleniu.

Spełnili kubki duszkiem. — Zdrowie twoje, panie bracie! powiedział każdy z namaszczeniem. Nie zaniedbywali nigdy takich wzajemnych grzeczności.

— Więc utrzymujecie, że lasy tutaj są spokojne — zwrócił się Hengst nagle do Diubrejla, jakby nawiązując wątek przerwanej rozmowy. — Możemy zatem zapolować bezpiecznie na dzika?

— Och! Przepraszam, tego nie mówiłem — zaprzeczył skwapliwie oberżysta — wiem tylko, że sprzymierzeni nie wychylali się dotąd za Mutzig¹⁾. Zresztą ja się inaczej, niż wy, zapatruję na całą tę sprawę. Oni złego nie czynią nikomu. A przyjmują chętnie wszystkich ludzi dobrej woli, którzy zgoda się iść z nimi przeciwko przywłaszczycielowi.

— Przywłaszczycielowi! Czy wolno wiedzieć, kto to taki? — zapytał Mateusz z przekąsem.

— Napoleon Bonaparte, to chyba wiadomo — odparł gospodarz, wydymając usta. — Spójrzycie-no na ścianę.

¹⁾ Miasto w bliskości granicy.

I pokazał wielki papier, przybity do okopconego muru tuż koło zegara.

— Przypatrzcie się jeno temu, a przekonacie się zaraz, że Austriacy to są prawdziwi nasi przyjaciele.

Brwi staro-go leśnika skurczyły się groźnie, opanował się jednak natychmiast. — Powiadacie? — zaczął zwolna.

— Nic nie powiadam, przeczytajcie sami.

— Nie umiem czytać, panie oberżysto — tłumaczył Hengst pokornie — a tembardziej moi chłopcy. — Niechże pan nam objaśni, co mówią te litery.

Diubrejl oparł czerwone, żyłaste ręce na fotelu i zaczął gramolić się z trudnością, przeraźliwie chrząkając i sapiąc; powstał wreszcie i szedł powoli do druku, buńczucznie ująwszy ię w boki. Po chwili już czytał uroczystym głosem odezwę sprzymierzonych mocarstw, ogłaszającą „wszem wobec, że prowadzą wojnę z Napoleonem tylko, a nie z Francją. Ludność powinna być zatem spokojna i nie mieszać się wcale w te sprawy — pod groźbą i karą rozstrzelania, spalenia, rabunku“.

Trzej mężczyźni słuchali w głębokiem milczeniu, porozumiewając się chwilami wzrokiem.

Oberżysta skończył i z taką samą ceremonją zasiadł ponownie w fotelu.

— Widzicie — rzekł zadowolony z siebie.

— Ale skądże ten papier znalazł się u pana? — zapytał nieśmiało Franciszek.

— Kazali go wszędzie rozlepić — rzucił krótko.

— Chwała Bogu zatem, że dowiadujemy się w porę — wtrącił pośpiesznie Mateusz, kładąc ciężką rękę na ramieniu syna, który już powstał z błyskiem zaciętości w oczach. — Ognia chcesz, Kasprze? Weź moje krzesiwo.

— Więc ci poczciwi Niemcy nic nie zabierają? — ciągnął stary leśnik dobrodusznym niby tonem.

— Spokojnym ludziom nic nie robią, przyjacielu, zapewnił właściciel oberży stanowczo. — Tych tylko gnębią, którzy się opierają i burzą: — takim cały dobytek niszczą i powiem, że słusznie, bo za cóż ci spokojni mają cierpieć? Wy, na przykład, moglibyście się ich nie obawiać. Przekonany nawet jestem, że dobrzeby was przyjęto w głównym sztabie sprzymierzonych.

Kraj znacie doskonale,—zastąpilibyście przewodników,—a zapłaconoby z pewnością grubo.

Na chwilę zapanowała głucha cisza. Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie przeciągle, potem Hengst oparł na stole drżące dłonie i wzrokiem nakazał spokój synom,—twarz mu pobieleła tylko od obelgi.

— Jeśli bać się czego, to właśnie zapuszczania się w lasy—mówił Diubrejl dalej, nie spostrzegając nic z tych niemych znaków. — Okolice nie są stanowczo bezpieczne. Ci głupcy z nad Sarry i Dagsburga umyślili bawić się w powstańców! Szykują zbrojny opór! Zapachniał im chyba rok dziewięćdziesiąty trzeci! ¹⁾

— Nie mylicie się czasem, panie oberżysto? — zapytał Mateusz, z trudnością powstrzymując wybuch.

— Czy się mylę? A spojrzycie - no tylko przez okno: pełno ich przecież przy drodze na Donon. Słyszałem też, jak się zemścili na anabaptyście Pelslim, który nie chciał im pozwolić rozkładać ogni wokoło swego folwarku: przywiązali biedaka za nogę do łóżka. A kradną, rabują, psują trakty—niczem najgorsza szarańcza! Za kilka dni jednak cienko będą śpiewać. Nie tysiąc ludzi uderzy na nich, ani nawet dziesięć, ale miljarady i krocie. Wywieszają wszystkich.

Hengst powstał gwałtownie.

— Czas w drogę, chłopcy—odezwał się zmienionym głosem. — O drugiej musimy być w boru, a gadamy tutaj, niby stare baby. Do widzenia, panie oberżysto!

Wyszli z pośpiechem, ledwie hamując gniew, co żarem zalewał im piersi.

— Zastanówcie się nad tem, co wam powiedziałem — krzyknął jeszcze za nimi gospodarz.

— Chwila dłużej, a byłbym mu rozbił butelkę o ten łeb przeklęty — mówił Mateusz do synów, cały drżący od wewnętrznego wzburzenia.

— Jabym mu tam odrazu przekłuł brzuch bagnetem — mruknął Franciszek, zaciskając pięści.

¹⁾ Z czasów wielkiej rewolucji francuskiej.

Kasper przystanął nagle, jakby chciał zawrócić, — prawa ręka nerwowo szukała rękojeści myśliwskiego noża, rysy przybrały ostry, bezlitosny wyraz. Stary pociągnął go silnie w przeciwnym kierunku.

— Chodźże już, zapaleńcze, — szepnął niecierpliwie i rozkazująco. — Zostawimy tę sprawę na później. A to łotr dopiero, mnie, m n i e śmiał doradzać zdradę ziemi rodzinnej! Hullin jasnowidzącym jest chyba, kiedy nam tak zalecał spokój i ostrożność!

Nie szli, lecz prawie biegli przez ulicę, roztrącając nielicznych przechodniów, oczy im pały, twarze krwią nabiegły, — aż się ludzie oglądali za nimi ze zdziwieniem, wzrokiem pytając innych, co się niezwykłego stało.

Dotarli wreszcie do skraju miasteczka. Już za kościołem, na zakręcie drogi, przy starym, spróchniałym krzyżu, Hengst zwolnił nieco kroku i ruchem ręki przyzywał idących z tyłu synów. W milczeniu wskazał porośłe lasem zbocze góry, potem miasteczko Framon, całe zakryte prawie wieńcem jodeł, i stromą ścieżynę, okalającą je szerokiem kołem.

— Pójdziecie teraz tamtędy — postanowił po chwili krótkiego namysłu — ja zaś traktem do Szirmeku, podług rozkazu dowódcy. Iść będę powoli, żebyście mogli nadszyc; sporo drogi nałożycie, ale trudno.

Rozdzielili się zaraz, i młodzi posłusznie jęli się oddalać w stronę lasu, a Mateusz dalej szedł pustym gościńcem, z pochyloną głową, zamyślony, żałując trochę, że się nie rozprawił po swojemu z oberżystą. Ciężko to czasem nieść na własnych barkach powodzenie wspólnej sprawy! Przytem synowie byliby z pewnością wmieszali się także, — trzech na jednego — zawsze brzydko; Mateusz chce wymierzyć sprawiedliwość i zabić może, — ale honorowo, nie w karczemnej, nierównej i podstępnej bójce.

Od czasu do czasu mijał stada owiec, kóz i wołów, które z pośpiechem gnano w góry. Bydło pędzili chłopci z dosyć nawet odległych okolic. Biedne zwierzęta ryczały chwilami żałośnie i ledwie się trzymały na nogach ze zmęczenia, — aż zwróciło to wkońcu uwagę leśnika.

— Co wam tak śpieszno? — zagadnął któregoś z pastuchów. — Czyżbyście przypadkiem nie ufali bogobojnej odezwie sprzymierzonych?

— Nie żartujcie z nieszczęścia! — odparło kilka głosów przygnębionym tonem. — Odezwy! Poznaliśmy się już na ich wartości! Oni nas rabują, kradną bez litości, zabierają konie, krowy, owce i wszystko co lepsze z dobytku, ściągają przymusowe opłaty, kary za byle głupstwo. Rozpacz już nas ogarnia!

— No, proszę, nie do uwierzenia! — rzekł zcicha i niby do siebie Mateusz — w głowie mi się pomieścić nie chcą wasze słowa. Tacy poczciwi ludzie, przyjaciele, zbawcy Francji! I wydali przecież taką pełną obietnic odezwę! Nie, to niepodobna.

— Więc zejdźcie w doliny, bracie, w głąb Alzacji, a przekonacie się sami — odezwał się jakiś wieśniak siwowłosy, ponurym wzrokiem patrząc w ziemię. I dalej szli, zawodząc, jęcząc, a Hengst gonił za nimi oczyma smutnemi.

Im bardziej posuwał się naprzód, tem gorsze panowało zamieszanie; uciekali ludzie w popłochu, nieprzytomni z trwogi, pędziły wozy zwartą ławą, a na nich resztki ubogiego mienia, pościel, mięso wędzone, połamane meble, kobiety i dzieci. A wszyscy powtarzali rozpaczliwym, przełkniętym chórem: „Zgubieni jesteśmy, zgubieni!.. Niemcy już idą! Niemcy i kozacy!“

Ostatni okrzyk ciągle przebiegał po drodze, kobiety zasłaniały oczy drżącymi rękami, dzieci stawały na wozach i wylękłem spojrzeniem wodziły po opuszczonych wioskach. Wstyd oblewał ciemne czoło starego leśnika, gdy błdził wzrokiem po tem mrowiu ludzkim, po braciach, opętanych bezrozumną trwogą, pochłoniętych jedynie myślą ocalenia choćby cząsteczki dobytku, uchylających się od świętego obowiązku bronienia krwią własną ojczystej ziemi.

W miejscu, gdzie trakt lewym bokiem przytyka do podnóża górskiego łańcucha, na samym skraju lasu, czekali już młodzi na ojca i wszyscy trzej podążyli razem do niedalekiej karczmy „Pod złotym kluczem“, którą zdawien dawna utrzymywała wdowa, zapobiegliwa i skrzętna wielce gospodyni.

Mateusz pchnął drzwi zajazdu i ociężałym krokiem wszedł do izby. Wdowa i jej dwie córki podbiegły, załamując ręce; łyzy jak groch ściekały im po bladych policzkach, włosy spadały na szyję potarganym węzłem, oczy patrzyły błędnie, prawie nieprzytomnie.

— Głowę straciliście, matko — zaczął stary, gniewnie stukając kijem po podłodze. — Czy to wam nie wstyd? Zamiast upadać na duchu, powinniście jeszcze dawać dobry przykład córkom.

— Och, Mateuszu! — jęknęła wdowa. — Nie wiecie chyba, co nam grozi?!

— Wiem doskonale: nieprzyjaciół idzie, prawda? I cóż tak strasznego? Nie utną wam przecież głowy.

— Ale poniszczą wszystko bez litości — przerwała oberżystka, płacząc rzewnie. — Wczoraj właśnie wróciła Urszula z Szledsztadu i powiada, że Austriacy ciągle tylko wołają knedli, a kozacy i Bawarowie kwaszonej kapusty. Pochłaniają podobno tego całe stosy, a potem, jeszcze z pełnemi ustami, krzyczą czekolady. Mój Boże! Jak tu wyżywić takich obrzydłych żarłoków!

— Prawda, że się przed wami otwiera niewesoła przyszłość — przemówił ze współczuciem leśnik. — Łatwo tym zbójom zajadać cudzą krwawicę!

— Tymczasem dajcie nam po kubku wina! — rzekł Kasper.

Młodsza dziewczyna pobiegła zaraz do piwnicy, a izba zapełniła się powoli ludźmi.

Wszyscy siadali przy tym samym stole, około okna, żeby mieć na oku zagrożoną drogę; wołali wina, powtarzali sobie wiadomości, a wszystkie były podobne, wszystkie mówiły o wrogu plondrującym bezbronną Alzację. Potem posypały się opowiadania do prawdy niepodobne. Więc jeden utrzymywał, że nieprzyjaciół nadciągnęło tylu, ile piasku w morzu, ile gwiazd na niebie, — że tyle mają na sobie wstrętnego robactwa, że się roi po każdym noclegu, a liście zeschłe poruszają się niby żywe... Inny widział, jak kozacy podłożyli ogień pod jakąś wioskę. Niektórzy jedli mydło jakby najsmaczniejsze sery, a zamiast placka skórę ze słoniny. A wszyscy piją wódkę całemi kwartami i jeszcze ją nawet

zaprawiają pieprzem „dla lepszego smaku“. Pożerają, co tylko się trafi, i nic się przed nimi nie ostoï.

Przez zamknięte okna dochodził coraz gwałtowniejszy turkot wozów, ryczenie bydła, krzyki tratowanych ludzi, — wrzawa i jęki zlewały się w piekielny chaos; zdawało się, że nadszedł chyba dzień sądu ostatecznego...

Południe już było i właśnie Hengst zaczynał się zabierać do odwrotu, kiedy nagle krzyk się rozległ głośniejszy i bardziej przeciągły, niż inne. Po chwili dało się słyszeć wołanie: „Niemcy! Niemcy! Austriacy!“

Z trwogą rzucono się do drzwi, — zeskakiwało z drogi w śnieg głęboki, ludzie przewracali się w pośpiechu, gnietli — spędzano z traktu niespokojne stada, wozy skręcały gwałtownie, i tłum cały pędził co sił w kierunku najbliższego lasu. W zajeździe pozostał jedynie Mateusz z synami.

Po kilku minutach trakt opustoszał doszczętnie i wyglądał niby ogromne pobojuwisko; wdali czerniała tylko jeszcze zwarta fala ludzka.

Leśnik otworzył okno i bystrym wrokiem pogonił po zamkniętej drodze.

— Nic nie widać — oznajmił po chwili.

— Nic, zupełnie — potwierdzili chłopcy.

— To smutne — ciągnął Hengst. — Smutne, bo trwoga tych ludzi dodaje tylko sił wrogowi. O, nie tak, nie tak przyjmujemy ich w górach! — wyrwało mu się prawie mimowoli.

— Strach jest niskiem uczuciem, — mówił dalej, wzruszając ramionami z wyrazem pogardy — zawsze to jednak człowiek ma jedno tylko życie. Nie można tym bezbronnym biedakom tak bardzo się dziwić. Chodźcie, chłopcy!

Skręcili teraz ku górom, jakąś boczną, zarosłą drożyną, która znikła w otchłaniach szumiącego lasu. Tutaj Mateusz przystanął, popatrzył chwilę wdół na opustoszałe, szare wstęgi dróg i oznajmił synom, że teraz muszą się wędrczyć na najwyższe cyple, żeby móc dojrzeć jak najrozleglejszą przestrzeń, bo w ten tylko sposób mogą przynieść, jeśli nie zupełnie dokładne, to przynajmniej bardzo do prawdy zbliżone wieści

o nieprzyjacielskich siłach. Sami rozumieją chyba, że opowiadania wszystkich dotąd napotkanych ludzi nie zasługują, niestety, na wiarę.

Wszyscy trzej, bez dalszej już zwłoki, zanurzyli się pośpiesznie w ciemnym borze. Wkrótce pięli się już po nagiej górze, stromą, tuż nad przepaścią przewijającą się ścieżką, wyżej i wyżej, ku poszarpanym, ostrym linjom szczytu.

Na białem tle zboczy zamajaczyły trzy czarne punkciki, prawie tuż pod samem niebem. Znieruchomiały nagle, zastygły w martwe, wyraziste plamy. To leśnik i młodzi. Po lewej stronie gór pusto i cicho, jak zasięgnąć okiem, ale na prawo niepokalaną biel śniegu zbrudziły szare, niezliczone smugi. Tam rozsiadł się nieprzyjaciel. Trzy mile go oddzielają od głównego traktu; koło Urmattu zaczyna się czoło tego potwornego węża, dalej biegną pierścienie coraz szersze, aż kończą się ogromnym kłębem, — tu stanęły bagaże, artylerja, tabor...

Po bokach tu i ówdzie, niby oderwane ogniwa wielkiego łańcucha, czernieją wstęgi najeźdźców, opasujących bezbronne wioski kręgiem łez i śmierci; gdzieniegdzie, bliżej już, błyskają bagnety, poruszają się, szare, w bojowym szyku idące kolumny.

Mateusz natężonym wzrokiem wpatrywał się w nieprzyjacielski obóz, jakby zapragnął go wyryc w pamięci; z uwagą śledzi pozycję, stara się odgadnąć ruchy, liczy siły...

— Jest ich co najmniej trzydzieści tysięcy — ozwał się wreszcie z zaszępioną³ twarzą. — I, jak widzicie, idą w naszą stronę, zaatakują więc jutro, najdalej po jutrze. Trudna będzie sprawa, ale da Bóg — nie damy się im. Ich przewaga w liczbie, nasza — w sprawiedliwości i obronnych górach. Przytem dobrze jest strzelać do zwartych szeregów: wtedy się żadna kula nie zmarnuje.

Spojrzał na słońce i dodał spokojnie:

— Druga być musi. Wszystko już wiemy, cośmy chcieli wiedzieć. Możemy wracać.

Karabiny zarzucili na plecy i jęli zstępować z pośpiechem po zboczu — i szli tak po urwistych skałach, zawianych śniegiem, oślizgłych od lodu. Bez wahania, z wprawą wytrawnych

górali mijali bezdenne, najeżone głazami przepaście, darli się po szczytach jak najzręczniejsze kozice.

Dwie godziny już upłynęły na takiej uciążliwej, męczącej wędrówce, a jeszcze nie zwolnili kroku. nie pozwolili sobie na chwilę wytchnienia. Żłota kula słoneczna wysłała ostatni snop jasnego światła i skryła się za góry, cały widnokrąg płonął blademi zorzami zachodu i noc czyniła się cicha, spokojna, widna. Do przebycia pozostało jedno tylko zbocze i niedostępny, samotny wąwóz, oblegający szeroką kotliną okoliczne lasy, ten sam, co zazdrośnie strzeże w swoim łonie błękitnawe, prześliczne jeziorko, do którego latem przemykają się sarny w tajemnic pełne księżycowe noce.

Trzej powstańcy wynurzyli się właśnie z gęstwiny, kiedy Hengst stary zatrzymał się nagle i palce położył na ustach.

— Tsss... — wybiegło z ust nawpół przymkniętych.

Podniósł rękę i wskazał na małe jeziorko, ścięte przejrzystą lodową skorupą. Młodemu starczyło jedno krótkie mgnienie oka, — i wszyscy trzej cofnęli się w krzaki prawie bezwiednym, mimowolnym ruchem. Na polance kręciło się około dwudziestu żołnierzy w wysokich czapach, w zniszczonych mundurach, niektórzy prawie w łachmanach, a wszyscy siedzieli na małych, niezgrabnych konikach, którym potargane grzywy spadały aż na piersi. Jedni za całe uzbrojenie mieli dzidy, inni szable, inni jeszcze coś, niby siekiery, przywiązane sznurami do siodła, nielicznym tylko lśniły się pistolety zatknięte u pasa. Znać było na ryszstunku i na wymizowanych ludziach długą, bitwami poznaną drogę. Kilku przyglądało się z zachwytem zębata, poszarpanym ścianom wąwozu, na których tu i ówdzie znaczyły się malownicze, oszronione świerki i spokojne linie ciemnych jodeł, co wyrastały na każdym znaczniejszym występie i rysowały się coraz delikatniej, smuklej, wyżej, aż pod szczytami, pomiędzy perłowemi, zadumanemi chmurami. Jakiś wysoki, o ponurej twarzy, żołnierz raz po raz uderzał w łód ostrzem lancy, a kiedy się zjawiła czarna plama wody, rozluźnił popręgów koniowi — i zwierzę zaczęło pić z chciwością wielką, aż na pysk mu spadała grzywa i zasłoniła długą, chudą szyję.

Niektórzy posiadali z wierzchowców i przechadzali się koło jeziorka, odgarniając śnieg.

Oddział nieprzyjacielski odbywał najwyraźniej tutaj krótki postój i przelotnie tylko gościł nad brzegiem zmarzłego jeziora, — a przecież obecność tych obcych postaci dziwnie jakoś posepnie odbijała się od skał, milczących dumnie, od jodeł zielonych, zcicha skarżących się niebu, od kryształowych toni jeziorka...

A trzej myśliwi wpijali w jezdnych chciwe, groźne oczy... Upłynęło tak może kilkanaście minut... Potem niedostrzeczalny szelest ozwał się w gęstwinie: to Kasper i Franciszek odstąpili wtył dwadzieścia kroków, — założyli bagnety na samą krawędź luf błyszczących; cicho, jak koty, wdarli się wszyscy na pobliski załom skalnej ściany... Zaszemrało kilkanaście słów rzuconych szeptem, młodzi zasłonili własnem ciałem bezbronnego ojca, potem jeszcze Kasper obejrzał z uwagą panewkę, ruszył krokiem naprzód, złożył się powoli...

Żołnierz pojący konia znajdował się o pół stajania. Nagle rozległ się huk strzału i odbił się przeciągłem, ogłuszającym echem w wąwozie... Jeździec się zachwiał, rozwarł ręce, głowa opadła mu na kark wierzchowca i przez łeb zwierzęcia zsunął się na białe śniegi. Zatrzeszczała cienka lodowa powłoka i nad połową ciała zawarły się chłodne fale...

Pozostałych ogarnęło nieopisane przerażenie. Trwogą ośleple spojrzenia pobiegły w las drzemący i na groźne skały, co brzmiały jeszcze w nieskończony, coraz słabszy odzew. A szare szczyty milczały wyniosłe i majestatycznie i nie zadrgały nawet puchy szronu na przezroczystej koronce zieleni; tylko z otchłani boru, w którym kryli się górale, wypłynął siny obłoczek prochowego dymu i stopił się zaraz z wieczornemi mgłami.

Kasper w mgnieniu oka nabił broń powtórnie i dźwignął karabin do strzału, kiedy niespodzianie zawrzało w kotlinie: piesi żołnierze dopadli swych koni i cały oddział w nieładzie, w popłochu, szalonym pędem rzucił się do ucieczki. Po chwili dopiero szeregi ich rozdarł krzyk śmiertelnej trwogi.

— Hurra! Hurra! — nawoływały swoich dzikie głosy.

Uciekający przemknęli po kotlinie błyskawicą: Kasper pociągnąć miał właśnie za cyngiel, gdy w ciemnej szyi znikł ogon ostatniego konia. Kasper broń z niechęcią zarzucił na ramię.

Przy jeziorku tylko szarpał się jeszcze wylekły koń zabitego i nie mógł uwolnić prawej nogi swego pana ze splątanego, sznurem zaciśniętego strzemienia. Biedne zwierzę kopytami ryło po śniegu ze strachu, wspinało się na zadnie nogi i rżało żałośnie.

Mateusz poruszył się z niecierpliwością.

— Już ich niema! — wyrzekł, obejmując radosnem spojrzeniem kotlinę.

Stary chwycił konia za uzdę i pogłaskał po spienionym pysku.

— Z nami pójdziesz, bratku — odezwał się pieszczotliwie. — Prędko się nauczysz po francusku.

— Śpieszmy, ojcie — wtrącił nieśmiało Kasper.

— Czekaj! zabierzemy z sobą tego trupa. Niechże i tamci zobaczą, jak wygląda nieprzyjaciół. Nic po gończych, które nie znają tropionej zwierzyny.

Wydobyli zabitego wspólnymi siłami z jeziora, złożył go na grzbiecie zdziwionego konia i przywiązali mocno szerokim rzemieniem. Potem ukosem przecięli kotlinę i jęli pisać się po zboczu Dononu taką stromą ścieżką, że stary leśnik co chwila wołał na Kaspra, idącego przodem:

— Którędy prowadzisz, głupcze! Koń tedy nie przejdzie.

Zwierzę wspinało się jednak z łatwością, jakby przyuczone do chodzenia w górach, — wyprężone, ze zgiętym w kałbłąk grzbietem, dało się wyżej i wyżej po spadzistej skale.

— Przeklęty naród, ale mają doskonałe konie — przemówił nareszcie Mateusz. — Tego biorę dla siebie i kiedy już całkiem zestarzeję, jeszcze na nim potrafię polować na sarny. To ci mądre bydło. Chude to, niepozorne, wygląda jak krowa, a siłę ma jak najpiękniejsze, najdroższe rumaki.

Od czasu do czasu wzrok starego uporczywie wpatrywał się w beładnie zwisającą postać zabitego.

— Jakiś poganin dziki — zawyrokował po niejakić chwili — niepodobny do bożego stworzenia. Nos okrągły, spłaszczony,

czoło niby sernik. I takie poczwary chodzą po świecie! Twój strzał dobry, Kasprze, — w sam środek piersi, a kula przeszła nawylot przez plecy. Proch doskonały także — Marek zawsze ma wyborny towar.

Była może szósta, kiedy dobiegło ich wołanie pierwszych straży. — Kto idzie?

— Francja! — odkrzyknął donośnie Mateusz, wynurzając się z pomiędzy jodeł.

— Hengst wraca! Wracają wysłani na zwiady! — przemknęło wśród ognisk lotem błyskawicy.

Zagotowało się w obozie, ruszono tłumem na spotkanie przybywających, nadszedł śpiesznie Hullin, doktor. Trzej mężczyźni zatrzymali się przy jednym z ognisk, — otoczyli ich zwartem kołem najciekawsii, klepali zdobytego konia, dotykali trupa, — inni przyglądali się zdala, z rozwartemi usty.

— Czy poznajesz ten mundur? — spytał Jan Klaudjusz półgłosem starego leśnika, ściskając mocno dłoń podaną, — i oczyma wskazał zabitego.

— Naturalnie. Jeszcze z dawnych czasów — odparł Mateusz spokojnie. — Nadarzył nam się w wąwozie, nad jeziorkiem. Kasper go zabił od jednego strzału.

Złożono skostniałe zwłoki przy ognisku, płomień oświecał żółtym blaskiem twarz umarłą, która w tem półoświetleńiu wydawała się bardziej miedzianą i dziką, niż za życia.

— Jeśli się nie mylę, to przed nami leży wspaniały okaz tatarskiego szczepu — odezwał się doktor, patrząc z uwagą na zastygłe rysy.

— Wiedziałem, że coś przyniesiemy — wymówił wreszcie Hengst. — Ja i moi chłopcy jeszcześmy nie wrócili nigdy z próżnemi rękami. A sprawcie tam biedakowi przyzwoity pogrzeb: już on przed boskim sądem teraz, co mu tam żałować garstki ziemi.

ROZDZIAŁ X.

W zagrodzie anabaptysty ruch na chwilę nie ustał tej nocy, — gorączkowe przygotowania dosięgły najwyższego szczytu,

zarządzano coraz to nowe środki obrony, zdwojono strażę, — pracowali wszyscy bez wytchnienia.

Od czasu do czasu wybiegał ktoś z rozkazem wodza.

Jan Klaudjusz obrał środkową izbę na kwaterę; stamtąd roztaczał się rozległy widok na okoliczne doliny, Tuż obok, po drugiej stronie sieni, królował doktor: urządzono tam szpital polowy, zaciszny, zasłonięty od gwarów obozu potężnymi ścianami stodoły, — na pięterku mieściła się rodzina gospodarza i czeladź.

Noc była spokojna, cicha, jasna światłami gwiazd niezliczonych, a przecież tak mroźna, że się aż biało czyniło od ludzkich oddechów i szyby się powlekły na cał grubą, twardą warstwą lodu.

Niekiedy przecinał powietrze ostry okrzyk straży, rzucających hasło przy zmianie placówek, to znów chrzęściły po śniegu miarowe, jednostajne kroki patroli, obchodzących obóz, albo z pobliskich zboczy dobiegało złowrogie wycie wilków i napełniało ciszę nocną posępnem, przeraźliwem echem; węszyły one krew świeżą, przeczynały bliską ucztę, a głód im targał wnętrzności.

Góralom krew tężała w żyłach, aż ten i ów żegnał się pobożnie.

W oborze żalosnym rykiem ozwały się woły, a spłoszone konie jękliwie wtórowały rżeniem.

Wokoło folwarku płonęły ognie, płomień buchał wgórę słupami czerwonych języków, twarze piekły się prawie od żaru, a plecy dygotały z zimna.

W środkowej izbie, przy wielkim sosnowym stole, siedzi Hullin; sam jeden, z czołem podpartem na rękach, cały zatopiony w ciężkich myślach, co uporczywie krążą koło wieści, przyniesionych przez starego Hengsta. Jest przekonany, że nieprzyjaciół z rozpoczęciem kroków zaczepnych będzie czekał najdalej do jutra. Rozkazał więc wydać kule, naboje, pociski, powiększył warty, do czuwania bez przerwy powołał patrole, każdemu z ludzi wyznaczył pozycję, wzmocnił zasieki i wały. W razie nagłego napadu wszyscy powinni stanąć w szyku bojowym.

Od strony Grandfontenu słyhać bezustanny tętent koni—melduje świeżo przybyły, oszroniony żołnierz.—W dolinie porusza się czarna jakaś, zwarta masa.

— Wódka zamarzła nam w beczce, dowódco—odzywa się siwy góral od samego proga.

— Prochu żądają zewsząd — woła trzeci.

— Brak tego... brak tamtego... — dobiega co chwila głos nowy i łączy się z ogólnym chórem.

Całą noc trwa procesja do głównej kwatery, — cała noc schodzi Hullinowi na pracę.

O piątej nad ranem do izby wpadł starszy syn Hengsta i oznajmił, że Marek nadciąga z wielkim wozem prochu, a Katarzyna Lefewr przybywa z żywnością. Znużona twarz starego wodza rozjaśniła się radością ulgi. Dotąd trapiła go głównie obawa, że Marek nie wydaży na czas. Wyszedł pośpiesznie za Kasprem.

Noc już ustępowała i cała przyroda drżała przecuciami świtu. Doliny i sąsiednie góry zakryły szczelnie tumany mgły sinej i gęstych białawych oparów, nad przepaściami rozpostarła się szara, zdradliwa zasłona; purpurowe języki palących się ogni pełzały leniwie po ziemi i drżały niepewnem światłem.

Na prawo, o pięćdziesiąt kroków za obozem, czernieje we mgle jakaś niewyraźna masa, dobiega szept cichej rozmowy, stłumione rzenie koni, „zabijanie“ rąk zziębniętych.

— Dowódca idzie — odzywa się Kasper, podchodząc do przybyłych pewnym krokiem.

Zajaśniało nagle ognisko, przyrzucono jeszcze drzewa i z tumanu wynurzyło się dwunastu konnych mężczyzn, ubranych w ciemne płaszcze, w wywiniętych wielkich kapeluszach; żyłaste dłonie wspierają się na rękojeściach szabel, ogromne, nastroszone wasy przydają srogości obliczu. Wszyscy otaczają wóz wyładowany ciężko, szczelnie zaciągnięty płachtą. Opodal widać wóz drugi i postać kobiety, zatuloną w chusty. Z pomiędzy ździebeł słomy błyska sadzami uczerniona krawędź kotła, rożen, krata do pieczenia, zielone główki kapusty, wieńce brązowej cebuli, wieprzak zarznięty i stosy chleba.

Od zwartej grupy ludzi odłączyła się postać barczysta i podjechała do zbliżającego się śpiesznie Hullina.

— Czy to wy, dowódcy?

— Tak, Marku.

— Przywiozłem parę tysięcy naboju. Bajzel pracuje dniem i nocą.

— Doskonale!

— A pani Katarzyna zaopatruje obóz w obfite zapasy żywności.

— Bóg jej zapłać! Potrzeba tego ciągle, a bitwa już blisko.

— I ja tak myślę. Nagliłem też, ile się dało. Gdzie mają złożyć prochy?

— Za folwarkiem, pod szopą. Jak się macie, Katarzyno!

— Witajcie, Janie Klaudjuszu! Porządny mróz dzisiaj, nieprawdaż?

— Niech go licho porwie!

Oddała lejce Michałowi i zaczęła iść w stronę folwarku, zaciekawionym wzrokiem wodząc po obozie.

— Przyjemność mi sprawiają te szeroko rozrzucone ognie. — Zwróciła się nagle do Hullina: — Gdzie jest Ludka?

— W szpitaliku, tam, gdzie błyszczy światło—odpowiedział, wskazując wąską smugę, ścielącą się na śniegu. — Całą noc darła szarpie i szyła bandaże z córkami starego anabaptysty.

— Pewnie zmęczona biedaczka. Muszę im dopomóc.

Doliny leniwie, zwolna budziły się ze snu i stały spokojne, strojne bielą śniegów, wyiskrzonych w różowo-złotych promieniach słonecznych.

Doktór i gospodarz siedzieli obok Hullina na ławce i rozmawiali półgłosem o przyszłej niedalekiej walce.

— Bronić się nie tylko mamy prawo, ale obowiązek: — ciągnął doktor, głos podnosząc — przecież ojcowie nasi przed wiekami zajęli tę ziemię i jeden wielki obszar nieużytków zamienili znojnym potem w żyzne pola, te doliny i góry toż najświętsze nasze dobro, jedyna po dziadach puścizna.

— Ja temu nie przeczę, doktorze — bronił się uparty gospodarz, — ale powiedziano jest w Piśmie św.: „nie zabijaj“, powiedziano: „nie będziesz przelewał krwi bliźnich“.

Katarzyna Lefewr krajała przy stole chleb i szynkę w długie plastry i w milczeniu słuchała rozmowy dwóch mężczyzn; ostatnie słowa anabaptysty wzburzyły jednak wszystką krew w jej żyłach, błyskawice gniewu strzeliły z dumnych oczu, ręce się trzęsły.

— Chwała Bogu, Piotrze, żeśmy różnych wyznań,—odezwała się nagle drżącym z oburzenia głosem — bo gdybyśmy wszyscy byli z wami jednej wiary, to Niemcy, Austriacy i cała reszta sprzymierzonych mogliby nas obdzierać spokojnie, bez obawy żadnego oporu. Dopierożby się obłowili! Czy wam nie wstyd, będąc już starym, pleść takie niedorzeczności i takie bluźnierstwa?! Wyobrażam sobie, że wrogowie z rozkosząby nas „przechrzcili“ wszystkich na anabaptystów. Ale nie wszyscyśmy rozum stracili, na szczęście. Jabym tam nie umiała wyzbyć się ojcowizny dla pierwszego lepszego najeźdźcy! — Dziwni ludzie ci anabaptyści! Tylko bez urazy, Piotrze, nie chcę was obrażać, ale zrozumieć nie mogę, że są tacy, co umieliby obojętnie patrzeć, jak obcy, nieprzyjaciół zabiera mu ziemię. Radzę wam, gospodarzu, nie wychylajcie się z izby z takimi myślami i nie wtrącajcie się nam do niczego. Jak się wojna skończy, to wtedy opowiadajcie sobie o pokoju powszechnym. Podobne rozmowy bywają zajmujące, kiedy nic ważniejszego nie siedzi na głowie.

Jednym tchem wyrzuciła z siebie te gorzkie, wpół szydercze, nawpół smutne słowa i już spokojniej się zabrała do przerwanej pracy.

Zapanowała ciężka, nieprzyjemna cisza. Naraz drzwi skrzypnęły głośno i ukazał się w progu jeden z wartowników.

— Wróg ruszył, dowódco, — oznajmił uroczyście — chća chyba wdrzeć się na Donon...

— Idę w tej chwili, Szymonie, — odparł Jan Klaudjusz, podnosząc się z miejsca, — Pocałuj mnie, Ludko! no, dalej, odwagi, dziewczyno! I nic się nie trwóż, wszystko będzie dobrze.

Przycisnął ją do piersi gorącym, długim ruchem—dziewczę osunęło się na ławę niby martwe.

— Niechaj nikt krokiem nie rusza się z domu! tobie powierzam nad tem pieczę, Katarzyno!—dorzucił z niezwykłą stanowczością—zabraniam nawet zbliżać się do okien.

I wybiegł śpiesznie z izby. Kobiety przybladły.

Hullin tymczasem dosiegał już krawędzi płaskowzgórza i chciwy wzrok zagłębił w najbliższe doliny, od których dzieliło powstańców tylko 3000 metrów.

W dole roilo się wielkie mrowisko, czarne, zwarte szeregi płynęły z Grandfontenu i Framontu. Ze wszystkich drzwi miasteczka tłoczyły się ogromne kupy ludzi, błyskały w słońcu pochwy szabli, ostrza bagnetów, tornistry, a przybywało ich ciągle ze stodół, stajni, z rozmaitych zakamarków, coraz potężniejszą, szerszą ławą zaścielały drogę.

Przewalało się ze sześć tysięcy wroga, ciemniały czarne kaski Niemców, migotały różnobarwne kołpaki, hełmy i bermyce, iskrzyły się złotem bogate stroje huzarów, granatowe mundury ułanów, zielone, popielate, żółte, zdobne w jaskrawe wypustki, jezdni siodłali gorączkowo konie, piechota ustawiała się w długie kolumny.

W progu dostojniejszych domów gromadzili się zwolna oficerowie i cała starszozna, wyświeżona, strojna: zwinięte szyniele zalotnym, ciemnym pasem znaczyły im piersi,—niektórzy bystrem spojrzeniem obrzucili góry, inni gonili wylekłe kobiety i broniące się z rozpaczą całowali w pulchne różowe policzki.

Trębacze na rogach trąbili pobudkę, a góry odpowiadały im posępnem echem; dobosze zaciskali rzemienie bębnow — już gotowi do wymarszu; i coraz liczniejszą wstęgą płynęli żołnierze, a z Dononu wszystkie ich ruchy widać było jak na dłoni.

Jan Klaudjusz doświadczone okiem śledził ruchy sprzymierzonych, żaden najdrobniejszy szczegół nie uszedł jego uwagi, na pomoc przyzywał wspomnienia z lat dawnych i starał się odgadnąć znaczenie każdej ich czynności. Wkońcu, spojrzawszy raz jeszcze w dolinę, ruszył prędko po oślizgłych stokach.

Szedł w kierunku traktu, wzdłuż którego przyczaili się gęsto powstańcy. Po kilku chwilach drogę przecięły mu pnie

zwalone, kłody i umyślnie pokopane doły. Bez namysłu zakreślił do rowu, obwałowanego wysokim śniegowym nasypem, co wzniosł się na jego własny rozkaz przed czterema dniami, — miękki śnieg stęzał zaraz pod wpływem mrozu i utworzył nieprzebytą, prawie gładką zaporę lodową. A za nim stały się drzewa splątanemi pniami, również pokryte grubą warstwą szronu i zlodowaciałego śniegu. Za wałem i rowem biegł dopiero trakt cesarski, na którym teraz także piętrzyły się kłody i ciemniały szyje szerokich, umiejętnie skopanych dołów i rozpadlin. Stary z nieukrywanem zadowoleniem patrzył na liczne zasadzki i powtarzał sobie ciągle w duchu, że niełatwy do zgryzienia orzech napotkają wkrótce sprzymierzeni.

Po niedługiej wędrówce dojrzał bystrem okiem pierwsze pozycje górali z Dagsbergu, co się rozsypali długim sznurem wzdłuż zasieków. Wszyscy siedzieli na tłomoczkach, przy prawym boku błyszczała manierka, pomiędzy nogami karabin, do pochwycenia gotowy w każdej chwili, — wszyscy otoczeni sporym wieńcem śniegu, co zdala osłaniał im prawie całe ciało, ukazując tylko szerokie ciemne kapelusze, podobne do licznie rozsianych kamieni. A pozycje były wybrane tak dowcipnie, że, stanawszy, każdy mógł widzieć doskonale drogę, od której ich oddzielała jedynie pochyłość.

Nadejście Hullina powitali serdecznym szmerem.

— Czy prędko bić się będziemy, dowódco? — zewsząd ozwało się stłumionym chórem.

— Myślę, że za godzinę rozpocznie się taniec — odparł Jan Klaudjusz z uroczystą powagą.

— Tem lepiej!

— A pamiętajcie mierzyć uważnie, zwolna i zawsze na wysokość piersi. Nigdy nie trzeba się gorączkować w takich razach. No, i nie wychylajcie się zanadto ze śniegu!

— Wiemy! Wiemy! Bądźcie spokojni, dowódco!

I szedł dalej na coraz niebezpieczniejsze odleglejsze placówki, — a wszędzie przyjmowano go z jednakim zapalem.

Zbliżył się wreszcie do Hengsta. Stary siedział na pniu i palił fajkę, nie zważając, że mróz bezlitośnie szczypie mu policzki.

— Setniem się ubawił [dzisiaj, stary druhu—odezwał się Hengst z błyskiem nienawiści w nagle zmaconych żrenicach. — Bóg mię natchnął widocznie myślą śledzenia Grandfontenu.

— Co takiego? — spytał Hullin machinalnie.

— Oberżę „Pod jodłową szyszka“ widać jak na dłoni — zaczął Mateusz.—Z początku w miasteczku cicho było i spokojnie,—naraż otwierają się gwałtownie drzwi i spostrzegam czterech Niemców, wlokących za sobą... Diubreja... Patrzę dalej, co te draby poczną z „najwierniejszym“ przyjacielem. No, i wyobraż sobie: położyli go na kamiennej ławie przed własnymi drzwiami i „wsypali“, nie wiem już ile razy, porządnie, grubą pałą! musiał wrzeszczeć, szelma! Założyłbym się, że odmówił czegoś najdroższemu przyjacielom stary skąpiec.

Ale Jan Klaudjusz nie dosłyszał końca, bo w tej samej chwili rzucił przelotne spojrzenie w dolinę i dojrzał piechotę nieprzyjacielską, która z trudnością wdzierала się na pierwsze zbocze. Za tym pułkiem postępował inny, a dalej jeszcze w ulicach miasteczka regiment konnicy, — na czele wojska buńczucznie jechało sześciu oficerów.

— Idą! idą!—krzyknął z uniesieniem stary wojak i twarz cała zapłonęła mu ogniem zapału.

— Baczość, bracia!—zawołał donośnie, wyskoczył z rowu i pędem puścił się na swe stanowisko, na szczyt Dononu gdzie wczoraj już upatrzył odpowiednie miejsce. Stamtąd dopiero mógł pokierować bitwą, bo stamtąd tylko wszystkie pozycje widać było bez wyjątku.

Stanąwszy na szczycie, objął dolinę niespokojnym wzrokiem. W dole, o tysiąc pięćset metrów od nich, poruszały się sprawnie coraz liczniejsze kolumny, odziane w granatowe i białe mundury, szły jedne za drugimi pułki, waliło się tego przeszło trzy tysiące. Od czasu do czasu dowodzący zwracali konie do żołnierzy, coś mówili i coś wskazywali szablami, a potem po wszystkich szeregach przebiegał ostry, przenikliwy okrzyk: „Forwerts! Forwerts¹⁾ — i rozpywał się gdzieś w dolinie, przepadał w przeciwległych szczytach.

¹⁾ Forwärts (forwerts)—po niemiecku = naprzód!

Kolumny wojska podchodziły coraz bliżej.

Mateusz Hengst do połowy ciała wychylił się z krzaków jałowca i pochłaniał oczyma powoli idące kolumny. Byстрыm wzrokiem rozróżniał twarze zbliżających się bez przerwy nieprzyjaciół.

Pośrodku pierwszej kolumny, na gniadym, ogromnym wierzchowcu posuwa się stary, barczysty pułkownik, w białej peruce, w dużym stosowanym kapeluszu, strojnym w złociste galony, na mundurze połyskuje szeroka żółta szarfa, a na piersiach błyszczą wstążeczki orderów.

— Jest—szepnął stary strzelec głucho.

Zmierzył starannie, powoli... dał ognia... przed oczami przepłynął mu obłoczek dymu i zaraz rozproszył się w czystym powietrzu. Mateusz wychylił się bardziej jeszcze, spojrział: wśród tłumu jadących zbrakło strojnej postaci pułkownika.

Wokoło zabitego kłębił się na chwilę szereg najbliższych żołnierzy, potem wyprostował się, zrównał i znowu szły niezliczone rzędy miarowym, coraz szybszym krokiem, znów inigotały linje posepnych bagnietów... Wzdłuż zasieków i rowu przebiegł błyskawicą huk wystrzałów i odtąd ogień był już nieustanny, i bez przerwy nieprzyjaciół znać było czarną plamą trupów; ale pochodził ciągle bliżej, bliżej, w urągliwym, okropnym porządku, najmniejszy popłoch nie łamał szeregów.

I tylko rósł nieskończony las bagnietów, ogromniały zwolna barczyste postacie jadących, przybywało niemieckich zastępów, napływały zwartym murem, nie racząc odpowiadać na strzały powstańców, nie okazując trwogi ani zamieszania, jakby odgadli kryjówki górali, jakby o nich wiedzieli oddawna...

O dwieście kroków od śnieżnego wału nieprzyjacielskiego szeregi wstrzymały się nagle, zastygły na jedno błyskawiczne mgnienie, potem blask złotawy przeszedł przez pułki, huknęły wystrzały, rozpoczął się ogień gęsty, morderczy, straszliwy. Strzały biegły nieprzerwanym hukiem, kule sypały się gradem, rwały konary i wielkie gałęzie, biły w szańce, aż lód rozpryskiwał się w tysiąc kawałków, głuchym, groźnym trzaskiem zgrzytał o skały.

Krew w żyłach zadrgała powstańcom i zapagnęli za każdą śmierć wśród swoich odpowiedzieć siedmiokrotną śmiercią, za wystrzał każdy nowym ogniem. Walka zrywa się ząbta, straszna. Całe zbocze górskie okrywało się zwolna błękitnawym dymem, co niby tuman, coraz szczelniej przesłaniał niemieckie zastępy.

Tak minęło kilkanaście minut. Potem ozwał się ponury głos bębna i zaraz pierwsze pułki wrogów ruszyły zwartą ławą w kierunku okopów, a z setek piersi zabrzmiało obce, złowrogie wołanie: „Forwerts!“

Ziemia zadrżała, stęknęła, ozwała się głuchym jękiem. Hengst wyprostował się błyskawicznym ruchem i poskoczył do wału z rozognioną twarzą.

— Za mną! — krzyknął grzmiącym głosem.

Czas był wielki, bo już cały łańcuch Niemców o policzkach w szramy pociętych darł się z nieustraszoną odwagą na wały.

Za nim szła młodzież, studenci, pozbierani najwidoczniej ze wszystkich zakątków niemieckiej ojczyzny, — szli w ogień z ochotą, bo obiecano im upragnione i liczne przywileje, jeśli się przyczynią do upadku nienawistnych rządów Napoleona, które oddawna były solą w oku ościennemu dumnemu mocarstwu. Teraz z dziką zaciętością pięli się po wale, czepiali załomów niegościnnych, lodowych występów i coraz wyżej czerniały najeźdźcze mundury.

Aż nad okopem pojawiły się ręce, potem barki, głowy. Ale tu czyhali ukryci obrońcy i wdół spychali wrogów bez litości, zadawali straszne razy kolbą, karabinem, i martwe ciała zsuwały się z przeciągłym szmerem, a wzdłuż lodowego wału wybuchały przeraźliwe krzyki rannych.

Siwowłosy Roszart walczył z lwią odwagą, raz po raz wymierzał ciosy, prawie nieprzytomne; wielkie, żylaste, spracowane ręce chwytaly za barki najeźdźców i odrzucały daleko do rowu, co wypełniał się zwolna ciałami zabitych i pokaleczonych. Tuż za nim czerniała się nieustraszona postać Mateusza, który młynca wściekłego bez przerwy wywijał bagnetem, aż spłynął cały krwią czerwoną. Riffi nawet bez wytchnienia broń nabijał i z zapalem posyłał mordercze kule

w zwarte tłumy wrogów. Uniesienie powoli ogarniało szeregi obrońców, aż dosięgło najwyższego szczytu, stało się gorączką i pogardą śmierci — i sądny dzień się rozpostarł na donońskich stokach... Wśród górali tu i ówdzie również ozwały się jęki: najpierw osunął się na ziemię Józef z głuchem stęknieniem i okropną postrzałową raną w lewe oko; potem Hans ze zdruzgotanem ramieniem; później Daniel wtył się cofnął chwiejnym, ślaniającym krokiem, a krew z obciętych palców obfitym strumieniem szczerwieniła śniegi... I całe już mnóstwo innych, co ich imiona ze czcią powinny przechowywać wieki... bo zmogli się krótką chwilę z ostrym, bezlitosnym bólem, znowu stawali w szeregach broniących, i z zaciętymi ustami, z wykrzywioną cierpieniem twarzą, z błyskiem nieugiętej woli w oczach, zakładali coraz to świeże naboje, — nie dopuszczali, by ogień osłabł choć na jedno mgnienie, żeby choć na sekundę nieprzyjaciół zawładnął okopem.

A z rowu płynął jęk coraz okropniejszy, krzyk coraz straszliwszy i złorzeczące posępne wołania, — na drodze niewidzialnie, zwolna rzedniał las bagnetów i ciągle, choć nieznacznie, topniał zastęp wrogów.

Wtem zakołysały się pułki, zadrżały bagnety: Niemcy wykonali sprawnie pół obrotu i jęli się cofać uroczyście, powoli, w porządku, nie przestając zasypywać gradem kul białych szaniec i ukrytych za nimi górali. Na pobojuwisku pozostawał tylko kwiat młodzieży, stosy zabitych i rannych, których bez skrupułów opuszczali teraz starsi towarzysze.

Odwrót stawał się szybszy. Głuchy pomruk, niby stłumione jakieś echa burzy, przebiegł szeregi najeźdźców, zakotłowało się, skłębiło, i nagle wszyscy rzucili się do sromotnej, beładnej ucieczki, ziemia zajękła pod mnóstwem pędzących, potrwożonych koni, — wojsko, co nadciągnęło z wzorową sprawnością, ratowało się naoslep, w bezwstydnym popłochu.

Odległość wkrótce stała się tak znaczną, że górale zaprzestali strzałów i czarnym tłumem wylegli na wały z upojeniem i dumą śledzić ogromny kłęb uciekających...

ROZDZIAŁ XI.

Radość niezmierna zapanowała w obozie górali, nawet nieznajomi rzucali się w sobie w objęcia, uniesienie ogarniało wszystkich.

Z folwarku wyległy kobiety, pani Lefewr, doktor, Ludka — i na głowy obrońców sypały się gorące słowa, oglądano ślady kul nieprzyjacielskich, szczyrby, wyłomy, wały, szerniałe od prochu.

Potem od strony okopów nadciągnął orszak, co zmaćił na chwilę wesołość: oto towarzysze wiedli Józefa z obwiązaną głową: dalej szedł Hans z bladą, bólem pokurczoną twarzą, — strzaskane ramię zwisało mu broczące, bezwładne, słańiał się co chwila; za tymi ukazała się postać wyniosła Daniela — ten przytrzymywał końce białej chusty, na której widniały ciemne plamy krwi krzepnącej. Stłumionym, urywanym głosem prosił tylko o świeże bandaże, bo wracać musi tam — na stanowisko, na linję pierwszych straży... Doktor przemocą zabrał go do szpitalnej izby.

Na rozkaz Katarzyny kilku ludzi przywlekło wózek z beczką wódki, którą poleciła rozdzielić pomiędzy obrońców. Ludka własnoręcznie napełniać miała płaskie, z grubego szkła flasze. Zabierała się do tej czynności z zapalem, a pani Lefewr niepostrzeżenie zbliżyła się do lodowego wału i smutnem, przeciągłem spojrzeniem objęła niezliczone zwłoki zabitych i rannych, spoczywające w purpurowych smugach, w kałużach krwi zastygłej...

Mimowoli myśl jej pobiegła do Kaspra... Ciężko jest być matką...

Wtem doszedł ją głos Hullina, co już zdążył spuścić się ze szczytu.

— Hej! chłopcy! — woła wesoło, radośnie. — Byliście w ogniu! Do kroćset piorunów! No, i chwała Bogu! Niemcy nie mogą się pochwalić zbytnią odwagą!

Uściskał Ludkę i szybko zbliżył się do Katarzyny.

— Cóż ty na to? — pyta z dumą już zdaleka. — Dobrze stawaliśmy, prawda? Co tobie? Twarz smutna...

— Po myśli poszło wszystko, Janie Klaudjuszu — odpowiada kobieta, tłumiąc głębokie westchnienie. — Ale spójrz na rannych Niemców! To straszne!

— To wojna... — szepce Hullin uroczyście.

— Czyby nie można zabrać stamtąd tego... o, tego, co patrzy teraz tak rozdzierająco — młody, dziecko prawie — mówi gorączkowo Katarzyna. — Okropnie być musi konać na pobojuwisku... I tego, co krew tamuje chustką...

— Niepodobieństwo — przerywa Jan Klaudjusz łagodnie, ze smutkiem. — Trzebaby schody jakie wyrąbać w okopie, żeby jako tako móc przenosić rannych, — a Niemcy, którzy tu powrócą wkrótce, — za to rękę — łatwo wdarliby się potem tędy. Chodźmy! Pomóc im zabrania nam obowiązek świętszy, więc poco patrzeć na tych biedaków bezradnie? Teraz musimy zwycięstwo otrąbić po wioskach — zaczął głośniejsze, zmierzając powoli do obozu. — Hej! Szymonie! Michale! Skoczcie zawiadomić trzy dalsze oddziały! Ty, Mateuszu, czuwaj — a bacznie! Uprzedzisz mię natychmiast, gdyby nieprzyjacieli pojawił się na widnokręgu!

Skreślił na drogę biegnącą przed ganek i przelotnem spojrzeniem obrzucił oddział stojący w odwodzie, który wcale jeszcze nie był w ogniu. Górale siedzieli posępnie, zachmurzeni, wśród nich Marek na koniu, z gniewną twarzą. Ujrzawszy Hullina, podjechał i obsypał go gradem gorzkich wymówek. Czuje się głęboko dotknięty taką ubliżającą, dziwną bezczynnością, a dotychczasowem postępowaniem nie zasłużył chyba na tę obelgę.

— Czy naprawdę tak jesteś spragniony krwi ludzkiej? — zagadnął Jan Klaudjusz, patrząc mu badawczo w oczy. — Wyznażyłem ci straż całej prawie pochyłości, — nie jestże to dostatecznie zaszczytne i odpowiedzialne zadanie? Spójrz na płaskowzgórze! Pójdziecie wszyscy, jeżeli stamtąd nadciągnie nieprzyjacieli.

Żadnej odpowiedzi. Tylko blada twarz Marka spochmurnała więcej, tylko w żenicach jego towarzyszy przeleciała

groźna błyskawica. Przysięgłbyś, że coś knują te ponure, milczące postacie, że obmyślają jakąś krwawą zemstę.

Hullin zmarszczył brwi gwałtownie i oddalił się bez dalszych wyjaśnień, smutnie potrząsając głową. Po chwili już znikał w drzwiach sieni. Tu go dobiegły zaraz głośne jęki Hansa, któremu doktor właśnie opatrywał ramię.

Odpoczywał godzinę i zbliżało się już południe, kiedy nagle wpadł do izby Marek zadyszany, z ogniem w błyszczących źrenicach.

— Hullin! Gdzie Hullin? — krzyknął zmienionym, niecierpliwym głosem.

— Jestem! — odparł Jan Klaudjusz, podnosząc się z ławy.

— Nieprzyjacieli! — odpowiedział jednym słowem.

Dziwny ton i zwycięski, prawie radosny wygląd przemytnika zdjęły Hullina nagłym niepokojem. Ruszył śpiesznie do drzwi, nie pytając o więcej.

Na prawo od Dononu biegnie kręty wąwóz, przerznięty wążuchnym, srebrno-błękitnawym węzem wody. Nawprost płaskowzgórza, zajętego obecnie przez obóz powstańców, i po drugiej stronie owego obozu, o pięćset, najwyżej sześćset metrów od folwarku, wznosi się płaski występ skalny nad urwistem, stromem zboczem, którego Hullin nie uważał za punkt niebezpieczny i nie obsadził wojskiem, nie chcąc zbytnio rozdrabniać oddziałów. W razie gdyby nieprzyjacieli zechciał się pokusić o ową placówkę, można było wysłać kilkuset ludzi krótszą drogą — przez lasek jodłowy i skalistą szczyję.

Jan Klaudjusz zaraz z ganku objął widnokrąg niespokojnym wzrokiem i krew wszystka ścięła mu się lodem przeobrażenia w żyłach. Po owem urwistem, niedostępnem zboczu, nie dalej jak o trzy stajania, pięły się mozolnie dwie kompanje Niemców, zwolna, ostrożnie, ale bez wytchnienia, — a wśród nich na białem tle śniegów ciemniały dwa działa, zwieszone prawie prostopadle nad przepaścią, gorączkowo podciągane przez szeregi koni, podpierane zewsząd silnemi ramionami żołnierzy. W górę wznosiły się ciągle, czarne, posępne, złowrogie, — za chwilę dosięgną płaszczyzny występu. Grom

z jasnego nieba nie strwożyłby więcej, niż to niespodziane najście, i twarz Hullina powlekła się śmiertelną bladością, potem ogarnął go gniew bezsilny, straszny.

— Dlaczego nie uprzedziłeś mnie wcześniej?! — wybuchnął, przyskakując z zaciśniętymi pięściami do Marka. — Komu ja powierzyłem straż wawozu, komu? Nie widzisz, głupcze, żeśmy otoczeni? Okrążą nas szerokiem kołem, zagrodzą wszystkie przejścia, przetną drogi! Na licha się teraz zdadzą zasieki i wały! Do miljona djabłów!

Rozpacz zaciemniała mu rozum, oczy krwią zaszyły i sypały groźne błyskawice, z zaciśniętego gardła wydobywały się chrapliwe, przytłumione dźwięki, aż pobladły twarze potrwożonych ludzi.

Położenie zdawało się bez wyjścia.

Marek, zuchwały zwykle, pewny siebie, stał teraz z pochyloną głową, unikając surowego wzroku posępnie milczących górali.

— Uspokój się, Hullinie! — rzekł wreszcie. — Nie jest tak źle jak ci się zdało na pierwszy rzut oka. Mamy tylu ludzi wypoczętych, jeszcze niezmeńczonych walką. Przytem brak nam armat, trzeba zdobyć armaty, a będziemy mieli korzyść.

— Korzyść!? Milczże lepiej, głupcze! — krzyknął Jan Klau-djusz drżącym z oburzenia głosem. — Dla osobistych, niegodnych widoków, nie uprzedziłeś mnie wcześniej o nowych ruchach nieprzyjaciela! Czy wyobrażasz sobie, że mi tak trudno odgadnąć myśl twoją?! Bić ci się zachciało, wsławić! I dla takiej marności narażasz powodzenie wielkiej, świętej sprawy! Patrz! W dolinie Framontu jeszcze całe chmary gotują się do wymarszu...

Nie przesadzał wcale. Nowa, ogromna kolumna, bez porównania liczniejsza, wylaniała się właśnie z zakrętów wawozu i biegła szarżą w kierunku śniegowego wału. Ciężka chmura przesłoniła ciemne czoło przemytnika. Hullin hamował gniew kipiący w duszy — bliskie niebezpieczeństwo przywróciło mu równowagę i całą przytomność umysłu.

— Na stanowiska, bracia! — wyrzekł z mocą — I broń w pogotowiu! Niemcy przypuszczają atak bez zwłoki.

Rozchodzano się śpiesznie z przejęciem.

— Rozkazy, któreś teraz wydał, wcale nie są najważniejsze — ozwał się Marek zimno, z beczelnym spokojem. — Należało przedewszystkiem rozkazać, abym ja z tyłu uderzył na Niemców.

— To się samo przez się rozumie — odparł Jan Klau-djusz. A pamiętaj to, co usłyszysz, Marku! Wyrządziłeś nam śmiertelną, niepowetowaną krzywdę! Przy nas było zwycięstwo, a z twojej winy wszystko znowu w zawieszeniu, — tyś naraził sprawę. Jeśli więc nie potrafisz wyprzeć wroga z występu, to ja — umrę, ale przedtem ty się obwieszisz na najbliższej sośnie.

Ponury błysk zaświecił w czarnych źrenicach Marka.

— Tak nie będzie — szepnął posępnie i twardo. — Jeszcze nie wszystko skończone.

Skoczył na konia, poły płaszcza odrzucił daleko i wyciągnął z pochwy szpadę pewnym ruchem. Cały oddział w milczeniu naśladował swego dowódcę.

Marek zwrócił się powoli twarzą do swych ludzi i ogarnął ich bystrem, badawczem spojrzeniem. Potem wskazał zagrożone płaskowzgórze końcem szabli.

— Patrzcie, chłopcy! — krzyknął gromkim głosem. — Czy rozumiecie, że musimy zdobyć tę pozycję? Niechże górale z Dagsburga nie powiedzą, że są dzielniejsi, niżli my z nad Sarry! Hańba nam, jeżeli stamtąd nie wyprzemy wroga! Naprzód!

I cały oddział poszedł klusem, ukośnie, po śnieżnem zboczu, dosięgnął kraju wąskiej, lasem zarośniętej szyi, co niby wąz zielony zbiegała wdół ciemną przepaścią i pięła się nieznacznie, zdradliwie pod zajęty przez wrogów występ...

— Na bagnety! — dościgło ich jeszcze donośne wołanie Hullina, i znikli w zarosłej czeluści wąwozu.

Prawie w tejże samej chwili Niemcy wkraczali na skalny występ, ciągnąc dwa działa, które zaczęli natychmiast rychtować; żołnierze otoczyli je zwartem półkolem. Wkrótce rozpoczęła się straszliwa bitwa, po stokroć straszliwsza, niż zrana.

Uragają góralom czarne cielska armat, kłują oczy drągami i wyciory, — a przy milczących paszczach dział kręcą się artylerzyści i widać suchą, pleczystą postać oficera, — tak blisko, że rozróżnić można jasne wąsy; on to kieruje gorączkową pracą, sztywny, obojętny, zimny. Z dolin wznoszą się mgły błękitne i białe opary zaścielają przepaść nieprzeniknioną, zdradziecką oponą, przesłaniają całe płaskowzgórza, wzrok mącą, myślą odległości... Zdałoby się—wróg tak blisko, że możesz dosięgnąć go ręką... Ale Hengst i Jan Klaudjusz nie dadzą się porwać złudzeniu. Ci dobrze wiedzą, że ich od tarasu dzielią trzy stajania... karabin tam nie doniesie, kula nie dosięgnie...

Surowa twarz Mateusza pobladła jak płótno, ale wyprostował się dumnie, skinął z powagą na syna.

— Żle z nami, Kasprze — odezwał się bezdźwięcznym głosem. — Zmądrzeli zbóje i niosą drabiny. Daj rękę, chłopczel! Chciałbym was mieć blisko. A brońcie się, jak przystało na dzielnych górali! I pamiętajcie, że przysięgliśmy Francji!

Naraz cios okropny uderzył w zasieki, aż się okopy zatrzęsły w podstawach, potem wał jęknął przeciągłym, strasznym jękiem... Potem jeszcze gdzieś na końcu szanieców wzniosł się okrzyk bólu i śmiertelnej trwogi, później głos jakiś ryknął rozpaczliwie: „Jezu!”

I znów o sto kroków dalej zawarczał głuchy a potężny wystrzał, — zachwiał się świerk ogromny i z głośnym trzaskiem runął w przepaść.

To się ozwały armaty.

Pierwszy wystrzał urwał obie nogi staremu drwalowi, zwałił go na ziemię, i wkrótce twarz zasnęła mu się cieniem śmierci...

Echa pierwszej salwy grały jeszcze w górach, kiedy rozległa się druga, zasypując górali tysiącem lodowych odłamków, i znów krew świeża zrumieniła śniegi.

— Pomścimy braci! — zagrzemiał donośny głos starego Hengsta.—Zostało nam tylko zwyciężyć lub umrzeć!

— Cóż robić—rzekł Hullin z westchnieniem—wróg nadchodzi szarżą, w imię boże, spełnijmy obowiązek!

Słowa proste napozór były i spokojne, w duchu jednak nurtował go straszny niepokój, bo czuł, że los i powodzenie wielkiej sprawy zawisły na wąłym i niepewnym włosku. Zbiegł z gorączkowym pośpiechem na wał — wyjrzał za okop i dreszcz przebiegł mu po kościach. Droga płynęły nieskończone szeregi żołnierzy, najbliżsi dźwigali ogromne, zakończone hakami drabiny, dalej błyskała mordercza stal bagnetów.

Ostatnie dwa słowa wodza żarem spadły w dusze potrwożonych ludzi, — w jednej chwili niezłomne postanowienie zaświeciło w oczach, zrozumieli, że zgubić może wszystko choćby sekunda wahania, jeden krok fałszywy. Huknęły z za okopów strzały, a prawie jednocześnie — niby w posępnej, niemej odpowiedzi — zaciemniały potężne haki dwóch ogromnych drabin i z łoskotem zaryły się w lodowym wale. Szał dziki ogarnął górali, runęli zwartą ławą na szaniec: skłębiło się, zakotłowało, walka zawrzała rozpaczna, straszliwa.

Hullin wysłał rozkaz do Franciszka Hengsta, co stał ze swym oddziałem na przeciwległym zboczach Dononu, aby przybywał natychmiast z połową co dzielniejszych ludzi na odsiecz zagrożonemu wałom. Chłopak nie zwlekał, jak szalony śpieszył po spadzistych stokach... Coraz wyraźniej migały czarne kapelusze i błękitnawe ostrza karabinów, cały oddział biegł, co sił starczyło, a jeszcze Hullin wołał zmęczonym, urywanym głosem:

— Prędzej! prędzej!

I ocierał pot kroplisty z czoła i toczył wkoło piorunującym wzrokiem, hamował wściekłość, oskarżał w myślach Marka mianem zdrajcy.

A Marek tymczasem darł się wgórę z garstką swoich stromym wąwozem, spokojny, groźny, z ciemną chmurą w oczach. Po półgodzinnym uciążliwym marszu drzewa zaczęły się gwałtownie przerzedzać, i siedzący na ogromnym wierzchołku przemytnik mógł już dojrzeć pierwsze kaski nieruchomych Niemców. Szerokim półkołem, z bronią u nogi, stali dokoła dymiących armat. Ściągnął cugle konia i ręką nakazał towarzyszom, aby się zatrzymali. Następnie podzielił swoich ludzi na dwa nierówne oddziały i do większej gromady rzekł:

— Bracia, pójdziecie natychmiast na bagnety. My zaś podejmujemy się reszty. Czy mię rozumiecie?

— Rozumiemy — odparli jednogłośnie wszyscy.

— Naprzód! — zakomenderował Marek.

Jęli wysuwać się na brzeg wąwozu równo, bez szelestu, sprawnie. „Werda? Kto idzie?” — pytają Niemcy chrapliwym, przerażonym szeptem; potem rozległy się strzały, potem chwila martwego milczenia... Aż gruchnął w odzew wielki okrzyk: „Niech żyje Francja!...” — i zaraz zabrzmiał odgłos śpiesznych, niezliczonych kroków: — powstańcy ławą wpadli na wroga, wszczął się piekielny hałas, zamieszanie, popłoch.

Marek uniósł się w strzemionach i głośno, z zimną krwią kieruje bitwą.

— Dobrze idzie — szepcze z zaciętością i ponury ogień pojawia mu się w oczach.

Zamieszanie dosięgło najwyższego szczytu, krew zbroczyła śniegi, ziemię przebiega nieustanne drżenie. Ustały strzały, rozpoczęła się walka na bagnety, dwa ogromne kłęby splełanych ciał ludzkich zmagają się z sobą w straszliwym milczeniu. Przerywają je tylko głucho szczęknięcia bagnetów, trzask kolb pękających, jęki i rżenia rannych, krzyki rozpacz i przedśmiertnej trwogi.

Towarzysze Marka rozognionym wzrokiem śledzą przebieg śmiertelnej utarczki, czekają znaku z niecierpliwem drżeniem, szable palą im ręce płomieniem.

— Na nas kolej — odzywa się wreszcie przemysłnik świszczącym, ostrym głosem. — Dalej! bierzcie armaty!

Z ciemnej gęstwi lasu pomknęło dwanaście postaci — wiatr rozwiewa skrzydła czarnych płaszczy, powietrze rozdarł przeciągły świst szabel.

— Ostrzem uderzać! — woła Marek gromko.

Jak huragan wpadli na armaty. Niby grad sypią się na nich straszne razy drągów i ciężkie ciosy, zadawane hakami — jedyną bronią, jaką artylerzyści mogli mieć pod ręką. Ale wszystkie odparte, zanim spadną — każde uderzenie kładzie o jednego Niemca więcej.

Marek szaleje wśród wrogów, niby straszny mściciel praw swojego ludu, — trąci, depta, gnębi, na prawo i na lewo wymierza mordercze ciosy; w oczach topnieje struchlała garstka pozostałych przy życiu najeźdźców. Okropnym, błyskawicznym ruchem szabli przygwoździł jasnowłosego oficera do zimnego cielska krwią zlanej armaty. Jednocześnie rozlega się strzał pistoletowy, zrywa mu kapelusz z głowy i osmala policzki. Potem zalega niespodzianie cisza. Marek prostuje się zwolna na siodle, obejmuje płaskowzgórze białym, podejrziwym wzrokiem.

— Wszystkich zmiotliśmy! — mówi z dumą. — Oba działa nasze!

Badawczym spojrzeniem raz jeszcze obiegł pole walki: splecione ciała poległych, blade twarze konających; dostrzegł ciemne postacie nielicznych zbiegów, którym udało się szczęśliwie uniknąć pogromu. Potem oczy jego prześliznęły się po zielonej wstędze wąwozu, — i tam, po przeciwległej stronie, dojrzały szereg wielkich drabin, wspartych o wał lodowy, okalający schronienie powstańców, bronione przez Mateusza, drabiny gęsto usiane białymi uniformami Austrjaków, najeżone jednolitym zastępem bagnatów — za okopem tłum górali broni się z rozpaczą... Na stokach Dononu, na porozkopywanej drodze, na pochyłościach wału piętrzą się stosy zabitych i rannych, a po martwych ciałach wdzierają się nowe, coraz liczniejsze kolumny żołnierzy, upstrzone tu i ówdzie jasną plamą oficerskiego munduru; ale pną się ciągle, sprawnie, bez wahania, z pogardą śmierci, z nadzieją pewnego zwycięstwa. Na wierzchu nasypu widać wyprostowaną postać Mateusza, który raz po raz zadaje bezlitosne uderzenia kolbą, — usta rozwarły mu się w bezustannem, rozpaczem wołaniu. Naraz nadbiega odsiecz — Franciszek ze swoim oddziałem, a z głębi dąży śpiesznie Jan Klaudjusz wesprzeć walczących słowem krępującem i radą.

Marek objął przenikliwym, krótkim rzutem oka cały ów ponury, beznadziejny widok i na jedno mgnienie przejęła go groza i świadomość bohaterstwa garstki, odpierającej po dziesięćkroć liczniejszą nawałę. Ale się otrząsnął natychmiast

z tych myśli — toż, na Bóg miły, niema czasu do stracenia... Zsunął się ze swego rumaka i przystąpił do bliższej, jeszcze nabitej armaty. Silne dłonie towarzyszy pomogły mu przesunąć lawetę i zmienić kierunek działa; potem Marek własnoręcznie wycelował paszczę na drabiny, co się ugiwały pod tłumem wrogów, porwał z ziemi lont jeszcze dymiący, przytknął — i całe płaskowzgórze zatrzęsło się od strasznego huku.

W odzew przypłynął krzyk okropny, dziki, — skłębiły się czarne dymy... Skoro opadły, Marek poskoczył na krawędź przepaści i wpił wzrok chciwy w błękitną przestrzeń: w zwartych szeregach nieprzyjacielskich uczyniła się wielka krwawa luka... Marek potrząsnął triumfalnie ręką.

— Dalej! — komenderuje głośno — trzeba kuć żelazo, póki gorące. Parę takich ładunków, co nieco kul i szrapneli, a zobaczymy, jak psubraty cienko będą śpiewać! Nam teraz przypadł zaszczyt odniesienia wiekopomnego zwycięstwa. Baczność!

Dwunastu górali stanęło przy armatach z rozognionym wzrokiem — i znów śmierć pomknęła ku białym mundurom.. biegnie wzdłuż wału, spada w środek tłumów. Wystrzał grzmi za wystrzałem, salwa za salwą, — trzecia, czwarta i dziesiąta. Popłoch i paniczna trwoga ogarniają szeregi najeźdźców — „ratuj się, kto może!“ — rozpaczny okrzyk rozlega się na donośnym zboczu.

— Ognia! — powtarza bez przerwy Marek.

Nadzieja wstępuje w zwątpiałe serca górali.

Stoki pustoszeją z straszną szybkością, złamały się nieprzyjacielskie szyki — z trwogą w sercu i wściekłością w duszy uciekają bezładnie. Wślad za uciekającymi wałą raz po raz armaty. Wkońcu ostatnia salwa ginie w krętych uliczkach Grandfontenu, — jakiś zabłąkany pocisk odbija się o róg skalnego muru i druzgocze komin oberży „Pod Czerwonym Bykiem“, — potem doliny i zbocza zalega głucho milczenie.

Jest czwarta i krótki dzień zimowy chyli się do końca, szarzeje widnokrąg i majestatyczne skały, noc zbliża się zwolna, cicho.

Na pobojowisku śpi snem wiecznym przeszło 600 ludzi. Wzdłuż okopów i wału spoczywają martwe ciała poległych powstańców, dalej, na drodze i na całym zboczach, ścielą się niezliczone mundury „cesarskich“. Zwycięstwo odebrał im zuchwały napad Marka; bo szło ich więcej niż dziesięciu na każdego z górali, — bo gdyby nie odbicie armat, stałoby się z łatwością panami wałów, ludzi i obozu, — zdusiliby opór w zarodku...

ROZDZIAŁ XII.

Uciekające pułki zalały czarną ławą równiny Grandfontenu.

Zemstą dyszy czerń najeźdźcza. Sądny dzień nastaje w struchlałym miasteczku. Rozwścieczeni żołnierze drzwi wyłamują, rozbijają okna, tratuja, druzgoczą, ochrypłym głosem wołają o żywność, gwałcą splakane, bezbronne kobiety, aż pod strych je gonia, gdzie się schroniły potrwożone,

Dolina rozbrzmiewa gradem złorzeczeń i przekleństw... Okropne jęki pokrzywdzonych ludzi, odgłos kopyt końskich i śpiesznych kroków po mieście, groźby, wołania, rozpaczliwe krzyki łączą się w jeden ogłuszający, krew mrozący w żyłach akord, płyną i splatanym, posępnym szumem sięgają obozu powstańców.

A na stokach Dononu ciemnieją gęste plamy porzuconej broni, karabiny, szrapnele, piki, stratowane kaski, a wyżej szeregi nieruchome trupów, widome ślady niedawnej porażki. W głębi, wśród mgieł sinych, czernią się groźne paszcze armat — schyliły się długie szyje w dolinę, gotowe odeprzeć każde ponowne natarcie. Ale tym razem wrog już chyba nie wznowi ataku. Milkną doliny i milczenie zalega poszarpane szczyty.

Sine mroki osnuwają czarną, nieprzeniknioną przedzą wały, stoki, przepaście i szczyty, i cały obóz przybiera zwolna jakieś tajemnicze kształty, — grozę cierpienia i śmierci pokrywa gęsta, czarna, zazdrosna opona. Wśród zasieków i szan-

ców błędą niewyraźne, mgłą przesłonięte postacie górali — i w uroczystem milczeniu zbierają poległych.

Mateusz otarł bagnet z krwawych plam i usiłuje przebić mgliste opary bystrem, pełnem niepokoju spojrzeniem.

— Franciszku! Kasprze! — woła наконец donośnie.

Po chwili zamajaczyły w zmierzchach dwie męskie wysmukłe postacie. — To wy? — Tak, ojcze. — Ranni może? — pyta stary drżącym, zdławionym głosem. — Wcale nie.

Hengst czuje nagle, że dzieje się z nim coś dziwnego, coś, czego nigdy w życiu nie doświadczył jeszcze; wstyd mu zdradzić niepokój przy synach — i całą siłą woli hamuje łzy, co chcą gwałtem wytrysnąć z pod powiek.

— Znów więc jesteśmy razem — szepcze wreszcie bardzo cicho i naraz przygarnia chłopców długim, gorącym uściskiem. Obaj rozumieją, że dziś cudem chyba uniknęli śmierci i, choć nie przywykli do okazywania uczuć, tulą się do ojca z serdeczną, dziecięcą prawie tkliwością. Słyszą oddech starca nierówny i ciężki, słyszą, że coś, niby wewnętrzne, przytłumione łkanie, jękiem rozrywa mu piersi.

— Jak on nas kocha! — wzbiera w ich duszy — jak umie kochać to napozór twarde, życiem przytępiione serce!

Mateusz prostuje się zwolna, rysy znów przybierają dawny ostry wyraz.

— Ciężki dzień przeżyliśmy, nieprawdaż, chłopcy? — odzywa się rubasznie, pragnąc rozproszyć żartem resztki silnego wzruszenia. — Chodźcie do izby, — z głodu człowiek gotów się zrobić niby baba, a i wam pewnie dawno już piszczą wnętrzności?

Obrzucił badawczym, przenikliwym wzrokiem wpół zakryte tumanami zbocze i dojrzał gęstą linję pierwszych straży, które co trzydzieści kroków rozstawił na noc Jan Klau-djusz. Potem, uspokojony, śpiesznie ruszył w stronę ciemniejącego woddali folwarku.

Zsunęli się z okopów i szli ostrożnie, wymijając trupy, co zaścieniały gęsto skalne zbocze, — z oczyma utkwionemi w słabo migocące światła zabudowań.

— To ty, Mateuszu? — podniosło się nagle z ziemi stłumione, bezdźwięczne westchnienie.

Idący drgnęli, stary przystanął zaraz i schylony błdzi po śniegu niepewnem spojrzeniem.

— Roszart? — mówi wreszcie, przyklękając w kałuży krwi skrzepłej. — Biedaku! Czyśmy cię nie potrącili? — pyta dalej miękko, z głębokiem współczuciem. — Bardzoś ciężko ranny? Nie możesz ruszyć się o własnej sile?

— I nigdy się już nie ruszę — szepcze drwal siwowłosa, uśmiechając się z gryzącym bólem, — kula armatnia urwała mi nogi...

Nieopisane cierpienie rysuje się w stężalych rysach...

— Mateuszu... Mateuszu — ciągnie gasnącem głosem ranny po chwili ciężkiego milczenia. — Przyjacielu, powiesz mojej żonie... że za szafą... w pończosze... znajdzie 5 talarów, uciułałem je znojną pracą na wypadek choroby... na czarną godzinę... Mnie już one niepotrzebne...

— Cicho! — przerywa leśnik ze źle ukrytem wzruszeniem — cicho!.. I bez nóg żyć możesz, doktor cię uleczy, czekaj, zaraz cię przeniesiemy.

— Nie warto, dajcie mi umrzeć spokojnie! — broni się drwal stary z mętniejącym wzrokiem — nie męczcie mnie w ostatniej godzinie!

Hengst skinął w milczeniu na Kaspra, zrobili z karabinów nosze, Franciszek objął rannego silnem ramieniem i delikatnie złożył na przygotowanych noszach. Z piersi Roszarta wybiegły dwa głuche, pełne bólu jęki.

I smutny orszak jął się posuwać powoli w kierunku czerniejącego pod szczytem folwarku.

Z wielkiej sali szpitalnej bez przerwy płyną jęki i rozdzierające skargi, — całą salę już zajęli ranni, których pozbię-rano z pola, i ci, co się dowlekli tu o własnej sile. Po izbie uwijają się doktor i felczer: tną, piłują, zakładają szerokie bandażę, od kilku godzin nie ustają w pracy, a jeszcze daleko do końca.

Na środku, na ogromnym stole spoczywa syn Kolarda, wykrzywiony kurczem, w skrwawionej bieliźnie... Za ramiona przytrzymuje go dwóch silnych górali, sześć świec płonie wkoło stołu, z boku majaczy cebrzyk, do połowy napełniony szerniałą posoką... Nad leżącym nachyla się w tej chwili

doktór z zawiniętymi po łokcie rękawami koszuli i błyszczącą, szeroką na trzy palce piłką przesuwając szybko po nodze ran-
nego; obok stoi felczer. Krew spada w cebrzyk z cichym
pluskiem, milczenie przerywa tylko zgrzyt pośpiesznie piłowa-
nej kości... Głowa nieszczęśliwego chłopca zwisa wtył bez-
władnie, rysy ściągnięte bólem, policzki bielsze od płótna, jest
nieruchomy, wpół martwy, czy tylko zemdlony. Opodal ry-
suje się ostry profil Katarzyny ze zwojem szarpi i bandażu
w rękę: spokojna napozór, nawet obojętna, ale głęboka bródka
na czole, twarz zbieleła i zaciśnięte usta świadczą, ile ją obec-
ność w tej izbie kosztuje. Drżą wychudłe dłonie, co trzymają
płótno, wzrok wbiła w ziemię, stoi bez ruchu.

Nagle kość zgrzytnęła głośniejsze i odpływająca noga z prze-
ciągniętym szmerem zsunęła się w cebrzyk...

— Skończone — wyrzekł doktor, zwracając się do Ka-
tarzyny.

Wtem spojrzenie jego upadło na nosze i blade twarze
strzelców. Podszedł pędkiem.

— A to wy, drwalu? — odezwał się szeptem.

— Ja, panie doktorze. I nie pozwolę się dotknąć—odpo-
wiada stary Roszart twardo.— Wolę raz skończyć, nie myślę
znosić niepotrzebnych cierpień.

Doktór wziął świecę i przybliżył ją nieznacznie do źrenic
ranego.

— Czas jeszcze — oznajmia wkrótce poważnym, spokoj-
niejszym głosem. — Nie można tylko zwlekać ani chwili, i tak
za wiele krwi stracił, biedaku! Potem już będzie za późno!

— Tem lepiej. Dostatecznie wycierpiałem w życiu.

— Nikt nie ma prawa cię przymuszać,—ani ja nie mogę
ręczyć za pomyślny skutek operacji. Wszystko być może, —
dokończył doktor podrażnionym tonem. Skinął ręką, Mateusz
z synem weszli i złożyli swój ciężar na wskazanym miejscu.

— Dalej! Dalej! — powtarza gorączkowo doktor. — Zmyć
stół ciepłą wodą. Dalej! przejdźmy do innego!

Zanurzył ręce w misie z jakimś różowym płynem, obmył
starannie narzędzia, wskazał felczerowi ranego, którego
nieść mają.

A oczy rannych płoną chorobliwym ogniem; ilekroć w izbie zabrzmiał głos doktora i krótkie słowa „przechodźmy do innych“, tyle razy źrenice nieszczęsnych błyszczą straszną, prawie nieprzytomną trwogą i wzrok z nienawiścią mierzy stół operacyjny, z przerażeniem śledzi błysk stalowych noży.

Na stole raz po raz zmieniają się ranni. Mateusz i młodzi śledzą przebieg operacji z niemem przerażeniem, patrząc, jak się patrzy na coś strasznego, co znać i wiedzieć potrzeba koniecznie.

Na stole siedzi teraz wysoki góral z Harbergu, z długą, rudą, poplątaną brodą. Po obnażonych plecach spływa krew cienką purpurową strugą, tu i ówdzie czerwienią się głębokie nacięcia... doktor szuka gorączkowo kuli... grzbiet kosmaty krwawi coraz więcej.

Opodal, tuż przy progu, leży pies Pluton i z natężoną uwagą, z dumą wpatruje się w ruchy pana, jakby rozumiał, że one niosą ludziom ulgę, — od czasu do czasu warczy głucho, groźnie i szczerzy białe zęby.

Mateusz czuje nagle, że nie wytrzyma ani chwili dłużej.

— Chodźmy! — odzywa się do synów szorstko.

Zaczerpnęli pełną piersią świeżego powietrza i uczuli zaraz rześkość w sercu: w mdłej, krwią przesiąkniętej atmosferze izby najzdrowszemu może się zrobić niedobrze.

— Co za szczęście, żeśmy jeszcze cali! — szepcze stary Hengst z goryczą.

— Oj, prawda, ojcie! — odpowiada Kasper z głębokiem westchnieniem. — Dostać kulka — to głupstwo; ale być rannym i potem pozwolić się piłować, krajać... A potem jeszcze żebrać może na rozstajnych drogach — Jezu!

— Jabył postąpił, jak Roszart — decyduje Franciszek stanowczo. — Śmierć zawsze jest najlepsza. I czegoż się bać, kiedy się spełniło obowiązki? Bóg dobry policzy grzechy i zasługi.

Nagle z prawej strony dobiegł ich odgłos przyciszonej, prowadzonej żywo rozmowy.

— Jan Klaudjusz i przemytnik — zauważył Kasper.

Wynurzyły się z cienia dwie męskie postacie i radosny okrzyk zadźwięczał w spokojnem powietrzu.

— Witaj stary! — mówi Hullin i serdecznym ruchem ściska spracowaną rękę Mateusza. — Szukam cię po wszystkich kątach od godziny. Gdzieżeś to się włóczył?

— Przynieśliśmy Roszarta do izby szpitalnej, przyjacielu.

— I napatrzyłeś się dosyć?

— Zupełnie!

Zapanowało na chwilę milczenie. Potem Jan Klaudjusz gwałtownie ręką przesunął po czole, jakby pragnął odpędzić wszystkie ciężkie myśli.

— Cóż robić — szepnął wkońcu spokojniejszym głosem.

— Na wojnie, jak na wojnie. A zdrowoście wyszli z tego piekielnego ognia?

— Zdrowi jesteśmy, chwalić Pana Boga.

— Święć się imię Twoje! — odezwał się Hullin z niezwykłym wzruszeniem. — Ci wszyscy, co ocaleli dzisiaj z tych oparów, cieszą się chyba szczególniejszą jakąś łaską boską.

— I ja tak myślę — rubasznie zaśmiał się Marek. — Widziałem zdaleka wasze rozpaczne wysiłki i wydaje mi się, że psu na budę zdałoby się takie męstwo, jak na przykład twoje, Mateuszu, gdyby nie szybka pomoc moich armat.

Twarz starego Hengsta oblała się krwistym rumieńcem i oburzenie zaświeciło w oczach.

— Bardzo być może — odezwał się sucho. — Myślę jednak, że gdyby nie pierwsze strzały armatnie, obeszkłoby się bez ostatnich, a Roszart i pięćdziesięciu innych dzielnych ludzi nie potrzebowaliby konać teraz pod nożem doktora i patrzeć, jak im odcinają palce, nogi, ręce. A zwycięstwo i tak przecie zostałoby przy nas.

— Tss! — przerwał pośpiesznie Hullin, widząc, że zanosi się na coś więcej, niż na zwyczajną sprzeczkę. — Tss... dajcie temu pokój! Każdy spełnił obowiązek i żadnemu z nas tego nie wolno zapomnieć.

Ucichło znowu.

— Wysłałem parlamentarza do Framontu — zaczął po krótkiej przerwie stanowczym, urzędowym tonem. — Zawiadomi on sprzymierzonych, że mogą pozabierać rannych. Za jaką godzinę pewnie tu nadciągną. Otóż trzeba uprzedzić teraz placówki i strażę, żeby im nie broniły przystępu. Rozu-

mie się, jeżeli przyjdą z latarniami i bezbronni. W przeciwnym razie — należy ich przyjąć strzałami.

— Natychmiast sam obejdę warty — odrzekł Mateusz.

— A wracajcie na folwark, skoro tylko załatwicie wszystko — zawołał za nimi gromko Jan Klaudjusz. — Będziemy czekać z wieczera.

— Wróćmy, wróćmy.

I oddalili się sprężystym, szybkim krokiem.

Po chwili dościgło ich jeszcze wołanie Hullina, polecające młodemu na całym zboczach rozpaść na noc ognie biwakowe i przypominające Markowi o podwójnych porcjach owsa dla koni, które wyruszyć mają zaraz po zapasy amunicji. Potem ucichło wszystko i barczysta postać Jana Klaudjusza znikła w otwartych drzwiczkach ogrodzenia.

ROZDZIAŁ XIII.

Na folwarku cisza głęboka.

Zdała już słyszy Hullin dźwięczny głos Ludki, krzątającej się żwawo po obszernej izbie, — wydaje rozporządzenia i sprawnie kieruje robotą, rzekłbyś doświadczona, radna gospodyni. Więc serce Hullina wzbiera ojcowską dumą.

— Kasiu, prędzej! — woła z wymówką dziewczę. — Patrzyć tylko, jak się zacząną schodzić na wieczera. Pomyśl — jacy głodni! Od szóstej rano nie jeść i bić się, bić ciągle! Nie powinniśmy przecie pozwolić im czekać. Łucko! ruszże się przecie nareszcie! Dalej! Potrzebuję jeszcze pieprzu, słoniny, soli.

Wzrok Jana Klaudjusza przesłania nagle mgła wilgotna i nie może oprzeć się gorącej chęci spojrzenia raz choćby przez okno, zanim go dojrzą błękitne oczy dziewczyny. Zbliżył się cicho, tłumiąc chrząst kroków po stwardniałym śniegu, i zapuścił chciwe źrenice przez szyby. Na kominie płoną sute naręcza bukowego drzewa i złotemi węzami pną się po czarnych, pokrytych grubą warstwą sadzy bokach olbrzy-

miego kotła, rzucają złote, drżące plamy na czysto wybielone ściany przestronnej izby. Na tle owej jaskrawej czerwieni i żywego złota rysuje się wyraźnie śliczna twarzyczka Ludki. Uwija się w krótkiej spódniczce i zgrabnym staniku z czerwonego płótna, z którego wychyla się biała, delikatna szyja. Na twarzy kwitną rumieńce, niby świeże róże, w oczach błyszczy podniecenie i prawie gorączkowy zapach, — żwawo i lekko krząta się po izbie, próbuje potraw uroczyście, do głębi przejęta swem zadaniem, co chwila coś przypomina stanowczym tonem.

— Jeszcze soli! — oznajmia rezolutnie. — Łucko! Prędko skończysz to skubanie? Nad jednym kogutem siedzieć tyle czasu!

Niezwykła uroda Ludki zyskuje jeszcze w towarzystwie dwóch podstarzałych córek gospodarza. Młodsza, otyła Kasia, w milczeniu wypełnia rozkazy, zadyszana, z kroplami potu na tłustych policzkach. Łucka, starsza, porusza się zwolna, z zadumaniem w twarzy, z przesadną dokładnością wykonuje wszystko.

W głębi, na wygodnem krześle, ciemniej poważna postać starego anabaptysty. Ręce zapuścił w obszerne kieszenie kapoty, skrzyżował kolana, na głowie nieodstępna bawelniana czapka, — wodzi po izbie zachwyconym sennym wzrokiem.

— Łucko, Kasiu, słuchajcie Ludki! — odzywa się od czasu do czasu nosowym, kaznodziejskim tonem. — Wiele, bardzo wiele możecie się od niej nauczyć. Dalej! Ruszajcież się żwawiej!

— Tak! Tak! — pośpiesznie z skwapliwym potwierdzeniem woła dziewczę. — Kasiu, tyś z nas trzech najwyższa, zdejmi z pod pułapu ten wieniec cebuli!

I Kasia posłusznie spełnia prośbę.

— Z jaką ona wprawą niemi rządzi! — szepnął z rozrzewnieniem Jan Klaudjusz. — Energiczna, niby mężczyzna w spódnicy! A to dzielna kobietka! Ktoby się tego spodziewał!

Ruszył śpiesznie do drzwi, jakby pchnięty nową, niecierpliwą myślą.

— Pomagaj, Boże! — ozwało się niespodzianie od progu.

Ludka mieszała właśnie jakiś sos dymiący, kiedy głos znany wytrącił jej łyżkę. Z radosnym okrzykiem zawisła staremu u szyi.

— Najdroższy ojcze... — zabrzmiało w uszach Hullina słodką, gorącą melodią — ojcze... Czy nic ci nie jest? Czy jesteś zdrow, cały, nie ranny?

— Bóg ustrzegł mnie od złego, Ludko — mówi wreszcie drżącym, urywanym głosem. — Wracam zdrow — i szczęśliwy, że mam taką córkę.

— Siadajcie przecie, Janie Klaudjuszu — wmieszał się anabaptysta, który przyglądał im się dotąd z pobłażaniem. — Z chęcią ustąpię wam krzesła.

Hullin przyjął ofiarę i siadł zmęczonym, ciężkim ruchem.

— I cóż, Ludko? — zagadnął po chwili serdecznie. — Czy cię bardzo przeraziła bitwa?

— Och! z początku! Ten krzyk, wrzawa, huk wystrzałów!.. Potem ciebie tylko, ojcze, już miałam na myśli i panią Katarzynę...

— Wiedziałem dawno, żeś odważna — wyszeptał, obejmując dziewczę spojrzeniem radości i dumy.

Ludka ciągnie ojca do ognia, na którym widać cały pułk kotłów, rynek i kociołków, zatacza wymownie koło triumfalnym ruchem.

— Tam pieczeń wołowa, tu schab, tu wieczerza jenerała Jana Klaudjusza — wylicza z figlarnym uśmiechem w błękitnych żrenicach. A tutaj rosół i buljon dla rannych. Spracowałyśmy się porządnie, niechże Łucka i Kasia świadczą! A tutaj nasz pierwszy wypiek — kończy z ożywieniem, wskazując długi sznur bochenków, szeregiem leżących pod ścianą.

Hullin słucha olśniony i mimowoli spogląda na drobne ręce córki.

— A i to nie wszystko — dorzuca dziewczyna po chwili. — Chodźno, ojcze!

Zbliżyła się do wielkiego pieca i zręcznym ruchem odsunęła blachę. Po kuchni rozszedł się natychmiast przyjemny zapach smażonej słoniny, na rusztach zamajaczyły placki, suto przystrojone w różowe, wonne skwarki.

— Gdzie ty czas miałaś na tyle pracy, dziecko?—odzywa się z podziwem stary.

Wtem w drzwiach stanęła pani Katarzyna.

— Nie gotowe jeszcze?—pyta zaraz. —A wszyscy czekają. Dalej, zwińcie się dziewczęta! Kasiu, trzeba podawać.

Rozbiegły się posłusznie w trzech różnych kierunkach.

A starsi pociągnęli zwolna przez ciemne podwórze i weszli do jedynej wolnej izby. Stół już otacza długi sznur górali, Mateusz z chłopcami, felczer, Marek, doktor. Na wszystkich twarzach maluje się zniecierpliwienie, głód wygrywa marsza po pustych żołądkach, czekają jeszcze, za chwilę zbuntują się na pewno.

— Jak się mają ranni? — pyta z niepokojem Jan Klaujusz.

— Załatwiłem się już ze wszystkimi—szorstko odpowiada doktor.—Ciężka, niewdzięczna praca. Dziękować Bogu, że nam zesłał mrozy: może się obejdzie szczęśliwie bez zgnilej gorączki.

Drzwi skrzypnęły głośno i w progu ukazały się dziewczęta, dźwigając wielką fajansową wazę i dwa ogromne półmiski z pieczysem. Spojrzenia zebranych z pożądlivością utonęły w mięsiwach i sosach, potem zaczęły się śpiesznie zapełniać miski, talerze, i po chwili ciszę przerywał tylko szczerk noży i łyżek, urozmaicony niekiedy bulgotaniem osuszanych z zapalem manierek. Na szybach zjawiły się wkrótce czerwono-złote blaski biwakowych ogní, przy których powstańcy pochłaniali przyprawione przez Ludkę specjały,—we wszystkich sercach gościł spokój i słodkie poczucie spełnionego obowiązku.

Była dziewiąta, kiedy Marek wyruszył na Falkensztajn z konwojem więźniów. O dziesiątej na folwarku i w całym obozie zaległo głębokie milczenie. Od czasu do czasu śnieg tylko skrzypi pod stopami placówek i patroli, od czasu do czasu rozdziera powietrze donośny krzyk warty i w odzew płynie hasło, potem znów jakieś stłumione wołanie.

Tak się skończył ów dzień pamiętny, w którym górale z Wogezów złożyli krwią pieczętowany dowód, że nie przy-

niosą wstydu ceniom zmarłych ojców, nie zhańbią czczonych prochów.

A po dniu obfitym w czyny przyjdą inne, niemniej ważne, groźniejsze i bardziej złowrogie. Bo na ziemi człowiek zwycięża jedno, a tysiące innych trudności przed nim się piętrzy; przecie rąk, póki tchu w piersiach, opuszczać nie wolno. Życie ludzkie podobne do rozkołysanego morza: fala płynie za falą, za wiekami — wieki, i nikt nie jest mocen spętać skrzydeł czasu.

ROZDZIAŁ XIV.

O drugiej po północy śnieg zaczął padać wielkimi płatami i wkrótce pokrył wszystkie stoki grubą, białą, puszystą oponą.

A kiedy ranne mgły opadły, Framont, Grandfonten i Szirmek wynurzyły się uśpione, ciche i spokojne. Niemcy ustąpili pod osłoną nocy i tylko woddali, na sinych równinach Alzacji, czernieją tu i ówdzie rozproszone pułki, a wszystkie posuwają się na wschód w pośpiesznym odwrocie.

Hullin zerwał się równo ze świtem i obchodzi obóz niepokojnie, — wzrok czujny, badawczy ślizga się po ciemnych postaciach śpiących przy ogniu powstańców, po czarnych plamach licznie rozstawionych straży, spoczywa dłuższą chwilę na błyszczących wylotach dwóch armat, potem rozjaśnia się niezwykłym blaskiem — i postać dowódcy niknie w przestronnej sieni folwarku.

Na palcach wsuwa się do izby jadalnej i bez szmeru uchyla drzwi pokoju, w którym leżą ranni. Niektórzy śpią jeszcze, objęci niezdrowym, męczącym snem gorączki; inni wodzą po ścianach nieprzytomnem, błyszczącym spojrzeniem, usta spieczone gorączką szepczą imiona żon, dzieci, potem jakieś wyrazy bez związku; tu i tam zrywają się jęki rozpacz i bólu. Głęboki smutek zasnuwa oczy Jana Klaudjusza, w milczeniu cofa się do pierwszej izby. Tutaj na wiaźce słomy śpią pani Lefewr i Ludka, zupełnie ubrane, każdej

chwili gotowe nieść pomoc. Zbudziło je ciche skrzypnięcie zaśnierzonych obcasów Hullina i obie zrywają się śpiesznie.

— Co słyszać? — pyta Katarzyna.

— Odeszli — odpowiada z naciskiem mężczyzna. — Przejsie przez góry jest wolne.

Na twarzy pani Lefewr maluje się silne wzruszenie; zbliża się szybko do okna i obejmuje wzrokiem doliny Alzacji, jakby nie wierzyła radosnej nowinie. I teraz jeszcze milczące pola nie przywracają spokoju jej rysom, — przeciwnie, w oczach pojawia się nieokreślony, półtrwożny, półsurowy wyraz.

Około ósmej nadjechał proboszcz udzielić Ostatniego Namaszczenia konającym, pokropić ciała poległych poświęconą wodą. Górale wykopali dół wielki po prawej stronie folwarku i uroczyście jeli znosić trupy. Białe mundury i czarne kaski „cesarskich“ leży przy szarych siermięgach powstańców, a spracowane ręce towarzyszy zaczęły sypać im na piersi świętą ziemię. I złożono ich we wspólnym grobie, bo śmierć przecina wszystkie nienawiści... A kiedy urosła wysoka mogiła, przystąpił srebrnowłosy proboszcz i począł modlitwę wzruszonym, przerywanym głosem. Jak okiem sięgnąć, odkryły się wszystkie głowy.

Potem nadjechały wózki, wozy, które Jan Klaudjusz kazał zaściłać słomą, i zabierały rannych, a każdy błagał o powrót do rodzinnej wioski, każdemu doktor musiał przyrzec spełnienie tej prośby. Opróżniały się powoli izby, cichły jęki, i koło czwartej Hullin i Katarzyna sami byli na folwarku. Ludka przyrządzała w kuchni mięso na wieczerzę. A śnieg pada ciągle i zasypuje ziemię grubą warstwą, z cichym szmerem uderza o szyby, tłumi odgłos ruszających sanek, ściele się białą smugą na płachty, co osłaniają blade twarze rannych, bije w oczy woźniców. Pani Lefewr siedzi przy stole z zaspioną twarzą i zawija pośpiesznie bandaż.

— Co tobie, Katarzyno? — odzywa się nareszcie Hullin. — Od rana jesteś taka dziwna. A przecież sprawa nasza stoi lepiej, niż nawet mogliśmy przypuszczać.

Ręce kobiety drżały i białe zwój szarpi zsunął się z szelstem na podłogę.

— Dręczy mię jakieś niedobre przeczucie -- szepcze po chwili zmienionym, martwym głosem.

— Przeczucie? Ale czego? Czego, na miłość boską? — tłumaczy łagodnie Jan Klaudjusz. — Wróg ustąpił przecie.

— Wiem, że śmiać się będziesz ze mnie, przyjacielu... ale... śniło mi się...

— Znowu?!

Długie milczenie.

— Śmiej się, mów, co zechcesz, Janie Klaudjuszu — zaczyna nagle kobieta podrażnionym tonem — ja czuję, że grozi nam niebezpieczeństwo. Tobie wydaje się to może przywidzeniem starej baby, ale... Zresztą to nie sen nawet. To coś, jakby zapomniane wspomnienie, co wraca, coś, co przemawia tajemniczym głosem przodków. Bo słuchaj... śniło mi się, że zgromadziliśmy się po jakimś ogromnem zwycięstwie — zupełnie jak dzisiaj — w wielkiej sali, otoczonej wysokim płotem z grubych bali. Poznawałam twarze Marka, Józka, twoją, ojca i stryja starego Roszarta, tego, co umarł przed chwilą, — a wszyscy w szarych siermięgach. Siedliśmy do uczty, podniosły się w górę kubki z winem, kiedy nagle rozległ się krzyk okropny: „Nieprzyjaciół wraca!” — Struchleliśmy, a w tej samej chwili wpada obłąkany Jego!, konno, z siekierą wyostrzoną w rękę... Porywam polano z komina, chcę go uderzyć... Robi mi się ciemno... I potem nic już nie widzę, czuję tylko ból straszny w karku, zimno w całym ciele — i zdaje mi się, że głowa moja kołysze się na jakimś sznurze... Jego! przytroczył ją do swego siodła, pędzi, jak szalony — kończy pani Lefewr przytłumionym głosem.

Znowu cisza.

— Sen mara, Bóg wiara — mówi Jan Klaudjusz.

— Nie — zaprzecza stanowczo, zabierając się zwolna do przerwanej pracy. — Nie, to co innego. Wczoraj byłam spokojna, wtedy nawet, kiedy w naszych waliły armaty, wiedziałam, że przy nas słuszość, że zwyciężymy przy pomocy bożej. A teraz... teraz... tak się lękam!

— Przecież Niemcy opuścili Szirmek, przecież obsadziliśmy wszystkie przejścia przez Wogezy. Ludzi mamy dosyć i jeszcze napływają ciągle.

— Wszystko nic nie znaczy!

— Chyba masz gorączkę, Katarzyno! — odzywa się zniecierpliwiony. — Sny nie obchodzą mię wcale. Główna rzecz: pilnować się, mieć zapasy prochu, dostatek ludzi, armaty, reszta wszystko furda.

— Czy żartujesz?

— Wcale. Tylko, kiedy rozumna kobieta zacznie tak dowodzić, jak ty przed chwilą, Katarzyno, to mimowoli przychodzi człowiekowi na myśl ten warjat Jegof, co się chwali, że żyje więcej niż 16 wieków.

Naraz w sieni rozległy się lekkie, śpieszne kroki i na progu stanęła Ludka z rozjaśnioną twarzą.

— List od Kaspra, mateczko — ozwała się drżącym ze wzruszenia głosem.

Rysy Katarzyny zmiękły, niby za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki, — w oczach zaświeciły blaski, w milczeniu wy-ciągnęła rękę.

— Pocałuj mnie, Ludko! — szepcze serdecznie — poca-luj za dobrą nowinę!

Dziewczę przypadło jej do kolan.

Jan Klaudjusz przybliża się także, zadowolony, że list syna odwróci w inną stronę jej zmęczone myśli, milczącym ruchem zaprasza listonosza do ogrzanej izby.

Pani Lefewr gorączkowo rozrywa kopertę, nakłada oku-lary, chrząka.

— „Droga matko! — czyta powoli, wyraźnie. — Donoszę wam, że wszystko idzie dobrze i że trafiłem do Falsburga wtedy właśnie, kiedy zamykano bramy. Wróg już zalegał sawernijskie zbocza i całą noc trzeba było trzymać gęste straże. Nazajutrz przybył parlamentarz z żądaniem natych-miastowego poddania fortecy. Komendant kazał mu iść precz i obwiesić się na pierwszej sośnie, ale w trzy dni później deszcz kartaczy i granatów spadł na nieszczęśliwe miasto. Tamci ustawili baterję na wzgórzach. Pałą ulice i domy, i niepodobna uganić pożaru; kobiety i dzieci ledwie mieszczą się w blokhauzach, a obywatele bronią razem z nami szan-ców, niektórzy służyli jeszcze pod Napoleonem I i biją się, jak stary żołnierz, nie marnują prochu. Swoją drogą przykro

musi być walczyć pod Piramidami, obalać królewskie trony, a potem na starość bronić chałupy i kilku łyżek strawy. Prawda tylko, że to nasze własne“.

— I święte — dodaje Katarzyna, ocierając oczy.

„Onegdaj komendant nakazał wycieczkę do cegielni, zajętej przez kozaków. Dziwny naród! Rąbią przereble w stawach i kąpią się całymi plutonami, a potem suszą się w ogrzanych izbach. Otóż, kiedy noc nadeszła, pułk naszych wymaszerował przez arsenał podziemną galerią i jeliśmy się skradać gęsto lasem zarosłym wąwozem, z palcem na cynglu, gotowi każdej chwili strzelać. Szczęśliwie przedostaliśmy się do cegielni, huknęły wystrzały. Aż tu z budynku wylatują nadzy żołnierze w nieładzie. Cóż z tego, kiedy byli dziesięćkroć liczniejsi, i nie wiem, co by się stało, gdyby nie armaty z prochowni, co nam przyszły na pomoc.

Nie upłynął kwadrans, kiedy rzuciło się wszystko do ucieczki, zastraszone, półnagie i prawie bezbronne. No, i wróciliśmy w triumfie do Falsburga, rozniósłszy przytem baraki cegielni i utopiwszy w studni dwie armatki.

Dzisiaj piszę z Dąbrowy, gdzie komendant nas wysłał po świeże zapasy żywności. Bóg wie, jak to długo potrwa. Tutaj mówią, że sprzymierzone wojska pójda odrazu na Paryż... Gdybyż tak cesarz zdążył zastąpić im drogę choćby w Lotaryngji! Żywa nogaby nie uszła. Ale dzwonią na wieczerzę, — lepsza będzie, niż zwykle, bośmy przyprowadzili całe stado owiec, krów i wołów, a ledwie się to odstawilo do komendy, tak nas napastowali wygłodzeni ludzie. Bądź zdrowa, kochana matko, i ty, słodka moja Ludko, i pan Hullin! Całuję was tak serdecznie, jakbym już trzymał w objęciu“.

— Dobre dziecko — mówi pani Katarzyna bardzo cicho. Obowiązek rozumie i spełnia. Słyszysz, Ludko, całuje cię serdecznie.

Dziewczyna przytuliła się do przyszłej matki całą siłą świeżego uczucia i przysunęła do pomarszczonej twarzy gorące policzki.

— Chwała Bogu za dobre wieści! — wyrzekła pani Lewer ze wzruszeniem, i dwie łyzy grube zwisły jej u powiek.—

Chodźcie, listonoszu! Dam wam mięsa, chleba, kubek wina. A tu 6 franków, proszę. Dawałabym tyle co tydzień, gdybym co tydzień odbierała takie listy.

ROZDZIAŁ XV.

Przed samą dziesiątą pani Katarzyna i Ludka odeszły na pięterko do sypialni.

— Dobranoc, dziecko — mówi zmęczonym głosem, rozluźniając trochę sznurki sukni.—Strasznie spracowana jestem, i ty z pewnością także, chociaż młoda.

Okryła się kołdrą i po kilku minutach rozległo się głośnie chrapanie. Wkrótce zasnęła i Ludka.

Już od dwóch godzin spoczywało wszystko w śnie głębokim, kiedy nagle krzyk ogromny rozdarł powietrze.

— Do broni! Do broni! — biegnie rozpaczne wołanie.

Huknęły strzały, czerwony błysk upadł w zapotniałe szyby.

— Do broni!

Nowa salwa. Cały obóz w ruchu, hałas, zamieszanie, wrzawa. A ponad nią donośny, szorstki głos Hullina. Uspokaja, wydaje rozkazy.

— Ludko! Obudź się, Ludko! — woła pani Lefewr cała drżąca.

— Już nie śpię. Ubieram się, matko—odpowiada dziewczę.

— Boże! Boże! — szepcze starsza kobieta zsiniałemi usty i usiłuje przetrzeć zaszyronione szyby.

Na lewo, w mrocznej dali, w kierunku wawozów Grosmanu przebiega szkarłatno - złota błyskawica, potem głuchy, przytłumiony odgłos. Okna oblewa znów czerwone światło.

— Baczność!—komenderuje stanowczy głos Mateusza.— Ognia!

Huk straszniejszy, bliższy. Nowe strzały. Potem przed gankiem słyhać rżenie koni, potem dudnienie licznych kroków ludzkich, — zadrżały szyby, zatrzęsły się ściany. Coś wtargnęło do wnętrza i zaraz huknął grzmot wystrzałów. Na

schodach, prowadzących na piętro, zaskrzypiało pośpieszne stąpanie, ktoś szarpnął drzwi gwałtownie i Hullin blady stanął na progu z dużą latarnią w ręku.

— Prędko! Prędzej! — wyrzucił zadyszczanym głosem. — Niema chwili do stracenia!

— Co się dzieje? — pyta Katarzyna szeptem.

Słowa jej zgłuszył przerażający huk salwy.

— Potem. Niema czasu—powtarza Jan Klaudjusz z naciskiem.

Ale pani Lefewr rozumie już wszystko. Chwyta płaszcz i kaptur i schodzi szybko z Ludką. Na dole istne piekło. Przy drżącym blasku wystrzałów Katarzyna dostrzega Mateusza Hengsta z Kasprem strzelających bez przerwy w kierunku okopów. Za nimi stoi dziesięciu górali i co chwila zmieniają karabiny. Pod gankiem spoczywa kilka trupów z wykrzywionemi przerażeniem twarzami; dym i zapach prochu napęlnia izby: gwałt, zamęt, bieganina, popłoch.

— Idą! — oznajmia donośnym głosem Jan Klaudjusz i wskazuje blade twarze przerażonych kobiet.

— Odwagi! odwagi, pani Katarzyno! — zrywa się krzyk z setki dzielnych piersi.

Grube łyzy spływają po zwiędłych policzkach kobiety. Nie jest w stanie mówić i opiera się ciężko o ramię Hullina, który chwyta ją nagle na ręce i śpiesznie kieruje się na prawo. Za nim podąża Ludka z głośnem łkaniem.

Głuszy je przeraźliwy świst kul, grzęznących gęsto w murze, trzask łamiących się gontów, łoskot opadającego tynku, cały okropny zggiek śmiertelnej walki. Na szancach, o trzysta kroków od folwarku, majaczy biały szereg mundurów „cesarskich“, oblanych czerwonym światłem niemilkających strzałów, czarne mroki nocy bez przerwy rozjaśnia szkarłatny błysk karabinowych ogni i oświeca ponure, ziejące nienawiścią twarze. Woddali porusza się szary kłęb postaci ludzkich i raz po raz przebiegają krwiste błyskawice — to górale zachodzą drogę wrogom od strony wąwozu.

Jan Klaudjusz niknie za węglem muru ze swoim ciężarem. Tutaj jest zupełnie ciemno, dopiero po krótkiej chwili wyłania się z mroków doktor na koniu, z szablą w ręku

i parą pistoletów, zatknętych u pasa. Tuż przy nim rysuje się barczysta postać Franciszka Hengsta i kilkunastu uzbrojonych ludzi. Wszyscy otaczają słomą wysłane sanki. Hullin wsadza do nich Katarzynę, potem Ludkę.

— Nareszcie! — szepcze niecierpliwie doktor. — Chwała Bogu!

— Gdyby można było ocalić panie w inny jaki sposób — dodaje stanowczym tonem Franciszek — żadna moc nie ode-
rwałaby nas z pola walki, ponieważ to jednak konieczne, poświęcamy chętnie miłość własną i dumę żołnierza.

— Z całego serca — zaszemrano wkoło.

— Towarzysze! — odzywa się Jan Klaudjusz. — Oto matka, co się opiekowała jak dziećmi obrońcami kraju, co wszystek grosz oddała na broń i prochy! A to moja córka... bezbronne kobiety... powierzam wam, co mam najdroższego. Czuwajcie i strzeżcie!

— I ocalimy, jeśli nie pomrzemy — razem zrywa się jednogłośnie wołanie.

— Uprzedźcie tam po drodze Marka, żeby się nie ruszał z Falkensztajnu aż do nowego rozkazu.

— Będzie spełnione, dowódco.

— Więc z Bogiem! — mówi Hullin uroczyście.

— A ty? — pyta pani Lefewr z niepokojem.

— Zostaję. Tutaj moje miejsce. Do ostatniej kropli krwi będziemy bronić stanowiska.

— Ojciec!.. — wybucha rozpaczny krzyk Ludki.

Wyciąga ręce, lecz Jan Klaudjusz znikł już w mrokach nocy, a sanie suną z zawrotną szybkością po śniegu, otoczone zwartem kołem zbrojnych, na śmierć gotowych górali. Oczy dziewczyny schną nagle, rysy tężeją w surowy wyraz bezbrzeżnego bólu. W duszy pani Katarzyny zmartwychwstaje wspomnienie snów ostatniej nocy i twarz przybiera także beznadziejne piętno.

Co tam jednak zaszło okropnego? Całe płaskowzgórze stoi w krwawej łunie, po szczytach rozlega się bezustanny huk wystrzałów, i tutaj jeszcze dobiega złowrogi zgiełk bitwy, tu i ówdzie ryje śnieg zabłąkana kula, dochodzi zmieszany

odgłos wpółochrypłych krzyków... Potem cichnie, maleje, oddala się wszystko, aż wkońcu obejmuje jadących milczenie.

Sanki przecięły skośnie prawy stok Dononu i mkną wąską ścieżką, niby ciemna błyskawica. Ciszę przerywa tylko chrzęst usuwającego się w przepaść śniegu i przytłumione oddechy jadących.

Zjechali w dolinę Sarry i zaraz owiało ich chłodne, ożywczce powietrze, przyplynał szmer bystrych potoków, westchnienie dumających borów. Księżyc oblał zielonawem światłem uśpione równiny i czarne linje lasów, okalających pobliskie wąwozy, brylantami załamał się w śniegu, w szronach, co zdobią gałęzie świerków, jodeł, sosen.

Dotarli do skraju lasu. Doktor wstrzymał sanie, cały oddział stanął.

— Gdzie jedziemy, Franciszku? — odzywa się szorstko. Na prawo, czy w dolinę Blanru?

Są u podnóża wschodniego zbocza Dononu, i dojrzeć można czarny łańcuch wojsk nieprzyjacielskich, wdzierających się szybko od strony Grosmanu. Ogniki strzałów pną się po stokach purpurowym węzem, głuchy, potężny huk idzie po szczytach.

— Ta droga jest najkrótsza — odpowiada Franciszek po chwili namysłu. — Tędy najkrótsza droga do Dąbrowy. Zyskam najmniej trzy kwadranse.

— Ale możemy wpaść w matnię, bo dolinę Sarry zajęli „cesarscy“ — wybucha doktor gwałtownie. — Opanowali szczyty i z pewnością wysłali pułki, żeby sobie zabezpieczyć tyły.

— Niech będzie Blanru — zgadza się Franciszek z rzadką skwapliwością. — Nadłożymy dużo, ale nie narazimy nikogo.

Sanie skrzyły w lewo, suną wzdłuż zasnutej sinemi mgłami lasu. Cały oddział rozsypał się w łańcuch i jeli posuwać się ostrożnie, zwolna, z bronią gotową do strzału. Srebrne blaski księżycowe znaczą jasną smugą drogę, głąb wąwozu zazdrośnie kryją czarne cienie i rozłożyste gałęzie sędziwych, dumnych świerków. Szrony drżą tysiącem kolorowych ogni, sine skały kapią się w martwym, tajemniczym świetle... Cicho wszędzie, spokojnie i majestatycznie. Wrażliwa dusza Ludki umie odczuwać powagę i piękno natury, —

dzisiaj jednak, pełna rozpaczy i bólu, nie patrzy nawet na te cuda. Po chwili orszak niknie w wąskiej, ciemnej szyi i pograża się w zmierzchach ścian skalnych.

— Doktorze! — szepcze nagle pani Katarzyna. — Możeby pan zechciał nam teraz objaśnić, dlaczego Hullin obszedł się w ten sposób ze mną? Dlaczego wyprawił mię przemocą bez objaśnień? Dlaczego jesteśmy tutaj? Dlaczego mi nie pozwolił spełnić obowiązku?

Zaległa długa cisza.

— Zdarzyło się straszne nieszczęście—odzywa się wreszcie doktor z niezwykłą powagą. — I niema w tem winy Jana Klaudjusza. Inny zbłądził ciężko, przez niego tracimy zdobyte z takim trudem stanowisko.

— Kto zawinił? — pyta zmienionym głosem Ludka.

— Labarb — odpowiada doktor szorstko. — Zapomniał rozstawić straży w wąwozie Blutfeldu. Przyplacił życiem lekomyślność, bo zginął w nierównej walce, ale nie w jego już mocy było odwrócić nieszczęście. I wszystko stracone, jeżeli oddział Pioreta nie nadciągnie w porę. Umrą, albo będą zmuszeni ustąpić.

— Blutfeld wzięty!? — wybiega z ust starszej kobiety krzykiem głębokiego bólu.

— Wzięty. Ktoby pomyślał, że nieprzyjaciół wtargnie od tej strony!? Wszak cały wąwóz zjeżony skałami i dla górali nawet prawie niedostępny. A cóż dopiero dla obcych wojsk, dla żołnierzy. Jednak przedarli się tędy piekielnicy, najpierw dwójkami, koło Wklęsłej Skały, potem na szablach roznieśli Labarba, potem uderzyli na oddział Józefa, który im stawiał mężny opór do wieczora: aż pozostały same niedobitki i cofnąć się musieli ze sromotą w duszy. Odtąd już na Donon wolny dostęp dla „cesarskich“. To okropne—ciągnie doktor przyciszonym szeptem. — Okropne, bo nie ulega wątpliwości, że znalazł się wśród nas ktoś podły, kto naprowadził wroga na bezbronne tyły. Ktoś, co zdradził, Judasz! Och, dostać go w ręce, w sztuki rwać zbrodniarza! A wszystko mało dla nieszczęśnika, co kraj własny zdradza.

— Jeżeli zrozumiałam dobrze pańskie słowa — przerywa Katarzyna — to uderzono na nas z dwóch stron jednocześnie?

— Tak, i nie byłoby ratunku, gdyby nie Zimmer, przemytnik z oddziału Marka, który na dziesięć minut przed atakiem przypadł konno, półmartwy i ostrzegł, co się święci. Nie bacząc na ból i rany, przebił się przez tłum kozaków, a koń wierny doniósł go do pierwszych straży. Biedak był już prawie nieprzytomny, po siodle spływały krwawą smugą wydarte wnętrzności, a przecież miał tyle mocy ducha, że oburącz za szyję trzymał się wierzchowca...

— Czy mówił co jeszcze? — pyta pani Lefewr ze wzruszeniem.

— Zdążył jęknąć tylko: „Do broni!... Otoczyli od Józefa... Labarb zginął... Niemcy... Blutfeld... Niemcy!“ I skończył ze złowrogiem imieniem na ustach.

— Bohater! — wybiega z pobladłych warg kobiety.

— Bohater! — powtarza z dumą doktor.

W sankach zalega powtórnie milczenie, konie biegną szybciej i tylko zwalniają mimowoli biegu przed każdą większą zaspą śniegu. Wtedy górale ujmują uzdę silną ręką i kierują na równiejszą, lepszą drogę zmęczone zwierzęta.

— Jednakże Hullin powinien był powiedzieć mi wszystko — odzywa się naraz z goryczą pani Katarzyna.

— Tak? Gdyby choć słówko bąknął o zajęciu tyłów, o niebezpieczeństwie, tobyście gwałtem obie chciały zostać — odpowiada doktor szorstkim głosem.

— A któż ma prawo zabronić? A jeśliby mi się podobało w tej chwili zeskoczyć z tych sanek?! Czyjaż to wola przewodzi nad moją!?

— Och, matko! — błagalnie podchwytuje Ludka. — Matko! On może umiera, może ciężko ranny...

Rysy starej kobiety zmieniają się bólem.

— Ma słuszość to dziecko. Tak, Hullin jest rozumnym i dzielnym człowiekiem, nie potrafię mieć do niego żalu. Na jego miejscu postąpiłabym zresztą tak samo.

Cały orszak posuwa się zwolna, w milczeniu, które przerywa tylko sapanie i stłumione rżenie pomęczonych koni; na czele kroczy Franciszek i bystrem, nieufnem spojrzeniem obrzuca co chwila kotlinę.

Okolo 3-ej nad ranem wyjechano na łąkę Brimbel, na której króluje prastary dąb i używa cienia od zamierzchłych, niepamiętnych czasów. A u stóp góry, wpółukryty wśród zarośli i krzaków przyprószonych śniegiem, majaczy mur kamienny i szary dach leśniczówki starego Kuny, gajowego z okolicznych lasów. W ogródku stoją trzy ule, owinięte szczelnie w złote słomy, po ścianach pną się wino w niezliczone skręty, nad drzwiami zieleni się gałąź sośniny, co oznajmia przechodniom, że znajdują tu posiłek i nocleg.

Doktór gwałtownie ściąga cugle konia.

— Jeszcze godzina tej jazdy — woła głośno. — Odpocznijmy trochę, tymczasem może się rozjaśni.

— Wielki czas stanąć — odzywa się Franciszek z uznaniem. — Konie ledwie dyszą.

Po chwili nieliczny oddział skupił się wokoło sani; ten i ów zaczął krzesać ognia. inny nakłada fajkę, ale milczą wszyscy. Każdy myśli w obozie, każdy śledzi w głowie przebieg bitwy. Czy dowódca będzie mógł się bronić, dopóki nie nadciągnie pomoc od Pioreta?

Nagle wynurza się z mgły postać nieznanego jeźdźca. Na tle ośnieżonych świerków rysuje się śpiczasta lanca i wielka barania czapa. Powstańcom krew tężeje w żyłach. Franciszek opiera kolbę o poblaskie skronie i prawa ręka wybiega do cyngla... Wtem w mgłach zamajaczył cień drugiego jeźdźca, potem trzeci, potem widać cały szereg zbrojnych, migocą chorągiewki, błyszczą karabiny — i posuwają się ku saniom bez pośpiechu, zwolna, niektórzy przetrząsają krzaki, inni patrzą podejrzliwie po milczących szczytach.

Górale słyszą bicie serc własnych, w oczach pani Lefewr jawia się wyraz zaciętego bólu, zsiniałe usta Ludki drżą mocno. Za chwilę otoczy ich nieprzyjacielska tłuszcza. I chyba niema już ratunku... Bo niepodobna pisać się po gładkiej, prostopadłej ścianie, niepodobna w bok skrócić, bo zewsząd czarne otchłanie przepaści.

Nagle pani Katarzyna chwytą Ludkę za ramię konwulsyjnym ruchem.

— Uciekajmy! Uciekajmy w lasy! — szepcze strwożonym, przerywanym szeptem.

Wtem dziki okrzyk rozdziera powietrze.

— Spostrzegli nas, przekleństwo! — wybucha doktor z bezsilną rozpaczą.

Nie dokończył jeszcze, kiedy zagrzmiały strzały i dwa-naście złotych ogników pomknęło ku wrogom. Dał się słyszeć wrzask nie ludzki, wściekły, w oparach zakotłowało się i jeźdźcy w bok runęli, w przepaściste zbocze; rozległy się stłumione jęki, potem z ziemi podniosło się kilka postaci i co sił pędzą w stronę leśniczówki.

— Zmykają, — woła doktor triumfalnie.

Lecz pozostali nagle skupiają się w szereg, błyskają lance, ludzie pochylają się na barki końskie i całą kupą jak wicher lecą na powstańców. — „Hura! Hura!“ — biegnie wrzask ochrypły...

Gromadka górali już otoczyła zwartym kołem sanie — cicha, spokojna, gotowa na wszystko.

Skłębiły się bagnety, lance, karabiny, sypią się razy z zawrotną szybkością, strwożone konie stają dęba, inne, okaleczone, walą się na ziemię, dolina rozbrzmiewa echem strzałów, toczy się walka na śmierć i życie.

Ludka stoi nieruchomo w saniach z białą jak opłatek twarzą, przy niej pani Lefewr z rozpaczą w duszy, usta szepczą żarliwą modlitwę.

Tuż obok rysuje się wysoka postać doktora, który raz po raz wymierza morderczy cios szablą.

— Na dno sani zsuńcie się, słyszycie! — woła co chwila błagalnie.

Słowa jego giną w zgiełku, Ludka podtrzymuje matkę serdecznem objęciem i stoją obie niby dwa posagi bólu. Wtem we wzroku pani Katarzyny wyraz bezbrzeżnej trwogi: opodal na wspaniałym wierzchowcu ukazała się dziwaczna postać Jegofa z obłąkanem spojrzeniem i lancą zakrwawioną w rękę... Czuje nagle, że barki jej przygniata posępne piętno przeznaczenia i oczy z rozpaczą wpija w walczących powstańców.

— Sprawdza się sen ostatni, — szepcze kobieta bezdźwięcznymi ustami — Jegof... i moja głowa przy siodle... będzie się kołysać z jękiem...

Słabnie opór powstańców, maleje garstka, mdleją ręce i gasną w oczach iskierki nadziei, z mgieł wynurza się nowa kupka wrogów i pędzi poprzednim na odsiecz; górale zrywają się do obrony ostatnim wysiłkiem; jakaś zabłąkana lanca zdziera kaptur pani Katarzyny, dotyka zimnem ostrzem jej szyi. Omdlała zsuwa się wgłąb sani.

Postać doktora niknie prawie jednocześnie, na gromadkę powstańców wali się przeważająca tłuszcza. Ludka z przerażeniem dostrzega dziką twarz Jegofa.

Oczy dziewczyny, obłąkane trwogą, szukają rozpacznie pomocy, ratunku. Dojrzała w słomie pistolety doktora. Chwyta je błyskawicznym, nawpół nieprzytomnym ruchem i pali w nagą pierś Jegofa, drugim strzałem roztrzaskuje kudłatą głowę kozaka, co się nachylił ku niej z pijanym, pożądlivym wzrokiem. Ludka prostuje się w saniach, śmiertelnie blada, z ogniem w błękitnych źrenicach, ujmuje lejce śmiałą ręką i batem smaga zaległego konia. Sanki pomknęły jak wichry, lecą po białej drodze bez pamięci, tuż ponad przepaścią. Nagle zawadzają z łoskotem o szeroki pień dębu, koń pada i krwawa piana toczy mu się z pyska, a po puszystych śniegach zbocza zsuwają się dwie postacie niewieście z zawrotną szybkością.

Płynie za nimi krzyk rozgłośny, wściekły, potem nad wrzawą góruje doniosłe wołanie: „Naprzód! Naprzód!“ Ludce zda się nagle, że rozpoznaje gromki głos Marka.

Dziewczę dźwiga się z trudem i dopomaga powstać Katarzynie, obie spoglądają w górę strwożonem spojrzeniem. Tam znowu wre zacięta walka. Pomoc przybyła... nie mylą ich oczy: Marek komenderuje.

Już kilkunastu górali pędzi przed sobą całą kupę wroga, po stromej ścieżynie ucieka obłąkany Jagof. Gonią za nim czerwone ogniki wystrzałów, z okien leśniczówki błyskają także karabiny, ale z kul żadna nie sięga warjata, po chwili znika wszystko w siniejącym lesie.

Szyję Ludki objęły niespodzianie drżące ręce pani Lefewr.

— Jesteśmy ocaleni—szepcze i łyzy szczęścia zjawiają się w oczach. — Dzielna dziewczyna z ciebie, moja córko... Ojciec, ja i Kasper dumni możemy być z takiego skarbu!

— Matko! — niedosłyszalnym szmerem wybiega z ust Ludki.

— Trzeba nam z powrotem wędrzeć się na górę — mówi po chwili pani Katarzyna.

Zaledwie jednak uszły parę kroków, u zřębu drogi pojawia się kilka postaci: to górale co siły biegną ku nim na spotkanie, a doktor w pierwszym rzędie.

— Łzy? — Prawdziwe łzy, Ludko? — pyta ze zdumieniem doktor. — No, no, nie udawaj! Wszyscy już wiemy, żeś dragon w spódnicy. Jak mi Bóg miły, spisałaś się dzielnie! — A gdzie pistolety?

— Pozdrowienie, pani Katarzyno! — krzyczy zdaleka Marek ostrym, przenikliwym głosem. — Co za szczęście, żeśmy byli blisko! Ledwie was nie ogarnęli!

— Szczęście... — powtarza pani Lefewr bardzo cicho.

— A my przed kwadransem zjechaliśmy do leśniczówki mówi dalej Marek. — „Radzę nie wracać na Donon“ — powiada mi Kuny od proga, — „niebo skrwawione łuną od tej strony“. Wyprawiam natychmiast Josona i ledwie wyszedł, słyszymy z góry dzikie krzyki. Skoczyliśmy na ganek, — dojrzałem doktora. No, i nie zaspaliśmy gruszek w popiele.

— Tak. Ale co się dzieje na Dononie? — przerywa pani Katarzyna z nagłą chmurą w oczach.

— Wszystko w rękach boskich — odpowiada doktor uroczysto. — Miejmy nadzieję, że szczęśliwie poszło.

— I z nami nie koniec jeszcze — wtrąca Marek. Musimy na Falkensztajn wracać, bo taki jest rozkaz dowódcy; niestety jednak, nie możemy zabrać wozu z amunicją, bo go nie uciągniemy pod górę. Przytem Jegof gotów naprowadzić znowu tych psubratów. Zejdźmy do leśniczówki, trzeba się naradzić.

Złożono dwóch rannych na sianie, zabitych zostawiono tymczasem na śniegu i wszyscy skierowali się z wolna do leśniczówki. Przed drzwiami ciemnieje wóz ładowny prochem.

— Gość w dom, Bóg w dom, pani Katarzyno! — woła serdecznie leśnik. — Proszę, spocznijcie chwileczkę!

Marek pośpiesznie przedstawia stan rzeczy. Tutaj nie mogą zostać w żadnym razie, wróg łada chwila wróci, więc trzeba się koniecznie dostać w jakie bezpieczniejsze miejsce.

— Co za czasy! — skarży się gospodarz i kiwa z przejęciem łysą jak kolano głową. — Człiek mienia i życia nie pewny. To jeszcze gorzej, niżli za pogańskich „królów“.

— Im prędzej stąd ruszymy, tem bezpieczniej — kończy przemytnik stanowczo. — Dalej w drogę!

Tłumnie wylegli na ganek. Ludzie Marka odciągnęli wóz daleko, w przeciwny koniec doliny, i prędko odprzegają konie.

— Jedźcie! — komenderuje Marek, i sanie pomkęły śpiesznie po śniegu.

— Co ty robisz, Marku!? — wykrzykuje zdumiony Franciszek. — Jeżeli nie możemy wziąć na Falkensztajn tych prochów, to trzeba je było złożyć w szopie, u leśnika. Poco, u diabła, marnować tyle amunicji?

— Jaje mędrsze od kury — odpowiada przemytnik szyderczo. — Tamci zaraz wrócą i z pewnością przetrząsną wszystko od piwnic do dachu. Kuny zawisłyby zaraz na najbliższej sośnie.

Stropiony chłopak oddala się szybko i sanie po chwili nikną na zakręcie. Wkrótce z mgieł wynurzają się zabudowania Dąbrowy, odległe już tylko o trzy ćwierci kilometra.

— Stójcie! Stójcie — dobiegają ich zmieszane głosy. To woła Marek, pnąc się po zboczu żwawo ze swoimi ludźmi. — Spójrzcieno w dolinę!

Górale oniemieli ze zgrozy. Z ciemnych otchłani lasu wyłania się gromadka zbrojnych, przemknęli wawóz błyskawicą i otaczają prochy z dzikiem wyciem.

— Uciekajmy! — woła rozpaczliwie Ludka.

— Tss! Cicho! — przerywa Marek z posępnym uśmiechem. — Zobaczycie, żeśmy tu bezpieczni.

Nie skończył mówić, kiedy nagle buchnął krwawy płomień, przebiegł szkarłatną łuną po skałach, po milczących borach i rozprysnął się w tysiączne złowrogie języki. Potem rozległ się huk straszny, niby nieskończone grzmoty, i wszystkie góry zadrżały w podstawach, potem dym czarną chmurą przysłonił niebo i zaległa ponura, głucha, martwa cisza. Tylko białe dno doliny zasłały pokrwawione liczne szczątki ludzkie.

— Przedni wódz ze mnie! — odzywa się brutalnie Marek, a w oczach płoną mu ognie triumfu. — Wiedziałem, że te psubraty nie ominą wódki, i że tymczasem lont dosięgnie prochów. Dlatego nie pozwoliłem uciekać. Nie wiem, jak odnajdą na sądzie, ostatecznym, pogubione członki. Odrazu zdmuchnąć trzystu ludzi! Podobnego losu życzę wszystkim, co się odważą Ren przestąpić.

Ale słowa Marka brzmią samotnym dźwiękiem. Milczą wszyscy i czoła zasnuwają się powagą smutku.

— Na szubienicę zdrajców! — wybucha przemysłnik gwałtownie. — A Jegof jest zdrajcą! On naprowadził Niemców w wąwozy Blutfeldu. I nie pocieszę się do śmierci, jeżeli zginął przy wybuchu prochów. Coś lepszego zachowam dla niego — ciągnie z błyskiem okrucieństwa w drapieżnych zrenicach. — Będę cierpliwie czekał, póki się nie spotkamy gdzieś w zakątkach boru. Za dziesięć lat, czy za dwadzieścia, to już wszystko jedno. Smaczne kąski jada się zwykle powoli.

Nie jeden słucha dyszącej nienawiścią mowy i mimowoli krew mu w żyłach krzepnie. Znają nawskroś przemysłnika. Spełni, co przyrzeka, święcie.

W pół godziny później sanie stanęły przed bramą Dąbrowy.

ROZDZIAŁ XVI.

Tutaj już od północy schroniły się niedobitki z oddziału Józefa.

— Kto idzie? — przebiegł warty grzmiący głos na widok wynurzających się z mgieł zbrojnych cieni.

— To my! Górale z Szarm i straż z Falkensztajnu — odpowiada donośnie przemysłnik.

Folwark stoi cichy. Przed stodołą bez szelestu przechadza się smukły wartownik i strzeże snu trzydziestu towarzyszy. Poranne opary otulają ciemny dach budynku, stajnie, szopy — swojsko tu jakoś i serdecznie. Pani Lefewr zda się nagle, że widzi siwe głowy dziada, ojca, matki, co rodzili się

i marli w tych murach, i ma wrażenie, że przygląda się im raz ostatni.

— Znów więc jesteśmy w domu — szepcze do Ludki ze smutnym uśmiechem i zwolna unosi się w saniach.

— Dla Boga! Pani! — słysząc głos Józka, dzwiczący zdumieniem.

— Nie macie wieści z Dononu? — pyta kobieta gorączkowo.

— Nie mamy.

Weszli w milczeniu do kuchni.

Na kominie żarzą się czerwono-złote węgle, w kącie na zydlu siedzi szewc Józef w siwej, skrwawionej siermiędze, z nisko pochyloną głową. U kolan błyszczy karabin.

— Jak się macie, Józefie? — mówi pani Lefewr.

— Witajcie, Katarzyno — odpowiada głucho. — Czy wracacie z Dononu?

— Tak. I źle się dzieje. Cesarscy wdzierali się na płaskowzgórze, właśnie kiedyśmy ruszali. Część już atakowała zagrodę Kuny.

— Więc Hullin się cofa?

— Niestety, tak. Jeżeli Pioret nie nadciągnie na pomoc, to zupełna klęska.

Marek milczy i fajkę nakłada z głębokiem skupieniem.

— Jednego chciałbym dociec — zaczyna posepnie. — Zgóry wiem, Józefie, że tam, gdzieś ty dowodził, biliście się dzielnie, ale...

— Każdy z nas do końca spełnił obowiązek — przerywa starzec uroczyście — 60 trupów zaległo stoki Grosmanu, ci kiedyś zaświadczą na sądzie ostatecznym.

— Wierzę wam, Józefie — ciągnie z naciskiem przemownik. — Kto jednak naprowadził Niemców? Kto ich nauczył tajemnic wawozów Blutfeldu?

— Szalony Jegof — przeciągłym zgrzytem wybiega z ust szewca i oczy płoną mu ponurym blaskiem. — Jegof zdrajca.

— Czy na pewno?

— Ludzie z oddziału Labarba widzieli go na czele sprzymierzonych armij...

Powstańcy bledną z oburzenia, w piersiach zawrzało im okrutnym gniewem.

— Z Donau idą! — ozwały się za oknem krzyki. — Słuchać róg Lagarmitta! Przegrana! Przegrana!

Górale jak nieprzytomni wybiegają z izby. We wszystkie mózgi wwierca się złowróżbna nowina i myśli mimowoli płyną do synów, ojców, braci, których już może nigdy nie zobaczą, co śpią już może na pobojuwisku.

— Kto idzie? — mknie donośne wołanie przez warty.

— Francja! — odpowiadają z mocą.

Ludce zda się nagle, że słyszy spokojny głos ojca, przymyka oczy i twarz jej bieleje.

Po chwili zadudniały po twardym śniegu liczne kroki ludzkie, na czele posuwa się dobrze znana postać..

— Ojcie! — wybucha Ludka gorąco.

— Jestem — szepcze Jan Klaudjusz miękko.

— A mój ojciec? — pyta Franciszek niespokojnie.

— Idzie z nami, chłopcze.

— Kasper?

— Naznaczony. Ale wszystko głupstwo.

— Witaj, przyjacielu! — przerywa serdecznie pani Katarzyna i ściska mu gorąco rękę.

— Tak, wielu już nigdy nie zobaczą swoich — odzywa się Hullin szorstko.

— Synu! — dobiega ich głos Mateusza — Synu!

Powstańcy odnajdują się, co chwila biorą się w objęcia, pogodny smutek rozświeca im czoła; inni nawołują swoich głuchym, przerywanym szeptem, a odpowiada im tylko milczenie. Aż słowa więzną w zaciśniętem gardle i przekształcają się w tłumione, całą siłą woli wstrzymywane łkanie. Radość, ból, gorycz mieszają się z rozpaczą i bezbrzeżnem szczęściem.

— Czas drogi — woła Jan Klaudjusz. — Wróg zajął nasze stanowiska i pierwsze pułki mogą przyjść nad ranem. Trzeba obmyślić plan dalszej obrony.

Ciężkim krokiem wszedł do izby, za nim tłumem runęli górale. Bob, pastuch, narzucił naręcz drzewa na ognisko i zaraz krwawy płomień oświecił twarze, szerniałe od prochu,

tu i ówdzie rozdarte bagnetem, naznaczone brunatną plamą krwi zaskrzepłej. Na zydłu siedzi Kasper z czołem związanem zakrwawioną chustą i purpurowe plamy stroją mu siwą siermięgę, głowę wspiera o silne ramię ojca. Pozostali przy życiu z trzech licznych oddziałów patrzą po sobie przeciągłym, mętным wzrokiem. Od czasu do czasu padnie jakie samotne, oderwane słowo i znów zalega ciężka, głucha cisza. Nie sporo mówić, kiedy do duszy wżera się świadomość klęski. I jutro niepewne, zaciągnięte mgłami.

Katarzyna śpiesznie uwija się z Ludką. Józek wytoczył beczkę wina z lochu, powstańcy napełniają manierki i flaszki.

— Jedzcie! Pijcie! — zaprasza całym sercem gospodyni. — Pamiętajcie, że pokrzepić trzeba nadwątłone siły. Franciszku, zdejmijno te szynki! Oto chleb, słonina, noże. Jedzcie!

W milczeniu okrążają stół zwartym szeregiem, wygłodzone żołądki dopominają się nagle posiłku, brząkają noże, nikną przygotowane zapasy.

W sąsiedniej izbie zasiada starszyzna, Hullin zdaje sprawę z przebiegu bitwy na Dononie: radzą, co począć dalej. Migotliwa lampa oświeca bladym światłem twarz doktora, Józef wspiera się o framugę okna, opodal stoi Jan Klaudjusz z zaszępiłą twarzą. Przy stole rysuje się barczysta postać Marka, nieco dalej w cieniu majaczy surowa postać Mateusza.

W progu staje pani Katarzyna. Zalega uroczysta cisza.

— Widziałem, jak marli ojcowie i dzieci, jak się bez skargi słały ciała bohaterów — wzniosł się nagle drżący głos Hullina. — Nie myślcie, bracia, żem obojętnie patrzył na śmierć towarzyszy... Po setki razy wolałbym się znajdować na ich miejscu, niżli dźwigać na barkach tę przytłaczającą, straszną odpowiedzialność za życie tylu ludzi.

Usta mu się trzęsą, coś go dławi w gardle, i widać, że mu się w duszy rodzą wątpliwości, że cierpi, szuka pomocy i rady. I nie wie, czy go bracia nie potępia, czy nie obarczają odpowiedzialnością za tyle krwi wylanej.

Pani Lefewr na palcach przechodzi izbę i cicho zagłębia się w wielkim fotelu.

— Zimmer przybył przed samą północą — zaczyna znów, — ranny był, jęknął tylko: — „Otoczeni... Niemcy z Gros-

manu... Labarb poległ... Józef... Józef..." — Nie dokończył, krew mu buchnęła ustami. Com miał począć? Czym mógł opuścić odrazu placówkę? Stanowisko, co tyle krwi już kosztowało? Czym miał bez walki odsłonić drogę do Paryża? Ale ze mną było tylko 300 ludzi,—z Grandfontenu zważyło się 4,000, z Blutfeldu całe chmary wrogów. Zdało mi się, że nic nie warto życie bez honoru, a nikczemnie jest dać wrogowi przejście do stolicy. Lepiej umrzeć!

— Zaczęła się bitwa. Przy mnie jeden za drugim stali się towarzysze, a każdy marł z imieniem Francji na wargach. Liczyliśmy jeszcze na pomoc Pioreta. Nadciągnął wreszcie. Z nim pół setki wypoczętych ludzi. Ale już było za późno. Nieprzyjaciel wdarł się do obozu i prażył nas piekielnym ogniem. Nakazałem odwrót. Kilkudziesięciu naszych pozbięrało rannych, dodałem konwój i puścili się chyłkiem w dolinę. Reszta z nadludzkim poświęceniem przebiła zwarty łańcuch wrogów i na Falkensztajn gnaliśmy z rozpaczą w duszy. Ocalała nas noc czarna, gęsta, inaczej nikt nie uszedłby żywy.

— Donon więc stracony—kończy zmaconym głosem Jan Klaudjusz. — Falkensztajn pozostaje, a w nim trzy setki ludzi. Radźcie! Czy chcecie się bronić do ostatka? Mnie odpowiedzialność dusi. Póki była mowa o obronie przejścia przez Wogezy, póty sprawa była czysta. Każdy biec powinien na takie wezwanie ojczyzny. Teraz wróg zawładnął przejściem, wkracza już do Lotaryngji. 10,000 ludu trzeba, żeby powetować straty. Więc co czynić?

— Bronić się do końca — brzmi silna odpowiedź Józefa.

— Do ostatka — powtarzają inni.

— Co myślisz o tem, Katarzyno?

— To, co wy myślicie—szepcze stara kobieta z głębokiem wzruszeniem.

— Bóg zapłać, bracia! — wzbija się nagle dźwięczny głos Hullina.—Posłuchajcie planów! Na Falkensztajnie są zapasy prochu i wróg już zmiarkował, co się święci. Najpierwszym naszym obowiązkiem jest strzec prochu, bo cóż wart żołnierz pozbawiony amunicji? A ludzie w wioskach wzmogą się na duchu, skoro posłyszają, żeśmy ręk nie opuścili. Przytem niechby się Pioret zaszył w lasy, niechby przyjmował ochotników. Jak

tylko się nieprzyjaciel oddali wgłąb kraju, Pioret uderzy bezwzględnie na pozostałe luźne kupy wojska, będzie nękać ich dniem i nocą, urywać, szarpać, aż im życie obrzydnie. A my ze szczytu będziemy urządzać wycieczki, zabierać żywność, przejmować rozkazy, trapić odwodowe pułki. Skoro zaś przyjdzie upragniona chwila, i cesarskich na kwaśne jabłko zbije nasza armja, wtedy im przetniemy powrót i powetujemy klęski.

Powstali wszyscy, dłonie łączą się długim, gorącym uściskiem. Hullin uchylił drzwi kuchni.

— Towarzysze!—przemawia spokojnie, lecz z mocą — postanawiamy bronić się do końca, ale nie chcemy przymusu. Ojczyzna żąda ofiar dobrowolnych. Kto się nie czuje na siłach, niech broń odda i wraca do rodzinnej wioski... Ci, którzy zostaną, podzielą z nami ostatni kęs chleba.

Kolon, stary flis, podnosi się zwolna.

— Wszyscyśmy z wami, dowódco—odzywa się stanowczo, bez namysłu.—Zaczęliśmy z tobą i skończymy z tobą.

— Tak! Tak! — zrywa się zewsząd wołanie.

— Więc słuchajcie! Brat Józefa obejmie dowództwo.

— Brat mój zginął—przerywa starzec uroczyście.—Leży na Dononie.

Nastaje ciężka cisza.

— Więc Kolon weźmie dowództwo—powtarza Jan Klau-djusz gorzko. — Przy mnie zostaną ci tylko, którzy stanowili konwój pani Katarzyny. Połączysz się, Kolonie, z ludźmi Pioreta w dolinie Blanru, za potokiem.

— A prochy?—wtrąca Marek niespokojnie.

— Mam wóz cały z sobą—mówi Józef z pośpiechem. — Niech Kolon je zabierze!

— Zaprzęgnijcie największe sanie! — woła pani Lefewr do parobków. — Kozacy przyjdą i zagrabią wszystko. Lepiej zawczasu uprowadźmy woły, krowy, kozy. Żywność się przyda, wróg niech gryzie ziemię...

Więc znoszą chleb, szynki, wędzone mięsiwa, z obór wyganiają bydło. Wkrótce oddział rusza, Bob pędzi stado, wrzawa słabnie, po chwili giną w ciemnym lesie. Katarzyna tłumy przemocą westchnieniem, naraz czyjaś ręka ujmuje jej ramię. Odwraca się zwolna: przed nią stoi Hullin.

— Jedziemy na Falkensztajn — mówi łagodnie.

Przed gankiem już czeka szereg uzbrojonych ludzi, pani Katarzyna wchodzi pośpiesznie do izby.

— Józku! — odzywa się do starego sługi błagalnie. — Idź do wioski! Ja nie chcę, żeby wróg męczył ciebie za to, żeś mi służył wiernie.

Stary potrząsnął siwowłosą głową i łzy zabłysły w spłowiałych źrenicach.

— Niech mnie na śmierć zamęczą! 50 lat spędziłem tutaj. Nie każcie mi odchodzić, pani! Tu chcę umrzeć...

— Szanuję twoją wolę, przyjacielu — odpowiada pani Lefewr, cała drżąca. — Oto klucze.

Starzec wraca pod komin i zaraz się pogrąża w jakieś bolesne rozmyślanie.

Na podwórzu ruch, wychodzą wszyscy. Na czele kroczy Mateusz z półdziesiątkiem ludzi, dalej kobiety same, na lewym skrzydle Franciszek z Hullinem, prawego strzeże doktor z Józefem, pochód zamyka Marek ze swoim oddziałem.

ROZDZIAŁ XVII.

O dwa karabinowe strzały od Szarm jęli się wspinać zwolna ścieżyną, wiodącą do ruin zamczyska. Hullinowi stanął nagle w oczach dzień, w którym siedł wtedy po prochy do Marka, i uczyniło mu się dziwnie ciężko. Wtedy wierzył jeszcze w możliwość zwycięstwa pomimo smutnych słów sierżanta, pomimo widoku rannych z Lipska. Teraz wśród za nimi idzie klęska, wróg w Lotaryngji, powstańcy kryją się jak zwierzę po borach... Jadą w milczeniu, przygnębieni. Marek odwraca się ciągle i bystrem spojrzeniem obiega dolinę, śledzi, co się dzieje w opuszczonej Dąbrowie.

— Kozacy! — woła nagle.

Z mgieł porannych wynurzyły się rzeczywiście obce postacie i zbrojno posuwają się w stronę folwarku, rozsypani w tyraljerkę, jakby się obawiali jakiej zasadzki.

Dosięgli Dąbrowy, otaczają folwark szerokiem półkolem. Pędzą na dom, niby wygłodzone sępy. Lecą z brzękiem szyby, meble, stoły, stoliki, z pokaleczonych framug wyziera bezmyślne zniszczenie. Pani Katarzyna śledzi rozpasaną tłuszczę bez słowa skargi, ze spokojnem czołem. Wtem koło ganku przemyka dziwaczna postać Jegofa, ostrzem lancy godzi w pierś starego Józka.

— Zbrodniarz! — wybiega z ust Katarzyny mimowolnym jękiem. — Podły! Podły! Zabił bezbronnego starca!

— Dosyć tego! Jedźmy! — stanowczym tonem rozkazuje Hullin. — Poco patrzeć bezradnie...

I znów cały pochód posuwa się w górę. Ludka zamyślonym wzrokiem ogarnia śnieżne pola, co gdzieś w mgłach się gubią. To ojczyzna.

Rysy pani Katarzyny przyobleka nagle wielki spokój.

— Czy słyszysz, Hullinie, co mówią te góry? — odzywa się. — Mówią one, że ten, co wzniósł twarde opoki, posadził lasy, wyłobił doliny, co się opiekuje najdrobniejszą muszką, dojrzy łzę każdą, widzi każdą skargę, jest przecież Sprawiedliwością.

— Baczość! — przerywa niespodzianie Marek — przybyliśmy już do zamku.

Wskazuje strome krawędzie przepaści i wąską, krętą, głazami najeżoną ścieżkę, co wiedzie na Falkensztajn. Oddział mija gładki występ skalny z zapartym oddechem i wjeżdża zwolna na płaski taras. Ścianę osmala złotawe ognisko, przy którym grzeje się trzech mężczyzn w czarnych płaszczach: trzej to najbardziej zaufani ludzie Marka.

— Jesteśmy! — woła donośnie przemytnik. — Tylko Zimmera już niema i nigdy nie będzie. Cesarscy owładnęli Donon. A gdzie Bajzel?

— Leje kule.

— Wartujcie dalej, i w łeb każdemu, kto się tu pokaże! Mateusz śledzi widnokrąg uważnem spojrzeniem, tuż przy nim dwaj chłopcy i trzy zbrojne postacie groźnie rysują się na ciemnych skałach. Po chwili Hengst wyciąga rękę tam, gdzie wśród dalekich lasów jaśnieje jakiś biały punkcik.

— Poznajecie? — pyta zdławionym głosem.

— Ojcowa chata — cicho odpowiada Kasper.

Znowu milczą wszyscy.

— Biedna matka — ciągnie po krótkiej przerwie stary leśnik — już od tygodnia nie ma żadnych wieści. Pewnie się modli i płacze.

Naraz rozlega się głośny okrzyk Marka.

— Patrzcie! — wybucha z nienawiścią. — Patrzcie! Dąbrowa się pali! Łotry!

Pani Katarzyna blednie, ale spokojnym krokiem zbliża się na brzeg przepaści. Ludka przysuwa się także, cała zgębiona i drżąca. Po cichej dolinie włóczy się białawy opar i kłębi się złotym blaskiem nad Dąbrową. Kiedyniekiedy przebiega silny podmuch wiatru i odślania budynki objęte snopami płomieni, przez dach syją się żłowrogie iskry, z porzbijanych okien wychylają się krwawe języki. Mgła przysłania wszystko.

— Zbrodniarze! — wyrywa się z piersi Hullina.

— Żołdacy — poprawia pani Lefewr z pogardą. — Czterdzieści lat pracy i krwawego potu puścić z dymem w jednej krótkiej chwili! Żeby choć z jaką korzyścią dla sprawy. Ale i tak nie żal. Nie ugryzą ziemi. Kasper i Ludka dorobią się znowu.

Nagle dym bucha czarnym słupem wgórę i mkną pod niebo snopy krwawych iskier; potem zapada się z łoskotem wszystko, i zostaje tylko stos płomiennych, osmalonych zgłiszczy, posepn yobraz zniszczenia i klęski.

Oddział rusza znowu, pną się bez wytchnienia wszyscy. Są już pod samym szczytem.

Pani Katarzyna i Ludka zbliżyły się do pieczary Marka. Bajzel wyszła na ich spotkanie.

— Wszystko, co mam, oddaję pod rozkazy wasze, Katarzyno — mówi przemytniczka po chwili serdecznie.

I ręką wskazuje na nędzne schronienie, trochę drew pod ścianą i miotłę z zielonych jałowców... Pani Lefewr w milczeniu patrzy na ubogie sprzęty.

— Niewiele tego, ale mocne — odzywa się nareszcie miękko. — Płomień nie chwyci i kula nie ima.

— Tak. Kamienia nie spalą z pewnością, — wybucha wesołym śmiechem Bajzel. — Wszystkich tych borów byłoby za mało.

Powstańcy milcząc składają broń w kozły i jeden za drugim rozciągają na twardej skale zmordowane członki. Starszych Marek zaprasza do wnętrza i wkrótce zalega niczem niezmacona cisza.

ROZDZIAŁ XVIII.

Na Falkensztajnie, na najwyższym cyplu skalnym, wznosi się kamienna okrągława wieża, najlepiej zachowany szczątek zrujnowanego zamczyska. U podnóża tulą się jeżyny, głogi, złociste ciernie i zielone mirty i gwarzą o zamierzchłych, zapomnianych czasach, o wrogach, co się tylekroć kusili na potężne gniazdo, o nieprzebranych chmarach nieprzyjaciół, co odchodzili stąd ze wstydem i klęską. Dawno skamieniał cement spajający głazy i dziś już nie rozerwie ich żadna siła ludzka. I sterczą tajemnicze, groźne, omszałe pleśnią niezliczonych wieków.

Powstańcy, po całym szczycie rozstawieni w straże, dostrzegli już pod wieczór białe mundury cesarskich, wychylające się z mglistych wąwozów. Najpierw wyłoniły się pułki z prawej strony góry, potem z lewej, zewsząd i nieubłagane, zwolna jęły opasywać kołem skaliste podnóże. Marek śledzi ich ruchy zachmurzonym wzrokiem i nagle w mózgu zjawia mu się myśl straszna: będą nas blokować ¹⁾, przetną dowozy żywności, nie zwyciężą nas żywych, to zdobędą głodem!

Dolinę Blanru widać jak na dłoni, wioska Szarm już całkowicie zajęta przez wroga, u studni stoi sztab i wszyscy dowódcy. Opasły jenerał bawi się jaskrawą wstęgą i co chwila podnosi do oczu lunetę. Opodal rysuje się dziwaczna postać obłąkanego Jegofa, wódz go raz po raz przyzywa wyniosłym skínieniem i pyta o coś, czegoś żąda. A ulice wioski wy-

¹⁾ Blokować — otoczyć ze wszystkich stron.

marle i puste, przerażeni mieszkańcy kryją się po strychach, po lochach.

— Hullinie! Hullinie! — woła Marek. — Czy widzisz te kaski, świecące w mgłach? I z tej strony białe mundury cesarskich? I tam? I tam jeszcze? Czy wiesz, co zamysłają? — pyta gorączkowo, prędko.

— Chcą Falkensztajn blokować — odpowiada zmienionym głosem Jan Klaudjusz.

— Naturalnie. Na ile ich liczysz?

— Będzie ze cztery tysiące.

— Oprócz tych, co są już w wiosce. Cóż pocznie Pioret i trzy setki ludzi przeciwko tej chmarze? Co sądzisz o tem, ale szczerze?

— Myślę, że Pioret jest bezsilny. Niemcy zwąchali, gdzie chowamy prochy, i boją się, że powstaniemy znowu, kiedy usuną się do Lotaryngji. Więc chcą zabezpieczyć tyły. Przekłety jenerał zrozumiał widać, że nas stąd nie ruszy siłą, i woli wziąć głodem. Tak przypuszczam. Ale wiem także, żeśmy synami tej ziemi i musimy spełnić obowiązek. Poddać się nam nie wolno, chyba umrzeć — kończy z mocą.

Nastaje milczenie, słychać tylko przyśpieszony oddech przemysłnika.

-- Umrzeć! — wybucha niecierpliwie wkońcu. — Umrzeć! To najłatwiej, tylko nie zawsze potrzebne. Umrzeć! I poco? Żeby im zrobić przyjemność?!

— Co ciebie opętało, Marku? — przerywa Hullin szorstko. — Chcesz się poddać?

— Poddać się?! — podchwytuje Marek z błyskiem zaciętości w oczach. — Cóż to? Mam być podły?!

— Więc się tłumacz jaśniej!

— Wymykam się dziś jeszcze do Falsburga. Narażam wprawdzie grubo własną skórę, wolę to jednak, niż bezczynne gnicie. Postaram się wsunąć do twierdzy za pierwszą wycieczką, albo może przez jakiś podziemny korytarz. Komendant zna mnie osobiście, bo od trzech lat dostarczam mu tytoniu... Był w Egipcie. Opowiem mu wszystko. Zobaczę młodego Lefewra. Może dadzą choćby kompanję żołnierzy. Mundur wiele znaczy. Pioret wtedy połączy się z nami. Jak myślisz?

I obrzuca towarzysza niespokojnym wzrokiem.

— Sprytnie ułożone, prawda?

— Owszem — odpowiada Jan Klaudjusz zwolna. — Ja nie bronię. — Tylko, czy przysięgasz uczynić wszystko, co będzie w twojej mocy, żeby się przedrzeć do twierdzy? — pyta dalej.

— Nic nie przysięgam — mówi Marek sucho i twarz mu się powleka krwistym rumieńcem. — Zostawiam tu wszystko, żonę, dobytek, panią Katarzynę, ciebie, który byłeś najdawniejszym moim przyjacielem. Jeśli nie wrócę, to mię ogłoście za zdrajcę, ale... — i głos drży mu mocno — jeżeli przyjdę, to zażądam wyjaśnienia słów ostatnich... tu... pomiędzy nami!..

— Przebacz, Marku — szepcze Hullin cicho. — Tyle teraz cierpię... a nieszczęście czyni podejrzliwym... Daj mi rękę! Idź! Ocal mi córkę, ocal Katarzynę! Chcesz zupełnej prawdy? Wiedz, że w tobie jedyna nadzieja.

Ciężka, długa cisza.

— Niechtam! — rozlega się po chwili twardy głos Marka. — Nie mówmy o tem więcej nigdy. Ale... gorzka zapłata za najlepsze chęci... Ruszę, jak się ściemni. Wrócę z pomocą, jeśli uratuję skórę. Falkensztajn już otoczony, wierzę jednak w dobrą gwiazdę.

Okolo szóstej nieprzejrzały tuman osnuł szczyty, a w dolinach rozpały się tysiączne ognie. Marek jął się spuszczać wąską szczyrbą zwolna, poomacku. Hullin nasłuchuje z zapiętym oddechem, potem kieruje się ociężale ku starej wieży. Bajzel zawiesiła wejście grubą płachtą, więc unosi ją cicho i staje w półcieniu.

Na środku na kamieniach płonie nieduże ognisko, przy którym Ludka grzeje przemarznięte dłonie. Tuż obok siedzi pani Katarzyna ze wzrokiem utkwionym w płomień, cała w myślach. W głębi majączy postać Józefa, wspartego o kij sękaty, głową prawie dotyka poszycia. Bajzel miesza coś w kotle warząchwia, doktor obstukuje głazy. Na wszystkich twarzach przygnębienie.

— Te mury pamiętają ze dwadzieścia wieków. Dużo musiało wody spłynąć stąd do Sarry, odkąd zagasł tu ostatni ogień — odzywa się doktor.

— Tak — odpowiada pani Lefewr. — I inni cierpieli tutaj zimno, głód i nędzę. Chociaż dla świata nieznani. A za lat 200 lub 300 jeszcze inni schronią się może przed klęską, i jak my, znajdą wilgotną ziemię i spleśniałe głązy. Jak my, zechcą odgadnąć, kto tu żył przed nimi, kto cierpiał, walczył, krył się przed pościgiem. I nadarmo starać się będą przeniknąć zasłone upłynionych wieków: nikt nie dowie się prawdy.

Hullin przybliżyła się nagle, kobieta podnosi głowę i obejmuje go długiem spojrzeniem.

— Jesteśmy otoczeni — mówi wkońcu sucho. — Wróg nas weźmie głodem.

— Nie przewidziałem tego — oskarża się z rozpaczą Jan Klaudjusz. — Piekielniki! Ale nadzieja w Bogu. Marek poszedł do Falsburga, zna komendanta... i jeśli przyślą nam odsiecz, choć kilkuset ludzi...

— Nie powinniśmy rachować na to — przerywa głucho pani Katarzyna. — Marka mogą ogarnąć Niemcy, zabić nawet. Przypuścimy zresztą, że się przedrze; ale którędy wejdzie do twierdzy? Oblegają ją przecie kozacy.

Zalega męczące milczenie.

Po chwili Bajzel odsuwa kociołek od ognia, daje łyżki — i zaczynają jeść w głębokiej ciszy.

ROZDZIAŁ XIX.

O siódmej rano pani Lefewr wysuwa się z kamiennej wieży. Bajzel i Ludka śpią jeszcze, ale w górach już wstaje cudny dzień słoneczny. Przez mgły błękitne ciemnieją bory, doliny i skały, niby zielone mchy i pstre kamyki na dnie kryształowego, czystego jeziora. Najłżejszy podmuch nie zakłóca cichego powietrza i do duszy starej kobiety zstępuje nagle wielki spokój. Co znaczą nieszcześcia i wszystkie cierpienia wobec nieskończonych wieków i wieczności? Czemu lękać się dni przyszłych? Całe życie trwa zaledwie chwilę. Czy nasze bóle zmieniają wolę Najwyższego? Czyż Bóg nie

każe umierać, by z prochów rodziły się nowe istoty? Pomarły szeregi przodków i przyszły nowe pokolenia, więc czemu wątpić? — i po nas przyjdą inni. A te lasy, te góry i stare zamczyska szeptać im będą: pamiętajcie, tu żyli ojcowie, tu się zrodzą synowie i wnuki, tu święta ziemia dziadów; i trwać będziemy zawsze, po wieki wieków.

I czoło jej rozjaśnia się wielkim blaskiem wiary. Już się nie lęka śmierci, wie, że dźwignie się, co pogiębione.

Wtem uszu jej dobiega odgłos splątanej rozmowy i po drugiej stronie zbocza dostrzegła Hullina i trzech ludzi Marka. Nie widzą jej i radzą o czemś ze skupieniem.

Bren stoi na wysokim zrębie i badawczy wzrok spuszcza w doliny, nos świeci mu się kolorami tęczy, siwe wąsy obficie przyprószone szronem. Dwaj inni przysłaniają oczy ręką, gdzieś patrzą, o coś się sprzeczą.

Pani Katarzyna zmierza ku nim bez namysłu.

— Więc niepodobna się wymknąć? — słyszy pytanie Jana Klaudjusza.

— Nie, dowódco—oznajmia przemytnik stanowczo. — Te psubraty już znają całą okolicę, obstawili wszystkie przejścia, nawet Kozi Wąwóz. Czy go straż pograniczna strzegła kiedykolwiek? A Niemcy postawili warty. W Czerwonym Przesmyku widzę przecie doskonale bagnety... A ten przesmyk na lewo — szła tamtędy kontrabanda.

— Djabeł się w to wmieszał — wybucha Tubak ze złością. — Dyabeł! A przynajmniej Jegof!

— Wiem dobrze o tem wszystkim — przerywa Hullin zwolna—myślę jednak, że kilku zuchów mogłoby chyba sprzątnąć choć jedną placówkę...

— Gdzie tam! — odpowiada pierwszy. — Niechbyśmy pociągnęli tylko cyngla — pułk cały zwali się natychmiast na karki. Zresztą przemknąć się nie dosyć, ale jak wrócić z żywnością? To zgoła niemożliwe.

Nastaje krótka cisza.

— Moznaby spróbować, jeśli chce dowódca—zaczyna po chwili Tubak wahajaco.

— Spróbować? — pyta Bren z szyderczym uśmiechem. — A czego? Stryczka, czy pogruchotania kości? Mnie tam

wszystko jedno. — Pójdę, jeśli pójdą inni, ale wiem, że nie wrócę. Do tego z żywnością! Chyba zgłupiałeś, stary? Obiecować—fraszka, grunt—dotrzymać. Gadaj, znasz może jakie tajemne przejście? Od 20 lat zdzieramy z Markiem podeszwy po szczytach i wiem, że niema ratunku.

W odzew im przyptywa ciche westchnienie i Hullin dostrzega nagle Katarzynę.

— Słyszałaś? — pyta kobietę.

— Słyszałam — odpowiada krótko. — Przecięty dowóz żywności.

— A czy wiecie, na jak długo wystarczą zapasy?—odzywa się Bren z czarną chmurą w oczach. — Na dwa tygodnie? Więcej? — mówi zdławionym głosem.

— Na tydzień — rzuca przemytnik szorstko.

— Niestety — potwierdza głucho Jan Klaudjusz. — Obaj z Markiem myśleliśmy, że tamci będą atakować. Nie przyszło nam do głowy, że wezmą żywcem, kiedy zechcą.

— Co czynić? — szepcze kobieta z bólem.

— Zmniejszymy o połowę dzienne porcje — odpowiada stary krótko. — Jeśli za dwa tygodnie nie nadciągnie pomoc, to zginiemy.

Wracają powoli na górę, już sięgają krzaków... Wtem na ścieżce ukazuje się Mateusz, idzie prędko, prawie biegnie.

— Co tam? Co się dzieje? — woła donośnie Hullin.

— Od Niemców zbliża się jakiś oficer z białą szmatą w ręku. Pewnie chce coś oznajmić.

Jan Klaudjusz wychyla się za występ skały. U podnóża ciemnieje smukła postać żołnierza, powiewa chustką w ręku, czeka przyjaznego znaku. Oddzielają go zaledwie dwa karabinowe strzały, opodal stoi sześciu uzbrojonych ludzi,

— Chyba parlamentarz — powiada Hullin po chwili. — Pewnie zażąda poddania.

— Strzelać! — wybucha pani Lefewr z nienawiścią. — Strzelać! o nasza odpowiedź.

Ale Hullin zaprzecza:

— Przysyłają nam parlamentarza. Nie wiemy, czego on od nas zażąda. Może złożenia broni, a może i czego innego.

Franciszek i Kasper niech go przyprowadzą! A dobrze mu zawiązać oczy!

Chłopcy poprawiają śpiesznie karabiny i oddalają się spadzistą ścieżką.

Postać oficera nieprzyjacielskiego rysuje się coraz dokładniej: jest wysoki, zgrabny, o jasnych blond włosach, ruchy ma stanowcze, szybkie. U podnóża góry wszyscy przystają na chwilę, Kasper zawiązuje mu oczy wielką chustką, Franciszek ujmuje pod ramię. Upływa jeszcze kilka minut i wyrzają się z za zrębu skały. Hullin własnoręcznie zsuwa mu przepaskę.

— A teraz mów pan, co polecono.

Oficer chwytą pełnemi piersiami powietrze i toczy wkoło uważnem spojrzeniem. Patrzy na gromadkę powstańców, którzy się z szacunkiem rozstępują przed jakąś starą, posępną kobietą o wychudłych, kościstych policzkach. Zbliża się ona z chmurą na czole i zaciśniętymi usty, z pod kaptura wymykają się kosmyki siwych włosów. Za nią kryje się słodka, blada twarz młodej dziewczyny, dalej majaczy barczysty góral w skrwawionej siermiedze i ogromny starzec w ubiorze leśnika, dalej jeszcze rozczochrana kobieta z zieloną miotłą w ręku, a za tymi twarda i połyskliwa opoka z granitów, niby mur niezdobyty, chępiący się, groźny.

Górale również patrzą na niego przeciągle. Delikatne, regularne rysy zdradzają w nim wysokie pochodzenie, policzki, ogorzałe od wichrów i słońca, znamionują wytrawnego, nawykłego do trudów wojennych żołnierza, szaro-niebieskie oczy, jasne włosy dają świadectwo, że pochodzi z krwi niemieckiej.

— Czy mam zaszczyt mówić z dowódcą Janem Klaujduszem Hullinem?—pyta oficer czystą francuszczyzną.

— Tak jest — odpowiada Hullin krótko.

Zalega kłopotliwa cisza.

— Mów pan! I mów głośno!—odzywa się Hullin. — Bo skoro idzie o honor, dobrą sławę, ojczyznę, niema powodu kryć się ze słowami. Kobiety i mężczyźni w równym stopniu kraj kochają. Podobno masz pan złożyć jakieś oświadczenie? Ale od kogo?

— Od jaśnie oświeconego jenerała, naczelnego wodza— z dumą wypowiada oficer.

— Słuchamy—rozlega się głos Jana Klaudjusza.

— Pozwól najpierw, szanowny dowódco — zaczyna uroczyście—wyrazić uznanie za zaszczytne wypełnienie obowiązku. Zyskaliście szacunek przeciwnika.

— W rzeczach obowiązku niema stopni—przerywa Hullin sucho, — jest tylko powinność. Robimy, co można, reszta w bożej mocy.

— Amen—dorzuca pani Lefewr. — A ponieważ tem zdobywamy szacunek... najeźdźców, więc wolno nam mieć nadzieję, że przy końcu wojny jeszcze w dwójnásób się zwiększy. Nie myślcie, że już opuszczamy ręce.

I patrzy w twarz obcego gorącym, nienawistnym wzrokiem. Oficer przymyka powieki.

— Szlachetne zamiary bez wątpienia — odzywa się po chwili.—Przecież i ludzkość ma też swoje prawa. Poco krew daremnie przelewać?

— Więc pocoście tu przyszli?—wybucha pani Katarzyna ostro.—Idźcie precz, a pozwolimy wam odejść w pokoju! Jesteście rozbójnicy, lecz nie wojsko. Rabujecie, kradniecie i puszczacie z dymem!

I zbliża się do niego nieubłagana, groźna, żadna pomsty. Policzki parlamentarza okrywają się nagle białością.

— Wiem, że został podłożony w dolinie ogień pod folwark,—zaczyna zmieszonym głosem—ale to były luźne kupy, maruderzy, jakich mnóstwo włóczy się za regularnem wojskiem. Jeden fakt podobny nie może rzucać cienia na sławę armji pruskiej. A przedewszystkiem obowiązkiem moim jest oznajmić, że nie życzymy sobie wojny z narodem francuskim, walczymy tylko ze znienawidzonym przez lud Napoleonem. Jaśnie wielmożny jenerał postanowił wynagrodzić straty, zwrócić właścicielce spalonego folwarku wartość...

— Ja nic od was nie chcę!—przerywa pani Lefewr wyniośle i szorstko.—Wolę zostać pokrzywdzoną... i mścić się swobodnie!...

Niemiec czuje nagle, że niebezpiecznie mówić dłużej z tą kobietą, i bez namysłu zwraca się w stronę Hullina.

— Polecono mi, dowódco—wygłasza zwolna, urzędowym tonem — ofiarować wam należne honory wojskowe, jeśli się zgodzicie ustąpić z zamczyska. Wiemy, że brak wam żywności. I tak za dni kilka będziecie zmuszeni się poddać; jednakże szacunek, jakim czyny pańskie natchnęły jaśnie wielmożnego wodza, skłania go do przedstawienia łagodnych warunków. Dłuższy wasz opór na nic się nie przyda. Jesteśmy panami Dononu, główny korpus armji maszeruje już do Lotaryngji. Rozumiecie chyba, że nie tutaj rozstrzygnie się wojna, więc poco bronić nic nie znaczącego punktu? Chcemy wam oszczędzić tylko mąk głodowej śmierci. Wybieraj, dowódco!

Jan Klaudjusz obejmuje powstańców głębokiem spojrzeniem.

— Słyszeliście? Ja odmawiam. Ale poddam wolę swoją waszej woli: jeśli przyjmiecie podane warunki, i ja przyjmę.

— Odmawiamy wszyscy! — oznajmia Józef twardo.

— Wszyscy!! — wybuchają gorącym okrzykiem.

Rysy pani Katarzyny przybierają suchy, nieugięty wyraz, lecz niespodzianie spotyka promienny wzrok Ludki i wstrząsa nią dreszcz okrutnego bólu. Zmaga się krótką chwilę, potem przybliża się do oficera.

— Dziecko mamy z sobą — zaczyna miękko i prawie błagalnie. — Czyby jej nie można odesłać do krewnych w Sawernji?

Gasną oczy dziewczyny, blask jasny zastępuje trwoga, drobne ręce oplatają szyję Hullina z rozpaczą.

— Ja nie chcę! Nie macie prawa!—woła z mocą.— Ojczel! Ojczel! Chcę zostać, umrzeć z wami!...

Głos jej łamie się i drży wewnętrznym, beznadziejnym płaczem, półnieprzytomna tuli się do ojca.

— Słyszałeś pan odpowiedź? — pyta Jan Klaudjusz cichym, ale silnym głosem. — Więc idź i oznajmij, coś widział, „jaśnie wielmożnemu“. Falkensztajn przy nas zostanie do śmierci! Chłopczy! Odprowadzić pana oficera!

Wahanie pojawia się w żrenicach Niemca, chce coś rzec jeszcze, czegoś się namyśla...

— Zabierajże się, pókiś cały! — wybucha Katarzyna. — I nie bądźcie tacy bardzo zaufani! Bajkę o braku żywności z pewnością ukuł ten łotr Jegof; ale chwała Bogu, wystarczy nam na dwa miesiące, a wtedy już nasza armja wsiądzie wam na karki. I będzie biada zdrajcom i najeźdźcom!

Podnosi z wolna prawą rękę w górę, a wzrok jej płonie niezwyčajnym blaskiem. Oficera ogarnia jakiś lęk niezwykły, w milczeniu pozwala sobie założyć opaskę, w milczeniu sprowadzają go z Falkensztajnu.

Rozkaz Hullina został wypełniony ściśle: każdy otrzymał tylko połowę codziennej żywności. W skalnej norze Bajzel złożono zapasy, przed wejściem ustawiono wartę, drzwi podparto balem, i odtąd rozdawanie jadła odbywać się miało raz na dzień, w obecności wszystkich, żeby uniknąć sporów i wyróżnień. Ale te ostrożności nie były w stanie uchronić nieszczęśnych od mąk powolnych głodowej śmierci.

ROZDZIAŁ XX.

Już od trzech dni brak zupełnie żywności, a Marek nie daje najmniejszego znaku życia. Wzrok powstańców, zmacony okrutnem cierpieniem, co chwila wdał wybiega, ku siniejącym równinom Falsburga, co chwila łudzi się nową nadzieją, nieraz im się zdaje, że słyszą liczne, zbawcze kroki, a to wicher zawodzi tylko stłumionym szmerem.

Wśród strasznych mąk głodowych nastał dziewiętnasty dzień oblężenia Falkensztajnu. Na szczycie panuje niczem niezmacona cisza; tu i ówdzie na twardych skałach spoczywają wychudłe, zsiniałe widma ludzkie, obojętne, nieruchome, niby zatopione w myślach. Chwilami patrzą po sobie dzikiem, nieprzytomnem okiem, jakby pragnęli skoczyć, zdławić, pożreć, i znów zapadają w ponury, beznadziejny spokój.

Smukła postać Ludki rysuje się wiotko pod zielonym mirtem: wielkie błękitne oczy błyszczą głodową gorączką, jest już nieprzytomna, mózg jej oplatają majaki maligny.

— Chleba! o... chleba! — szepcze co chwila i wyciąga przezroczyste ręce.

A z pod ścian dźwigają się cienie i grożą dziewczęciu zachrypniętym głosem, i klną coś bezlitośnie, strasznie.

Józef jest najprzypadliwiejszy ze wszystkich, od kilku dni pochłania tylko mnóstwo śniegu, żeby uspokoić straszny ból wewnętrzności, twarz i całe ciało oblewa mu ciągle pot zimny.

Pod wieżą ciemnieje postać doktora, plecami wspiera się o głaz wilgotny, na biodrach zaciska z zaciętością chustę mocniej, coraz mocniej... Przymyka oczy i po głowie wirują mu dziwne widziadła, jakieś wizje okropne, męczące — bredzi.

— Pierwszy okres... — mruczy — drugi... teraz trzeci... Dzień już jeden tylko, potem koniec. Koniec...

Mówi po grecku, dyktuje łacińskie recepty, oznajmia, że za chwilę wszyscy przemienią się w zwierzęta, w wilki...

— Lwem będę! — wybucha z obłąkaniem. — I codzień muszą mi dać 15 funtów wołowego mięsa!

Krótkie milczenie.

— Nie! Nie chcę! Wolę być człowiekiem! — woła dziko, groźnie.

Znów milknie i głowa pochyla się na głaz, strojny w brylantowe szrony.

— Chleba... kawałeczek chleba... — jęczy nagle z strasznym bólem.

Opodal, na tle splecionych gałęzi i krzaków, szarzeją postacie dwóch synów starego leśnika. U nóg im leżą karabiny; tępy, bezmyślny wzrokiem patrzą w przestrzeń, zda się, że wypatrują świeży ślad zwierzyny, że sprawiają jakieś gorączkowe czaty.

Tu i ówdzie dźwigają się i chylą postacie z gorejącem spojrzeniem i żółto-siną, nieprzytomną twarzą: tych pożerają upiorne majaki maligny, oskarżają Hullina obłąkanym głosem.

Jeden tylko cień ludzki stapa szeregami owych ciał bezwładnych i często wzrok zagłębia w mgłami zasłane doliny, trzyma się na nogach jakąś niepojętą, nadludzką siłą... To Jan Kludjusz.

Chwiejnym krokiem zbliża się na krawędź ścieżki i zapadłe, gorączką naznaczone oczy obraca ku widniejącym równinom Alzacji. A potem zapuszcza je w najbliższą dolinę i długo patrzy na wielki ogień, buchający na zgliszcach Dąbrowy, na czarne postacie najeźdźców... Wpółśród nich kręci się ruchliwa, dziwaczna postać Jegofa. Jegof jest tam zawsze, odkąd Falkensztajn odcięty, jakby chciał sam dopilnować konania swych ofiar.

Męczarnie głodu okropne są w zgniłych czeluściach więzienia, ale pod jasnymi błękitami nieba, w obliczu bogactw i skarbów przyrody, w poczuciu pozornej wielkości stają się naprawdę bezmierne, straszne, nadludzkie, nie masz słów dość silnych na wyrażenie całej otchłani tej męki, aż myśl się mąci i rozum tępieje.

Słońce zaczęło zniżać się za szczyty i krwawa, purpurowa tarcza niknie w sinawych oparach, a cała linja widnokregu zasnuwa się zwolna srebrzystymi mgłami. Ze szczytów szary, nieprzenikniony tuman spuszcza się cicho w doliny i przesłania je gęstą, wilgotną oponą. A na Falkensztajnie głuche, martwe, posępne milczenie.

Zachodzące słońce co chwila kładzie na konających krwawe błyski, jakby pieściło ich po raz ostatni. Zgasło. Góry palą się złotoróżowym odblaskiem, twarze powstańców owijają fioletowe zmierzchy, a w dolinie migocą coraz liczniejsze ogniki, we wszystkich wąwozach drżą czerwone światła, wróg cierpliwy czeka i patrzy, rychło li nad szczytem załopoczą czarne skrzydła śmierci.

Nagle dreszcz silny wstrząsa ciałem pani Katarzyny, budzi się z odrętwienia, potem bełkocze jakieś wyrazy bez związku.

— Marek nadciąga... Marek... — rozlega się w ciszy. — Widzę go... wychodzi przed [prochownię] podziemną galerją, za nim mój Kasper... — Za nimi 250 ludzi... żołnierze, gwardja narodowa... idą mostem... Kasper coś mówi do Marka Co on mówi?...

Nastłuchuje z dziwnem, dalekiem spojrzeniem.

— Kasper mówi: Śpieszmy się!... Tak, śpieszcie — powtarza głośniejsz, — śpieszcie... Pną się w górę...

Nastaje długa cisza, potem pani Lefewr wstaje prędko, usta jej drżą mocno, oczy płoną niezwyčajnym blaskiem, ręce wyciąga przed siebie.

— Naprzód! Bić! Ratujcie! — wybucha strasznym, rozpaczonym okrzykiem.

I pada ciężko na ziemię.

Krzyk jej otrząsa z odrętwienia wszystkich, dźwigają się zwolna, obrzucają niespokojnem, przeciągłym spojrzeniem. I rozżarza się w zwątpiałych duszach nieuchwytna iskierka nadziei, z jękiem czołgają się na sam brzeg przepaści, zapuszczają błagalny wzrok w przestrzeń. Naraz wargi Hullina bieleją i źrenice rozszerzają się wielkiem wzruszeniem... Zda mu się, że wdali, w stronie obłązonego Falsburga, dostrzega snop drobnych ogników, co zwykle oznajmia bitwę.

Pani Katarzyna zastyga znowu w nieruchomą plamę, ale policzki powlekają się ceglastym rumieńcem, oczy mętnieją, patrzą nieprzytomnie. Górale spoglądają na nią z zapartym oddechem, jakby życie ich zależało od jej mglistego proroctwa. Mija dziesięć minut, kwadrans.

— Przedarli się przez linję wrogów — brzmia znowu w ciszy senne, dalekie wyrazy. — Na Lutzelburg idą... Marek i Kasper na przedzie... Górale z nad Sarry... Idą... idą... idą!...

Głos jej rwie się, milknie. Upływają sekundy i minuty, długie, niby wieki — ona siedzi zapatrzona w dal zmaconym, szklistym wzrokiem.

— Rozum pomieszał się starej — odzywa się po chwili pogardliwie Bajzel.

Noc zapada czarna, tajemnicza. Z za wysokich, postrzępionych świerków wypływa srebrny księżyc i martwem światłem oblewa nieruchome sylwetki powstańców... wszyscy już zapadają w półsen nieprzytomny... Hullin jeszcze tylko czuwa i przytrzymuje błyski świadomości nadludzkim, okropnym wysiłkiem, a ból potworny szarpie mu wnętrzności. Jest bardzo cicho i zoddali płyną wołania niemieckich placówek: „Werda“?!“ tysiąckrotnem echem powtarzają je góry, w wozach rozlegają się miarowe kroki patroli, rżenie koni. Nadchodzi północ i wszyscy zapadają w sen gorączkowy.

Wtem błysk pochodni rozjaśnia czarne mroki nocy. Jan

Klaudjusz ręką przeciąga po płonącym czole... pochodnia... skądże?

Światło pojawia się znowu. Hullin obejmuje je drżącym, niepewnym spojrzeniem, skroń przyciska dłońmi, potem patrzy jeszcze... Po przeciwległej stronie doliny płonie krwawe ognisko, liże śniegi czerwonym językiem, rozświeca ciemne linje świerków. Dreszcz od stóp do głowy przebiega go nagle, czoło okrywa się obfitym potem, zrywa się z ziemi, ku wieży idzie poomacku... Pioret... Pioret... — to znak umówiony...

— Józefie.. Katarzyno... Ludko... — woła przerywanym głosem.

Żadnej odpowiedzi. Zda mu się, że biegnie, ale nie zrobił nawet kroku. Naraz osuwa się na głazy z jękiem.

— Bracia! Katarzyno! Idą!... Idą... Ocalenie!... — woła z rozpaczonym wysiłkiem.

Szmer słaby rozcina powietrze, tu i ówdzie unoszą się senne postacie. Potem wybucha ktoś szalonym śmiechem — to Bajzel ryczy, obłąkana z bólu.

— Janie! Janie! Czy to ty mówiłeś? — szepcze z trudnością pani Katarzyna.

A Jan Klaudjusz czuje powracające niespodzianie siły, krew uderza w żyłach szybszem tętnem.

— Mateuszu! Józefie! Towarzysze! — powtarza donośnie. — Patrzcie! Ogień... tam... po drugiej stronie Blanru! Pioret nadciąga na odsiecz...

Nie skończył jeszcze, kiedy huk przeciągły rozległ się w wąwozach strasliwym grzmotem. Powstańcy dźwigają się z okrzykiem ulgi.

— Pioret! Marek! — odzywają się dżące głosy nieszczęśliwych. — Ratunek! Wybawienie! Pomoc!

Podnoszą się z wysiłkiem, zwolna, niektórym łkanie rozrywa piersi suchym płaczem. Teraz grzmi nowa salwa, jeszcze głośniejsza, niż przedtem. Zrywają się wszyscy z ogniem w zapadłych żrenicach.

— To ogień plutonowy! — oznajmia z uniesieniem Jan Klaudjusz. — To wojska linjowe! Niech żyje Francja!

— Wyprorokowała pani Katarzyna — wtrąca Józef uroczyście. — Odsiecz nadciąga z Falsburga i Pioret przybywa.

Z dwóch stron teraz wybuchają strzały i potwierdzają prawdziwość domysłów: prażą wroga od tyłu, ze szczytów.

Hullin i Józef łączą się w długim uścisku, potem wdół schodzą, na najdalszą krawędź ścieżki.

Stają nad przepaścią i ogarniają otchłań chciwem, uważnem spojrzeniem. Ze spowitych mgłami czeluści bije w twarz zimny, mroźny powiew, — doliny i wąwozy zakrywa szczelnie gęsta, wilgotna zasłona, a na przeciwległych zboczach ognie wystrzałów przebiegają niby błyskawice, oświetlają na jedno mgnienie pnie dębów, sine skały, splątane zarośla i regularne szeregi walczących. A w dole, o dwa tysiące stóp niżej, rozlega się cichy łoskot, komenda, dzikie krzyki, tętent koni, zmieszany gwar bitwy i na Falkensztajn płynie przytłumionym jękiem przeciągłe wołanie.

— Słyszę głos Marka — utrzymuje pewnym tonem Jan Klaudjusz.

— Marek. Może nam chce odwagi dodać swoim krzykiem? — odpowiada Józef.

Powstańcy zbliżają się na brzeg przepaści, radziby choć wzrokiem śledzić przebieg bitwy. Z jakąż rozkoszą wzięliby udział w tej rozstrzygającej walce!

Upływa jak wiek długie pół godziny. Mgły jaśnieją, rzadną — świta. Szarzeją doliny i szczyty, złocą je poranne brzaski. Potem pierwsze promienie słoneczne oświecają milczące wierzchołki, i równiny oblewa łagodne, białe, czyste światło. W wąwozach włóczą się jeszcze tumany, ale drą się, nikną, i zwolna ukazują się ciemne postacie wrogów. Hullin wychyla się za występ skały i patrzy wdół badawczym wzrokiem. Niemcy skupili się u stóp Falkensztajnu, bo tam nie sięga widać ogień przeciwnika, — wyparto ich z Dąbrowy, z Szarm, ze szczytu. W dolinie Blanru widnieje oddział Pioreta: pośpiesznie wznoszą szańce koło wioski i spalonego folwarku. Na lewo w zaroślach, na zboczu, rysuje się barczysta postać przemytnika Marka: konno, z szablą w rękę, wskazuje na drogę, na ruiny. Otaczają go błękitne mundury gwardji narodowej. Trochę dalej stoi Kasper Lefewr wsparty na ostrzu bagnetu i patrzy na Falkensztajn. Chmurę ma na czole, rozpacz maluje się w ruchach. Dalej jeszcze, na skraju lasu,

majaczy kilka setek uzbrojonych ludzi, u nóg w pogotowiu mają karabiny.

Widok tych szczupłych zastępów nieci rozpacz w sercach obleżonych, — bo Niemcy są siedemkroć liczniejsi i już zaczynają formować kolumny, gotują się pośpiesznie do ataku, jakby mieli zamiar odbić utracone w nocy stanowiska.

Sztafety mkną we wszystkich kierunkach z rozkazami.

-- Koniec nadchodzi — mówi gorączkowo Hullin. — Co pocznie 500, choćby 600 ludzi przeciwko 4000 wyćwiczonej i ustawionej do ataku armii? Nasi wrócą do Falsburga i będą się chętnie, że spełnili obowiązek. A oddział Pioreta wytną z bójce co do nogi.

Zalega milczenie, bo wszyscy przyznają w duchu słuszność tym wywodom. I znów wzrok gaśnie, posępnieją oczy, ból straszny rozdziera wnętrzości. Naraz obłąkanie trwogi zjawia się na zapadniętych twarzach. Przez dolinę Blanru sady pułk kozaków wyciągniętym kłusem, lecą beładnie, łąwą, z dzikiem wyciem. A na czele widnieje postać Jegofa, wiatr rozwiewa poły skórzanego płaszcza, starga kudłate włosy, rozczochną brodę. Lancę podnosi wysoko i potrząsa nią groźnie w stronę Falkensztajnu. Dopadli pruskich szeregow, hamują konie, Jegof pędzi naoslep, do sztabu, krzyczy coś, pokazuje; przedarł się do jenerała, wskazuje przeciwległe zbocze Dąbrowy wymownym, niedwuznacznym ruchem.

— Łotu! Zdrajca! — wrywa się z rozpaczą z piersi Jana Klaudjusza. — Pokazuje, że z tej strony Pioret nie zdążył wzniesć wałów! Że trzeba go stamtąd okrażyć!

Długa, szeroka kolumna wyrusza śpiesznym marszem w kierunku folwarku, inna przecina jej ukosem drogę i zmierzza w stronę świeżo usypanych szańców, jakby tym manewrem pragnęła uwagę odwrócić od pierwszej.

— Mateuszu! — brzmi znów przygębiony głos Hullina — Mateuszu! Czyby nie można było posłać temu łotrowi ładunku?

Stary leśnik potrząsa apatycznie głową.

— Nic z tego — odzywa się posępnie, krótko. Żadna kula nie dosięgnie.

Nagle Katarzyna wydaje krzyk straszny, nawpół przytomny i dźwiga się surowa, blada...

— Zgnieść ich! Zmiażdżyć, jak praojce miażdżyli! — woła w jakimś sennem natchnieniu.

Już się nie chwieje, prostuje się powoli, dumnie, oczy jej płoną niezwykajnym blaskiem, potem zbliża się do potężnego głazu, toczy na krawędź przepaści. Usta ma zaciśnięte, bez kropli krwi w twarzy, żyły pęcznieją na skroniach. Jeden jeszcze wysiłek, ostatni, i głaz leci w siną otchłań, z głuchym świstem roztrąca powietrze.

Zsuwa się wdół błyskawicznie, z hukiem rwie gałęzie świerków, łamie jodły, [zawrotnie toczy się po pochyłości, od skały odskakuje straszliwem odbiciem i z łoskotem upada w sam środek pruskiej armji, tuż około sztabu, potwornem cielskiem przygniata Jegota...

Dziki, rozpaczny wrzask rozdziera powietrze.

A na szczycie kłębią się chwiejne widma; gorączka, żądza zemsty ogarnia powstańców, wstępuje w nich jakby nowe jakieś życie, bez pamięci biegną ku spiętrzonemu ruinom zamczyska:—Miażdżyć! Miażdżyć! Jak praojce!—powtarzają ochrypłym, przytłumionym krzykiem.

I zrywają się od progu grobu, w oczach płoną im szkarłatne ognie, zapadłe policzki pokrywają się krwistym rumieńcem, kościste, chude palce zaciskają się wkoło głazów nieprzytomnym ruchem i strącają je w przepaść, obłąkani zemstą... a twarde skały lecą z zawrotną szybkością.

Sądny dzień następuje dla „cesarskich“. Cegły, głazy, odłamy granitu walą się na nich, przysłaniają słońce. Niemcy czują nagle, że mózg im się miesza, podnoszą w górę przerażone oczy i nieprzytomnym wzrokiem śledzą szeregi zimnych, morderczych pocisków. Wyżej, na sinawym szczycie, uwijają się upiorne widma, rwą, chwytają i strącają głazy z oszalałym zapamiętaniem. A wdole ścielą się szeregi bezradnych żołnierzy, każdy odłam skały powala dziesiątki najeźdźców, zanim się zdążą jeszcze rzucić do ucieczki. Krzyk nieludzki, straszny, krzyk przerażenia i ośleplej trwogi wybucha z tysięcy osłupiałych piersi i łączy się z dziką skargą rannych, z posępnym jękiem konających. Tu i ówdzie rozlegają się

słowa komendy, opodał grzmi huk wystrzałów. Łamią się szeregi, kotłuje się, kłębi, i nagle całe wojsko pierzcha w okropnym nieładzie — rzucają bagnety, lance, ładownice.

Komenda znów się odzywa donośnie, usiłuje zapanować nad popłochem i po długiej chwili równają się szeregi niektórych oddziałów, puszczają bokiem bezładnie lecących, zajmują tyły spokojnie, sprawnie, chcą ocalić honor pruskiej armji... Na czoło wysuwa się stary jenerał, coś rozkazuje, coś mówi do swoich..

Kiedyniekiedy odwraca się zwolna i ponurym, przynębionym wzrokiem obejmuje zdziesiątkowane szeregi żołnierzy, śledzi z rozpaczą grad nieustający głązów, co bez wytchnienia sięją spustoszenie i wyrrywają w wojsku krwawe luki...

Jan Klaudjusz wybiega ku niemu zdziwionem spojrzeniem, na sercu mu lekko, świątecznie, w duszy wstaje wielka pieśń zwycięstwa, a jednak ten wróg, ten siwowłosy jenerał, budzi w nim nagle mimowolny podziw.

— Patrz! — szepcze cicho do Józefa. — On ustępuje, jak my z pod Dononu! ostatni broni sławy swojej armji, — patrz, odwrót już się odbywa w porządku. Czy w każdym kraju są ludzie, co umieją spełniać obowiązek? Szacunek przeciwnika! Teraz dopiero rozumiem, co to znaczy.

Z przeciwnych stoków zbiegają śpiesznie oddziały Marka i Pioreta, chcą zastąpić drogę uciekającym najeźdźcom, ale tamci formują nagle czworobok najeżony lasem bagnatów i swobodnie kierują się w stronę Sarry. Maleje, niknie czarna plama wrogich zastępów, aż przysłoniły ją mgły białe i szare opary.

Tak się skończyło obleżenie niezdobytego szczytu Falkensztajnu, tak w dolinie Blanru odbyła się wiekopomna bitwa, o której pamięć po dziś dzień jeszcze przechowują w górach pod nazwą Skalnej bitwy.

ROZDZIAŁ XXI.

Zaledwie tumanyjskryły ostatnie szeregi najeźdźców, a już przy wszystkich wąwozach rozstawiono strażę, od głównego zaś oddziału odłączyła się spora gromada ludzi, obładowana koszami z żywnością, i jęła się wspinać na ponure szczyty Falkensztajnu. Towarzyszą im Kasper Lefewr i Marek. Upływa kilkanaście minut i są już na szczycie. Wszędzie głucha cisza, wszędzie rozciągnięte na twardej skale postacie powstańców. Leżą obojętnie, nieruchomo, z siniejącymi usty, poczerniałe powieki przysłaniają im oczy. Wzrok Kaspra wyraża beznadziejną trwogę, z obłąkaniem spoczywa na dwóch kochanych, półmartwych postaciach. Całuje zimne czoło matki, tuli bezwładne ciało narzeczonej i z warg sypią mu się bluźnierstwa: nie chce takiego życia, w łeb sobie strzeli, jeśli ich nie docucą.

Wtem Hengst najmłodszy otwiera powieki; w oczach maluje mu się najpierw przestrach, potem zdziwienie, radość, porusza słabo ręką w kierunku żywności.

Wtedy przemytnik przytyka mu do ust wielką flaszę z wódką. Hengst pije z trudnością małemi łykami. Teraz pokolei dźwigają się wszyscy, wargi rozchylają się bezdźwięcznym szeptem, wzrok pożądlivy zwraca się w stronę wypełnionych koszy. Marek i kilku żołnierzy wyjmują śpiesznie przyniesione jadlo. Ale doktor przyzywa go rozkazującym ruchem, coś mówi niewyraźnie, cicho, pożera chciwemi oczami upragnioną żywność, a usta zabraniają dużych porcyj zgłodniałym. Niech jedzą powoli, ostrożnie. Najmniejsze zadławienie, duszność i po wszystkim. Więc Marek sam rozdziela żywność: jajko, kawałek chleba, parę łyków wina. Żołnierze szykują przywiezione sanki i układają wycieńczonych na miękkim, świeżem pościu ze słomy.

Na dole nowa radość i wzruszenia. Towarzysze broni, przyjaciele, ze łzami w oczach ściskają męczeńskie ręce bohaterów, ze zgrozą słuchają opisu cierpień zmartwychwstałych łazarzy. Co chwila okrzyki podziwu, zachwyty i śmiechy.

Potem otaczają z szacunkiem Marka, patrzą na niego z głęboką wdzięcznością, raz jeszcze opowiedzieć musi dzieje swej niebezpiecznej wędrówki. Więc opowiada z humorem, jak nie miał szczęścia, jak mu się stosami piętrzyły przeszkody, że skoro cudem prawie wymknął się „cesarskim“, wpadł w wąwozie na kupę kozaków, którzy go prawie obdarli do naga. Potem przez dwa tygodnie krążył koło nieprzyjacielskich placówek, co opasywały Falsburg wężowym pierścieniem, i nieraz mogli go byli rozstrzelać jak szpiega, zanimby zdołał przedrzeć się do twierdzy.

Wreszcie dostał się szczęśliwie. I tu nie koniec. Komentant z początku stanowczo odmówił pomocy, tłumacząc się, że sam ma bardzo szczupłe siły, dopiero pod naciskiem obywateli i mieszkańców miasta zgodził się dać dwie lichy okryte kompanje.

A górale wsłuchują się z uznaniem i patrzą w niego jak w tęczę, podziwiają odwagę, przebiegłość, zręczne omijanie niebezpieczeństw...

— Co tam! — kończy wreszcie. — Wiem, żeś święcie spełnił obowiązek. Nie mogłem przecie tak zostawić towarzyszy! Za kogóżbyście mnie ogłosili? Odrązom wiedział, że sprawa nie łatwa. Te łotry chytrzejsze jeszcze, niż celnicy! O miłe czują ludzką duszę! No! Ale, chwalić Boga, myśmy ich na hak przywiedli!

Po sześciu dniach powstańcy na dobre odzyskali siły i mogli z bronią w rękę zasługiwać się dalej ojczyźnie. Do obrony prochów na falkensztajńskim szczycie pozostało tylko 25 ludzi. Kasper Lefewr został tam także, biega co rano w dolinę cieszyć się widokiem matki i narzeczonej, do sił wracających. W wiosce zaczyna płynąć dawne życie. Sprzymierzone wojska usunęły się wgląb Lotaryngji.

Zawarto pokój. A w górach jęto się codziennej pracy. Na wiosnę odbudowano spaloną Dąbrowę; cieśle, mularze, drwale z najdalszych okolic napłynęli liczną dobrowolną falą i wzniesli na pogorzelisku mury w dowód czci i wdzięczności dla sędziwej pani Katarzyny, co przed pół rokiem wskazała im jasną drogę obowiązku.

Jakoś zaraz potem rozpuszczono armję, Kasper Lefewr powrócił do matki i wkrótce odbył się ślub jego z Ludką.

Na wesele stawili się wszyscy pozostali przy życiu powstańcy, wszyscy uczestnicy ciężkich chwil na Falkensztajnie i Dononie. Pani Katarzyna przyjmuje zacnych gości z rozjaśnionem czołem, folwark przybrał świąteczny nastrój. Każdy składa państwu młodym dary, jakąś drobnostkę w oznakę pamięci: szewc Józef ofiarowuje Ludce zgrabne pantofelki, Hengst stary wspaniałego, przed chwilą ubitego głuszca, symbol wiecznie odradzającej się i niestygnącej miłości, Marek wręcza Kasprowi paczkę najlepszego zagranicznego tytoniu, wreszcie doktor daje obojgu wyprawkę dziecięcą z cieniutkiego płótna i coś szepcze rubasznie młodemu do ucha, Ludka patrzy na niego z głęboką wymówką.

We wszystkich izbach zastawiono stoły, w stodołach i szopach nawet ułożono na kozłach tarcice i pani Katarzyna gości weselny orszak całym sercem. Nikną mięsiwa, chleby, stosy ciast, beczki wina — przy takiej uroczystości trzeba się koniecznie rozochocić! I zwolna pogodnieją twarze, oczy Jana Klaudjusza płoną dawnym blaskiem, wreszcie zaczyna nucić starą pieśń bojową, co ich za lat młodych wiodła na zwycięstwa po całej Europie, aż na Piramidy. Pani Lefewr zcicha wybija takt metalową rękojeścią noża.

Młodzi siedzą na ławie blisko siebie, Ludka obejmuje męża kochającym spojrzeniem, Kasper przygarnia wiotką kibić długim, gorącym uściskiem, z oczu mu biją blaski zupełnego szczęścia, słodka twarz dziewczyny promienieje jasnością.

W górach zapada zmierzch pogodny, cichy, potem noc ciemna, skrząca gwiazdami, rozpachniona wiosną.

W wiosce uderza północ na kościelnej wieży.

Jan Klaudjusz przytula Ludkę serdecznem objęciem, błogosławi drżącemi usty, krzyż uroczysty zakreśla nad głowami młodych i śpiesznie rusza do drzwi. Za nim wychodzą Józef, Marek, doktor, Pioret, Mateusz, — gwar, zamieszanie, hałas, żegnają się wszyscy. I cały orszak ciągnie cichą wioską, pieśń wybucha znowu potężna... A w odzew przepływa uroczysty szmer od zarastających bliskie zbocza krzaków, pod których cieniem złożono szczątki górali-powstańców, poległych

bohaterską śmiercią. Leżą oni w matce-ziemi żywicielce, w dzień świeci im ojczyście słońce, nocą pieszczą migotliwe gwiazdy i chłodzi wiatr, zawodzący po żyznych równinach Alzacji. W sercach pozostałych przy życiu budzi się cicho ogromna nadzieja, że tyle świętych wysiłków nie pójdzie na marne. Wierzą, że słońce zabłyśnie nad pogiębioną ziemią złotym, stokroć jeszcze potężniejszym blaskiem...

K O N I E C.

WŁ. UMIŃSKI.

Podziemne mieszkania zwierząt.

Pogadanka naukowa.

WYDANIE II.



WARSZAWA.

„Księgarnia Ludowa“ J. S. Sikorskiej.

Warecka 14.

1921.



I.

Każde zwierzę potrzebuje schronienia od deszczu i zimna, podobnie jak człowiek. Najprostszem schronieniem jest nora wykopana w ziemi, lub naturalne zagłębienie gruntu czy też szczelina pomiędzy skałami. Takiego schronienia przez długie czasy używał człowiek w epoce, kiedy jeszcze był barbarzyńcą; do dziś dnia nawet istnieją liczne plemiona ludów dzikich, zamieszkujące bądź jaskinie naturalne, bądź też duże nory wykopane w ziemi sztucznie. Należą tutaj Buszmeni z Afryki Południowej, oraz Indianie z plemienia Digger, zamieszkujący Amerykę Północną.

Nie będziemy się zajmowali mieszkaniem ludzkimi, ale zamierzamy pokazać czytelnikom naszym niezmiernie ciekawe mieszkania zwierząt, które bez pomocy rąk, posługując się jedynie pazurami, łapkami i dziobami, potrafią często zbudować sobie siedzibę, zadziwiająco wygodną i kunsztowną.

Zacniemy od zwierząt, kopiących sobie nory w ziemi, ponieważ nora jest bezwątpienia najprostszym rodzajem budowli.

Z pomiędzy wszystkich zwierząt mieszkających w ziemi, na największą uwagę zasługuje znany powszechnie u nas kret, ponieważ gniazdo jego stanowi prawdziwe arcydzieło budownictwa ziemnego.

Kret, jak wiadomo, jest małym zwierzątkiem, żyjącem w łonie ziemi i karmiącem się pędrakami, glistami i innemi

stworzeniami, wyrządzającymi szkody w ogrodach. Dla tego kret zasługuje na opiekę. Dzięki płasko zakończonym w formie łopatek, przednim łapkom, zwierzątko to nadzwyczaj zręcznie kopie długie chodniki w ziemi. Przekonano się, że takie kurytarze podziemne miewają niejednokrotnie po sto i więcej kroków długości, ciągną się zaś we wszystkich kierunkach od gniazda. Tymi chodnikami kret udaje się codziennie na łowy, wierci nowe kurytarze, szukając w nieodwiedzanych jeszcze miejscach dżdżownic i pędraków. Kiedy się nagromadzi dostateczna ilość ziemi, wyrzuca ją na zewnątrz i wtedy powstaje



Forteca kreta.

na powierzchni ziemi mały wzgórek, na który tak narzeka ogrodnik, ujrawszy go rankiem na grzędzie kwiatów, albo na świeżo poprzycinanym gazonie. Wyrzucanie ziemi ściąga na niewinne skądinąd zwierzątko prześladowanie ze strony człowieka. Jeżelibyśmy rozkopali taki wzgórek, to nie znaleźlibyśmy w nim nic więcej oprócz otworu, prowadzącego do kurytarza podziemnego. Nie jest to więc mieszkanie kreta; chcąc je poznać, musimy rozkopać jeden z większych pagórków, zrobionych w ustronniejszym miejscu. Spójrzymy na

załączony rysunek, a przekonamy się, z jaką starannością kret buduje swoją siedzibę podziemną; możnaby ją porównać do jakiejś fortecy podziemnej, zaopatrzonej w kilka wyjść na wypadek natarcia ze strony wroga. Gniazdo składa się z dwóch kolistych kurytarzy, leżących poziomo jeden nad drugim i połączonych 5-ma ukośnie biegnącemi z góry na dół przejściami. W pośrodku, poniżej dolnego przejścia kolistego, spostrzegamy jamkę okrągłą, także połączoną jednym przejściem z górnymi i dolnymi kurytarzami, skąd znów prowadzi w głąb ziemi przejście, łączące się nieopodal z jednym z bocznych chodników. Znajdując się w tak urządzonej fortecy, kret w każdej chwili może uciekać w dowolnym kierunku. Matka z młodem nie mieszka w fortecy, lecz zajmuje gniazdko oddzielne, wykopane nieopodal i dostatecznie obszerne na pomieszczenie całej rodziny. Stare nagromadzają tam suchą trawę i korzonki na poślanie dla maleńkich, pozostających zawsze pod opieką matki, która bardzo jest do nich przywiązana i gotową oddać życie własne w ich obronie.

Gniazdo właściwe jest połączone kilkoma kurytarzami z fortecą i z głównym chodnikiem, tak, iż matka na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa może uciekać z małemi w dowolnym kierunku.

Trudno uwierzyć, z jaką szybkością kret potrafi się przemykać swoimi chodnikami; nie ma też stworzenia, któreby mogło gonić go pod ziemią. Kopie z niemniejszą szybkością, dlatego też jest bardzo trudno wydobyć go z pod ziemi na powierzchnię nawet wtedy, gdy się posiada łopatę. Kret należy do niezmiernie żarłocznych zwierząt, ciągle poluje i zjada niezmiernie ilości pożywienia codziennie. Skazany na kilkunastogodzinny post, ginie z głodu albo rzuca się na swych towarzyszy. Poluje zręcznie, nie tylko pod ziemią, ale i na powierzchni; zwłaszcza nocą wychodzi ze swych kurytarzy i czatuje na myszy, które chwyta z nadzwyczajną przebiegłością i szybkością.

Jeżeli mu się nadarzy sposobność, to chwyta nawet ptaszki nieostrożne. Odznacza się niesłychaną krwiożerczością pod tym względem nie ustępuje w niczem tygrysowi; trzeba

go widzieć, z jakim zapalem, z jaką namiętnością rzuca się na zdobycz!

Nieświadomi zarzucają kretowi, że zjada korzonki roślinne i dlatego należy uważać go za szkodnika, zasługującego na wytepienie. Tacy ludzie jednak myślą się bardzo, dowiedziono bowiem, że to zwierzątko żywi się wyłącznie pokarmem, złożonym z owadów, poczwerek i dżdżownic; zamiast więc zabijać go, trzeba go raczej oszczędzać.

II.

Oprócz kreta istnieje jeszcze wiele innych zwierząt, wygrzebujących sobie nory w ziemi, niepodobna jednak opisywać tych wszystkich mieszkań szczegółowo. Należy tutaj rejówka (*sorex*). Te małe i ładne stworzonka przepędzają dzień w norach, skąd wychodzą dopiero nocą. Można znaleźć tam gniazdko uplecione z trawy i korzonków. Pletwokret, zaliczony przez zoologów do kretowatych (*Talpidae*), a zamieszkujący w Ameryce Północnej, kopie sobie bardzo długie kurytarze, wyrzuca ziemiste wzgórki na powierzchnię i żywi się wyłącznie owadami i robakami. W przeciwieństwie do naszego kreta, pletwokret opuszcza podczas dnia swoją siedzibę i lubi wygrzewać się na słońcu; można go też łatwo schwytać.

Nad rzeką Wołgą, w Rosji, przebywa zwierzątko zwane chochoł demara (*Myogalea moschata*). Ma ono ruchliwy ryjek, pływa i nurza się doskonale. Chochół buduje pod ziemią istne tunele, mające nieraz 20 stóp długości. Taka nora ma jedno tylko wejście i to zawsze pod powierzchnią wody. Tunel podnosi się stopniowo, aż wychodzi po nad poziom rzeki, tak, iż zwierzątko ma gniazdo w suchem miejscu.

Lis, pospolity u nas szkodnik, przebywa także w norach, które wygrzebuje sobie w ziemi z zadziwiającą zręcznością.

Przednie nogi kreta są najwidoczniej stworzone do rycia ziemi, mają po temu odpowiedni kształt szuflowy i siłę. Za to zaś są całkiem prawie niezdatne do biegu. Tymczasem lis jest zarazem szybkobiegaczem i kopaczem nieladajakim.

Jego nory bywają tak duże i głębokie, że trudno nieraz uwierzyć, żeby tak małe zwierzę i tak źle uposażone, w narzędzia po temu, mogło je wygrzebać w ziemi.

Musimy jeszcze dodać, że nasz pocziwy lis chętnie korzysta z cudzej pracy, żeby sobie ułatwić zadanie założenia siedziby własnej. Jeżeli znajdzie gdzie norę borsuczą, przerabia ją na swój sposób i przywłaszcza sobie bez ceremonji. Tak samo postępuje z norami królików, ale z tymi ma dużą robotę, bo jest większy od poprzedniego lokatora i lubi mieć tak obszerną siedzibę, żeby swobodnie biegać po chodnikach. Dopiero w braku gotowej nory lis przystępuje do budowy własnej i pracuje, należy mu to przyznać, gorliwie. Przez cały dzień rodzina lisia śpi w norze i opuszcza ją dopiero z nastaniem zmroku. Rodzice idą na łowy, a jeżeli liski są małe, to matka z nimi pozostaje w domu, a ojciec sam idzie na polowanie. Młode są bardzo ładne i bawią się z matką, jak zręczne kocięta. Kiedy ojciec wraca, zaczynają się harce około pojanego zwierzęcia.

Lis polarny (*Tulpes agopus*), także jest godnym wzmianki z powodu rozmiarów i budowy swojej nory. Ażeby się zabezpieczyć od mrozów, kopie on sobie siedzibę do znacznej głębokości pod powierzchnią; rzadko takie mieszkanie podziemne bywa odosobnione, zazwyczaj w sąsiedztwie lokuje się 20—30 lisów, tak, iż nory ich przylegają do siebie. Tę towarzyskość lisa polarnego można łatwo wytłumaczyć, biorąc pod uwagę, że zwierzę to wybiera sobie na kopanie siedzib odpowiedni, miękki grunt piaszczysty, dość rzadki w podbiegunowych okolicach. Znalazłszy więc dobry teren, lisy osiedlają się na nim całemi gromadami.

Gdybyśmy rozkopali jeden z takich domów lisa polarnego, przekonaliśmy się, że jest on zupełnie oddzielny pomimo blizkiego sąsiedztwa z innymi norami. Każda siedziba nie jest bynajmniej zwyczajnym tunelem, lecz posiada dość skomplikowaną budowę. Istnieje tam trzy, do czterech kurytarzy, uchodzących do wspólnej komory, znacznych rozmiarów. Siedzący w głównym salonie lis ucieka w razie niebezpieczeństwa tym z pomiędzy chodników, który wydaje mu się najodpowiedniej-

szym i prowadzącym najdalej od wroga. Oprócz tego głównego salonu znajduje się jeszcze pokój, służący lisce do wychowania i do karmienia młodych. Pokój dziecięcy komunikuje się z salonem głównym za pośrednictwem oddzielnego chodnika. W siedzibie tej zbudowanej, jak widzimy, na podobieństwo nory kreciej, może przebywać ośmioro młodych z rodzicami, którzy nagromadzają dla swego potomstwa obfite zapasy żywności. W jednej z takich nor znaleziono wielką liczbę kości z kaczek, lemingów, zajęcy, ryb i innych zwierząt. Dowodzi to, że lis polarny troszczy się o dostatek swoich dzieci i nie pozwala im przymierać głodem.

Lis przynosi często żywą zdobycz swojemu potomstwu, ażeby się ono wprawiało w napadanie i duszenie zwierząt. Liski w takim razie wyprawiają sobie okrutną zabawkę, igrając z myszą, wiewiórką czy kurczęciem jak koty.

Powiadają niektórzy, iż kuny należą do zwierząt kopiących sobie nory w ziemi, ale zdaje się, że niewiele z pomiędzy nich potrafi to czynić, przynajmniej budować głębsze siedziby pod ziemią. Jeden borsuk, zaliczany dawniej do krewniaków niedźwiedzia, a dziś do kun, należy do zręcznych grabarzy. Borsuk ryje sobie ciemną, smutną norę w jakimś odosobnionym zakątku leśnym, rzadziej na polu zasianem zbożem. Podobnie jak u innych zwierząt mieszkających w ziemi i borsuk posiada kilka pokoiów, służących do rozmaitego celu: jeden jest przeznaczony dla karmienia młodych i zamieszkuje je borsukowa, inne są fortecami lub chodnikami, przez które ucieka zwierz, napadnięty od wroga w swojej siedzibie. Gniazdo właściwe jest wysłane miękkimi źdźbłami trawy i mchem, ażeby młodym borsuczkom było ciepło i przytulnie.

III.

Suseł amerykański (*Spermophilus Ludovicianus*), zwany pospolicie pieskiem stepowym, dla swego głosu przypominającego zazwyczaj szczekanie psa, także może być zaliczony do grabarzy. Żyje on towarzysko, i pomimo swych licznych wrogów, rozmnaża się bardzo obficie, zakładając olbrzymie kolonie w stepach Ameryki Północnej. Jak dalece licznymi mieszkańcami cieszą się takie „miasta“, osądzić się daje stąd, że jak okiem sięgnie, ciągną się w stepie wzgórki ziemi wyrzuconej z nory podczas roboty.

Nory zaś należą do arcydzieł w swoim rodzaju: sięgają głęboko w ziemię, a są tak obszerne, że pomieszczają do pięciu baryłek wody. Wyglądają one, jak ukośne kurytarze, które w pewnej odległości od wejścia mianowicie na 5—6 stóp, zawracają ku górze i kończą się ślepo. Tysiące tysięcy takich nor pokrywa powierzchnię ziemi i czyni z niej niby wielki plaster miodu. Ziemia tak podziurawiona staje się niebezpieczną dla koni, które łamią niejednokrotnie nogi, wpadając w otwory. Ciekawem jest życie piesków stepowych w takich miastach. Na pagórku usypanym około każdej nory siedzi jej mieszkanić i, wygrzewając się na słońcu, rozgląda się, co się dzieje w około. Jeżeli spostrzeże coś podejrzanego, wydaje okrzyk alarmujący i znika w otworze, ale tylko na chwilę. Wnet bowiem, wiedziony wrodzoną ciekawością, wraca i wyścibia łebek, żeby się dowiedzieć, co takiego zakłóciło jego spokój. Krzyki alarmujące rozlegają się w dalszym ciągu i wszyscy mieszkańcy kolonji idą za przykładem swojego towarzysza, to znaczy, naprzód chowają się i następnie, nie mogąc przezwyciężyć wrodzonej ciekawości, wychylają główki.

Piesek stepowy nie zawsze jest panem u siebie, często bowiem się zdarza, że pewna sowa zwana coquimbo (*Athene cunicularia*), albo straszny wąż grzechotnik siłą przywłaszczają sobie jego nory. Jeżeli prawowity właściciel opiera się, albo nie zdąży w porę się wynieść z siedziby zrobionej własnem staraniem to, o! niesprawiedliwości! staje się pastwą intruza i przypłaca życiem przygodę. Przez długi czas mniemano, że

sowa wymieniona, grzechotnik i piesek stepowy żyją w zupełnej zgodzie we wspólnej norze, to znaczy we współbiesiadnictwie. Niestety, dziś już przekonano się, że jest inaczej, to znaczy, że zarówno sowa, jak jadowity grzechotnik zjadają bez żadnej ceremonji swego gospodarza; znaleziono nawet w żółtku węża szczątki młodych piesków. Co się dotyczy sowy, to nie zdołano ściśle powiedzieć, czy w norze trzymają ją jedynie chęć korzystania z wygodnego schronienia, czy także żarłoczność. Tak więc piękna historyjka o współżyciu tych zwierząt przeszła do rzędu bajek.

Świstak alpejski, zamieszkujący także Tatry i Pireneje, a bardzo blizki krewniak pieska stepowego, podobnie żyje w norach. Żeruje gromadnie we dnie, roztawiwszy straż, która ostrzega całą gromadę o niebezpieczeństwie. Liczba ich bardzo się zmniejszyła, więc zabroniono na nie polować w Tatrach. Nory tego zwierzątka nie są jednak tak ciekawe, żeby warto poświęcać więcej miejsca ich opisowi.

Wiadomo każdemu, że pospolity u nas królik także zamieszkuje w ziemi, ale nie każdy zapewne zna wewnętrzne urządzenie jego siedziby. Dlatego podajemy na rysunku jej przekrój. Widzimy, że nora idzie naprzód wglęb, następnie podnosi się i rozszerza w komorę szeroką, gdzie się może pomieścić cała rodzina królicza. Taka nora znajduje się na osobności, zdaleka od innych mieszkań, pozbawionych gniazd i składających się przeważnie z kurytarzów zwyczajnych.

W niektórych krajach dzikie króliki tak się rozmnożyły, że się stały prawdziwą plagą. Konie w takich króliczych państwach łamią nogi, a owce i bydło nie mają co jeść, bo ich mali współzawodnicy wszystką trawę dla siebie pozostawiają. Tak się dzieje zwłaszcza w Australji, gdzie wyznaczono nawet wysokie nagrody dla tego, kto zdoła wytepić niepożądanych gości.

Najbardziej obfitującą w grabarzy częścią świata jest niezawodnie Ameryka Północna. Istnieje tam, oprócz powyżej wymienionego pieska stepowego, jeszcze kilka podobnych zwierzątek, np. kopiąca wiewiórka (*Tamias Lysteri*). Małe to zwierzątko, szaro-brunatnej barwy, w czarne i żółte paski na

grzbiecie a białe na podbrzuszu, zasługuje z tego względu na uwagę, że wygrzebuje sobie w ziemi, zazwyczaj pod murem, pod starem drzewem gniazda bardzo skomplikowanej budowy. Jama opuszcza się pionowo na jakieś półtora łokcia, następnie kilkakrotnie zakręca, podnosząc się zlekka do poziomu. Od głównego kurytarza prowadzą inne, poboczne, w rozmaite strony. W takim labiryncie wiewiórka może uciec każdemu



Nora królicza.

wrogowi. z wyjątkiem tchórza. To zwierzątko nie daje się obalamucić zakrętami labiryntu i ściga w nim zapamiętałe biedną właścicielkę. Nieraz w przeciągu paru minut to krwiożercze stworzenie zadusić zdąży w norze całą rodzinę wiewiórczą.

Wielce szkodliwym zwierzątkiem jest kanadyjski szczur workowaty (*Pseudostoma Bursarius*). Ryje on w ogrodach

długie tunele, pożerając wszystkie korzenie, jakie napotka po drodze. Ofiarą jego padają zarówno kwiaty i warzywa jak kilkoletnie drzewa. Lubi on bowiem sadowić się pod korzeniami, które zarazem służą mu za pożywienie i za miejsce obronne. Drzewo pozbawione przez tego żarłoka swoich delikatnych korzeni, umiera. Podobnie jak nasz kret, szczur kanadyjski wyrzuca kopce ziemi w pewnych odstępach. Pod jednym z takich kopców znajduje się jego gniazdo kulistej



Szczur kanadyjski i jego mieszkanie.

formy, mające około 8 cali angielskich w średnicy; od gniazda we wszystkich kierunkach rozchodzą się kurytarze. W razie napadu na gniazdo, szczur ucieka w dowolną stronę, tak, aby najskuteczniej uniknąć wroga.

Rysunek nasz przedstawia samego szkodnika i jego podziemne gniazdo.

Mówiliśmy dotąd o zwierzętach, a ściślej o ssakach ko-

piących sobie mieszkanie w ziemi. Obecnie jednak przejdźmy do nieco odmiennej materji, aniżeli ziemia, do lodu, wśród którego przebywa wiele stworzeń podbiegunowych.

O niedźwiedziu polarnym wiemy niezawodnie to i owo, ale czytając o nim w opisach podróżników nieraz prawdopodo-



Legowisko niedźwiedzia białego.

bnie zastanawialiśmy się, co też robi niedźwiedź podczas długiej zimy, kiedy słońce schodzi z widnokręgu i kiedy panują straszliwe mrozy. Zwierz ten napewno nie może wtedy znaleźć tyle pożywku, co podczas lata. albowiem lód gruby pokrywa ocean, foki się chowają...

Otóż niedźwiedź biały w grudniu udaje się na zimowe leże. Samica, pragnąc znaleźć przytułek dla siebie i dla swego młodziutkiego potomstwa, udaje się na ląd i tutaj, w pobliżu skał zasłaniających ją od wiatrów, wygrzebuje sobie w śniegu „barłóg“ kładzie się i pozwala, żeby spadający śnieg pokrywał ją coraz grubsza warstwa. Śnieg topnieje naturalnie w pobliżu jej ciała, i w ten sposób powstaje rodzaj gniazda, wyobrażonego na naszej rycinie. W tem oryginalnem schronieniu przychodzą na świat młode niedźwiadki; matka cieszy się, że może im zapewnić ochronę od mrozów i wichrów, bo trzeba wiedzieć, że w takim śnieżnem gnieździe bardzo, stosunkowo ciepło. Tak, nic nie jedząc, a natomiast karmiąc własną piersią niedźwiadki, pozostaje ona w norze swojej aż do marca; w tym to miesiącu opuszcza wreszcie swoje legowisko i wyprowadza na świeże powietrze młode, które w owej porze dosięgają wzrostem królików.

— „Jak się niedźwiedzica może przez tak długi czas obywać bez żadnego pożywienia?“ — zapytacie.

Jest to tajemnica natury. Wiadomo tylko, że na jesieni, zwierzę posłuszne instynktowi, je bez miary i staje się potwornie tłustem. Ten zapas tłuszczu służy mu następnie do podtrzymania ciepła i życia przez ciąg długiej zimy, którą zresztą nietylko niedźwiedź, lecz i wiele innych zwierząt spędza w stanie śpiączki, zwanej snem zimowym.

Jest to rodzaj letargu. Wpadają weń nietoperze, susły, jeże i t. d.

IV.

Nietylko czworonogi ale i ptaki umieją wygrzebywać sobie w ziemi siedziby. Do rzędu takich skrzydlatych grabarzy zaliczamy powszechnie u nas znaną jaskółkę brzegówkę (*Hirundo Riparia*). Kto spojrzy na tego drobnego milutkiego ptaszka, ten zapewne nie przypuści, żeby on był zdolny do wiercenia tunelów w piasku, a tembardziej w twardej skale piaskowcowej. A jednak brzegówka potrafi dokonać tej sztuki. Wpraw-

dzie jaskółki nie lubią wydrążyć twardej skały, ale nie znajdując odpowiednio ścisłych pokładów piasku zwyczajnego, muszą się brać do ciężkiej pracy, idzie im bowiem głównie o to, żeby wniść do gniazda nie zawaliło się. Używając nóżek za oś a dzióbka za dłuto, robią brzegówki dość równe, okrągłe otwory w prostopadłej ścianie i prowadzą do jej wnętrza tunel, który ma przeciętnie $2\frac{1}{2}$ stóp głębokości. Nie zawsze jest on prosty, jeżeli bowiem ptaszek podczas roboty natrafi na kamień, albo na inną jaką przeszkodę, to albo ją wymija, albo też, nie mogąc tego uczynić, porzuca zaczęte gniazdo. W twardszej skale piaskowcowej takich rozpoczętych tunelów spotykamy jednak niewiele.

Brzegówka wie instynktownie, że deszcz łatwo zalałby jej mieszkanie, gdyby takowe miało pochyłość na dół od wniścia baczy zatem, żeby tunel podnosił się cokolwiek ku górze od wylotu.

Na końcu zagłębienia znajduje się gniazdo bardzo prostej budowy. Właściwie nie jest to gniazdo, lecz kupka suchej trawy i miękkich pierzy, pozbieranych tu i owdzie i ugniecionych ciężarem ptaka. Na takim podłożu zwyczajnem jaskółka składa swoje maleńkie, śliczne jajeczka białe.

Podczas wysiadywania piskląt, brzegówka nie potrzebuje bardzo obawiać się napadu wrogów, rzadko jakie zwierze pokusi się o to, żeby się wspinać do gniazd po prostopadłej ścianie, zwykle dość wysokiej i położonej nad wodą.

Szczury nie potrafią się dostać od powierzchni ziemi, bo piasek jest sypki, jedna tylko łaska odważa się na takie karłowate przedsięwzięcie. Skoro już młode wyklują się, grozi im niemałe niebezpieczeństwo ze strony srok i wron, które czatują przed gniazdami, albo siedzą w pobliżu, i oczekują, aż jakie nieostrożne pisklę wyleci z tunelu, albo też podczas nauki latania spadnie na ziemię.

Śłyszeliście zapewne o zimorodku (Alcedo Inspida). Jest to niewielki ptaszek, bardzo płochliwy, więc nie każdy go widział. Należy on do najpiękniejszych stworzeń skrzydlatych u nas; żaden inny ptak swojski nie może z nim iść nawet w porównanie. Z wierzchu jest ciemno-zielony w lazurowe

plamki, środkiem grzbietu idzie smuga łazurowa; brzuszek rdzawy, nogi ponsowe, dziób zaś brunatno-czarny. Mieszka on samotnie w pobliżu wód i żywi się rybami, które niezmiernie zęcznie chwytą. Otóż zimorodek wygrzebuje sobie gniazdo w ziemi, podobnie jak brzegówka, ale tuż nad samą powierzchnią wody i dość wąskie, bo sam ptaszek jest niewielki. Przez długi czas nie znano gniazdka zimorodka. Wyznaczono nawet znaczną nagrodę w Anglii temu, kto dostarczy dla Muzeum Brytańskiego gniazdo całkowite zimorodka. Dziś wiemy, że zamiast trawy albo pierzy miękkich zawiera ono podściółkę — z ości rybich, które zimorodek wyrzuca po strawieniu połkniętej zdobyczy. Pewna staranność w ułożeniu tego oryginalnego materiału pozwala się domyślać, że ptak w istocie zastępuje nim korzonki i trawę.

Ponieważ takie ości zawierają pewne części ulegające gnicciu, można sobie wyobrazić, jak nieprzyjemny odór musi panować w gnieździe zimorodka. Ale ptaszek jest przyzwyczajony do tego i nic sobie nie robi z woni, która człowieka przypomina o mdłości. Rzecz naturalna, że i sam lokator, pomimo swej pięknej powierzchowności, wydaje wstrętny zapach, o czym przekonali się ci myśliwi, którym udało się zastrzelić zimorodka.

Dla tych, co zbierają jaja ptasie, znalezione gniazdko zimorodka przedstawia prawdziwą gratkę; ptak znosi ich znaczną liczbę. Jeżeli zaś poruszyć gniazdo albo wybrać, to zimorodek, niezrażony tem, składa nowe jaja.

Oprócz właściwych grzebaczy, znamy także stworzenia, które możnaby nazwać półgrzebiącemi, a to dlatego, że nie kopią na własny rachunek nor w ziemi, lecz korzystają z tych, jakie pozostawiają im inne zwierzęta. Należy tu kawka (*Corvus monedula*). Nie pogardza ona nawet norą króliczą, którą przerabia na swój sposób w braku czegoś lepszego.

Petrela burzyk (*Thalassidroma pelagica*), pomimo swej słabej budowy nóg, potrafi także budować sobie mieszkania w ziemi. Zazwyczaj szuka ona na gniazdo jakiej szczeliny naturalnej pomiędzy skałami, nory dzikiego królika w pobliżu brzegu morskiego, a jeżeli szczęście jej w tem nie posłuży, za-

brać się sama do roboty. W Nowej Szkocji jest dużo niskich wysepek, na których petrele gnieźdzą się tysiącami. Grunt tam zazwyczaj piaszczysty i błotnisty, mało się nadaje, jako siedzi-
ba, dla zwierząt, ale petrele poprzestają na tem, co im daje natura i wykopują sobie w piasku zagłębienia na dwie stopy przeciętnie głębokie, czasem nawet tak płytkie, że zaledwie ptak może się pomieścić w niem wraz ze swem potomstwem. Każda petrela znosi jedno jajko niewielkich rozmiarów, białego koloru. Rodzice pielęgnują niezmiernie troskliwie młode i karmią je podobno pewną pożywną cieczą, którą wydzielają z siebie. Ciecz ta jest prawdopodobnie oleistą, bo i same petrele zawierają tak wiele oleju w sobie, że mieszkańcy Nowej Szkocji robią z tego ptaka doskonałą lampę przez wetknięcie weń smolnego kawałka drzewa. Petrela pali się na podobieństwo kaganka napełnionego sadłem, albo łojem. Burzyk karmi swoje młode tylko w nocy, przez cały dzień bowiem bez przerwy unosi się na skrzydłach i poluje nad oceanem. Nie obawia się on największej burzy, przeciwnie: chętnie puszcza się wraz z huraganem, poruszającym do głębi otchłanie morskie, igra z nim, niby z wietrzykiem łagodnym, płynie lekko, nie poruszając skrzydłami, chwieje się, jak baletnica chodząca na linie, i posuwa nawet pod wiatr, wolniutko... Jest on istnym mistrzem w sztuce latania i uczeni nieraz zastanawiali się, w jaki sposób burzyki mogą dokonywać takiej nadzwyczajnej rzeczy. Marynarze, ujrawszy petrelę, przejmują się strachem, mniemają bowiem, że ten ptak sprowadza burzę, co jest sobie zwyczajnym przesądem ciemnych ludzi.

Podczas wysiadywania i hodowania piskląt, burzyk jest nieutrudzonem. Dniami całemi leci za okrętem w nadziei, że kucharz wyrzuci co do morza z kuchni. Z najmniejszym kawałkiem wraca na ląd o kilkadziesiąt mil, dzieli się nim z pisklętami, z którymi spędza noc, dukając głośno na podobieństwo żaby. Zazwyczaj zaś wydaje krótki, ostry i urwany okrzyk.

Nora, w której wychowuje się młody burzyk, jest niezmiernie cuchnąca, raz dlatego, że oleista ciecz, którą karmi matka młode, nie odznacza się przyjemnym zapachem, a po drugie, że w około gniazda gniją szczątki ryb.

Piskłęta są niedołążne i muszą pozostawać w norze przez kilka tygodni.

Ziemia jest stosunkowo miękkim materiałem i wykopanie w nim nory nie przedstawia znacznych trudności. Daleko większego trudu wymaga wydrążenie tunelu w drzewie.

Pospolity u nas i w innych krajach dzięcioł posiada tę sztukę. Dzięki temu, że natura zaopatrzyła go w mocny dziób, może on podejmować to zadanie. Czepia się pazurami, podpieiera sztywnym ogonem i tak, siedząc na korze drzewnej, stuka w nią i kuje dopóty, aż nie wykuje sobie dziupla dość głębokiego. Na dnie takiego tunelu kładzie trawę, pierze i znosi w końcu jajeczka.

Powierzchowny badacz mógłby posądzić dzięcioła o psucie drzew, ale zarzut podobny nie byłby słusznym, albowiem dzięcioł nie rusza wcale drzew zdrowych, tylko chore, zaczynające próchnieć. Dzieje się tak prosto dlatego, że pomimo silnego dzioba nie potrafiłby wykuć dziupla w twardym pniu. Doświadczony leśnik korzysta z tych wskazówek ptaszka i ścina nawiedzane przez niego drzewa, ażeby darmo nie próchniały.

Niebawem zapoznamy się z kopaczami z królestwa gadów, mięczaków i owadów, gdzie znajdziemy jeszcze ciekawsze przykłady budowy gniazd podziemnych, aniżeli te, które dotąd przytoczyliśmy.

V.

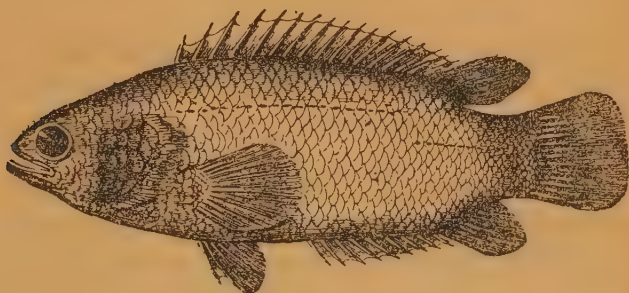
Dziwne Ryby.

Nieraz zapewne byliście nad rzeką i przypatrywaliście się, jak rybak wyjmuje ryby z sieci. Biedne stworzenia! wrzucone do koszyka miotają się w nim i po kilku minutach zdychają. Dlaczego ryba usypia, skoro ją wyjąć z wody? Dlatego, że może ona oddychać tylko pod wodą, ku czemu służą jej skrzela, widoczne po obu stronach głowy, tam gdzie się zaczyna ciało czy korpus.

Skoro skrzela wyschną w zetknięciu z powietrzem, przestają pełnić swe zadanie i ryba musi umierać.

Istnieją jednak dziwne ryby, tak zbudowane, że mogą przebywać dość długo w powietrzu.

Zawdzięczają to budowie skrzel, które nie łatwo wysychają, bo są szczelnie zamknięte. Otóż takie ryby ziemnowodne wychodzą nocą ze swego rodzinnego żywiołu, i opierając się na pletwach, pełzają wolno po ziemi i oddalają się o kilkaset nawet kroków od rzeki, czy stawu. Na naszym rysunku widzicie jedną z takich dziwnych ryb, zwaną w Indjach Zachodnich Koi, po łacinie *Anabas* a po polsku łaziec. O rybie tej dowiedzieliśmy się już bardzo dawno, ale nikt nie wierzył, żeby ona naprawdę mogła pełzać po ziemi. Tymczasem bajka ta okazała się prawdą. Dziś wiemy, że *Anabas* opuszcza rzekę w nocy i podpierając się pletwami oraz ogonem, idzie sobie na łowy.



Ł a z i e c .

Dzięki swoim skrzelom, przebywa ona na powietrzu bezkarnie i to nawet przez dłuższy czas. Powiadają o niej, że wspina się na drzewo (?) i dostawszy się pomiędzy gałęzie, łowi sobie najspokojniej owady.

Prawda, że to ryba niezwykajna?

Przypatrzcie się teraz drugiej rybie wyrysowanej poniżej, a nazwanej żaborybem. Zamieszkuje ona wyspy Azji południowej, a wygląda, jak widzicie, potwornie. Pękata, szersza aniżeli dłuższa, z wyrostkami koło oczu i nad paszczą, budzi wstręt na pierwszy rzut oka. Otóż i ta ryba może przebywać nawet przez parę dni z rzędu na lądzie. Podobno ucieka ona z pokoju, jeżeli tylko pozostawimy drzwi otwarte. Pletwy pier-



Żaboryb.

siowe pomagają jej znakomicie w chodzeniu, zastępując skutecznie nogi. Pełzając, żaboryb przypomina rzeczywiście żabę i na pierwsze spojrzenie może w błąd wprowadzić, tembardziej, że nie jest duży.

Niemniej ciekawym jest też hassar, gatunek ryby ziemnowodnej, zamieszkującej Amerykę południową. Opuszcza ona na noc wodę i pełza po lądzie, poszukując zdobyczy.

Jeżeli wyschnie rzeka lub jeziorko, w którym się urodziła, to bez wahania udaje się na poszukiwanie nowej ojczyzny. Posuwa się naprzód, pomagając sobie piersiowymi płetwami i podskakując na sprężystym ogonie. W ten sposób pełza z taką szybkością, jak idący wolno człowiek. Gruba i mocna łuska pokrywająca ciało ułatwia jej zapewne chodzenie po lądzie. Indianie słusznie zauważyli, że ta ryba bierze ze sobą zapas wody, nie pozwalający wyschnąć za prędko skrzelom.

Nie znajdując nigdzie wody, co się często zdarza w Ameryce południowej podczas suchej pory roku, ryba ta *zagrzebuje się w mule* dość głęboko i zapada w pewien rodzaj letargu, który trwa nieraz przez parę miesięcy, aż do pory deszczowej.

Hassar odznacza się także wielkiem przywiązaniem do swego potomstwa, co pomiędzy rybami jest cnotą dość rzadką. Buduje ona dla swych młodych kompletne gniazdo, a kie-

dy się wyklują z ikry, pielęgnuje je i strzeże od napaści nieprzyjaciół. Do roboty przystępuje w kwietniu, za materiał używa trawek rzecznych czy morskich. Gniazdo ma formę kuli i wnijście odpowiednio duże, żeby matka mogła się w nie pomieścić. Ze wstydem musimy powiedzieć, że ludzie korzystają z miłości macierzyńskiej dobrej rybki, żeby ją łatwiej chwycić. Biorą się przytem na podstęp brzydki: Rybak trzyma małeńki koszyczek przed otworem gniazda i kijem porusza go z lekka. Biedna matka wypływa z gniazda, rozgniewana, z rozpostartymi pletwami, któremi może zadać bolesną ranę wrogowi, po nieważ są bardzo ostre. Ale zamiast na niaprzyjaciela wpada do zdradzieckiego koszyka, z kąd się już nie może wydostać.

VI.

Mieszkania mięczaków.

Mówiliśmy o czworonogach i ptakach grabarzach. Ale i pomiędzy mięczakami znajdują się stworzenia, toczące nie tylko ziemię i drzewa, ale nawet twardą skałę. W Europie spotykamy pewien gatunek ślimaka, zwanego po łacinie *Helix saxicava*, a podobnego bardzo do pospolitego a nas *Helix nemoralis*; wydziela on z siebie ostry sok. Sok saxicawy działa na skałę w ten sposób, że ją rozpuszcza i wydrąza w niej powoli wgłębienie gładkie i równe. W takim zagłębieniu ukrywa się w ciągu zimy ślimak.

Z pomiędzy mięczaków wiercących a zamieszkałych w morzu, wymienić należy *Mya* (Małgiew), która ma skorupę zięjącą, czyli otwartą szeroko po obu końcach; z płaszcza otaczającego ciało wychodzi noga, mająca postać rurki muskularnej, na parę cali długiej. Przez tę rurkę mięczak oddycha i przyjmuje pokarmy. Małgwie trzymają się pobrzeży, gdzie się zakopują w mule, dość głęboko tak, iż wcale ich nie widać. Z muntu do wody wychodzi tylko wspomniana rurka zakończona promienisto rozchodzącymi się mackami, które zdradzają obecność zwierzęcia. Małgiew jest jadalną przez ludzi, lisy i wilki polarne, oraz niektóre ptaki.

Najciekawszym jest niewątpliwie mięczak toczkarzowaty, zwany skałotoczem palczakiem (*Pholas Dactylus*) pospolity na wybrzeżach mórz europejskich. Przechadzając się nad brzegiem, widzimy jedno z tych stworzeń na powierzchni skały, inne zaś zaryte w niej głęboko. W niektórych okolicach, obfitujących w skały wapienne, niepodobna poprostu znaleźć miejsca, gdzie-



Skałotocz i jego roboty.

by skałotocze nie powierciły opoki głębokimi dziurami. Skorupka skałotocza jest bardzo delikatna i miękka, ale nazewnątrz pokryta ostreimi kolcami wapiennymi, które tworzą niezmiernie malownicze krzywe linie na powierzchni muszli.

Naturaliści dowiedli, że te słabe na pozór kolce służą ska-

łotoczowi za narzędzia do wwiercania się głęboko w skałę. Stworzenie porusza się przy pomocy swej muskularnej nogi na prawo i na lewo, jak głowa człowieka robiącego gest przeczenia i w ten sposób powoli wierci otwór w opoce. Jeżeli rozbijemy młotkiem kawał skały powierconej przez skałotocze, to przekonamy się, że otwory sięgają do znacznej głębokości, i są we środku bardzo gładkie. W miękkiej skałe wapiennej skorupki skałotoczków są najpiękniej wykształcone, w twardym piaskowcu, który także nie może się oprzeć ich działaniu, skorupki są znacznie gorsze, bo wygładzone wskutek tarcia, gdzie zaś w piaskowcu skałotocz natrafia na krzemienie, tam jego muszla zupełnie się przytępia i wykrzywia, bo krzemień należy do najtwardszych kamieni.

Na rycinie widzimy po lewej stronie kawał drzewa stoczony przez mięczaka, z prawej zaś dziury wydrążone w skałe wapiennej. Trochę w głębi, z drzewa, wyglądają skałotocze.

Przypatrując się drzewu stoczonemu przez robaki, albo też przez opisane powyżej skałotocze, widzimy, że otwory, czyli tunele w łonie pnia idą w poprzek włókna drzewnego. Tymczasem tak zwany świdrak okrętowy dziurawi drzewo wzdłuż włókna, tak, iż nazewnątrz robota jego jest dla oka niedostrzegalną. Deska czy belka jest już wewnątrz zupełnie popsutą a człowiek o tem nie wie. Pomimo swej wydłużonej postaci świdrak okrętowy jest zbliżka spokrewniony z ostrygą. Skorupy małe ale grube pokrywają tylko przednią część zwierzęcia, które ma postać mocno wydłużoną, jak np. glista ziemna. Cieńszy koniec jest rozdwojony, i stanowi podwójną rurkę służącą do oddychania. Okrętowiec świdrak ma grubość ołówka, a długość jego wynosi około jednej stopy. Tak wygląda okrętowiec dojrzały zupełnie. W pierwszych swoich postaciach rozdwojonych wygląda on, jak mała ruchoma kulka, zaopatrzona w wyrostki służące do przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Później dopiero wyrastają mu narządy do pływania i do pełzania, dostaje oczu i uszu, podobnych do organów zmysłowych u innych mięczaków. Wreszcie, przeszedłszy wszystkie przeobrażenia, staje się wydłużonem, robakowatę stworze-

niem, które osiedla się na stałe w jakiejś dogodnej dla siebie miejscowości.

Świdrak okrętowiec czyni wielkie spustoszenia. Wierci bowiem pale, wbijane w dno morza, tamy, a nawet ściany okrętów stojących w przystani. Z czasem pal jest tak gęsto podziurawiony, że jeden tunel od drugiego przedziela ścianka nie grubsza od papieru. Dość jest w taki podziurawiony pień czy w deskę uderzyć silnie pięścią, żeby się rozpadła na kawałki. Jeżeliby powymcować świdraki z otworów to przekonaliśmy się, że drzewa pozostało w desce daleko mniej, aniżeli samych okrętowców.

Świdraki stały się już powodem wielu nieszczęść. Niedostrzeżenie dziurawią one ściany okrętów, i marynarz wypływa na morze, nie wiedząc wcale, że jego statek jest zupełnie niezdatny do użytku, bo jak powiedzieliśmy, otworów nie podobna dostrzedz od zewnątrz. Jeżeli taki uszkodzony przez świdraki okręt uderzy o inny statek, albo chociaż o łódkę, podziurawione deski rozpadają się w kawałki i woda się wdziera przez dziurę do środka. Dobrze, jeżeli marynarze spostrzegą zawczasu szkodę, to wtedy ją naprawią. W razie przeciwnym zaś giną bez ratunku.

Pokazywano deski do tego stopnia poświadrowane przez te zwierzątka, że po przepiłowaniu ich w poprzek wyglądały niby plaster miodu.

Popsute tamy trzymają się na pozór doskonale, ale niech tylko burza morską się zerwie i niech fale zaczną uderzać w pale! Zaraz tama się przewróci i woda zaleje miejsca zabezpieczone!

Nic więc dziwnego, że mieszkańcy nadbrzeżnych okolic niezmiernie się obawiają świdraka okrętowego i tępią go niechętnie, chociaż jest to zadanie niełatwe, bo jakże dosięgnąć świdraka zakrytego na parę stóp głęboko w palu, albo ukrytego w desce, tak iż trzeba dopiero stukać w nią młotkiem, żeby się przekonać, że jest naruszona?

VII.

Podziemne mieszkania pajaków.

Oprócz właściwych pajaków do obszernej grupy pajęczaków należą także znane powszechnie, ze słyszenia chociażby, niedźwiadki albo inaczej skorpiony. Są to stworzenia, zbliżone nieco budową do skorupiaków opancerzonych, mają cztery pary nóg nie licząc szczypców. Dochodzą do 5 i więcej cm. długości.

Istnieje sporo gatunków tych stworzeń; jedne z pomiędzy nich zamieszkują cieplejsze kraje w Europie, inne natomiast znajdujemy tylko w strefach podzwrotnikowych. Ukąszenie europejskich nie pozbawia człowieka życia, natomiast azjatyckie i afrykańskie są bardzo niebezpieczne i należy się ich wystrzegać; skorpiony posiadają bowiem jad bardzo silny. Chwytają one szczypcami zdobycz, przebijają ją kolcem znajdującym się na końcu ogona i wpuszczają nim jad z gruczołka jadowego, umieszczonego tuż za kolcem. Kolec taki służy niedźwiadkowi nietylko jako broń zaczepna, ale także jako odporna; broni się on przed człowiekiem, a spotyka się z nim bardzo często, bo lubi ciemności, a unika światła.

Chętnie włazi więc pod namioty i do domostw, a tam znowu poszukuje najciemniejszych zakątków. Podróżni często znajdują skorpiony pod poduszką, kładąc się spać, albo też rano w butach, kamaszach, rękawiczkach, odzieży i t. d. Łatwo pojąć jak Europejczyk bawiący w gorących krajach musi się zachowywać ostrożnie, żeby niechcący nie natknąć się na takiego gościa. Zobaczmy teraz, jak skorpiony urządzają sobie mieszkania pod ziemią. Taką siedzibę łatwo rozpoznać, ma ona bowiem wejście w formie półkrężycowej zupełnie podobnej do formy samego zwierzęcia, które przez nie wchodzi do środka. Jeżeli ziemia jest przydatna do kopania w niej jam, to w jednym miejscu można znaleźć kilkanaście, a nawet więcej niedźwiadków. Chcąc się przekonać, czy skorpion siedzi w swoim pomieszkaniu podziemnem, dość jest wlać w otwór wiadro wody; niedźwiadki nienawidzą jej, niebawem więc wychodzą nazewnątrz, rozgniewane do najwyższego stop-

nia i, machając groźnie szczypcami, wypatrują nieprzyjaciela. Podłożywszy pod jadowite stworzenia widelec, albo nóż, łatwo je zabieramy żywcem, jeżeli wprzód zasypaliśmy otwór do jamy.

Opowiadają, że skorpiony otoczone zewsząd ogniem, same sobie odbierają życie. Czy to prawda, czy nie prawda? Otóż okazuje się, że prawda istotna. Pewien oficer angielski zrobił w tym kierunku ciekawe doświadczenie. Otoczył schwytanego skorpiona wieńcem żarzących się węgli. Stworzonko biegło jakiś czas, szukając miejsca, któremby mogło się wydostać z fatalnego okręgu, ale nie znalazłszy sposobu ucieczki, podniosło jadowity ogon w górę, ukłuło się samym kolcem pomiędzy obrączkami i niebawem zdechło. Doświadczenie to powtórzył ów oficer sześć czy siedm razy zawsze z jednakowym wynikiem; prowadzić je dalej byłoby więc nieużytecznem i karygodnem okrucieństwem. Wogóle śmierć następowała w pięć minut mniej więcej po zakłuciu.

Pomiędzy właściwemi pajakami znajduje się sporo gatunków przebywających na lądzie, nie zaś jak inne na drzewach lub w wodzie.

Idąc polem, spostrzegamy nieraz obszerne siatki, osnute na miedzach; należą one do lądowego pajaka, *Agalena Labyrinthica*. Inny znów — norosz, (*Coelotes atropos* albo inaczej *terrestris*) kopie sobie w ziemi nory, gdzie zamieszkuje; jeszcze inny, wapniuch, osiedla się na suchych skałach wapiennych. Są to jednak wszystko drobne stworzonka, nie zwracające wcale uwagi przechodnia. Zatrzymamy się więc na jednym z olbrzymów pajęczego rodu, mianowicie na tarantuli. Pod tą nazwą rozumiemy właściwie kilkanaście rozmaitych gatunków. O tarantuli włoskiej mniemano, że jest ona w stanie wprawić człowieka swem ukąszeniem jadowitem w szaleństwo, objawiające się tańcem dziwnym; ale nie jest to prawdą. Wszystkie wogóle tarantule należą do grabarzy, to znaczy mieszkają w norach ziemnych, które same sobie wygrzebują. Dość do takiej nory wsadzić nóż, patyk albo w ostateczności wrzucić kamyczek, a mieszkaniec jej ukazuje się natychmiast, wielce zagniewany przerwaniem mu spoczynku.

Największym z naszych pajaków należących do „pogońców“, a po łacinie Citigradae, to znaczy łowiących zdobycz w biegu, jest krzeczek (*Trochosa singorensis*), zamieszkujący Podole i Ukrainę. We Włoszech żyje pokrewna mu *Tarentula Apulie*, o której właśnie powiadano, że jadem swym przyprawia człowieka o szaleństwo. Największe wszakże z pomiędzy wszystkich pajaków należą do tak zwanych czteropłucych, bo



Zdunek i jego gniazdo.

posiadają aż 4 płucotchawki, organy służące do oddychania. U nas mieszka jeden przedstawiciel tego działu, mianowicie gryziel (*Atypus piceus*). Przebywa on w głębokiej norze podziemnej, wysłanej pajęczyną, ażeby ziemia się nie obrywała ze ścian. Koniec takiej pajęczyny wystaje nad ziemię i daje się spostrzedz z zewnątrz.

Jego krewniacy mieszkają w ciepłych albo gorących krajach i są istnemi olbrzymami pomiędzy pajakami, jak na przykład ptasznik amerykański, tak duży, że się rzuca ze skutkiem na drobne ptactwo. W Europie Południowej znajdujemy tak zwanego zdunka (*Cteniza caementaria*), który zamyka wejście do swojej nory ziemnej zapomocą prawdziwych drzwiczek zrobionych bardzo starannie z przedzy własnej i z ziemi. Wnętrze takiej nory jest starannie wysłane miękką pajęczyną, jakby tkaniną jedwabną, bardzo mocną i przyjemną w dotknięciu.

Nasz rysunek wyobraża jednego z takich pajaków i jego norę. Z lewej strony widzimy drzwi i otwór do mieszkania pajaka, z prawej zaś rozgrzebaną norę w tym celu, żeby można sobie wyrobić pojęcie, jak jest ona urządzona w pośrodku.

Rzecz godna uwagi, że pokrywka doskonale pasuje do otworu, i że zamyka zupełnie szczelnie norę. Zanim pajak wyjdzie z domu, wygląda wprzód przeze drzwi, czy mu nie grozi jakie niebezpieczeństwo; dopiero przekonawszy się, że w pobliżu nie ma nieprzyjaciela, opuszcza swoje mieszkanie. Jeżeli go jednak czemś przestraszyć, to zamyka się w norze, i nie podobna prawie spostrzedz, gdzie się znajdują drzwi. Pajaki takie prowadzą tryb życia nocny, to znaczy: w dzień siedzą w mieszkaniu podziemnem, a dopiero po zachodzie słońca udają się na polowanie. Są one duże, mają nogi mocne a krótkie, i szpony ostre do chwytania zdobyczy. Niektóre dochodzą wielkości dużego orzecha włoskiego, nie licząc naturalnie nóg.

VIII.

Owady grzebacze.

Opowiadaliśmy już czytelnikowi naszemu o zwierzętach czworonożnych, o ptakach i o rybach zamieszkujących pod ziemią, czy też robiących podziemne schronienia dla swojego potomstwa. Teraz zapoznamy się w paru słowach z owadami budującymi gniazda podziemne.

Budowniczymi są przytem albo dorosłe zupełnie, rozwi-

nięte owady, albo też ich larwy, czy gąsiennice. Pomiedzy tak zwanymi piaskówkami, należącymi do chrząszczów, istnieje plamiec czyli kurjer — owad niewielki, zielony z żółtymi plamkami. Istotka to bardzo żywa, ani chwili nie spoczywa, ciągle w ruchu, nie lata jak inne owady, bo ma skrzydła niezdatne do prawdziwego lotu, lecz podrywa się z ziemi, rob skoki, żeby o kilka kroków opodać spocząć na sekundę. Trudno go też schwytać. Już, już mamy go pod chusteczką, czy pod kapeluszem a on wymyka się niepostrzeżenie i znowu i każe za sobą gonić! Jest nadzwyczaj ostrożny, nie łatwo go więc podejść. Lubi wygrzewać się w promieniach słonecznych, a poluje na inne owady po wydmach piaszczystych, na nagich pagórkach i wogóle w miejscach otwartych. Zobaczywszy zdobycz, rzuca się na nią jak tygrys, jednym skokiem, prawie nigdy nie chybiając. Gdyby natura obdarzyła plamca wielkością i siłą tygrysa, to niebawem wytepiłby on wszystkie zwierzta na całej kuli ziemskiej, mówi o nim pewien naturalista; to daje nam pojęcie o jego żarłoczności a zarazem o pożyteczności, boć niszczenie owadów—nieprzyjaciół roślin, należy mu poczytywać za zasługę niemałą.

Otóż gąsiennica plamca, nie mając tej ręczności co owad rozwinięty, pokonywa zdobycz nie wprost ale podstępem. Jest ona brudno-żółta, wysmukła, ma głowę szeroką i tęgie szczęki, a nadto na dolnym pierścieniu ciała posiada dwa ostre, haczykowate wyrostki. Wykopuje sobie ona głęboką i wąską norę w ziemi, wystawia z otworu głowę, otwiera paszczę do pochwycenia żeru i w tem położeniu nieruchoma, oczekuje cierpliwie, póki jaki niedoświadczony, czy też nieuważny owad zbliży się do zasadzki. Wtedy w mgnieniu oka zamyka szczęki potężne, i ściąga wgłąb nory owada, żeby go tam pożreć. Jeżeli złapany owad szarpie się i gąsiennica czuje, iż zdobycz może się jej wymknąć, to zagłębia w ściany nory owe haczykowate wyrostki grzbietowe i zaczepia się niemi mocno. Pokonana ofiarę wciąga na samo dno kryjówki, i tam wysysa z niej soki, resztę zaś wynosi nazewnątrz i porzuca.

Podobnemi obyczajami odznaczają się i larwy innych gatunków piaskówek.

Niezmiernie ciekawemi owadami są tak zwane *owadziarki*, podzielone przez uczonych na kilka gromad; z pomiędzy tych gromad najbardziej interesują nas grzebacz (Crabronidae).

Owodziarki wogóle są bardzo pożyteczne, składają bowiem swoje jaja na owadach, kosztem których żywią się ich gąsienice aż do swojej przemiany na poczwarkę. Niektóre owodziarki mają długie żądło, zwykle jednak niejadowite, zwane podkładelkiem a służące do składania jajek w dziurę przebitą w ciele owada. Gąsienica owada nawiedzonego przez takiego gościa, zdycha z chwilą, kiedy dojrzałe gąsienice, owodziarki żyjące w jej ciele, nie wyjdą nazewnątrz, przebiwszy skórę.

Grzebacz mają krótkie nóżki, oczy owalne, dwie pary skrzydeł, z których przednie są wąskie i długie, uda gładkie, pieszczele zaś obrosłe krótkimi włoskami; żądło nie haczykowane może wychodzić z rany zadawanej owadowi, ale za to zawiera jad, którego działanie jest paraliżujące.

Zakażony niem owad traci w mgnieniu oka możność poruszania się dowolnego i staje się pastwą grzebacza.

Piasecznik, będący właśnie jednym z najpospolitszych grzebaczy naszych, uwija się wesoło przez całe lato, to latając zęcnie i śmiało wraz z towarzyszami, to siadając na kwiatkach, to znów spaceruje sobie po ziemi, podnosząc w górę pociesznie swój pękaty kałdun.

Wykopuje on sobie przedniemi łapkami gniazdo na pochyłości rowu, bruzdy, przy prostopadle spadającym ku wodzie brzegu rzeki, i w innym podobnym miejscu. Ciekawie jest przypatrywać się temu małemu owadowi, jak cierpliwie i pracowicie wynosi on drobne kamyczki, tamujące kopanie podziemnej galerji, jak znika co chwila, aby się niebawem znowu pokazać, jak okiem znawcy ogląda swoją robotę...

Kiedy nareszcie pracowite dzieło jest skończone, piasecznik robi z niego odpowiedni użytek. Ponoślił on przy tem trudy nie dla siebie, ale dla swojego potomstwa. Sam bowiem posiada naturę łagodną; nie żyje jak kurjer krwią i mięsem upolowanej zdobyczy, ale sokiem miodowym kwiatów. Oto leci na wyprawę! Niebawem spostrzega dużą gąsienicę o cie-

le nagiem i bez wahania rzuca się na nią, nie po to jednak, żeby ją pożreć, jak szczypawka, ale żeby ją sparaliżować kilkoma ukłuciami swojego jadowitego żądła. Jad, jak powiedzieliśmy, działa paraliżująco na gąsienicę, która staje się zupełnie bezwładną i pozwala robić napastnikowi co mu się podoba; gąsienica nie zdycha jednak od ukłucia, bo ma służyć za pożywienie potomstwu swojego prześladowcy. Piasecznik jest jednak za mały i za słaby, ^{żeby} żeby przenieść swoją ofiarę do pracownice zbudowanego gniazda; nie daje atoli za wygraną! wyęży wszystkie swoje siły i powolutku wlecze je do norry odległej nieraz o kilkadziesiąt kroków. Obrotność i zręczność zastępują mu siłę. Chwyta gąsienicę przednimi łapkami i wlecze ją jak może po piasku, to siada na nią okrakiem, jak jeździec na konia, to ciągnie, posuwając się tyłem, korzysta z każdej pochyłości, żeby spuścić po niej swoje brzemię, dając na każdym kroku dowody wielkiej pomysłowości. Najtrudniej jednak wsunąć gąsienicę do wnętrza gniazda, które jest podobne do długiego, wąskiego tunelu. Przyciągnąwszy pomyślnie gąsienicę aż do wniścia, piasecznik zagląda do wnętrza, czy czasami nie zakradł się podczas jego nieobecności do gniazda jaki nieproszony gość, potem dopiero pracuje dalej. Uspokojony, piasecznik przystępuje do dokończenia swojego dzieła: znika z gąsienicą w głębi gniazda i tam składa na jej ciele jedno jajeczko, podługowate. Teraz nie pozostaje mu nic innego jak zabezpieczyć swojego przyszłego potomka przed odwiedzinami much, które także lubą składać swoje jajka na cudzych gąsienicach. Zamurowuje więc wejście do gniazda drobnymi kamyczkami, patyczkami, i to tak starannie, że trudno je odkryć. Wykluta z jajeczka gąsienica żywi się ciałem gąsienicy, złożonej przez jej matkę a w końcu zamienia się na poczwarkę, wykluwa i dojrzały owad opuszcza kryjówkę.

Oprócz tych owadów, które opisaliśmy, wiele innych jeszcze mieszka w norach podziemnych, albo buduje podziemne schronienia dla swojego potomstwa. Czy widzieliście kiedy takiego podjadka np. zwanego inaczej turkuciem? Niezgrabny to owad, duży, podobny na pierwszy rzut oka do kreta, posiadający, jak i tamten, tęgie przednie łapki, zaopatrzone w sze-

rokie łopatki, zdatne do kopania w ziemi. Tylne skrzydła złożone i pomięte, niewyraźne, ciało grube, wałkowate. Owad to niezgrabny a co najgorsze szkodliwy, bo kopie sobie długie kurytarze w ziemi i podgryza korzenie roślin, którymi się żywi. Na końcu kałduna ma dwie szczecinki.

Tak samo jak turkuć, mieszkają w ziemi znane każdemu świerszcze polne, o podobnych nieco do końskich łebkach, o ciele grubem.

Ćwierkają one w ten sposób, że pocierają żeberko na spodzie jednej z pokrywek o wystające gładkie żeberko znajdujące się na wierzchu drugiej pokrywy.

O owadach tych nie będziemy jednak mówili obszerniej, bo gniazda ich podziemne nie przedstawiają nic osobliwego.



WYDAWNICTWO IMIENIA M. BRZEZINSKIEGO.

W ZIMOWY WIECZÓR.

OPOWIADANIE

ELIZY ORZESZKOWEJ.

Skróciła F. MORZYCKA.

WYDANIE 5.

Z 3 RYSUNKAMI.

WARSZAWA.

Księgarnia Polska Polskiej Macierzy Szkolnej, Warecka 15.

1921

Druk synów St. Niemiry. Warszawa, Plac Warecki 4.

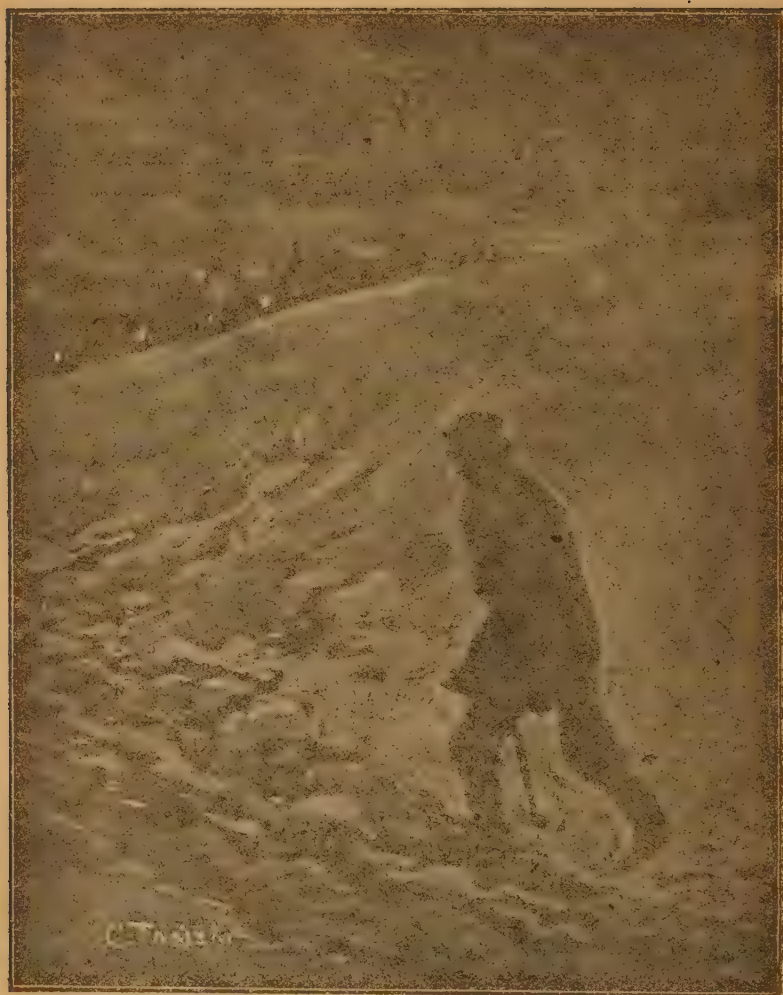
Wieczór był niepóźny, ale bardzo ciemny; na niebie, usłanym chmurami, nie świeciła ani jedna gwiazda, wiatr posuwicie hasał w kotlinie, na której dnie leżał szeroki szlak zamarzłej rzeki. Dokoła ciągnęły się puste, śniegiem pokryte wybrzeża i tylko w dali, na górze, widniały wiejskie domostwa, z rzędem drobnych świateł, podobnych do czerwonych oczu. Nizko, nad samym szlakiem rzeki prze- mykał się człowiek. Szedł prędko, równo; czasem tylko u stóp jego rozlegało się krótkie stuknięcie kija o wysta- jący z pod śniegu kamień.

Wtym stanął jak wryty i głowę podniósł ku domo- stwom, mrugającym światełkami.

— „Achl“ wmieszał się okrzyk ludzki pomiędzy po- gwizdy wichrów. Kilka chwil patrzył w górę i raz jeszcze wykrzyknął, ale już ciszej i krócej: „Achl“

I szedł znowu dalej, zatrzymując się coraz częściej; aż przebył drogę, prowadzącą do wsi, i położył rękę na wrotach pierwszej z rzędu zagrody.

Chata, przed którą zatrzymał się podróżny, należała do starego Szymona Bartnika. Siedział on właśnie na zy- dlu, trzymając przy ustach glinianą fajkę na krótkim cybu- chu. Lat miał przeszło sześćdziesiąt; szerokie, przygarbion- ne plecy opierał o zadymioną ścianę. Grube kłęby dymu, które nieustannie wypuszczał z ust, to zasłaniały, to odsła- niały jego głowę wielką, nad czołem wyłysiałą, z tyłu oto- czoną wieńcem siwych włosów, i twarz rumianą, twardym



(do str. 3) ..Szedł prędko, równo, podpierając się kijem.

wąsem zjeżoną, oświeconą dwójgiem oczu błyszczących i mądrych, które z pod gęstych, obwisłych brwi spoglądały ze spokojem i surowością.

Ręce jego, z których jedną zasunął pod pas szeroki, a drugą trzymał fajkę przy ustach, były wielkie, żylaste, pokazujące, że umiał ciężko pracować i miał siłę żelazną. Łatwo było domyślić się, że gdy ten starzec wstanie, wyprostuje się i przemówi, wszyscy w izbie znajdujący się spełnią, cokolwiek im rozkaże. Obecnych zaś w izbie było wielu, a wszyscy w tej chwili siedzieli lub stali w milczeniu, zasluchani w opowiadanie pośrodku stojącego mężczyzny.

Najstarszy syn Szymona, bednarz, mężczyzna ^{blisko} czterdziestoletni, wyglądał heblem zęb brony, zwracając czarne ogniste oczy w stronę opowiadającego. Żona jego stała przed kominem, którego ogień blaskiem swym oblewał od stóp do głowy całą jej postać. Tuż za tą poważną gospodynią chaty, za kołem i wysoką prąśnicą kołowrotka, siedziała Anusia, córka Szymona; przędła ona przed chwilą, ale teraz, z ręką podniesioną ku kądzieli, zatrzymała się, jak zaczarowana opowiadaniem, którego słuchała. Zaciekawioną wydawała się także stara, mała babuła, która na samej ziemi, na niecce, dnem do góry przewróconej, siedziała i miała przed sobą sito pełne straków fasoli. Łuszczyła je przed chwilą i z kilku jeszcze strakami w kościstej żółtej ręce głowę wysuwała pod światło ognia. Zadziewioną też była młodziutka, jak jutrenka świeża, jak brzoza wysmukła, Jagusia, żona młodszego syna Szymona. Siedziała ona naprzeciw bednarza i u piersi, okrytej granatowym gorsetem, kołysała paromiesięczne dziecko. Z za pleców bednarza wychylał się piętnastoletni wyrostek, z kłębami sznurów na kolanach i z iglicą do wiązania więcierzy w rękę.

Pośrodku izby stał opowiadający. Był to Antoni,

młodszy z dwóch synów Szymona, trzydziestoletni, wysoki mężczyzna. Przed chwilą znać powrócił z drogi, bo jeszcze nie zdjął zgrabnego kożuszka, od którego czarnego kołnierza odbijała się jego twarz świeża, rumiana. Trzymał jeszcze bicz, którym w podróży konia poganiał, i z żywością poruszając ręką i głową, opowiadał:

— Dalibóg, mówię prawdę! Pełno ludzi zebrało się dziś w miasteczku, a mało kto pomyślał o handlu, wszyscy tylko mówili i rozprawiali o Baku. Gadają, że to ten sam Bąk, co dziesięć lat temu troje ludzi zamordował...

— Słyszałem, zdaje się Żydów... — mruknął bednarz.

— A tak, — potwierdził opowiadający — dwóch Żydów i jedną babę, która wtedy u nich nocowała; wszystkich pomordował ze swemi kamratami. Wtenczas złapali go i przekonali się, że to ten sam Bąk, który już przez kilka lat w różnych stronach dokazywał. Sklepy odbijał, pieniądze fałszował, tylko zabijać ludzi nie miał jeszcze śmiałości. Aż tu i zabijać zaczął... Osądzili go, posadzili do kryminału i skazali na wieczne czasy do kopalni, a on wziął i z kryminału uciekł. Uciekł szelma, odzienie inne włożył i niby robotnik, poszedł do jakiejś fabryki. Był robotnikiem w tej fabryce lat kilka za fałszywym paszportem. Aż i tam go złapali i znowu zabrali na Sybir. Popędzili go het, na koniec świata, żeby drugi raz nie uciekł. Aż on wziął i uciekł...

— Z Syberji uciekł? — fajkę z ust wyjmując, po raz pierwszy odezwał się Szymon.

— A tak, ojcie, z Syberji; był tam kilka lat, aż mu się sprzykrzyło, wziął nogi za pas i w świat wyruszył. Wtedy na wszystkie strony rozesłano papiery, że taki a taki uciekł z Syberji i że każdy powinien go szukać i łapać. Szukali go podobno po całutkim świecie i szukać już przestali, aż tu... żeby on z piekła nie wyszedł... sam się znalazł, i to tu, niedaleko.

— Aj! krzyknęła z za kołowrotka Anusia.

Gospodyni z przestachu otworzyła nieco piękne, rumiane usta.

— Jakto, tu go znaleźli? — odezwał się Szymon. — Ot, z głupiego gadania głupim pociecha...

— Ależ, ojcie, znaleźli go tutaj, o dwie mile od nas — wykrzyknął, rozmachując batem, Antoni. Znowu był robotnikiem za fałszywym paszportem... Po tym paszporcie poznano go i wsadzono do kryminału; ale on nie głupi, zabrał się i znowu uciekł... Szelma, jaki mądry! ha, ha, ha!!

Sam jeden śmiał się; inni milczeli, a Szymon, brwi ściągając, zapytał:

— Czy nie kłamiesz czasem, Antoni? Czy nie wymyśliłeś tego tylko dla straszenia bab?

Antoni, strwożone nieco spojrzenie na ojca rzuciwszy, z obrazą w głosie odpowiedział:

— Jeżeli ja kłamię, to i pisarz kłamię. Od pisarza nasłuchałem się najwięcej o tej całej awanturze, bo w kancelarji najlepiej wiedzą, że co tylko tu był i znowu przepadł. Więc daleko jeszcze zejść nie mógł, więc trzeba go szukać i łapać: tak mówił pisarz... — Szukajcie — mówił — bo inaczej będziemy mieli z nim wielką biedę. Zaczną się złodziejstwa, grabieże... to i owo będzie. A jak go złapią i zamkną w kryminale, to już koniec z nim zrobią. W kajdany mocne, żelazne okują i na całutkie życie na Sybir zesłają... ot co!

Nikt nie poruszył się i nic nie mówił. Nakoniec Szymon wyprostował się, fajką o brzeg stołu uderzył i popiół z niej wytrząsając, rzekł:

— I sprawiedliwie! Tak łajdakom wszystkim robić trzeba. Niechaj nie dokuczają, cudzego nie ruszają, niewinnej krwi nie marnują, bo tego zabronił nam Bóg Najwyższy — a wszystkim ludziom spokojnym powinna być obrona i zabezpieczenie od niesprawiedliwości i krzywdy.

Tak! — Mówiąc to, po wszystkich — po synach, synowych, córce i wnuczkach wodził błyszczącemi oczyma, które miały w tej chwili wyraz surowy i twardy. Grube zmarszczki zaryły mu szerokie czoło, a usta zdawały się mówić, że gdyby ktokolwiek z tych, na których patrzył, wstąpił na taką drogę, po jakiej szedł tamten, u samego początku opuściłby na niego tę wielką, z żelaza zda się wykutą rękę...

— Tak — powiedział i po worek z tytoniem sięgnął.

Wszyscy milczeli. Wiedzieli, że ilekroć stary ten wyraz wymówił, wszelkie spory i sprawy są zakończone. Antoni oparł bat o ścianę, zbliżył się do żony i palcem wodził po uśpionej główce dziecięcia. Bednarz posunął hebel po wygładzonym zębie brony; kołowrotek Anusi zaturkotał; gospodyni garnek z gorącą wodą z kominka wyjmowała...

Drzwi skrzypnęły: do izby wpadł najprzód ujadający i nasrożony kundel, a zaraz potem przy progu odezwało się wymówione pozdrowienie:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków... — chórem odpowiedzieli obecni. Szymon, robiąc sobie z dłoni daszek nad oczyma, ku drzwiom spoglądał, gospodyni wzrok od ognia odwróciła; hebel bednarza i kołowrotek Anusi umilkły znowu.

— Panie gospodarzu i pani gospodyni! — mówił u progu głos gruby i ochryply: — podróżny jestem i łaski waszej proszę. Pozwólcie godzinkę posiedzieć w ciepłej izbie; ogrzeję się i dalej pójdę, długo wam nie dokuczając...

— Prosimy, wejdźcie i posiedźcie — odpowiedział Szymon.

— Czemu nie? wejdźcie, bądźcie łaskawi i ogrzejecie się! — grzecznie zaprosiła gospodyni.

W szeroki pas światła, padający od ogniska, wszedł człowiek rosły, barczysty, lecz bardzo chudy — w ubraniu.

składającym się z wysokich butów, wsuniętych w nie spodni z grubego sukna i dość cienkiego, na jednym ramieniu rozdartego surduta. Do podróżowania w wietrzną noc zimową ubiór ten nie był stosowny; to też od chłodu może twarz jego, bardzo wydłużoną i kośćmi sterczącą, okrywała bladość, przypominająca żółtawy papier. Do zmiętej bibuły podobne było jego wysokie czoło, powiększone jeszcze małym wyłysieniem, za którym połyskiwały rudawe włosy. Tegoż koloru wąs ocieniał mu wąskie usta; a oczy szybkim, wszystko zda się widzącym spojrzeniem ogarniały całe wnętrze izby...

— Siadźcie i odpocznijcie! — od komina przemówiła gospodyni. — Jasiek — zawołała na syna — podaj pannu stołek!

Nazywała go panem, bo surdut miał na sobie. Usiadł na stołku, gruby kij, z żelaznym u końca okuciem, pomiędzy kolanami umieścił i silnie zatarł dłonie.

— Oj, zimno, zimno! — zajęczał — i głodno! — dodał, a żartobliwość z twarzy mu nie zniknęła... Zdawało się, że skarży się żartem.

— Straszny dzień dziś mamy — zauważył Antoni.

— Chcecie jeść? — podnosząc głowę z nad roboty i ciekawie patrząc na przybyłego, zapytał bednarz.

Znowu ręce zacierać zaczął.

— Zjadłbym, pewno że zjadłbym, gdybym co miał, ale nie wziąłem zapasu na drogę...

Uśmiechnął się żartobliwie, pragnąc wesołością swoją rozweselić gospodarzy; ale głos jego skrzypiał, jak niewysmarowane koło wozu, a wzrok chciwie w głębi komina tonął.

— Od dwóch dni jestem w drodze — zaczął znowu.

— Gdzie tam! pamięć w głowie mi zamarzła widocznie: już od dwóch tygodni jestem w drodze... Idę i idę, szukając

tego, czego nie zgubiłem, i niewiadomo tylko, czy znaję. Ha! ha! ha!

Mówił głośno, jeszcze głośniej śmiał się. Kij wysunął musię z pomiędzy kolan i upadł na ziemię: schylił się i podniósł go z niezmierną szybkością. Wszyscy milczeli. Nikt tu, oprócz ojca rodziny, rozkazów żadnych nie wydawał. Szymon obojętnie patrzył na przybyłego, a potem zwolna głowę ku starszej synowej zwrócił:

— Katarzyno! jeżeli masz co do jedzenia, to poczęstuj gościa.

— Zostały kluski z makiem — odpowiedziała.

Stary otoczył się kłębem dymu.

— Zdaleka? — zapytał.

Gość oką z gospodarza nie spuszczał.

— Z Prus — odpowiedział.

— Pewnie do jakiej fabryki idziecie, bo tam Niemców chętnie biorą...

— Ja nie jestem Niemcem, chociaż z Niemiec idę... Chciałbym do fabryki się dostać, gdzie płótno robią, bo tam można dobrze zarobić... Powiadają, że niedaleko stąd koszary budują: może tam najemę się, bo i mularstwo znam... Byle zarobić, byle żyć...

— Oj, to prawda! biednemu człowiekowi byle zarobić, byle żyć! — potwierdziło parę głosów.

Katarzyna postawiła na stole misę, pełną klusek. Położyła też przy misie nóż i spory kawał czarnego chleba.

— Jedzcie, bądźcie łaskawi — zapraszała gościa.

Podróżny w długie, chude ręce pochwycił najprzód chleb i do ust go podniósł, lecz niespokojne oczy zdawały się jeszcze czegoś szukać po stole.

— Nie gniewajcie się, panie gospodarzu... ale zmarzłem, jak kość... Żeby można dostać kieliszek wódki...

— Dlaczego nie można? można — spokojnie odrzekł gospodarz. — Katarzyno! daj wódki!

Bednarz podniósł głowę z nad roboty, oczy mu chciały błysnąć. Katarzyna przyniosła butelkę i kieliszek z grubego, zielonego szkła, który gospodarz w połowie napełnił i do ust go niosąc, ku gościowi głowę skłonił.

— W ręce waszel! — rzekł i wypił powoli.

Kiedy gość brał napełniony po brzegi kieliszek, grube palce jego drżały.

— Za wasze zdrowie! — odpowiedział i odrazu z chciwością trunek wlał sobie w gardło.

Bednarz patrzył na ojca i nieśmiało trochę po butelkę sięgał. Stary milczał. Bednarz więc wypił i wyciągnął butelkę ku bratu.

— Na, Antoni, w twoje ręce! — zawołał.

— Nie mogę pić, bo mi żona zabroniła — odpowiedział Antoni i na całą izbę głośnym śmiechem patsknął. — Naprawdę, zabroniła — mówił dalej — przyczepiła się do mnie i prosi: Jeżeli mnie choć trochę kochasz, jeżeli się Boga boisz, nie pij! Przysięgnij przed krzyżem świętym, że pić nie będziesz! Tak mi wreszcie dokuczyło ot babskie gadanie, że przysięgałem i już od roku wódki nie skosztowałem. Co, może kłamię, Jadwisiu?

Młoda kobieta, ukazując w serdecznym śmiechu białe zęby, ręką po twarzy go pogładziła.

— Bodaj to prawda była, że przez moje gadanie pić przestałeś... Ot tak, sam przyszedłeś do rozumu...

Stara babula wstała z niecki, do stołu podeszła i w butelkę patrzeć zaczęła.

— Napij się! — rzekł Szymon.

Z kieliszkiem w ręku, ukłoniła się wszystkim dokoła i wypiwszy, rękawem koszuli otarła zapadłe usta.

Gość wlepił w nią oczy tak, jakby chciał ją sobie przypomnieć. Ogromne kawały chleba pożerał, okruchy z garści do gardła wsypywał i coraz ciekawiej i uporczywiej przypatrywał się wszystkiemu i wszystkim. Chwilami zda-

wało się, że kogoś szukał oczyma. Spoglądał na łóżko, potem na szczyt pieca, potem znowu na tapczan. Nagle zapytał:

— A żona wasza, panie gospodarzu, żyje?

— Już dawno umarła... z dziesięć lat już będzie, jak umarła — zagadła baba, wypita wódką skrzepiona i ożywiona... — Umarła tego lata, jak mnie ze dworu odprawili... Wtenczas mnie Szymon do swej chaty przytulił: niech mu Bóg za to we wszystkim dopomaga...

— Umarła! — przerwał gość, a jego oczy nie schodziły z twarzy rozgadanej baby. — A wam, matko, Karolina na imię... byliście we dworze gospodynią...

— A tak! — z uradowaniem krzyknęła staruszka.

— A skądże wy o tym wiedzieć możecie? — zapytał Antoni.

Podróżny pytania tego nie słyszał, czy na nie odpowiedzieć nie chciał. Po ścianach teraz oczyma wodził.

— Dawnoście, panie gospodarzu, tę chatę zbudowali?

Szymon odpowiedział, że chata jest stara, a tylko niedawno podniósł ją trochę, przegniłe zręby nowym drzewem zastąpił, większe okna wyciął.

— Dziwnie mi też, że izba niezupełnie ta, co była...

— Czy byliście tu kiedy? — zapytał bednarz.

Podróżny nic nie odpowiedział.

Nie przestając jeść, oglądał się dokoła. Na bednarza i na Antoniego długo popatrzył i rzekł:

— Tak to! Starej już niema. I Jaśka niema.

— Jakiego Jaśka? — odejmując fajkę od ust i bystro patrząc na gościa, zapytał Szymon.

— Pytacie, jakiego? — zaśmiał się gość — czyż zapomnieliście o waszym trzecim synu?

— Czy wy tutejsi, że tak wszystko wiecie? — zagadnęła Jadwiga.

— Musieliście być tu kiedy? — wlepiając w niego ciekawe oczy, przemówiła baba.

— Widać ze wszystkiego, żeście tu nie po raz pierwszy — ozwał się Szymon.

Tak zarzucony ze wszystkich stron pytaniami, przybyły pochylił się, a potem z głuchą jakąś złością mruknął:

— No, byłem, byłem... to i coś z tego, że byłem?

Po chwili jednak poskromił złość i spokojnie mówił:

— Byłem tu robotnikiem, kiedy nowy dwór budowali, przy budowaniu nowego dworu pracowałem.

— Oj, to już dawno, może ze dwadzieścia lat temu — zauważył Szymon.

— Więcej, niż dwadzieścia — poprawił gość.

— Dużo wówczas ludzi do tego budowania przychodziło... — dodał bednarz.

— A tak, dużo. I ja przychodziłem.

Szymon uważnie popatrzył na gościa.

— Coś mi się w oczach mroczy... To zdaje mi się, że was znam, to — że was nie znam...

— Żeby tak z tego miejsca nie wstała — zagadnęła baba — i mnie to samo... To zdaje mi się, że was znam, to — że nie znam... Musieliście ze mną rozmawiać, kiedyście byli przy budowie nowego dworu.

Gość uśmiechnął się i wpatrywał się w wychudłe, żółte jak wosk ręce staruszki.

— Oj, nieraz rozmawialiście ze mną, matko — zaczął — nawet przynosiliście mi chleb, nasmarowany miodem albo masłem...

Twarz podniósł, a oczy gorzały mu jak dwa rozżarzone węgle.

— Nie pamiętam, czym rozmawiała kiedy z wami, czy nie rozmawiałam, czym wam chleb dawała, czym nie dawała... Tylko to zdaje mi się, że was nie znam... Znam! nie, nie znam! Co to takiego?...

Dwie pary oczu, błyskające ciekawością, patrzyły na nieznajomego. Zaniepokoiły one widocznie podróżnego gdyż, powstawszy, szerokimi krokami do komina podszedł. Oczy zwrócił ku dziewczynie, która obok przędła, i zapytał: — A ty czyś córka gospodarska?

— Córka — szepnęła.

— Musisz być najmłodsza? Nie masz jeszcze lat dwunastu?

— Nie mam...

— A starsza siostra, Maryśka, żyje, czy umarła?

— Żyje.

— Za mąż poszła?

— Poszła...

— Gdzież ona? w tutejszej wsi?

— W Leściach... w mężowskiej chacie siedzi...

— Ach, w mężowskiej chacie... we własnej chacie... to dobrze... Ach! ach!

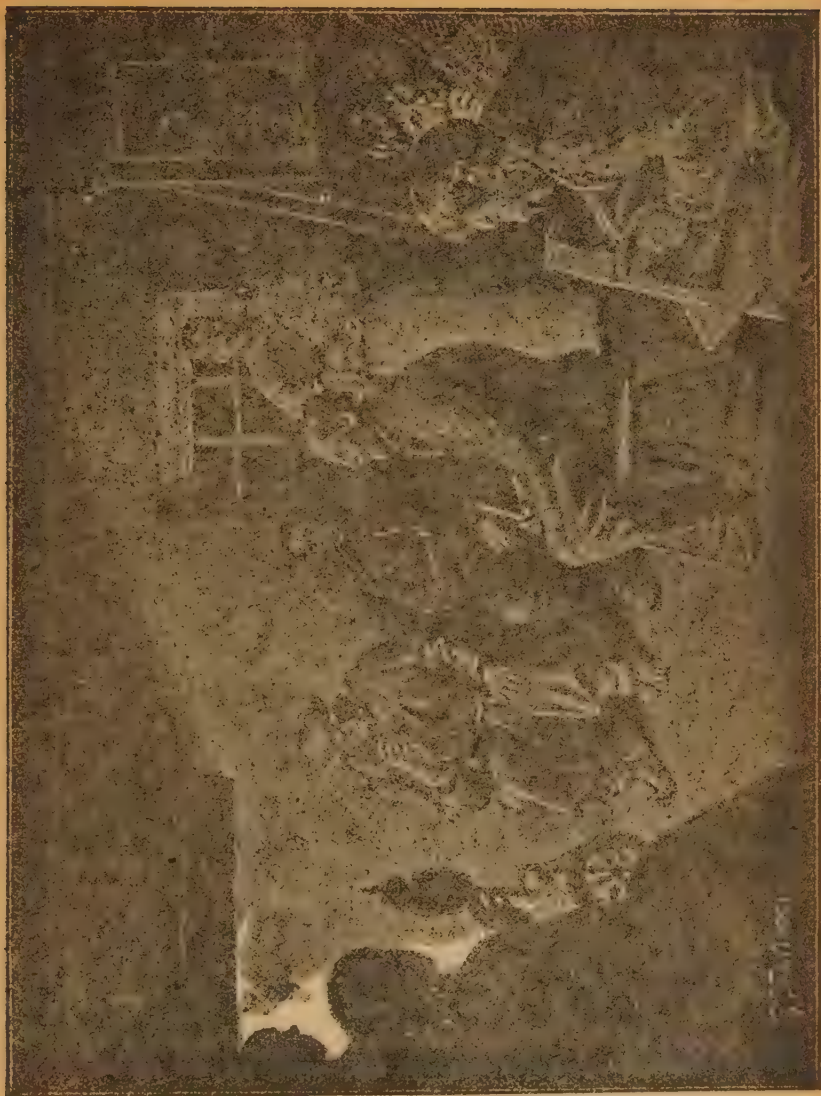
Jak powiew wiatru, westchnienie gwałtowne i krótkie pierś mu podniosło. Zamilkł.

Przy stole rozmawiano. Piętnastoletni Jasiek swawolnie przekomarzał się z babą, która wypila tajemnie drugi kieliszek wódki. Bednarz mówił coś do żony. Jadwisia śmiała się z kłótni Jaśka i baby. Jedne tylko tam usta milczały, powoli ciągnąc dym z krótkiego cybucha, jedna para oczu patrzyła przenikliwie na stojącego przed kominem gościa... Wym nad gwarem podniósł się wesół głoś Antoniego. Szeroko na ławie rozpostarty, z głową hardo podniesioną, ku gościowi zawołał:

— A nie słyszeliście tam czego o Baku, chodząc po świecie, co?

Wszyscy umilkli, ciekawi odpowiedzi, ale gość milczał, zmięszany. Po chwili dopiero spokojnie odpowiedział:

— Dlaczego nie miałbym słyszeć? Słyszałem. Cały świat o nim tylko teraz gada.



— O, gadają nie daj Boże nikomu, żeby tak o nim gadali! — zawołał Antoni. — A jak myślicie: złapią go, czy nie złapią?

— Może złapią, może nie złapią... — powoli odpowiedział gość.

— Dobrze byłoby, żeby go złapali, bo pisarz mówił, że gdyby go, broń Boże, nie złapano, to wielka bieda byłaby na świecie... Zaczęłyby się kradzieże, zabójstwa. Bo co to, szelma taki, jeżeli wolnym zostanie, to niemało jeszcze biedy ludziom narobi...

— Djabeł go złapie, jeżeli on taki mądry:—wykrzyknął bednarz—dwa razy uciekał, to i teraz uciec potrafi...

— Najbardziej zaciekawia mnie to, jakim sposobem mógł on wtenczas, dziesięć lat temu, z więzienia uciec. Nieraz przecie bywałem w mieście i więzienie widziałem. Co tam za mury, o Jezul żołnierze z bronią pod oknami stoją, a w oknach kraty... Trzeba być chyba ptakiem, a nie człowiekiem, żeby wylecieć stamtąd. A on wyleciał... Bodaj go... jaki mądry! Chyba ścianę zębami przegryzł, czy co.

— Ej, nie — krótko wymówił gość.

— A jakże? Bo żeby nawet kratę żelazną rozpiłował, toby przez takie wysokie okno wyskoczyć nie mógł, bo jakby buchnął na kamienie z trzeciego piętra, toby mu dusza z ciała uciekła...

— On nie wyskakiwał przez okno, ale wyleciał... — z drwiącym uśmiechem, z góry spoglądając na zgromadzonych w izbie, zawołał podróżny.

— A cóż? chyba wyleciał na tych skrzydłach, które mu djabeł przypiął — oburzył się bednarz.

— Nie wyleciał on na skrzydłach — rzekł gość.

— To chyba pożyczył łopaty od wiedźmy — zażartował Antoni. — Kobiety i Jasiek zaśmiali się głośno.

— Wyleciał na parasolu — rzekł pomału podróżny
Wszyscy umilkli, a on opowiadał wesoło:

— Dla niewiedzących to się wydaje trudne, niby cud jaki, a dla wiedzących — głupstwo... Oto jak zrobił Bąk, uciekając z więzienia.. — Tu podniósł swój kij i to podnosząc go, to opuszczając, opowiadał. — Oto tak: wziął parasol, taki wielki parasol, rozpiął go, w dół tak oto obrócił i razem z parasolem hyc przez okno... Bez parasola zleciałby na łeb na szyję i kark sobie złamał... ale parasol spuszczał się w dół pomaleńku, bo wiatr nie pozwalał mu prędko zlatywać, aż spuścił się do samej ziemi... A Bąk, jak długi wyciągnawszy się na bruku, nosem o kamień uderzył... Z nosa krew mu poszła i kości okrutnie bolały, ale co tam! za pas nogi wziął i dalej w świat. Szukano go potem przez trzy lata. Parasol pod więzieniem zaraz znaleziono, a jego nadaremnie szukano... cha, cha, cha!

Przy tym opowiadaniu cała twarz jego zajaśniała wesołością. Wyglądał jak niedorośle chłopię, które cieszy się ze splatanego figla.

Obecni w zdumieniu podnieśli twarze i pootwierali usta. Wśród ogólnego milczenia głos Szymona gruby i surowy z za kłębów dymu wymówił:

— A wy skąd o tym wiecie?

— Prawda, skąd wy o tym wiedzieć możecie?—zapytało kilka głosów.

Podróżny podniósł zuchwale głowę i z pod brwi, które zbiegły się groźnie, powiódł błyszczącym okiem dokoła.

— A wiem! to i cóż z tego, że wiem! Aaa! gęby pootwieraliście!... Skąd wiem? albo to ludzie języków nie mają i nie opowiadają?... Opowiadali, a ja słuchałem. Tfu!

Splunął i zaniepokoił się znowu; zmaconym wzrokiem dokoła rzucił, na kij swój spojrzał, ręce zataił.

Antoni hardo w twarz mu patrzył.

— Coś wy, panie,—zaczął — nadto już wiecie o tym Baku. Możecie go nawet kiedy widzieli?

— Nie mogłem go wcale widzieć, gdyż z Prus idę... więcej jak dwadzieścia lat w tych stronach nie byłem.

— To szkoła, bo powiedzielibyście nam, jak on wygląda... Łatwiej byłoby go złapać... Oj, złapałbym go z ochotą i sambym mu kawał skóry z pleców zdarł..

— Pi, pi, taki młody, a jużby ludziom skórę z pleców zdzierał — uśmiechnął się podróżny

— A kogóż miałbym żałować, rozbójnika?—zrywając się z ławy, zawołał Antoni sierzyskie.—Takiego, który kradł, rozbijał, niewinną krew przelewał czy takiej bestji mam żałować? Oj, oj, i jakbym ze skóry obdzierał, żeby drugich nie krzywdził...

— Cicho! Nie krzycz, Antoni — ciągnąc za połę rozpiętego kozucha, uspakajała męża młoda żona. Bednarz ręką z heblem w powietrzu zamachnął.

— Żeby mu Pan Bóg tego nie przebaczył, że tylu niewinnych ludzi zgubił...

— Oj! — jęknęła Hanusia — może i teraz zacznie zabijać.

— Pewno, że zacznie... — zagadała baba. — Co to, rozbójnik taki, we krwi ludzkiej wykąpany.

— Bodaj go święta ziemia nie przyjęła.. Bodaj go choroba...

— Czy zacznie, czy nie zacznie — odezwał się bednarz — a łapać go trzeba, bo jeszcze kompanję sobie dobierze i zacznie nam kraść konie...

— Niedoczekanie jego!—zawołał Antoni — nie będzie on już koni kradł... W kajdanach na koniec świata go powloką i od rana do nocy każą młotem pod ziemią pracować lub taczki ciągać...

— Oj, biednyż on, biedny! — westchnęła Jadwisia, dziecko mocniej do piersi przyciskając.

Podróżny podszedł do niej. Długo na nią patrzył, aż pochylił się nisko i szeptem wymówił:

— Pilnujcie dobrze swego syna, oj, dobrze swego Janka pilnujcie, żeby nie stał się on nigdy takim nieszczęśliwym.

Kobieta ze zdziwieniem i trochę z przestachem na gościa spojrzała, ale ten prędko do gospodarza podszedł. Szymon milczał dotąd; zwyczajem jego znać było, że wszystkim wprzód mówić pozwalał, a swoim potwierdzeniem spór kończył.

— I sprawiedliwie! nad takim zbójem i Pan Bóg litować się nam nie kazał. Sprawiedliwie! Bo czyż uczciwi ludzie na to pracują, żeby złodzieje z nich żyli i krwią ich się poili? Niewinnym ludziom od wszelkiej krzywdy obrona być powinna, a za ciężkie grzechy kara też być musi... Ot, co!

Podróżny wpatrywał się w mówiącego i słów jego słuchał z taką pilnością, że mu się aż wargi rozwarły, a powieki prędko, prędko mrugały. Gdy Szymon umilkł, koścista twarz podróżnego w ogniu stanęła, błysk strzelił ze żrenic i ręką machnąwszy, zaśmiał się ostro.

— Dobrze wam, panie gospodarzu, tak mówić... Każdego człowieka nieszczęście może spotkać i żadna matka nie wie, kogo tam... na rękach kołysze...

— Każdego nieszczęście spotkać może — spokojnie i powoli odezwał się Szymon — ale przebaczenia niema dla takiego, który drugiego zabija. Bo taki jest już najgorszym z ludzi...

— Najgorszym, najgorszym! — powtórzył gość. — A czy pomyśleliście, panie gospodarzu, jakim sposobem ludzie dochodzą do tego, że stają się najgorszymi? — W gardle mu zaschło... Widać było, że to, co mówił, obchodziło go bardzo blisko. Gdy mówił, nozdrza jego rozdymały się i po-

ruszały, brwi to podnosiły się, to opadały, z oczu tryskał żal i cierpienie.

Znowu nachylił się i zająrzył w twarz Szymonowi. Stary wpatrywał się też w gościa—i oczy ich po raz pierwszy spotkały się w długim spojrzeniu. Głos gościa urwał się, jak zerwana struna...

Dotąd wszyscy słuchali go zaciekawieni i zdziwieni, ale Antoni już dłużej milczeć nie mógł:

— Ej, ej, panie! — coś wy zanadto bronicie rozbójników!

Gość wyprostował się i młodemu chłopcu w same oczy spojrzał. — W ciepły kożuch wlałeś i rad jesteś, że ci dobrzel — odpowiedział z szyderstwem — a nad takim, z którego zaraz skórę zedra, czyż zlitowania mieć nie należy?

Stary Szymon fajkę od twarzy odjął, krzaczaste brwi zsunął i twardo, krótko, srogo wymówił:

— Nie należy!

Możnaby myśleć, że te dwa wyrazy gościowi w twarz rzucił, a ten uderzenie ich poczuł, bo szybko zwrócił się ku Szymonowi i tuż przy nim usiadł.

W tej chwili drzwi skrzypnęły, weszło parę osób, i przy kominie wszczęły się rozmowy. Baba tylko podeszła do podróżnego i usłyszała, jak ten półgłosem zapytał Szymona:

— Panie gospodarzu, co o waszym Jaśku słyszać?

— O jakim Jaśku?—szorstko zawołał stary.

— A o trzecim waszym synu — odpowiedział gość.

— Dwóch tu jest, a trzeciego niema... Czyście zupełnie o nim zapomnieli, panie gospodarzu?

Szymon jeszcze bardziej nachmurzył się i nic nie odpowiedział.

— To wy, panie gospodarzu, zupełnie już swego Jaska

nie pamiętacie? Przecież on był waszym pierwszym... najstarszym synem... — pytał gość natarczywie.

— Czy nie pamiętam? — gorzko uśmiechając się, powtórzył Szymon. — Pamiętam!... Czyście go dobrze znali?

— Bardzo dobrze! Tęgi był chłopiec z niego, roztropany, śmiały...

— Nadto śmiały — mruknął Szymon, popiół z fajki wytrząsając. — A czyście słyszeli, co się teraz z nim dzieje?

Widocznie, pomimo zachmurzenia, chciało mu się coś dowiedzieć o najstarszym synu. Ale stara Karolina przerwała:

— Oj, wydarzyła mu się wielka bieda, wielka bieda...

— I cóż mu się takiego wydarzyło? — zapytał gość Szymona.

Stary szczękami poruszał, jakby coś twardego przeżuwał. I nie chciało mu się z tym nieznajomym mówić, i do mówienia ochota go brała...

— Pierwszy raz z głupstwa poszło — zaczął. — Często jeździłem do miasta za interesami i Jaśka brałem ze sobą, ot tak, nieraz bez przyczyny. Zanadto go lubiłem, a kiedy naparł się czego, to mu na wszystko pozwalałem... Bodaż mnie Pan Bóg za to pobłażanie nie karał!... Rozumne było z niego dziecko, ale nadto zuchwałe i we wszystkim nie takie, jak inne chłopcy... Ani u niego robota, ani zabawa nie była taka, jak u innych. Kiedy pracuje, to rwie jak ten koń ognisty; a kiedy hula, to tak, że rady niema. Bywało za szyję obejmuje i całuje, mało nie zdusi; a innym razem hardo postawi się, i żeby tam nie wiem komu, jak osa, rzuci się w oczy. Łajałem go dobrze, ale najczęściej pobłażałem, bo co prawda nic on jeszcze złego nie robił... Najgorzej robiłem, biorąc go ze sobą do miasta, gdyż z tego poszło całe nieszczęście... Razu pewnego napadli oni na Żyda, który wioził do miasta cały wóz jabłek i gruszek... Owoce rozebrali pomiędzy siebie, Żyda do pustego woza przywiązali, konia zacięli, tak że poleciał w prze-

ciwną stronę, a sami uciekli... Było ich tam może ze dwudziestu, ale mój Jasiek dokazywał przed wszystkimi, niby jaki dowódca... Żyd pobity, potłuczony, podał skargę do sądu... Tu innych uniewinnili, albo trochę tylko ukarali, a Jaśka na półtora roku do więzienia osadzili, jako dowódcę... Mówili, że za grabież na publicznej drodze. I to nie wiek. A właśnie osiemnasty roczek kończył wówczas... Niebardzo nawet zmartwiłem się tym, że posiedzi. Myślałem sobie, że nauczy się rozumu, łagodności...

— Nauczył się? — zapytał gość — cha, cha! Cóż, czy nauczył się?...

Stary, w ziemię patrząc, wielką głową trząsł:

— Oj, zrobił się on uczonym, odkąd w więzieniu posiedział.

— Oj, panie gospodarzu — zaśmiał się podróżny — w wiosce swojej siedzicie, ziemię rękami swemi drapiecie i nic nie wiecie. A żebyście posłyszeli, jak tam waszego syna nauczali, toby was może z samego strachu krew załała...

Szymon znowu z taką uwagą, jak kilka razy przedtym, na przybyłego popatrzył. W głosie gościa było coś znajomego.

— Co to jest? — wyrzekł powoli — czy ja was znam, czy nie znam? Tfu! co to takiego? Coście wy za jedni?

Gość zaniepokoił się znowu i twarz odwrócił ku kominowi, dokoła którego coraz większy panował gwar. U ognia zamiast dwóch kołowrotek, które stały tam przedtym, znalazło się pięć. Podróżny popatrzył na pracujące kobiety i znowu zwrócił się ku staremu. Ale Szymon z fajką w ustach siedział już w milczeniu. Karolina zało, ciągnąc za rękaw nieznajomego, zaczęła gadać:

— Toście znali naszego Janka? Znaliście go zapewne przy budowie nowego dworu?... Oj, biedny on był, biedny!

Nacierpiał się on od rodzzonego ojca... — Tu na starego Szymona rzuciła oczyma, i głos zniżając, ciągnęła dalej:

— Bił, jak tego psa, bił!... Żeby tak z tego miejsca nie powstała, jeżeli kłamię! Za rozprowadanie o złodziejach, i za pijaństwo, i za hultajstwo, za wszystko bywało bije i bije... „Ja mu wszystkie te paskudztwa, które stamtąd przynosił, z ciała i z duszy wybije!” powiada... — Bywało matka przyczepi mu się do jednej ręki, a ja do drugiej, i krzyczymy: „oj, nie męcz go, Szymonie, bo z chaty ucieknie i duszę zgubi!” — A on nas, jak ten brud z rak, pootrzęsa, jak zwierz, sapie i mruczy: — „Zabiję, a lotrem na wieki zostać nie pozwolę!” I z drugimi synami zaczął się już srożej obchodzić... Piekło zrobiło się wtenczas w chacie... Matka płacze, płacze, aż chora padnie; ojciec, jak ten zwierz rozjuszony, oczyma za Jaśkiem wodzi, żeby go na czym złapać i karać; młodsze chłopcy, jak te zające, ze stulonemi uszami chodzą, a Jasiek — jak trzaska wysechł, jak ta chmura zasępił się i już zdaje się troszkę spokojności i upamiętania przychodzić na niego zaczęło... aż tu raptem wziął i uciekł... Nie wytrzymał, uciekł! Może znieść nie mógł zbytnej srogości ojca, może kto taki, z kim poznał się w więzieniu, namówił go... I odtąd już oczy nasze nie widziały tego naszego sokolika, i uszy nasze nie słyszały jego srebrnego głosiku... Matka po nim płakała, i siostra płakała, i zdawało się, że po ścianach tej chaty jego rodzonej łezki po nim ciekły... Tylko ojciec o nim nigdy nie zagadał, ani zlitował się nad nim, ani pożałował. Taki srogil...

— Oj! — zawołał nagle podróżny — gdyby go ani razu nie pożałował, to dla czegoż najstarszego wnuka Jaśkiem nazwał? Oj, musi być, kiedy najstarszy wnuk przyszedł na świat, on pomyślał o najstarszym synu; czy tak?

Szymon ocknął się z zamyślenia, fajkę nieco od ust

oddalił, całym swym wielkim ciałem pochylił się ku gościowi, a prawą rękę do czoła podniósł.

— W imię Ojca... i Syna... — zaszeptał...

Ale gość prędko powstał, stołek, na którym siedział, ze stukiem odsunął i usiadł w innym rogu izby przy karmiącej dziecko Jadwisi.

W tej chwili drzwi się rozwarły i zamknęły z trzaskiem, do izby wpadła dziewczyna wysoka, zdyszana i, kołowrotek u progu postawiwszy, krzyknęła:

— Ratujcie, dziewczęta, kto w Boga wierzy, ratujcie! chłopcy idą!

Za oknem dały się słyszeć głośne tupania i śmiechy. Ktoś po szybie zabębnił i w ścianę kijem uderzył. Dziewczęta z piskiem ku drzwiom się rzuciły.

Ale gdy tak gromada dziewcząt ku drzwiom się parła, Karolina z niecki się porwała i, rozpędzając dziewczęta, wołała:

— Puszczajcie! a cóż to za takie zwyczaje, żeby gości do izby nie wpuszczać? Jakaż to będzie zabawa, kiedy na niej parobków nie będzie? A za co wy ich karzecie? za co na mrozie trzymacie?

Odepchnęła Hanusię, drzwi naościę rozwarła i, wziawszy się pod boki, ku ciemnej sieni wołała:

— Bywajcie, chłopcy! No, chodźcie prędzej!

Sień napełniła się ciężkim tupotem; we drzwi wtoczyło się czterech młodych parobków!

— Niech będzie pochwalony!—chórem huknęli, skłoniwszy się przed gospodarzem.

Szymon nie odpowiedział; czyżby zadrzemał? Wszyscy jednak wiedzieli, że ospałym nie był, że zawsze gwarne zebrania lubił i uprzejmie na pozdrowienia gości odpowiadał, a czasem nawet, choć rzadko, śmiał się ze swawoli młodzieży. Dziś milczał... Może jednak nie widział, jak chłopcy weszli, tak bardzo się zamyślił. Ręka z fajką u piersi

mu zwisła i wszystkie fałdy wielkiego czoła w dół się osunęły, ciężką chmurą wisząc nad krzaczastemi brwiami. I tak ani się poruszył, tylko dumał, dumał, a może wspominał dawne lata. Chłopcy do komina podeszli i, za dziewczętami stanawszy, papierosy zapalili; starucha znowu na przeciwroćnej niecce usiadła i gadała, gadała. Kołowrotki za-turkotały hucznie, a nad ich turkotem wznosiły się szumne, wesołe rozmowy. W izbie zrobiło się bardzo gorąco i duszno.

U ściany przeciwległej tej, pod którą siedział Szymon, przy samych już prawie drzwiach, stała beczka z kwaszoną kapustą, a za nią siedział podróżny obok Jadwisi, która, nie wdając się w swawole i żarty, karmiła paromiesięczne dziecko.

— Wesoło bawią się u was—zaczął gość.

— A wesoło — odpowiedziała.

— Dawno wyszłaś za Antoniego?

— Na święty Jan będzie już cztery lata.

— A wiele teraz masz lat?

Uśmiechnęła się i wstydliwie głowę pochyliła.

— Czy ja wiem? Zdaje się, że na Gromniczną dwadzieścia skończę...

— Phi! — gwizdnął gość—stara z ciebie kobieta. No, a dobrze ci tu jest?

— Dobrze, bardzo dobrze, daj Boże, żeby tak do śmierci było.

— A Antoni dobry? nie bije?

Zarumieniła się.

— Jeszcze tego nie byłol—nieco gniewnie sarknęła.

— A lubi?

Teraz zachichotała zcicha i, zamiast odpowiedzi, dziecko głośno w czoło pocałowała.

— A chleb zawsze macie?—zapytał jeszcze.

— Chwała Bogu, jest. Jeszcze się tak nie zdarzyło,

żeby chleba zabrakło. Czasem czego zabraknie, ale chleb zawsze jest.

— Bednarz pewno dużo zarabia?

— Zarabia. I mój także zarabia, i ojciec zarabia. Jak przy gospodarstwie roboty niema, z Jaśkiem ryby w rzece łapie i w miasteczku sprzedaje. Wprzód sam jeden na ryby chodził, a teraz od dwóch już lat z Jaśkiem chodzi...

— Z Jaśkiem... — powtórzył gość, w ziemię patrząc, i umilkł...

Tymczasem u komina z turkotem kołowrotekó w zmieszal się chrzest rozkasywanych orzechów i łuskanie ziarn słońca. Chłopcy z za koszul wyjmowali okrągłe gruszczyki i częstowali nimi dziewczęta, a one rzucały na nich orzechami i ziarnami. Parobek, który wciąż stał i do ucha jej coś szeptał, dziewczęta prosiły, żeby im jaką zagadkę powiedział. Wiedzieli wszyscy, że nikt tyle i tak pięknych zagadek nie umie, co krępy Ignac.

— Kiedy zagadki, to niechajże będą zagadki—odpowiedział dziewczętom. Wyprostował się, na całą izbę chrząknął i zaczął:

„Jedzie nie wozem,
Smaga nie biczem,
Złapał nie zwierzę,
Skubie nie pierze,
Je nie mięso,
Rzuca nie kości.“

Umilkł i wszyscy milczeli.

— No, i cóż to takiego? — kpiąc, pytał mądry Ignac. Nikt odpowiedzi znaleźć nie umiał.

— A toć to rybaki — nie doczekawszy się odpowiedzi, zawołał.

— A prawda! — chórem zawołało kilka głosów.

— Jedzie czółnem, więc nie wozem... Smaga wiostem... tak, tak; łapie ryby... prawda! toć to rybak — dziwili się wszyscy.

— Dlaczego, Ignacy, pocichu nie podpowiedziałeś mi? byłabym zgadła — zapytała półgłosem Hanusia.

— Dobrze, jeszcze jedną powiem.—Znowu chrząknął i zaczął:

„Pełen chleweczek białych owieczek, a jeden baran beczy“.

Skończywszy, nachylił się, niby to orzech z ziemi podniósł, a Hanusi w samo ucho szepnął: „Język“.

— Język! — wśród milczenia zawołała dziewczyna.

— A-a-a! — zadziwili się znowu wszyscy — prawda! niema co! Ot rozumna dziewczyna! Taka młodziutka, a taka rozumna! Czy tylko tobie Ignacy nie podpowiedział? Pewno podpowiedział?

Dziewczyna zarumieniała się jak piwonja, i kryjąc się za kądziel, błagalnie patrzyła na młodego parobka.

— Nie podpowiedziałem!—wykrzyknął Ignac. I jakby chciał nowe zapytania od siebie ulubionej dziewczyny odpędzić, zaraz dodał: — Ot, jeszcze jedna: „Malutka, czarniutka, a wielką kłodą rusza...“

— Cóż to takiego? — zapytał, garścią usta zakrywając.

Staruszka w szerokim uśmiechu bezzębne usta otwierała i rękoma machać zaczęła.

— Oj, żebyś ty pękł z taką zagadką! Ileż to razy już tę zagadkę słyszałam! Toć to pchła!

Podróżny, obok Jadwisi siedzący, zagadek i żartów słuchał z ciekawością. Ile razy u komina wymówiono rozwiązanie której zagadek, on głową kiwał, jak gdyby wiedział, że tak jest naprawdę. Zdawałoby się mogło, że wszystko, co tu mówiono, dobrze mu znane było, zapomniane zostało i przypomniawszy się teraz wyraźnie.

— Czemuż ty tam nie idziesz bawić się ze wszystkimi? — zapytał Jadwigi.

— Nie chcę, niechaj bawią się sobie beze mnie!

— Mówiłaś, że dobrze ci tutaj... a dlaczego jesteś taka smutna? Pewnie Antoni niebardzo dla ciebie dobry?

— Ej, nie! — odpowiedziała, daleko gdzieś zapatrzoną. — I Antoni dobry, i wszyscy dobrzy, tylko ja mego Michałka odżalować nie mogę...

— Jakiego Michałka? — zapytał.

— A synka... — Tu cichym głosem opowiadać zaczęła, że przed kilku miesiącami zmarł jej synek starszy, półtora roku mający. Takie to śliczne było dziecko! Chodził, mówił, bardzo był rozumny. Wszyscy po nim płakali, nawet dziadek, choć taki srogi, płakał; ale potem wszyscy zapomnieli, nawet ojciec rodzony zapomniął. Ona tylko nijak zapomnieć nie może... Pochyliła się nad dzieciną i ciszej dokończyła:

— Dziecko takie małeńkie — jak jagoda, stoczyło się ze świata... jak ta okruszyna, w ziemię wpadła...

Po różowym jej policzku spłynęła duża łza i na granatowy gorset upadła. Podróżny patrzył na jej twarz zasmuconą, przypatrywał się jej łzie dopóty, dopóki nie przestała wilgotną plamą na granatowym suknie świecić. Ta łza jej upadła w śmiechy i hałasy, jak ciche krople rosy w szumne fale potoku.

Jak wicher gwałtowne i krótkie westchnienie pierś podróżnego podniosło. — Ach, ach, ach! — zajęczał.

Tymczasem z twarzy młodej matki smutek znikł. Oczy jej ciekawością trysnęły i wesoło rzekła do podróżnego:

— Posłuchajcie, baba będzie gadać bajki... Śliczne bajki, posłuchajcie!...

Karolina, u samej ziemi, na przewróconej niecce siedząca, z pomiędzy dwóch kołowrotek wychyliła pod

światło ognia głowę w czerwonym, okrągłym czepcu i mówić zaczęła:

— Było sobie trzech braci: dwóch rozumnych, a trzeci głupi. Powyrastali i żenić im się pora przyszła. Ojciec ich pyta: „Ktorego z was, synkowie, najprzód ożenić?” — Starszy mówi: — „Mnie, tatku, już pora”. A głupi także odzywa się: — „A i mnie już dawno byłaby pora”. — No, — mówi ojciec — idźcie wszyscy do lasu: który najprędzej dużo jagód zbiera, tego ja pierwszego ożenię. Poszli tedy wszyscy do lasu i zbierają, tak prędko zbierają jagody, że ani się wyprostują. Aby tylko prędkiej nazbierać, zbierają i zbierają. Rozumni do głupiego podeszli i pytają: — „A co, głupi, czy dużo jagód zebrałeś?” — „Ej! — mówi głupi — już zaraz do domu pójdę”. Pozazdrościli rozumni głupiemu, zabili go, nóż w serce wsadzili...

— A! — jęknęło parę kobiet.

— No, no! tak zaraz wzięli i zabili! — zaśmiał się jeden z parobków.

Baba zaś swoje powtarzała:

— Wzięli i zabili, nóż w serce wsadzili, w ziemię zakopali, piaskiem przysypali, zamiast krzyża nad głową zasadzili wiśnię i poszli do domu. Aż tu tą samą drogą jedzie pan; zobaczył wiśnię i myśli sobie: — „Wyrąbię sobie wiśnię i zrobię z niej fujarkę”. Jedzie sobie i gra, a ta fujarka tak śpiewa:

„Nie graj, paniczku, nie graj,
Serduszka mego nie targaj!
Mnie bracia zabili,
Czerepką oczy zakryli,
Piaseczkiem zasypali,
Wisienkę zamiast krzyża zasadzili...”

Dziwuje się ten pan, dziwuje, a fujareczka prosi i prosi, żeby na niej nie grał. Przyjechał pan do tej wioski,

gdzie żyli bracia głupiego i ich ojciec; zaskoczyła go noc, przyszedł do nich i prosi, żeby mu dali przenocować; odprzągnął konia, do chaty wszedł i do gospodarza mówi: — „Jechałem przez las, patrzę, aż tu stoi sobie wisienka równa i wysoka. Zrąbałem wisienkę i fajarkę z niej zrobiłem. A żebyś wiedział, jak ta fajarka gra! Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby fajarka tak grała. Weź stary i pograj troszkę...” Wziął ten chłop fajarkę i grać na niej zaczął, a ona śpiewa.

„Nie graj, tatulu, nie graj,
Serduszka mego nie targaj!
Mnie bracia zabili,
Nóż w serce wsadzili,
Czerepką oczy nakryli,
Piaseczkiem przysypali,
Wisienkę zamiast krzyża zasadzili...”

Zdziwił się stary i dał fajarkę synom swoim, żeby oni na niej grali. Grają oni, a fajarka śpiewa:

„ Nie grajcie, braciszku, nie grajcie,
Serduszka mego nie targajcie!
Wyście to mnie zabili,
Czerepką oczy nakryli,
Piaseczkiem zasypali,
Wisienkę zasadzili.”

Wtenczas wszyscy domyślili się, że rozumni zabili głupiego; na grób poszli, piasek odgarnęli i wszystko tak znaleźli, jak fajarka opowiadała. Wtedy tych braci do więzienia zabrali i na śmierć skazali...”

Baba mówić przestała, a nikt nie odzywał się jeszcze, tylko od czasu do czasu kobiety głośno wzdychały. Jeden Antoni, zawsze wesół, drwiąco uśmiechnął się i do ucha Ignacemu szepnął:

— Ot, zlekły się baby bajkil No, napędzę ja im lepszego strachul

Wysunął się do sieni, a po paru minutach, z trzaskiem drzwi otwierając, na całą izbę krzyknął:

— Ratujcie, ludzie, kto w Boga wierzy, ratujcie! Bąk idzie! rozbójnik Bąk idzie! Oto już przyszedł, z takim wielkim nożem przyszedł! Hu, hu, hul

Dziewczęta wrzasnęły i pochowały się za kądziel; nawet Katarzyna przelekła się i na dzieci swoje spojrzała; Jaś krzyknął i schował się za szerokie plecy ojca. Mężczyźni, z których paru przelekło się też na razie, wkrótce poznali się na żarcie i śmiechem huknęli. Uspokoilo to i kobiety.

— Głupiś — na mężowskiego brata krzyknęła Katarzyna — poco ludzi straszyć! Wstydź się!

Ale popłoch nie odrazu ustał. Znać wszyscy tego dnia o Bąku słyszeli. Parobcy z jarmarku przywieźli o nim straszne opowiadania — nasłuchały się ich kobiety.

Hanusia ręką serce przyciskała. Wielka Kasia kroplisty pot ocierała z czoła. Wszystkie wyrzekały:

— Oj, żeby ciebie, Antonil... Jeszcze, nie daj Boże czego, wywróżysz! Jeszcze naprawdę kiedy przyjdzie!

— A przyjdzie, z takim wielkim, ostrym nożem... — żartował Antoni.

— Dosyć straszyć, Antonil — zawołała Katarzyna — ot, lepiej zaśpiewajmy!

I zaczęto śpiewać piosnki.

Przed chwilą, gdy Antoni, z hałasem drzwi otwierając, huknął: „Bąk idzie! rozbójnik Bąk idzie!” gość, siedzący obok Jadwisi, zatrząsł się całym ciałem i jak nożem pchnięty, zerwał się z miejsca. Tak wstrząsa się człowiek, którego niespodzianie zawoła kto po imieniu... Porwał się z miejsca, kij swój, który pomiędzy kolanami trzymał, w rękę mocno ścisnął i ku drzwiom się rzucił. Ale pra-

wie zaraz wybuchnął śmiech parobków, oznajmiający, że słowa Antoniego za żart wzięto. Przybyły zatrzymał się i, mając się wciąż do odejścia, chwilę jeszcze pozostał. Za beczką, na glinianej podłodze przysiadł — widać było, że tylko na chwilę, kij w obu opuszczonych rękach trzymając...

Całe ciało jego ukryło się za beczką, z za której widniało tylko okucie jego kija i jego głowa, jakby w powietrzu zawieszona.

Na tę głowę patrzył stary Szymon i osłupiałych oczu do niej oderwać nie mógł. Głowa gościa też uporczywie, nieruchomo w Szymona się wpatrywała... Stary rękę do czoła podniósł i szeptał:

— W imię Ojca i Syna...

Potym ręka jego na dół się osunęła i fajka z zeszytniałych palców na ziemię upadła. On tego nie widział. Głowa, nad beczką się unosząca, wydała mu się marą nie z tego świata...

— Jezu Chryste! — zaszeptał znowu i cały naprzód pochylony, patrzył na twarz, która też nie spuszczała z niego oczu, stając się coraz, coraz podobniejszą do jego syna najstarszego — Jaśka... Tylko twarz ta, dawniej rumiana i świeża, skrzywiona teraz była żałością niezmierną; tylko kości teraz sterczały nad zapadłemi policzkami, a usta wykrzywiało powstrzymywane łkanie. Usta jego były mocno zaciśnięte, a jednak zdawało się, że przemawiały one, wyraźnie jakby przemawiały:

— „Tatulu, czy poznajecie mnie? Oj, tatulu! przypomnijcie sobie, jakim ja kiedyś byłem, i zobaczcie, jaki ja teraz!

— Jezu Chryste Najmiłościwszy, zmiłuj się nad nami! — szeptał Szymon. A twarz gościa, z nad beczki wyglądająca, w powietrzu jakby zawieszona, do niego zda się przemawiała: — „Pamiętasz ty, tatulu, ojl czy pamiętasz ten

dzionek letni, słoneczny, kiedyś na górę wchodził, sieć na plecach z rybami niosąc, a ja za tobą biegłem boso i skakałem po piasku, z radości tak krzycząc, że aż rozlegało się po wiosce i między sosny, nad cmentarzem dzwonekami leciało? Pamiętasz, tatulu, oj, czy pamiętasz?”

Głowa gościa powoli trząść się zaczęła, powiekami ku Szymonowi mrugając. — Oj! żyć z tobą nie mogę, tatku! — zdawała się mówić. — Ani żyć mi w tej chacie, gdzie chleba nigdy nie braknie, gdzie ludzie w zgodzie i uczciwości żyją, czasem schodzą się na wesołe zabawy... Przypadkiem tu zaszedłem, sam nie wiedząc, gdzie idę, byle dalej zejść i uciec od tego, co mnie z tyłu goni. Przypadkiem tu zaszedłem i nie wyrzyskałem, do chaty wszedłem... Ale zostać tu nie mogę... Zaraz wstanę i pójdę, bo grzechów za dużo na świecie popełniłem, ażeby za nie żadnej pokuty być nie miało. Nie może być... Ty sam, ojcie, powiedziałeś i osądziłeś, że nie może być inaczej...

Ku trzęsącej się nad beczką głowie gościa głowa ojca także trząść się zaczęła; zdawało się, że odpowiada, powtarza:

— Nie może być, synku, nijak być nie może...

O ścianę oparł Szymon wielkie, w sto zmarszczek sfałdowane czoło i twarz odwrócił tak ponurą i groźną, jak piorunowa chmura...

U komina tymczasem prząsniczki same śpiewały. Chłopcy, w ścisłą gromadkę zebrani, szeptali o czymś między sobą, czasem na podróżnego rzucali okiem. Nagle pieśń dziewczęca urwała się, jak wstęga nożem przecięta, a w ciszy, która zaległa izbę, rozległ się śmiały głos Antoniego:

— A paszport masz, panie? Pokaż, panie, paszport; niech my dowiemy się, coś ty za jeden.

I sześciu mężczyzn otoczyło beczkę, za którą stał podróżny. Na czele gromadki Antoni w rozpiętym kożu-

chu, z zapalonym papierosem w ustach i głową butnie podniesioną, do przybyłego przemawiał. Inni powtarzali:

— Pokażcie paszport... teraz bez paszportu nikomu nie wolno włączyć się po świecie...

— Może ty Bóg wie kto?—posepnie krzyknął bednarz.

— Może ty Bąk?—zawołał Ignac... Niedarmo nazywano go mądrym: on pierwszy przed chwilą, spojrzawszy na siedzącego za beczką gościa, nową jakby zagadkę Antoniemu i bednarzowi szepnął. — „Może to Bąk?...“

Z za beczki zerwał się gość, z okiem świecącym wściekłością ściganego zwierzęcia, z rozdętymi nozdrzami, ze srogim przekleństwem na ustach. Zerwał się, kij swój, żelazem okuty, podniósł i szeroko nim zamachnąwszy, ku drzwiom poskoczył. Ale w mgnieniu oka parobcy za ramiona go pochwycili. Rozległy się hałaśliwe krzyki:

— Toś ty taki? zamiast paszportu, kij nam pokazujesz? Ho, ho, dobry musi być z ciebie ptaszek...

— Bąk, pewno Bąk!... łapcie! trzymajcie!

— Trzymajcie, ludzie, hej, nie puszczajcie!

Przerażone dziewczęta, jak owce, zbiły się u komina: wielka Kaśka na piec nawet ze strachu laźła, dwie małe dziewczynki do ziemi przypadły i twarze chowały w spódnicy matki. Stara baba tylko nie słyszała i nie widziała nic; z głową o krawędź komina opartą spała, czasem coś przez sen pomrukując i pośpiewując.

U drzwi walczono. Otoczonego nie łatwo było pochwycić... Silny, choć chudy, wydierał się, łokciami i nogami uderzając. To gniewało ich jeszcze bardziej. Łajali i klęli. Nakoniec Antoni pierwszy, potem bednarz, pochwycili go tak silnie, że żadnego już poruszenia zrobić nie mógł.

— Postronków!—zawołali—hej, baby! postronków dawajcie!

— Katarzyna nie poruszyła się jednak.
Od komina staruszka przez sen nuciła:

„Nie grajcie, braciszku, nie grajcie,
„Serduszka mego nie targajcie!...

A z pomiędzy gromady mężczyzn głos pokorny, błagalny, od strachu dyszący przemawiał:

— Puśćcie mnie, ludzie, jeżeli Boga w sercu macie, jeżeli zbawienia duszy pragniecie, puśćcie! Ja wam nic złego nie zrobię, pójdę stąd, zaraz pójdę, na wieczne czasy z oczu wam zejść, przepadnę, tylko puśćcie, oj, puśćcie...

Parobcy zaśmiali się i dalej o postronki do bab wołali. Stary Szymon, jak wysoki, stanął, rękami zamachał, usta otworzył i nic nie powiedziawszy, z otwartymi ustami znowu na ławę upadł.

U komina śpiąca babuła zanuciła:

„Nie graj, tatulu, nie graj,
Serduszka mego nie targaj!
Braciszku mnie zabili...

Antoni skoczył do sieni po postronki, których kobiety nie dawały. Schwyty szamotał się znowu. Był skurczony, plecy poruszały mu się i wtulały w ramiona tak, jakby już skóra jego kurczyła się i drgała pod uderzeniami odpieranych batów. Bładość trupia spadła mu na twarz i nieopisana męka wykrzywiła usta...

— Przypadkiem do was zaszedłem — zdyszany głosem mówił — przypadkiem, na chwilę — bez żadnej złej myśli... byle odpocząć... i zaraz pójdę... nic złego nie zrobię... tylko mnie puśćcie, jeżeli Boga w sercu macie... jeżeli kroplę litości... zbawienia duszy... puśćcie... na rany Chrystusa... oj, ludziedzi...

A tuż prawie przy ziemi stara babuła śpiewała:

„Braciszkanie mnie zabili,
Nóż w serce wsadzili...”

— Holal! — rozległ się nagle po izbie głos, wszystkie inne przenoszący, do rozkazywania nawykły — Holal! puszczajcie go! rozstąpić się i puszczajcie go!

To Szymon wstał znowu z ławy i już na nią, jak wprzódy, nie opadł, ale ciężki, w swym białym odzieniu, szerokim rzemieniem przepasanym, prosty, chociaż z głową na piersi spuszczoną, ku środkowi izby postąpił.

— Puśćcie go i rozstąpcie się! — powtórzył.

Po chwilowym zdumieniu i wahaniu rozstąpili się parobcy; jeden Antoni, ze sznurami w ręku z sieni powracający, sprzeciwić się próbował:

— Toć to Bąk, ojczu, jak Boga kocham, Bąk!

— Milcz! — wymówił Szymon, a na stojącego przed nim ze zgarbionymi plecami człowieka oczy podniósł i rzekł:

— Idź, idź!

Po chwili dokończył:

— I nie grzesz więcej!...

Ale ten nie szedł jeszcze—na starego patrzył; aż parę szerokich kroków uczynił, na ziemię runął i do wielkiej, bosej, kurzem okrytej stopy Szymona ustami przylgnął... Łzy, jak groch wielkie, toczyły się po policzkach starego. Prędko za koszulę sięgnął, w ręku zaszeleściły mu papierki, ku leżącemu nachylił się i znowu się podniósł.

— Nie grzesz nigdy więcej—powtórzył i ze strachem kilka razy wymówił: — Idź, idźże już prędzej!

A potem, ręce splatając, dokończył szeptem:

— Idź z Bogiem!...



(do str 36). ...Na ziemię runął i do bosej, kurzem okrytej stopy Szymona ustami przylgnął...



WYDAWNICTWO IMIENIA M. BRZEZIŃSKIEGO.

Z. KOWERSKA

Z A W I A R Ę

PRAWDZIWE ZDARZENIE Z ŻYCIA UNITÓW

WYDANIE PIĄTE

„KSIĘGARNIA POLSKA“ TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

WARSZAWA, WARECKA 15

1927

DRUK. ST. NIEMIRY SYN I S-KA
WARSZAWA, PL. NAPOLEONA 4,
TELEFON 76-40.

Pan Polański, wychodząc na ganek, spostrzegł stojącą opodal wychudzoną postać Józefa Błażka, wspierającego, zwyczajem włościan, brodę na złożonej w kułak ręce, której łokieć drugą dłonią podtrzymywał.

— A co to Błażek powie?

— Ja tu do jaśnie pana... niby... na poradę przyszedłem. Oglądał się podejrzliwie na wszystkie strony.

— Możecie mówić, mój Błażku, nikt tu nas nie słyszy.

— Mój Franek... niby... mój Franek...

Tu głos chłopca zmącił się i przerwał jakby tłumionem łkaniem.

— No, cóż tam?... lepiej mu?... nie?...

— Ha, pomarł dziś o świcie...

Nozdrza wychudzone zadrżały mówiącemu.

— Dobry był do roboty — ciągnął dalej, kiwając głową — abo to on jaśnie panu mało koniczyny wysiekl? Kosa jeno mu warczała w ręku... ale wola Boża... tyfus za dusił i tyle!... nawet tego wina nie dokończył, co mu jaśnie pani przysłała...

— Oj, bieda, bieda — wtrącił pan Polański — takiego syna dorosłego tracić!

— Ha, wola Boża... ale najgorsza rzecz z pochówkiem.

— Aa... prawda... Byłeś u księdza?

— Jużci byłem, ale ksiądz się sumituje, że nie może.

jakiś tam papier do niego przysłali... Powiada, że za to oparłby się w Syberyi... Przynies, kochanku — peda — pozwolenie od naczelnika powiatu...

— Jużci niema innej rady... ksiądz nie może... wywieźliby go za kraj świata, a jeszczeby jakiego moskiewskiego ducha na jego miejsce przysłali... Ksiądz nie może.

— To mi jaśnie pan radzi do naczelnika?

— Ha, spróbujcie do naczelnika... Rady dać wam nie mogę, bo to takie sprawy, że w nich nikt nie poradzi...

— Ja tak mówię kobiecie: wywieźć w nocy na cmentarz i pochować, żeby nikt nie widział... Niech tam leży między swymi... a choć go ksiądz święconą wodą nie pokropi, to się Pan Bóg nie obrazi i weźmie go do swojej chwały, jeśli se na to przed Panem Bogiem zasłużył... Ale na kobietę jakby kto żaru nasypał, nie chce ani słyszeć o tem... Peda: abo to on nie był wart, żeby choć dzwony po nim dzwoniły... żeby choć świecę po nim w kościele zapalić?... abo to nie syn twój — peda — żebyś go jak psa ziemią przysypał?... Kobieta zawodzi, aż się serce kraje...

Pan Polański westchnął. Patrzył przez chwilę z liłością na Błażka.

— Już takie czasy, mój Błażku... muru głową nie przebiję... takie nieszczęście na nas Pan Bóg zesłał...

— To wszystko ten psiawiara pisarz — rzekł chłop z zapaloną iskrą nienawiści w oku — z popem się zwąchali i jeno spokojnych ludzi do nieszczęścia doprowadzają. Anim ja tam wiedział, że mój dziadek w unickiej cerkwi chrzczony... Pamiętam jeszcze, jak go chowali... tu, na naszym katolickim cmentarzu... Oj, cóżto za świat teraz?!

Pocałował w rękę pana Polańskiego i powolnym krokiem, zamyślony, poszedł ku domowi.

Gdy się zbliżył do chaty, w której leżało ciało Franka, boleść coraz bardziej szarpała mu serce. Myślał, jak to

jeszcze parę tygodni temu Franek cwałował z konmi do wody i wyśpiewywał, aż się echo po wsi rozlegało. „Ani się to on, niebożatko, na świecie nażył, ani niczego dobrego nie zaznał, a tylko na drugich pracował... a taki był miętki, że szedł, gdzieś mu kazał... robota to mu się w rękę paliła...”

To znowu stawał Błażkowi w oczach z głową pochyloną nad książką, przy mrugającym knotku lampki, z wyśiłkiem i jakby z podskakiwaniem głosu wymawiający sylaby jedną po drugiej. „Takie to było do książki ciekawe! Oj! za cóż też Pan Bóg człowieka tak ciężko ukarał?”

Wszedł do stajenki, gdzie stała para małych, chłopskich koni i oparłszy głowę o żłób, zaniósł się rozdzierającym płaczem. Przy kobiecie i dzieciach młodszych udawał spokojnego: gdzieżby tam chłop tak płakał, jak babal ale tu, przy niemych bydłach... Podniósł twarz zalaną łzami i spojrział na konie, o których Franek tak pamiętał, że sam nie dojadł i nie dospał, aby tylko nie miały nigdy żłobu pustego, żeby za drabiną był zawsze kłaczek siana. Stały teraz o głodzie i na gospodarza patrzyły, niepokojąc się i ciągnąc się ku niemu. Ale mu już nic miłe nie było. Franek wciąż stał mu przed oczami: to wówczas, gdy w niedzielę, włożwszy czystą koszulę, nową kapotę i buty, szedł do kościoła, a dziewczki do niego szczyrzyły zęby; to wtedy, gdy kosą zagarniał trawę, pokos po pokosie; to gdy widłami podrzucał snopy, jakby se żartował... Oj, chyba kobieta dobrze mówił... Jakże takiemu choć pogrzebu ludzkiego nie sprawić!... Choć nie posłyszeć, jak kumy nad jego młodem latami zawodzić będą!...

Wszedł do izby. Na środku na słomie leżał Franek z świętym obrazkiem w złożonych rękach. Był sam, wszystko z izby powynoszono do sąsiadów, tylko stara Wójtowiczka,

która go na śmierć ubrała, szeptała pacierze, siedząc pod oknem na ławie.

Gospodarz popatrzył na syna, zmówił pacierz, ukląkszy w nogach nieboszczyka, potem wstał i rzekł głośno, jakby go Franek mógł słyszeć:

— Nie rzucę cię, robaczku, bez księdza i ludzi, jak nie przymierzając zdechłego psa do dołu... pójdę choćby do samego...

— Oj, oj, oj! — zaczęła lamentować Wójtowiczka.

To przerwało mowę gospodarza. Stał milcząc nad zwłokami syna i nagle myśl straszna przeszła mu umysł. Gdyby Franka zabrali na moskiewski cmentarz, gdzieżby on potem na sądzie ostatecznym swojaków odszukał? Tamte, odmienne, nie puściłyby go z pomiędzy siebie i takby bez ojca i matki dusza z obcemi na zawsze została, jak sierota jaka!

Przeżegnał się i poszedł szukać kobiety. Znalazł ją u sąsiadów, siedzącą na skrzynce z zapuchniętymi od płaczu oczyma.

— No, Jaguś... wola Boża!... już jeno nie lamentuj!... pojedę do naczelnika, pojedę chociażby do samego dyabła, a Franka im nie oddam i pochowamy go tam, gdzie ojcowie leżą... jużby chyba sprawiedliwości nie było...

Wyszedł. Było lato, gospodarz żadnych przyborów do drogi nie potrzebował; zalecił tylko Jaśkowi, młodszemu synowi, żeby wszystkiego w domu i w polu pilnował; siadł na konia, na którym przewiesił worek z obrokiem, i z pochyloną na piersi głową pojechał ku gościńcowi.

Miasto powiatowe Z., gdzie mieszkał naczelnik, było o trzy mile, a spiekota tego dnia straszna; ale gospodarz nie czuł upału, choć mu pot kroplami z czoła spływał, tylko mu się widziało, że słońce jakoś śmiało mu się w oczy... jakby się z jego zmartwienia śmiało.

Jeszcze dobrze za dnia stanął w Z., postawił konia w zajeździe i poszedł ku mieszkaniu naczelnika.

Znał je już, gdyż u jego progu przestał raz całe dwa dni, wtedy, gdy mu się ostatnie dziecko urodziło i pop je koniecznie do cerkwi przynieść kazał. Nie widział wtedy naczelnika, który miał wrócić z jakiegoś objazdu, i długo go nie było widać, a potem, choć i przyjechał, powiedzieć kazał, że zmęczony, że chory i ani dziś, ani jutro z chłopem mówić nie będzie.

Wróciwszy wtedy do domu, Błazek dowiedział się, że za nieposłuszeństwo i opór władzy kościelnej skazany był na zapłacenie kary dwunastu rubli, kopiejek dwadzieścia pięć. Chłopu się wydało, że wziawszy pieniądze, już mu dadzą pokój; wydobył więc ze skrzyni dziesięciorublowkę, obejrzał ją na wszystkie strony, jakby się z papierkiem żegnał... Jużci żał mu było krwawicy, bo ją ani ukradł, ani mu z nieba spadła, ale ją zapracował w sprzedanym lesie pańskim. Rudy Szmul, choć miał fałszywą calówkę do mierzenia obrobionego drzewa, choćby był człowieka ze skóry obdarł, jednak różowy papierek ze związanego sznurkiem pularesa wyciągnąć musiał, bo go człowiek z okładem zarobił. Dwa ruble i pięćdziesiąt groszy dodała gospodyni, co je z jaj i serów zebrała i schowała do zamykanej na kłódkę faski, tak że o tem gospodarz nie wiedział.

— Oddaj im tam te dwanaście rubli, oddaj, a niech się już nie czepiają!

Myśleli, że się pozbyli kłopotu, aż tu im na cięższą jeszcze biedę przyszło, i trzeba było znowu prosić i ludziom się naprzykrzać.

Dobrze, że Błazek znał już drogę do naczelnika. Szedł prosto, nie pytając nikogo; wiedział, jak się od tyłu do kuchni wchodziło i w której sionce czekali interesanci jemu podobni. Tym razem szczęście mu posłużyło, jakby się

w czepku urodził. Tylko cztery godziny stał w sionce. Pan naczelnik wyszedł przypadkiem, ziewając, w rozpiętym mundurze, bo tylko co był wstał z poobiedniego snu. Zobaczywszy chłopą, nachmurzył wyspaną i rozczzerwienioną twarz, i choć umiał po polsku, grubym, urzędowym, charakterystycznym gardłowym głosem zapytał po rosyjsku:

— Kto jesteś i czego chcesz?

Chłop zadrżał. Rosyjski język rozumiał tylko o tyle, o ile do polskiego był podobny, i działał on na niego jak coś nieznanego a strasznego, przez co spływały wszystkie biedy: podatki, pobory do wojska, kary pieniężne i coś jeszcze gorszego a nie określonego żadnem prawem — samowolne zdzierstwo, łupieżę, łapówki, zapisywanie w księgi, z których już żaden sąd, żadna sprawiedliwość wymazać nie mogła... którymby i sam dyabeł nie poradził... To wszystko przemknęło przez głowę chłopą i zatrzęsło nim [do głębi. Schylił się pokornie do kolan naczelnika.

— Ja tu, jaśnie naczelniku, wedle tego, że mnie pono do Rusinów zapisali... Teraz mi syn pomarł — i Błazeł jak na dłoni ujrzał Franka leżącego na środku izby na słomie — pomarł mi niby syn, cośmy go w kościele katolickim chrzcili... Ksiądz nie chce chować... peda, że trza od jaśnie naczelnika świadectwa...

— Widać, żeś ty prawosławny.

— Jaśnie naczelniku! Toć ja z dziada, pradziada katolik... pamiętam, jak mego dziadka, Panie świeć, chowali na naszym cmentarzu... żonkę se też wzięnem Polkę... do kościoła co niedzielę chodzę... u świętej spowiedzi zawszem w kościele bywał... dopir tego roku...

— I ksiądz cię do spowiedzi przyjmuje?

— Na tę Wielkanoc nie chciał... peda, że papier przyszedł... I dziecko nie chrzczone...

— Nie opieraj się władzy... idź do cerkwi... tak samo tam chrzest, jak tu; tak samo spowiedź...

— Eee... już tam nie o to... ale mi o syna starszego chodzi... pomarł, a chrzczony w kościele, to mu się i na cmentarzu katolickim leżeć godzi...

— Jaki z ciebie głupiec!... tak samo, jak tu, ziemią przysypią i bastal... Mnieby tam wszystko jedno było... Ja prawosławny, a jak umrę, niech mię chowają, gdzie chcą...

— Jaśnie naczelniku!... kiej to wszystko jedno, to niech jaśnie naczelnik da papier do księdza... jaśnie naczelnikowi Pan Bóg wynagrodził

— Dureń! — Naczelnik zmarszczył jeszcze bardziej czoło.—Właśnie dlatego, żeś nieposłuszny i buntownik, to ci żadnego papieru nie dam. Idź precz!

Chłopu w oczach się zaćmiło, zbladł, usta mu się trząść zaczęły, kolana uginały się pod nim.

Urzędnik spojrzał na niego, ramionami ruszając.

— Dureń! Ja zresztą tego zrobić nie mogę, choćbym chciał... To do mnie nie należy.

— A któż to zrobić może? — zapytał chłop, którego chuda twarz przybrała wyraz niezmiernej boleści.

— To może zrobić tylko prawosławny chełmski konsystorz.

— A gdzież go szukać, tego... niby... jaśnie konsystorza?

— W Chełmie. Wiesz, Chełm... miasto... Tam jest najwyższy zarząd prawosławnej cerkwi... tam trzeba się udać do kancelaryi, wreszcie do samego archireja... jeżeli ci tam pozwolą zostać katolikiem... ale i tam pewno nic nie zrobisz, bo widać, że twoja rodzina z prawosławnych pochodzi... sam ksiądz tak myśli, skoro cię spowiadać nie chce.

— He... to nie ksiądz, jeno ten pieskie nasienie pisarz... to on wywachał, że pono mego dziadka w cerkwi

unickiej chrzcili... i powiedział popu. Na świętą Jadwigę, na jarmarku, peda do mnie: Gospodarzu, macie tam 25 rubli dla mnie? A ja mu na to: U mnie tam kury pieniędzy nie niosą: jak panu trza jajek, to kobieta przyniesie... A on do mnie z góry: Albo mi dacie 25 rubli, albo was do prawosławnych zapiszę. Ja se pomyślałem, że on jeno tak tuma- ni, zwyczajnie jak to on, aby miał pieniądze na wódkę; takem odrzekł: Nie byłem prawosławnym i nie będę, a pie- niędzy nie wyorałem na polu, to ich i nie mam. Myślałem, że na tem koniec, aż tu niedłuzeczko ksiądz i dziecka mi chrzcic nie chce i spowiedzi słuchać...

— Który to pisarz? — spytał naczelnik.

— A jużci z Korabina.

— Siergiejewskij?

— A jużci pono tak.

— Ha, każdy żyć musi.

Chłop skłonił się bardzo nisko.

— To ja u jaśnie naczelnika zmiłowania nie znajdę?

— Mówię ci, że to do mnie nie należy... Ja nie pop...

to robota popów...

Wymawiał *pop* z wyrazem pogardy.

— To mnie trza nocą do Chełma — rzekł chłop. —

O, jakie też to czasy nastały, że swojego Boga odrzekać się ludzie muszą.

Skłonił się do kolan naczelnika, który już na niego nie uważał i jego sprawę stracił z oczu, bo do sionki wpadł czarny pies, który mu skoczył na piersi, a on za uszy ciągnąć go począł i przemawiać do niego najczulszemi przymiłowaniami. Chmurny wyraz urzędowej powagi znikł mu z twarzy.

Błązek szedł przez cały dziedziniec domu bez czapki. Dopiero na ulicy ją włożył.

— Ni się tu kogo poradzić, ni co—myślał—ha, jużci

se Franek zasłużył, żeby się o niego ociec pokłopotał... niech się dzieje wola Boża... trza jechać do Chełma. Pan Bóg dał święte lato... najlepiej jechać nocą...

Napoił konia, kupił bułkę u siedzącej pod płócienym daszkiem Żydówki i ruszył w stronę Chełma, rozpytawszy się o drogę. Była pełnia; księżyc wypływał na niebo, kąpiąc ziemię w łagodnym, białym świetle. Gospodarz jechał, mijając wsie i lasy, ani na nic nie spojrzawszy. Tyle ludzi na Bożym świecie, tyle różności; on wciąż widział tylko rozestaną na środku izby słomę... Ha, milsze człowiekowi dziecko rodzone, niżli świat cały... już tak Pan Bóg dał i chyba tak zawsze będzie... jakby ci kto duszę wydarł i rady sobie dać nie możesz... Żeby go choć pochować uczciwie... wstydu mu nie zrobić... Coby se on też pomyślał, niebożatko, żeby go położyć między obcymi...

— Nie, nie dam cię do nich, moje dziecko kochane, nie dam cię do nich, nie będziesz na sądzie z nimi razem pomieszany, jeno se staniesz przy nas, boś ty nasz!

I ciągle wkoło kręciły się chłopu po głowie te same myśli.

Już dobrze rozedniało było, gdy stanął w Chełmie. Jął się rozpytywać, gdzie mu iść trzeba było. Usłużny Żydek, który zwąchał jakiś grosz w kalecie gospodarza, objaśnił go o wszystkim. Nie pytał nawet chłopu, o co mu chodziło; wiedział dobrze, co do Chełma sprowadzało procesyę nieboraków bezbronnych, ciemnych, znikąd zachęty mieć nie mogących, a jednak broniących się nieraz z bohaterską zaciętością.

— Próbujcie szczęścia—mówił Żyd.—Jak macie dobrą sprawę, to wam się może uda, choć to tam z nimi...

Uczynił gest wymowny, nie śmiejąc nic wyraźnego przeciw duchownej władzy chełmskiej powiedzieć.

Gdy się Błazek zbliżał do domu, gdzie była kance-

larya zarządu dyecezyi, dzwony poczęły naraz bić w cerkwiach miasta. Było to kołatanie niespokojne, jakby na gwałt, z towarzyszeniem mnóstwa innych dzwonek — charakterystyczne dzwonięcie cerkwi prawosławnych.

Chłop stanął, ręce w zanadrze wsunął, obejrzał się ku cerkwi, skąd najgwałtowniejsze dochodziło go kołatanie, i dumął chwilę z głową do góry wzniesioną.

— Że też oni nawet po ludzku dzwonić nie potrafią — pomyślał. — U nas jak zadzwonią, to ci się aż we wnętrzu odzywa, a u nich to jakby się baby na jarmarku kłóciły. Jakże też to człowiek ma do takiej wiary przystać?

Nieco śmieiej szedł ku kancelaryi. U drzwi domu spotkał jakiegoś człowieka w wytartym i poplamionym mundurze, w obdartych spodniach, w czapce tak spłowiałej, że jej koloru dawnego nikby nie był odgadł. Człowiek ten zapalał ogonek cygara, widocznie gdzieś na ulicy znaleziony. Na widok Błażka przybrał minę butną i zuchwałą, zadart głowę do góry, wziął się rękami pod boki.

— A co tu chcesz, durniu? — zapytał.

Chłop schylił się nisko, prawie za kolana go ujmując.

— Ja tu mam sprawę... niby w kancelaryi...

— Tu się nikogo nie puszcza!

— Jaśnie *hadwokacie!*... to sprawa pilna... syn mi pomarł...

— Nie puszcza się nikogo... chyba... Tu jest opłata...

— A chyłaż się to... jaśnie... należy?

— Rubla.

— Ej, gdzieby mię tam na rubla stać... już mię i tak zniszczyli... jaśnie *hadwokacie!*...

Wyjął z kaletki skórzanej pasa srebrną czterdziestogroszówkę. Nie przyszło mu to łatwo. Grube, twarde palce chłopu długo nie mogły uchwycić pieniążka. Człowiek

w spłowiełej czapce chciwym wzrokiem śledził tę pogoń za ślizką monetą.

— Jeno się czterdziestówka u mnie jeszcze zawadza...

Podawał pieniądz, gładząc go w palcach i przyglądając mu się bacznie, jakby podejrzewał, że mógł być duka-tem, nie czterdziestówką.

Człowiek, którego niewiedzieć czemu *hadwokatem* nazywał, wyrwał mu pieniądz z ręki.

— Idź, durniu, tu, na prawo, a potem po schodach... tam na drzwiach napisane...

Chłopu, który próg przestąpił i szedł w głąb, oglądając się za schodami, zdawało się, że dużo już dla swej sprawy uczynił, dawszy *hadwokatowi* czterdzieści groszy. Niedokładnie też bardzo położenie rozumiał. Te nieznane miejsca, te ogłuszające dzwony, ci popi, z którymi miał mówić, wszystko napełniało go bojaźnią, a jednocześnie wprawiało jego umysł w jakiś stan zabobonnego rozmarzenia. Nie napróżno tyle razy słyszał, jak sobie baby, przędąc, bajki opowiadały... Takie przenikało go uczucie, jak w chwili, gdy opowiadająca, dla przedłużenia natężonej niecierpliwości słuchaczy, powtarzała kilka razy: „idzie, idzie... idzie, idzie...“ Zawsze po takim „idzie, idzie“ następowało jakieś niezwykle zdarzenie. I on szedł i szedł, nieprzymierzając jak ten „trzeci głupi“ z bajki... A nuż i jemu się poszczęści?

Nieśmiało i niezgrabnie wziął się do otworzenia klamki drzwi, nad którymi coś było napisane. Chciałby był wśliznąć się cicho, jak mysz, a narobił klamką, drzwiami i butami podkutymi hałasu.

— Co tam za bydlę? — mruknął po rosyjsku siedzący za stołem urzędnik. Rzucił wzrok na chłopa, a potem pisał dalej, jak gdyby go był wcale nie zauważył.

Chłop stanął nieruchomy w progu i po jakimś dopiero czasie, kłaniając się czapką do samej ziemi, zaczął:

— Jaśnie naczelniku...

— Czego chcesz? — rzucił niecierpliwie piszący.

— Ja tu, jaśnie naczelniku, wedle tego, że mnie na prawosławie przypisują, a ja z dziada, pradziada katolik.

— Utrapienie z tem chłopstwem! — sarknął urzędnik. — Jakie masz świadectwa?

— Ja?... niby żadnych... ale jać przecie pamiętam, jak mego dziadka chowali... pomarł tak jakoś zaraz po Wielkiej nocy...

— Ale papierów, metryk nie masz?

— Kiej mi tam było za metrykami chodzić?... teraz święte lato... ciało się psuje... tuby trza chować...

— Co ty pleciesz?... Dziadek po Wielkiej nocy ci umarł...

— Nie, jaśnie naczelniku; to mnie, niby, syn pomarł... wczoraj, niby, w nocy... Ksiądz nie chce chować... peda, że bez świadectwa nic nie poradzi... Tak ja do jaśnie naczelnika...

— Jakaś żadnych metryk ni świadectw nie przyniósł, to możesz iść do dyabła... tu się niczego nie doczekasz... syna powieź na cmentarz prawosławny i będziesz miał spokój...

— Jaśnie naczelniku!... niech się jaśnie naczelnik zmiłuje... toć to szkoda chłopca!... jakże jemu między swymi nie leżeć?... Gdzież go tam do obcych oddawać?... to takie było ciche, zgodne, a do roboty...

— Nadarmo tu stać będziesz! — zawołał zniecierpliwiony urzędnik — jak mi zaraz nie pójdziesz precz, to cię za drzwi wyrzucę!

— Czyż to już sprawiedliwości na świecie niema? — zawołał chłop. — Ja mego Franka wam nie oddam, na waszym cmentarzu nie dam go położyć! Ha, kiedy tak, to tak!

Wyszedł, dawszy sobie wreszcie radę z klamką, drzwiami za sobą rzucając. Szedł wielkimi krokami przez korytarz, nie zważając na hałas, jaki sprawiał. Cienkie wargi drgały mu od gniewu i wzruszenia; pięścią komuś niewidzialnemu groził. Na schodach, na których jego ciężkie i wielkie buty zawadzały się co chwila, spotkał dyaka, którego wziął za samego „najstarszego“. Ha, jeszcze raz trzasknięcia spróbować.

— A z jakim to interesem? — spytał dyak, używając mieszaniny rosyjskiego i rusińskiego języka, żeby być zrozumialszym.

Chłop, za kolana ściskając dyaka i w ręce go całując, począł rzecz opowiadać.

— To żadnych metryk ani papierów nie masz?

— Jużci nie.

— Hm... to będzie z tem trudno... i to będą duże kosztą... ale można... można... żebyś choć wiedział, za jakim numerem sprawa tu przyszła... To twoje nazwisko Błazek? A twój dziadek jakie miał imię?

— Wojciech.

— Wojciech Błazek... poczekajże... ale to będzie kosztować... Gospodarz jesteś?

— Jużci gospodarz.

— To będzie kosztować dziesięć rubli...

— Jaśnie biskupie! — zawołał chłop — a skądże ja dziesięć rubli wezmę?... Ja tu mam tylko tyle, co na mnie... a tam dziecko czekać nie może... teraz gorąco...

— Ha, to sobie szukaj kogo innego do tej sprawy.

— Jaśnie biskupie!... toć już ze mnie zdarli, co mogli, za to, żem dziecka chrzcić w cerkwi nie dał... bo się to i nie należy... ja z dziada, pradziada...

— No, niech tam będzie ośm rubli, kiedyś biedny... ośm rubli daj, to poszukam między sprawami i postaram się...

— Oj, cóż ja pocznę, kiej pieniędzy nie mam? Skądże ich tu wziąć.

— Sprzedaj sukmanę, buty, rób sobie, co chcesz...

— A gdzież ja jaśnie biskupa z pieniędzmi szukać będę?

— Tylko pamiętaj, że ja ci nic nie obiecuję, tylko sprawę twoją odnaleźć... Dziś wieczór, tak przed zachodem słońca, staniesz koło drzwi cerkiewnych, ot tam, widzisz?... ja przyjdę z gotowym papierem i jak ty mi oddasz ośm rubli, ja ci oddam świadectwo.

Nastąpił długi targ; chłop chciał rzecz załatwić za trzy ruble, potem dawał pięć; dyak ustąpił na siedm i przy tem stał tak twardo, że chłop obiecać je musiał. Poszedł zakłopotany, nie wiedząc, jak i gdzie dostanie pieniędzy.

Miał w rzemieniaku trzy ruble papierkiem i trochę drobnych. Usłużny Żydek, który się nim był na samym wstępie zaopiekował, zgodził się wziąć w zastaw jego sukmanę i buty i dostarczyć mu potrzebnych czterech rubli, policzywszy sobie tylko rubla procentu za tydzień, po upływie którego gospodarz miał wrócić z pieniędzmi.

Wieczorem do drzwi cerkwi przybył rzeczywiście dyak, ale spieszył się czegoś i oglądał się, jakby się bał. Gospodarz miał już siedm rubli w ręku, ale widząc zakłopotanie dyaka, schował prędko dwa, a wyciągnął ku niemu rękę z pięciorublowką. Dyak wyrwał mu ją spiesźnie z ręki.

— Masz — rzekł, oglądając się wciąż trwożliwie — znalazłem twoją sprawę... niemało się za nią nachodziłem... Zarobiłem więcej niż dziesięć rubli, bom do samego archiereja za nią chodził... Nie chciałem zdzierać cię za darmo.

— Jaśnie biskupie! — zawołał chłop.

Dyak nie słuchał słów dziękczynnych. Znikł jak cień we drzwiach cerkwi, a Błażek począł otrzymany papier jak relikwie chować za odkład wełnianej białej czapki.

Grubymi palcami wsuwał świadectwo, starannie złożonywszy potem oglądał czapkę, trząsał nią, patrząc, czy papier nie wyleci. Był przecie w posiadaniu nieocenionego skarbu. Franek jego jak się należy pochowanym zostanie, nie wywiozą go między obcych... Toć i matce na sercu lżej się zrobi, jak się dowie, że po jej dziecku dzwony katolickie zadzwonią...

Gospodarz jechał znowu nocą i znowu myśli czarne obsiadły go, niby wrony stertę. Drugą noc nie spał, a choć miał taką naturę, że go i kijem dobić było trudno, ale mu się ciemno przed oczami robiło, to znowu stawały mu przed niemi świece. Co chwila macał czapkę, czy aby papier gdzie nie wyleciał...

Nad ranem przejeżdżał zimno. Jechał w jednej koszuli i choć było lato, ranek był chłodny, bo nim słońce wstanie, zawsze od niego „pociąga“. Koszulę i czapkę mokrą miał od rosy; trzeba też było popaść konia, dać mu się wyspać... A choćby też i parę godzin później przyjechał?... Czy to on jechał z lekarstwem do chorego, czy z babką do kobiety?...

— Oj, poczekasz ty na mnie, dziecko rodzone, poczekasz... i nigdzie ty nie wyjdiesz z chałupy, ani pojrzysz na drogę, choć kałtan zarży, swoją stajnię poczuwszy...

Popał w Z... i kieliszek wódki wypił, bo aż dygotał od zimna; ale niedługo tego było. W parę godzin po wschodzie słońca już było gorąco, a w południe tak dopiekało, że i człowieka i bydła było szkoda. Trzeba było stępa jechać, a napotkawszy cień, odpoczywać. Ledwie wieczór dowlokł się do domu. Ludzie wracali z roboty, z kosami i grabiami na ramieniu, zdaleka niby jakie wojsko wyglądając. Stawali przed chałupą Błażka i wchodzili do niej, zostawiając kosy i grabie pod ścianą. Już z wygonu, którym jechał właśnie gospodarz, słyszał było płacz kobiety. To gospo

dyni zawodziła nad Frankiem, którego właśnie ze słomianego posłania do trumny kładli. Chłopa aż zamroczyło od żalu. Skręcił konia i zamiast ku podwórku, jechał polem aż za stodółkę, której drzwi pewno nie były zamknięte, bo była jeszcze pusta... zwyczajnie na przednówku. Drzwi dały się otworzyć; wszedł do stodółki, zdjął uzdę koniowi i puścił go, by szedł do stajni, sam zaś rzucił się w zapole, w którym było trochę słomy, i tam usiadł, plecy o ścianę oparłszy.

— Niech się tam ludziska rozejdą, albo mrok lepszy się zrobi, bo poco mają na człowieka ślepie po próżnicy wyłupiać...

Gospodarz wstydził się łez, które mu po twarzy płynęły i za gardło go dusiły, niby wilk owcę.

Ale Jasiek spostrzegł konia, zbierającego żdźbła roztrzęsionego siana na podwórku.

— O la Boga! — krzyknął — toćto kałtan... sam przyleciał, czy co?

Gospodarz zbliżył się do nieszczelnej ściany stodoły i półgłosem zawołał syna.

— Jasiek, Jasiek, a chodź jeno tu!... dobrze, żem cię przydybał... Weźmiesz se zaraz gniadego i pojedziesz do księdza z papierem... Oddasz księdzu papier... tylko se pamiętaj... Dowiesz się od niego, kiej będzie wyprowadzenie Franka. Tylko papieru mi nie zgub, bo on i dużo pieniądze i dużo mitręgi kosztuje... No, weź moją czapkę... Widzisz zasadzony papier?...

Jasiek spojrzał w twarz ojca; nie śmiał o nic pytać, tylko, okiełznawszy gniadego, ruszył ku miasteczku. Wpuszczono go do księdza, który pił herbatę przy otwartem oknie.

— A co to chcesz, moje dziecko?

— Tu jest papier — rzekł Jasiek, całując w rękę księdza. — Tatulo kazali się dowiedzieć, kiej będzie wyprowadzenie.

— Czyje?

— A jużci Franka, proszę jegomości.

— Błązek?

— A jużci.

— Co? Dostaliście świadectwo? A, dzięki Bogu, moje dzieci... dzięki Bogu! A przecie że to przekleństwo z głowy waszej zdjęte zostało! Dawaj, dawaj!

Ksiądz przybliżył się z podanem sobie świadectwem do lampy. W miarę jak czytał, twarz jego przybierała wyraz wielkiego smutku.

— Moje dziecko — rzekł — moje dziecko... to ojciec jeździł do Chełma?

— Jużci musi do Chełma?

— Dawno wrócił?

— Już się zmierzchało, jak przyjechali.

— Weźże to świadectwo, moje dziecko, odwieź ojcu i powiedz, żeby do mnie sam z niem przyjechał... dziś jeszcze... choćby w nocy... powiem, żeby go wpuścili do mnie, o którejkolwiek porze przyjdzie...

— A z wyprowadzeniem jakże będzie?

— Już ja ojcu samemu wszystko powiem... bo tu jest ważny interes...

Po północy zapukano w okno plebanii. Błązek przybywał ze świadectwem zaniepokojony, nieufny. Uprowadzony służący księdza otworzył i chłop znalazł się przed ubierającym się naprędce proboszczem.

— Moje dziecko — rzekł ksiądz, który zawsze w te słowa odzywał się nawet do najstarszych ludzi swej parafii — moje dziecko... źle z twoją sprawą... na tym papierze wyraźnie stoi napisane, że ponieważ twój dziad chrzczony był w unickiej cerkwi, zatem pewne jest, że cała twoja rodzina, a więc i ty i twoje dzieci, do kościoła prawosławnego należycie...

Chłop stał przed księdzem z gorączkowo świecącymi oczyma; ręce opadły mu wzdłuż ciała, zbladł okrutnie i zdawał się nie do końca rozumieć.

— Kazałem ci dlatego przyjść — moje dziecko — by ci powiedzieć, co stoi w tym papierze.. żeby cię ostrzedz, byś go nie pokazywał nikomu... Gdyby się o nim pop dowiedział... Znam cię i wiem, że przy swojej wierze silnie stać pragniesz... może podasz prośbę wyżej... Słowem, z tem świadectwem nie masz się co chwalić...

— O Jezul — zawołał chłop — a ja myślałem... Czy jegomość dobrze przeczytał?

— Dobrze przeczytałem... dobrze... ale jeśli nie jesteś pewien, to niech ci to przeczyta pan Polański, ale nie chodź ani do popa, ani do pisarza.

— O, to ten psia.....! to ten odmieniec wszystkiego narobił! To on mi to nieszczęście na głowę naprowadził! Oj, cóż mi teraz począć!... co począć!...

— Ja ci rady dać nie mogę... na to niema rady!...

— A żeby jeszcze do X.?... Możeby tam kto poradził?...

— Zdaje mi się, że to będzie nadaremnie, ale cię od ego, moje dziecko, odwodzić nie będę...

— Ja go nie dam wywieźć na cmentarz prawosławny! — zawołał nagle chłop, pięść do góry podnosząc. — A jegomość pozwoli w nocy pogrzebać go na cmentarzu? — dodał, głos zniżając.

— Pozwolić nie mogę, ale ci nie przeszkodzę...

— Oj, wiodło mi się, wiodło — począł chłop, jakby głośno rozmyślał — aż naraz niby piorun strzelił... wszystko naopak... i karę płac... i takiego parobka na marach z chałupy wnoś... i dziecko nie chrzczone, jakby nieprzymierzając, żydowskiel... Czy już Pana Boga niema nad nami!

— Nie bluźń, moje dziecko... Jeszcze wszystko może a dobre się odmieni.

Chłop ucałował rękę księdza i ciężko wzdychając, wyszedł z plebanii.

Choć postanowił pochować Franka cichaczem w nocy, jednak nazajutrz zmienił projekt po radzie z Pawliniakiem, furmanem dworskim, kumem swoim, który nie z jednego pieca chleb jadał. Ten namówił Błażka do pojechania do X., „bo tam się z hadwokatem naradzić łatwiej i do gubernatora trafić, a może od księdza na spowiedzi otrzymać jaką radę; bo tam nie w jednym, to w drugim kościele znajdzie się dla człowieka miejsce przy konfesyonale. Tutejszemu księdzu nie dziwota, że do spowiedzi nie przyjmuje, bo pop jeno czyha, żeby go zgubić, ale w X. ktoby tam dopilnował?... Tyle narodu wszędy po kościołach...”

Gdy gospodarz we dwa dni później wracał z X., nic nie wskórawszy, ujrzał przed chatą swoją jakieś zbiegowisko. Byli to strażnicy ziemscy, wójt, pisarz i tłum ciekawych.

W chłopą jakby coś strzeliło. Podjechał pod dom i nie zdejmując czapki, zapytał zuchwale:

— A, cóżto, ukradli tu co waszego, że wietrzycie kieby...

Wójt, człowiek spokojnego ducha, nie dał mu skończyć.

— Dalibyście spokój... jużci nie można na takie gorąco ciała trzymać... tylkośmy się przyszli zapytać... chodźcie jeno bliżej... przyszliśmy się zapytać, kiedy syna chować będziecie.

Błażek pomiarkował gniew, zdjął czapkę.

— Pochowam choćby dziś — rzekł — jeżeli mi go pozwolicie zawieźć na katolicki cmentarz.

Spotkał się ze złośliwym uśmiechem pisarza, siedzącego na ławie pod chałupą.

— Świaszczennik powiedział, żeś ty nasz — ozwał się jeden ze strażników łamaną polszczyzną.

— Taki ja wasz, jak ta chata wasza, jak to moje

dziecko wasze... Nie dam go wam i na wasz cmentarz nie powiozę!

— Stawia opór władzy — ozwał się drugi strażnik.

Chłop nie odpowiedział. Prawą rękę wsunął w zana-drze, głowę podniósł do góry, lewą pociągnął konia za sobą i poszedł ku podwórku sąsiada, u którego znajdowała się żona jego z dziećmi.

Wójt, strażnicy i pisarz poczęli się naradzać. Postanowili wkońcu straż postawić przy umarłym, a nazajutrz powieźć go na cmentarz prawosławny, jeżeli rodzina pogrzebem się nie zajmie.

Błażek z Jaśkiem podjechali w nocy cicho furą, chcąc Franka wykraść z pod straży, ale im się to nie udało i warta nasłuchiwała się tylko przekleństw gospodarza. Powstała zwada, która skończyła się na tem, że kobieta wzięła męża pod rękę i odprowadziła do chałupy sąsiada. „Oj bo czyż to nie obraza Boska kłać tak paskudnie, kiedy tu jeszcze nieboszczyk do świętej ziemi nie poszedł“.

Błażek szedł za kobietą sapiąc i mrucząc, ale sam zrozumiał, że nie powinien był folgować złości, choć się w nim gotowało.

— Pójdę, gdzie mnie oczy poniosą — rzekł wreszcie, wyrывая rękę żonie.

— Oj, bójże się ty Bogal — zawołała kobieta. — Toć gospodarstwo na ciebie patrzy i drobne dzieci, a ty sobie do głowy dopuszczasz!... Toć to dziecko było pierwaj Boże, a potem nasze... Nie nam pierwszym i nie nam ostatnim taki frasunek Pan Bóg zsyła.

Chłop nie słuchał, jeno poszedł w pole het — ku lasowi. Kobieta płakała, oparta o ścianę chałupy sąsiada, ocierając fartuchem oczy.

Nazajutrz rano znowu się zaroilo koło chałupy Błażka. Strażnicy napędzili Jaśka, żeby zaprzęgnął konie, wartownicy

wynieśli trumnę na wóz. Ludzie, co z ciekawości sięz ebrali, nie wiedzieli, czy iść za wozem, czy nie; ale Błażkowa tak okropnie płakała, że aż zemdląa na trawie; ledwie się jej kumy docuciły. Gdy przyszła do siebie, usiadła na ziemi i wyciągając ręce do wozu z trumną, wołać zaczęła:

— O moje ty dziecko rodzone! Ani ty na tym świecie nie użyłeś, ani ty pochówku ludzkiego mieć nie będziesz!... ani tobie ludzie zaśpiewają, ani tobie dzwony zadzwonią!...

Serce się krajało patrzeć na kobietę; więc ludziska poszeptali między sobą, i gdy wóz ruszył, Szymon Stępniak, co umiał wszystkie pieśni, jak sam organista, wciągnął powietrze ustami, aż mu się piersi wydeły, co było znakiem dla innych do rozpoczęcia śpiewu, i huknął wraz ze wszystkimi pieśń, którą zawsze śpiewano, gdy wóz z umarłym ruszał z przed domu. Tu dopiero powstało zamieszanie; strażnicy poczęli lud uciszać i rozpędzać: „umarły był prawosławny... tak kazał cesarz i archirej i pop... Nie wolno śpiewać przy jego ciele pieśni katolickich... Nie wolno, nie wolno!“...

Lud stropiony nie ucichł odrazu, bo gdy chłopci na przodzie idący już zrozumieli, o co chodziło, i śpiewać przestali, baby z tyłu piskliwie jeszcze wyciągały. Strażnicy wpadli między kobiety, krzyczeli, pięściami wygrażając, aż dopóki wszystko nie umilkło. „Cóż to? iść za nieboszczykiem bez nijakiego śpiewania?“ — szeptały kobiety; to też ludzie się porozchodzili, tylko kilka kobiet zostało przy Błażkowej.

— Ani się z tobą ociec pożegnał — zawodziła biedna matka — ani za tobą poczęstunku dał dobrym ludziom... Oj, wywieźli cię, wywieźli, niby jaką sierotęńkę...

— To, bajecie, Józwy niema? — mówiły do siebie kobiety.

— Oj, niema, niema go! — płacząc, wołała Błażko-

wa. — Jak w nocy poszedł w las, tak i nie wrócił. Oj, może i lepiej, że nie wrócił, boby on był tym odmieńcom chyba łby porozbijał. Najeździł się, nafrasował i wszystko nadarmol

Kobiety podniosły Błażkową z ziemi i poprowadzić chciały do sąsiadki, lecz gdzie ona tam miała czas wałęsać się z założonemi rękami. Toć i tak w chałupie od tyłu dni nic się nie robiło, a tu żniwa za pasem. Poszła z szaflikiem po białą glinę, którą kopano pod górą, bo trza było izbę wybielić. Przecie tak stać nie mogła, „bo i nie ładno tak się wprowadzić i zaduch był taki, że niech ręka Boska bronil”

Około południa wrócił Błażek. Zastał izbę naocześnie otwartą i okna wyjęte. Na środku stała kobieta na kobylicy i bielila. Głowę miała zawiązaną grubym gałganem, twarz zabeloną, niby młynarka, a i gruba jej spódnica i zapaska pokapane były białą, rozrobioną w wodzie gliną. Gospodarz nie przemówił do kobiety ni słowa; poszedł do komory, ukroił kromkę suchego chleba, wziął kosę na ramię i udał się na łąkę. Nie zapytał ani o Jaska, ani o konie, ani o młodsze dzieci.

— „O suchym kawałku chleba będzie kosił” — pomyślała z żalem kobieta.

Wieczorem już wszystko stało na dawnym miejscu. Nikt jeszcze w izbie nie chciał siedzieć, bo wszystkim jakoś było straszno; więc kolację postawiła gospodyni na ławie przed chałupą, a po jej zjedzeniu poszli wszyscy spać na siano do stodoły, tylko gospodyni z Jewką i małym Jacusiem spali w komorze, bo trzeba było izbę od wewnątrz na noc zamknąć. Jasiek z koźmi wrócił jakoś niedługo po południu i począł zaraz opowiadać, jak strażnicy pilnowali, żeby Franka złożono do dołu, i dopiero potem odeszli. Kobieta nanowo się spłakała.

Od tego dnia wszystko w Błażkowem gospodarstwie

szło po dawnemu. Gospodarz jeździł tylko do Chełma, żeby wykupić sukmanę i buty, ale jak wrócił, to i do sąsiada nie zajrzał, tylko kosił i suszył siano. Nie dziwota! Już i żyto nalewało, a tyle czasu stracił na jazdy.

Przeszło dwa tygodnie. U pana Polańskiego już zacząć zaczęli, choć żyto było zielonkawe, i po bandochów gumienno pojechał aż nad granicę. U gospodarzy jeszcze się wstrzymywali: „Szkoda Bożego daru tykać, dopóki nie dojrzej; grzech chleb święty marnować“.

O Franku już i gadać przestali; aż tu jednego dnia stary chłop, który kopał groby na cmentarzu prawosławnym, wpadł do dyaka z nowiną, że ktoś jedną mogiłę skopał, rozrzucił i choć niby potem ziemią zasypał, to jednak znać zaraz, że była ruszona. Dyak z nowiną do popa. Zrobił się hałas i gwałt; zwołano strażników, zaczęto dochodzić. Na cmentarzu prawosławnym niewielu umarłych grzebano; w całej okolicy dopiero prawosławnych robiono, co było można, z katolików, ale cały lud chodził do kościoła. Łatwo też było popu dojść, że rozkopaną była mogiła Franka Błażka. Kazano grabarzowi kopać; kopał do samego dna dołu, ale trumny już tam nie było.

Dopiero pop wpadł w gniew i oburzenie okrutne.

— A to złodzieje, łotry! — zawołał. — Nic dla nich niema świętego! Gotowi groby rozkopywać i święty prawosławny cmentarz znieważać!

Oburzenie popa podzielili strażnicy i pisarz.

— Oto polskie nasienie! — wołał ten ostatni — każdy z nich to buntownik i cara, ojca naszego, nieprzyjaciół. Jabym ich nauczył!... To robota tego łotra Błażka. To chłop hardy — szkoda, że teraz różgami bić nie wolno!

Strażnicy udali się natychmiast do wsi. Było już po zachodzie słońca, kiedy stanęli przed chałupą Błażka. Przed sienią gospodyni krzątała się koło wystawionego na dwór

stołu, na którym leżały nakrajane kromki chleba dla wszystkich. Błązek kończył za stodółką stawianie małego stołka z błotnego siana. Usłyszał on jakieś zmięszane głosy, a potem wołanie niespokojne kobiety:

— Józef, Józef, a chodźno tu prędzej!

Wybiegł z za stodółki, lecz zobaczywszy strażników, zwolnił kroku i szedł powoli, wyprostowany, z grabiami na ramieniu, uchyliwszy zaledwie czapki.

— Ty wiesz, pociąmy przyszedli?—zawołał jeden ze strażników, idąc spiesźnie ku niemu. — Ty wiesz?...

— Nie, nie wiem—odparł spokojnie chłop.

— Nie wiesz? nie wiesz? A kto odkopał mogiłę na cmentarzu?

— O Jezul!—zawołała kobieta.

Chłop stał spokojny, żaden rys twarzy mu nie zadrgał.

— Tyś odkopał grób syna!—krzyknął drugi strażnik.
— Gdzieś go podział? gdzie wyniosłeś trumnę?

— Abo ja wiem? Nie ja go tam chował, nie mnie go tam pilnować... Wyście go zabrali jak swego.

— Bo on nasz, on prawosławny!

— Ej, musi on być nie wasz—odparł spokojnie chłop
—kiej na waszym cmentarzu uleżeć nie mógł, ino sobie innego miejsca poszukał. Żeby był wasz, toby się od was nie ruszył.

Tu strażnicy wybuchnęli przekleństwami i groźbami.

— Przyznasz się ty przed sądem! A wiesz, jak się naruszenie grobu karze?

Chłop milczał już niemy. Kobieta przysięgać zaczęła, że nikt z nich grobu nie ruszał. Płakała i prosiła strażników, jakby byli najwyższą instancją w tej sprawie. Poszli nareszcie, przyjawszy, pomimo grozy, jaką byli przejęci, miskę kwaśnego mleka, pół bułki świeżego chleba i kilka groszy, które im gospodyni wcisnąć do ręki zdołała.

Jakoś pod tę porę przypadł przyjazd naczelnika powiatu do gminy. Pisarz i wójt byli w wielkim niepokoju. Sprowadzili parę butelek starej litewki, którą, jak wiedzieli, naczelnik lubił nadewszystko, a także śledzi, kawioru, sardynek, których nazwy wójt nigdy nauczyć się nie mógł. Z rewizją spraw wszystko jakoś poszło dobrze, naczelnik był w dobrym humorze, przyjął ofiarowane sobie śniadanie i właśnie pomiędzy jednym kieliszkiem a drugim pisarz, chcąc go zająć sensacyjną nowiną, opowiedział mu o zniknięciu Franka wraz z trumną z cmentarza prawosławnego. Naczelnik zamyślił się, nachmurzył i rzekł tonem wyższości, jaki przybierał zawsze wobec urzędników gminy:

— To niezawodnie sprawa rodziny: ojca, czy brata. Trzeba koniecznie wykryć tego, kto to uczynił, a jeżeli się to nie uda, to przynajmniej zmusić tę rodzinę, by obrzędy prawosławne sprawowała. Gdyby taka rzecz uszła bezkarnie, byłby to najgorszy przykład dla całej okolicy. Już i tak tylu w niej „uporstwujuszczych“.

Pop, który po nabożeństwie przyszedł też złożyć swą czołobitność naczelnikowi, podzielił zupełnie jego zdanie. Zuchwalstwo tych Błażków przechodziło wszelką miarę. Trzebaby się lękać zemsty Bożej, gdyby takie świętokradztwo nie zostało ukarane!

— Ja ich tu zaraz pociągnę znowu do odpowiedzialności za nieochrzcenie dziecka—dodał ze świętem oburzeniem w głosie.

— Będę pamiętał to nazwisko... Błażek... nieprawdaż? Ile razy będziecie, ojczy, potrzebować urzędowej pomocy, tyle razy udajcie się do mnie. Może nareszcie zmusimy tę rodzinę do powrotu na łono świętego kościoła prawosławnego, którego głową jest nasz najbogobojniejszy cesarz.

Obecni wszyscy pochylili głowy na znak czci. Wójt, niedobrze rozumiejący po rosyjsku, nastroił minę na wzór

tych, które go otaczały. Naczelnik kontent był z siebie. Bał się wszystkich popów jak ognia, wiedział bowiem, że ich denuncyacye, choćby niezupełnie uzasadnione, mogły go łatwo pozbawić posady przy obecnym kierunku rządowym. Wiary nie miał żadnej i dzielił z większością swych współrodaków pogardę dla sług kościoła; ale wiedział, że nadeszła chwila ich panowania, i że gorliwość religijna i fanatyzm wyznaniowy był obecnie najpewniejszym środkiem pozostania w łaskach u władzy wyższej. Całe to grono urzędnicze, świeckie i duchowne, nastrajało się do objawów jak największej gorliwości religijnej, nie łudząc się wcale przytem co do jej charakteru. Wszyscy wiedzieli, że był to fanatyzm urzędowy. Pop znał doskonale obojętność religijną naczelnika, ale wiedział, że w ubiegłą Wielkanoc, po raz pierwszy od lat wielu, naczelnik odbył ostentacyjnie rekolekcyę i spowiedź, i to naprawdę, nie jak inni urzędnicy, którzy za gotówkę kupowali od popa świadectwo odbytych praktyk religijnych. Pop czuł też swoją, nie określoną żadnem prawem, a jednak nieograniczoną władzę nad tym światem urzędniczym, który drżał przed nim, czując, że denuncyacya popa była bronią tajemną, a jednak niechybnie sięgającą celu. Wyszukiwanie między katolikami rodzin, w których jeden z członków ochrzczony był lub pogrzebiony przez księdza unickiego, stało się dla wszystkich tych ludzi, pragnących zasług wobec władz wyższych, środkiem prowadzącym do wyższych posad, orderów, odznaczeń i gratyfikacyi. Każdy z nich miał na dnie duszy nadzieję korzystniejszego stanowiska, a wszyscy gonili za tym jednym sposobem: prześladowaniem „uporstwujuszczych“, czyli nie chcących przejść na prawosławie, i szpiegowaniem na wsze strony, w chęci wykrycia coraz nowych ofiar. Gorliwość w tym kierunku opłacała się najlepiej, przychodziła najłatwiej. Prześcigano się w tem polowaniu, bojąc się posądzenia

o brak gorliwości; drżano przed sobą wzajemnie, wiedząc, że ucho władzy otwarte zawsze było na posądenia i doniesienia.

Naczelnik, lubiący do zbytku mocne napoje, czerwony, otyły, tak że mundur swój rozsadzać się zdawał, był urzędnikiem niedbałym i apatycznym, chowającym sprawy pod sukno, udającym surowość, a w grucie bezsilnym, gdy chodziło o kontrolowanie podwładnych. Sam próżnowanie przekładał nad wszystko i czując, że wiele spraw zalegało, że się nadużycia wkradały jedno po drugim, chciał ocalić położenie, stawszy się naraz fanatycznym apostołem prawosławia. Pisarz Siergiejewskij szedł ręką w rękę z popem. Jadł z nim i pił, płacąc mu rocznie pokaźną stosunkowo sumkę, niby na cerkiew ją składając, a w gruncie opłacając jego łaski i przychylne raporty do władzy. Opłaciwszy się, obdzierał chłopów ze skóry. Pod groźbą, że wynajdzie takiego pradziadka, którego chrzest odbył się w cerkwi unickiej, gospodarze pozbywali się dobytku, byle zatkać gębę pisarzowi. Strażnicy przy tem polowaniu, przy którym sprawowali rolę psów gończych, dostawali też kąsek niejednen. Położenie nieszczęśliwych, żyjących pod ciężką groźbą, oszukiwanych, tumanionych, straszonych, a ciemnych, nie umiejących się bronić, ani odróżnić rzeczywistego niebezpieczeństwa od zmyślonego, położenie to ocenić mogą tylko ci, co żyją w parafiach, w których unia, choćby w małej części, miała swoje siedlisko.

Po odjeździe naczelnika nieco podchmielony pisarz, wypiwszy resztki „oczyszczonej“, udał się do popa, u którego przesiadywać lubił. Czytywał tam pismo, służące za pokarm jego urzędowej zaciekłości politycznej i religijnej, jedyne, które widywał: *Eparchialne Chełmskie Wiadomości*. Dowiadywał się z niego o niesłychanym ucisku, wywieranym na Rusinach galicyjskich, o nikczemnej intrydze austriacko-węgiersko-polskiej w Bułgarii i Serbii, i tematy

te służyły mu zwykle za podstawę pogawędki z popem. Na teraz począł od oburzenia na tych głupich, ciemnych, niekczemnych i niewdzięcznych chłopów, którzy nie umieją ocenić dobrodziejstw cesarza, pozwalającego im być tej samej wiary, co on.

— Wszędzie niegodziwość, wszędzie intryga! — perorował, mimowolnie zapożyczając styl od Chełmskich Eparchialnych Wiadomości—jezuicko-szlachecka intryga! Kiedyż nareszcie przyjdzie dzień sprawiedliwości i prawdy? Ja, żebym był cesarzem, wziąłbym się do nich inaczej; ale on dobry, on miłościwy, przebaczy urazy... Tu głos pisarza płaczliwe przybrał tony.

— Zawsze tak było — rzekł pop niskim basem — że najświętsze sprawy miewały nieprzyjaciół. Zawsze była walka światła z ciemnością... Szatan jeszcze zwyciężonym nie został, a te legiony księży katolickich, ta szlachta przekłeta czy mu dobrze nie służą?

— Jak czytam o tych biednych, prześladowanych Rusinach galicyjskich, którzy do nas wyciągają ręce, którzy pragną połączenia się ze świętą prawosławną cerkwią—to mnie, ot, prawdziwie... łzy dławia...

Pisarza tak wódka rozebrała, że już płakał naprawdę.

— Albo ci Serbowie, Bułgarowie, za tyle poświęceń... za tyle krwi prawosławnej... Ot, jednego i drugiego Niemca wzywają na tron... Czy to nie szatańska sprawa?

— Ale my, ojczy, my — wołał podniecony pisarz — wiernie służymy i służyć będziemy Bogu, cesarzowi i cerkwi prawosławnej! My nie pozwolimy na to, by jej się tu działa krzywdą! My ukarzymy opierających się władzy! My zmusimy „uporstwujuszczych“ do posłuszeństwa. Albo ten Błązek!... On się ośmiela cmentarz prawosławny znieważać! Dowieść mu tego niepodobna, ale któżby inny mógł to uczynić?

— Będzie on posłuszny — odrzekł pop — tylko się weźmiemy po swojemu do niego.

Tu nastąpiła między dwoma apostołami narada, z której wynikła prawdziwa obława na nieszczęśliwego Błażka. Nałożono na niego, z powodu nie chrzczonego dziecka, nową karę pieniężną, tym razem dwa razy większą, niż poprzednią. Że jej nie miał czem opłacić, sprzedano mu krowę i jałoweczkę roczną, która za Jewką jak pies chodziła i obiecana już jej była na wiano. Płaczu też było, płaczu! Ale chłop zęby zacisnął: „Może też przemogę tę biedę?” — pomyślał sobie.

Zboże tego roku Pan Bóg dał piękne, i cała rodzina na zagonie od świtu do twardego zmroku stała. Nawet małego Jacusia zabierano z sobą i w płachcie do dwóch kołków przywiązywano go w polu; siedziała przy nim trzyletnia Marysia, huśtając go, gdy się tylko poruszył. W izbie nie została żywa dusza.

Skończono żąć żyto. Ustawiono je w kopy porządne, którym i deszcz mało szkodzi, a wzięto się do pszenicy. Gospodarz mało i spał, bo zboże było suche, aż się prosiło do stodoły, a tu dwoje rąk najlepszych leżało, trzymając obrazek, pod czerwoną gliną cmentarza... Trzeba było pracować za dwóch, więc Błażka tak czasem rozbierało, gdy się snopów odzwigał, iż myślał, że i jemu rozchorować się przyjdzie. Ale gdzie on tam miał czas na to!

W dniu, w którym dożynano pszenicy i spieszo się okrutnie, bo się jakoś na deszcz miało, Marysia, kołysząca w płachcie Jacusia, krzyknęła nagle przeraźliwie, jakby ją kto ukropem oblał. Matka myślała, że się dziecko jakiego gada przestraszyło; obejrzała się i struchlała ona także. Pobladała jak ściana i szepnęła:

— Strażnicy!

— A te psy czego tu znowu chcą?—rzekł, blednąc także i marszcząc czoło gospodarz.

— He, he, he! — śmiał się jeden z nadchodzących strażników—no, cóż, Błażek?... to żniwo już cię zmęczyło.. jutro sobie odpoczniesz... pojedziemy sobie razem w podróż...

— Odpocznę ja chyba w grobie—rzekł gospodarz.

— Do „swiaszczennika“ przyszedł papier... podobno ta kobieta to nie twoja żona, a tylko...

Chłop podniósł głowę od zagonu, spojrzał na mówiącego z pogardą i zdziwieniem.

— Ty masz brata w Guzówce?—pytał strażnik.

— Mam... rodzonego.

— I on z siostrą tej kobiety żonaty?

— A jużci.

— Z siostrą starszą?

— Jużci tak.

— No, to ta kobieta nie twoja żona.

— Jeny może twoja? — zawołał chłop, unosząc się gniewem.

Tu nastąpiła rozmowa, której dosadność określeń i wyrażań przeszkadza jej powtórzeniu. Nieszczęśliwi Błażkowie dowiedzieli się z niej, że ponieważ kościół prawosławny nie pozwala na żenienie się dwóch braci z dwiema siostrami, zatem małżeństwo później zawarte jest nieprawne. Błażek ma się stawić do naczelnika powiatu, który od konsystorza chełmskiego otrzymał zawiadomienie, iż Błażkowie nadal żyć z sobą nie mają prawa.

Żrenice chłopca rozszerzyły się: patrzył na strażników, sierp z ręki wypuściwszy. Przecierał czoło, jakby myśli zbierał.

— Jaguś! — zawołał na żonę — waryacya mi się cze-
pia, czy co?

Kobieta przypadła do męża.

— Józeff Józeff nie przypuszczaj se ty do głowy! Józeff... toć te dzieci na twoje ręce patrzają! Jakby, broń co na ciebie, cóżby se te sieroty za radę dały?

Błażek sapał głośno; na snopie usiadł w milczeniu, nie patrząc nawet na płaczącą kobietę.

— Jutro rano żebys był w kancelaryi, Błażek!—rzekł jeden ze strażników.—Ja jadę do powiatu i ty ze mną!

— I ja z nim — zawołała kobieta — toć on już siebie nie czuje... spracowany... i spokoju od was nie ma... Powiem ja naczelnikowi... toć my nie żadne przybłędy... Cała wieś wie, że nam ksiądz ręce związał przy ołtarzu. Przeciecieśmy zapisani! On mój, a ja jego!

Naczelnik, gdy przed nim stanęli Błażkowie, pozwolił im mówić i bronić się przez chwilę; lecz gdy kobieta do nóg jego się rzuciła, skoczył nagle w tył jak oparzony, wzruszenie, które go ogarniało, pokrywając krzykiem i tupaniem. Czuł okrucieństwo i niesprawiedliwość postępku, którego się dopuszczał, ale ani cofnąć się, ani parlamentować z konsystorzem chełmskim nie byłby się odważył. Wszyscy współubiegali się o palmę w gorliwości prawosławnej, a on nie czuł się bynajmniej silnie na miejscu swem osadzony. Miał nieprzyjaciół, współzawodników... nie można było dawać im powodów do podejrzwania jego lojalności...

— Gałgany, łotry! — krzyczał — hardość wasza, nieposłuszeństwo władzy zostaną ukarane! Śmiecie jeszcze przeczyć, że małżeństwo wasze jest nieprawne, kiedy wam to mówię ja, naczelnik! kiedy wam to mówi swiaszczennik! Ja was nauczę uległości! Daję wam dwa tygodnie zwłoki. Przez ten czas podzielcie wasze mienie... weźcie, co do którego należy, i rozłączycie mi się!... Rozumiecie? Gdy nie uczynicie tego dobrowolnie, zostaniecie gwałtem rozdzieleni... Wywieźć każę każde z was w inną stronę!

— Panie naczelniku!—jęczała kobieta, usiłując ciągle chwycić się nóg urzędnika.

— Milczeć! — krzyczał na całe gardło.—Jużeście się dosyć nabyli z sobą! Szukaj sobie innej żony, chłopie! Weź sobie młodszą, ładniejszą! Czy to jedna tylko kobieta na świecie?

Błażek stał milczący, ze sfałdowanem czołem, z brodą w dłoni. Przy ostatnich słowach naczelnika spojrzął na niego z pogardą.

— Tej przysięgałem i tej wiary dotrzymam — rzekł z powagą. — Panu Bogu przysięgałem... Co tam ludzkie gniewy znaczą? Pan Bóg nad nami!

— Świaszczennik lepiej wie, co się Panu Bogu należy! — krzyczał urzędnik. — Widzisz, jam się nie ożenił, bo nie chciałem być przykuty do jednej kobiety. Co ci po takiej starej babie?

— Chodźmy, Jaguś — rzekł Błażek poważnie, podnosząc kobietę z kłeczek. — Obraża Boska słuchać takiego gadania... Nie ludzka to siła przysięgę rozerwać... Mojaś ty jest i moja będziesz!

Naczelnik sapał jeszcze chwilę po ich odejściu, patrząc przez okno na oddalających się. Błażek szedł przodem, z rękami w zanadrzu, kołysząc się w wielkich, ciężkich butach; kobieta za nim z fartuchem przy oczach.

— Nie wiem, na co to tam potrzebne — pomyślał urzędnik — ale trudna rada... każdy żyć musi... te przekłete popy to tylko patrzą, kogo zgubić... zarazby poszedł „donos“ do władzy...

Błażkowie wrócili do domu i pracowali znowu na zagonie, ale jakoś już im nic miłe nie było... Zdawało im się, że coś złego nad nimi wisi, i nie mieli ani dnia, ani nocy spokojnej od zgryzoty. Kobieta powtarzała, że to nie może być, żeby ich rozpędzili na dwie strony świata, kiedy prze-

cie ksiądz stułą ręce ich związał i dzieci pięcioro im się chowało... Ale choć tak mówiła, choć Błażek krzyczał „nie-doczekanie ich!” pięści ściskając, na sercu im było okrutnie ciężko. Żeby nie kobieta, co się przed Błażka rzuciła, byłby on pobił strażnika, kiedy przyszedł przypomnieć ów dwutygodniowy termin, po którym Błażkowie gwałtem rozłączeni być mieli. Im termin ten bardziej się zbliżał, tem w chałupie było smutniej. Jakoż obojgu Błażkom ręce od roboty odpadały i ochota ich nie brała do niczego... Ani jadło, ani picie nie było im miłe i nawet serce ich nie bolało o pszenicę, która w kopach porastała, bo deszcz lał i lał, jakby go było potrzeba... Błażek chodził na poradę do księdza, ale ten ściskał tylko ramionami i ręce składał:

— Cóż ja ci poradzę, moje dziecko! — mówił — niechbym ja powiedział słowo za tobą, byłoby jeszcze gorzej... Koniec świata, koniec świata, kiedy już męża z żoną rozłączają!... Kara Boża, moje dziecko! Kiedyż doczekamy się sprawiedliwości?... Nastaly takie czasy, że pasterz już nic dla swojej owczarni uczynić nie może... Szkodziłby jej tylko, gdyby się za nią ujmował...

— Choćby do samego cesarza napisać? — rzekł zamysłony Błażek.

— Próbuje wszystkiego, moje dziecko, szukaj sprawiedliwości... nie godzi się opuszczać kobiety, której się wiarę zaprzysięgło... a i dzieci trzeba wam wspólnie wychować.

— Nie opuszczę ja jej... ale jak ją ode mnie zabiorą?...

— Jeszcze o takiej sprawie nie słyszałem — rzekł ksiądz. — Wiem, że oni na wszystko gotowi, ale coby im też przyszło z tego, żeby rozdzielać małżeństwo?...

— I ja se to samo myślę... toć im z tego nic nie przybędzie... może te psiawiary chcą tylko, żebym im się opłacił; ale już mię tak obdarli, że grosza przy duszy nie mam... Żyto tam człek zebrał, ale pszenica już wąsów w kopach

dostała... Od wszystkiego człowieka ochota odpada... nie zwiozło się nic za tem chodzeniem do popa i do naczelnika... To, dopraszam się łaski jegomości dobrodzieja... to mi jegomość radzi, żeby się wstrzymać ze wszystkim i czekać zmiłowania Bożego?...

— Mnie się zdaje, że najrozsądniej będzie czekać. A jakby swoje groźby spełnili, jakby kobietę zabrali, to wtedy zawsze będzie czas czynić starania.

Gdy Błażek, opuściwszy księdza, szedł przez miasteczko, oko w oko spotkał się z pisarzem. Zdjął czapkę, lecz chciał przejść nie zaczepiwszy tego, który wszystkich nieszczęść jego stał się powodem, gdy pisarz stanął naprzeciw niego z rękami w kieszeniach.

— Dalibóg — zawołał Siergiejewskij — toć to Błażek! Możesz w konkury do dziewczki chodzić? To z ciebie szczęśliwy człowiek; starą babę od ciebie wyrzuca, a ty sobie młodej poszukasz. Kiedyż weselisko?

— Nie kpiłby se pan z mojej biedy — rzekł, chmurniąc czoło, Błażek. — Lepiejby mi pan ot poradził, gdzie mam szukać sprawiedliwości... Panby tam wiedział, jak do cysarza napisać.

— O, do cysarza! cesarz tam tylko ciebie ma na głowie! — głupi chłop!

— Jużci głupi — powtórzył Błażek z przeświadczeniem — rady sobie sam nie wymyśli... Zginać mu tylko marnie... i tyle.

Pisarz, słysząc to wyznanie, włożył obie ręce w kieszenie paltota, podniósł głowę, ramiona i spojrzał na mizerną istotę, stojącą przed nim, z wysokości urzędu i rozumu swego. Niezmierna pogarda odmalowała się w jego wzroku.

— Głupi chłop! — powtórzył jeszcze i poszedł w swoją stronę.

W kilka dni później strażnicy, zajechawszy wozem

przed chałupę, zabrali Błażkową i troje młodszych dzieci, gdyż dwoje starszych było w polu u roboty z ojcem. Sąsiadki zbiegły się na krzyk Błażkowej i rozpoczął się istny sądny dzień. Kobiety sobie, dzieci sobie płakały; strażnicy klęli tak, że, jak później opowiadały kumy, „trudno było tego przesłuchać“... Błażkowa związała trochę bielizny w płachtę dla siebie i dzieci, wzięła bochenek chleba i ser w kobiałkę i „tyle tylko ostało pamięci z tego, że se była gospodynią na swoim i przez tyle lat chyba ptasiego mleka jej brakowało.“

Strażnicy powiedzieli jej, że był rozkaz odwiezienia jej na miejsce urodzenia, a więc do Blindowa, dokąd pewnie było ze dwanaście mil.

Jechali dniem i nocą, a gdy się znaleźli w Blindowie, wysadzili kobietę z dziećmi i tobołkami, zapowiedziawszy jej, żeby się nie ważyła wracać do Pólkowa, bo jakby ją drugi raz wywieźli, toby się chyba oparła aż na Syberyi.

Teraz zaczęła się dla Błażka bieda prawdziwa. Nie miał mu kto strawy ugotować, ani bielizny ubrać, ani dać dobrej rady. Dwadzieścia jeden lat przeżył ze swoją Jagusią i tak mu zniknęła z oczu, jak gdyby nigdy nie był jej miał za żonę. Nawet się z nią nie pożegnał. Cios ten przygnębił go i uczynił obojętnym na wszystko. Pomimo że czas naglił, nie myślał o siewie; znajomi we wsi poczęli się obawiać, czy sobie życia odebrać nie zamysła.

— Jakiś taki do siebie niepodobny — mówił Szymon Stępniać — nie stoi o nic... jakby go co opętało... toć u niego o siewie ani słychu... Prawda, że robić w polu nie ma czem, bo mu konie na zapłacenie kary sprzedali, aleby ludzi poprosił, toby się choć chyło-tyło zrobiło... Ale on się widno całkiem z żalu zapamiętał... Pono jak siedzie w najciśniejszym kącie izby, to siedziałby tak bez końca... tak wam mówię, że choćby pioruny, choćby deszcz ognisty spadł

na niego, toby go to nie więcej obeszło, jak ta rosa jesienna, co się rankiem mieni po polach...

— Nie dziwota — dodał inny gospodarz — toćto człowiekowi żal i dobytku, i żony, i dzieci.

Po deszczach nastąpiła najpiękniejsza pogoda; pszenica w kopach obeschła i tylko w czapkach bardzo porosła była. Jasiek z Wojtkiem, że koni nie było, sprzątali pszenicę, jak mogli. To ją nosili rękami do stodoły, to jedyną krowę zaprząwszy i wóz naładowawszy, sami pchali i ciągnęli, ile mogli... Ale choć chłopaki były dobre, jednak że ich nikt nie pilnował ani do roboty zachęcał, więc wszystko szło coraz opieszalej.

— Zwyczajnie, jak dzieci — mówiły sąsiadki. — Jak im nic nie powiesz a za uszy nie wydrzesz, to i roboty niema.

Sąsiadki miały słuszość. Jasiek z Wojtkiem z początku pracowali, co sił starczyło, potem już ich w polu rzadko ujrzeć było można. Biegali na orzechy do lasu, a jak raz na dzień ukopali kartofli i ugotowali je, to i tak było dobrze. Krowa czasem stała niewydojona, kapustę ktoś w nocy wycinał jak swoją, a Błazek ani się odezwał. Sąsiadki przynosiły mu czasem chleb i strawę gotowaną, bo im się serce krajało patrzeć na niego. „Wychudło chłopisko, wymizerniało, zczerniało, zarosło, zdziadziało...”

I pan Polański i ksiądz proboszcz zajeżdżali do chałupy Błazka, chcąc do jego rozsądku przemówić: „Człowieku, miejże zmiłowanie nad samym sobą!... toć się nie godzi zapominać o dzieciach, o chlebie!... a toć i waryatem zostać nie trudno, gdy kto żalowi bez końca folguje...”

Ale mu to nie pomogło nic. Chciałby był pracować i dzieciom złego przykładu nie dawać, ale nie mógł i w smutku zapominał o wszystkim. Dopiero stara Maćkowa poradziła mu, żeby poszedł z kompanią do Częstochowy. Już jak on

tam zrobił, tego nikt nie wie, dość, że poszedł aż za Mściłów i do kompanii się przyłączył. Wiedział, że od najdawniejszych czasów tak bywało, że Najświętsza Częstochowska pomagała ludziom w smutku i strapieniach. I jemu rączką swą świętą ulżyła tego kamienia, co mu serce przygniatał. Ksiądz Paulin na spowiedzi powiedział mu, że kogo Pan Bóg kocha, tego i doświadcza. Przypomniat sobie, że i Franek nieboszczyk czytał w książce o Hiobie, co mu tylko psy rany lizały, a wszyscy go opuścili i patrzeć na niego nie chcieli. Sam Pan Bóg z nim przecie rozmawiał...

Gdy po paru tygodniach chłop wrócił do Pólkowa, ludzie zobaczyli zaraz, że się w nim coś zmieniło.

— Jakby mu Matka Boska po czole rączką przeciągnęła — mówiła stara Maćkowa — już nie wygląda taki nachmurzony... Niewiele mówi, ale co rzeknie, to tak jakoś spokojnie, a zawsze imię Boskie wspominając... Wyraźnie cud nad nim Przenajświętsza uczyniła.

Błażek zabrał się do pracy. Młócił cepami, a z pomocą dobrych ludzi zasiał trochę, choć już bardzo późno na siew było. Z chłopakami wieczór mówił litanię i koronkę, a bił się w piersi tak, „że aż w nich dudniło“. O żonie nic nie wiedział, ale ją i dzieci opiece Bożej i Matki Boskiej codziennie polecał i ufał, że cierpliwością wszystko przemoże.

Ale i teraz nie dano mu spokoju. Niewiadomo jakim sposobem pop i strażnicy zwąchali, że chodził do Częstochowy. Dalejże go więc dopytywać, turbować, ciągnąć do cerkwi. Ale on stał przy swoim twardo jak mur. Na pytania o Częstochowie ani słowa odpowiedzi nie chciał, choć mu się dobrze po plecach od strażników dostało, i do cerkwi nie poszedł. Wyraźnie powiedział, że póki żyw, nie pójdzie, chyba że go tam gwałtem poprowadzą.

Pop i pisarz tak się teraz na niego uwzięli, że już i odetchnąć mu nie dali. Strażnicy śledzili go, pilnowali, żeby

się nigdzie nie oddalał; nachodzili go co chwila, wzywali do popa, do kancelaryi, coraz to nowemi kontrybucjami okładali. Coraz więcej im o niego chodziło, bo się jego imię na okolicę rozeszło. Mówiono o nim nawet w odległych miejscowościach. I panowie i księża pokazywali go sobie, spotkawszy, i naczelnik powiatu wciąż napierał o zmuszenie go do uległości, i archirej się dopytywał. W X... między urzędnikami wiadomość o Błażku się rozeszła; może i w Warszawie już o nim wiedzano?

W chałupie coraz to większe robiły się pustki: chłopcy chodzili obdarci, już i gospodarzowi buty z nóg spadały, a nie miał za co sobie nowych kupić. A tu kara za karą. Płać i płac! Żeby nie czarny Mosiek z miasteczka, co go wciąż ratował, nie wiedzieć, skądby był nastarczył...

Ale sąsiedzi więcej nad nim ubolewali, niż on sam. Spokój, co go sobie z Częstochowy przyniósł, już go nie odstępował.

— Jedno życie dał Pan Bóg człowiekowi — mawiał — i tyle tylko człowiek przecierpieć może, na ile krótkiego życia stanie... I pop, i te psy z Chełma... cóż oni mi zrobić mogą? Wiary z duszy mi nie wydrą, a reszta złamanego szeląga nie warta.

Dziwowali się ludzie, ale i do serca brali tę jakąś moc, co z oczu i ze słów chłopcy płynęła, i tak go szanowali we wsi, jakby jakiego świętego.

To popów jeszcze więcej w oczy kłuło. Szarpali go też i wojowali z nim ciągle, tembardziej że i chłopcom swoim nie dał do cerkwi chodzić i cichaczem ich na odpusty do spowiedzi wyprowiał.

O żonie się dowiedział, że służyła za kucharkę czeladnią u jednych państwa. Dzieci były przy niej, bo państwo, dowiedziawszy się, co ją w tamte strony za bieda zagnała, zmiłowali się nad nią.

Tak upłynęło lat parę. W chałupie panowała nędza, aż nareszcie nowe kary, nałożone na Błażka, i wystąpienie czarnego Mośka o zapłacenie mu należności zmusiły do wystawienia gruntu i chałupy na sprzedaż. Chłopu nie zostało nic, prócz obdartej sukmany na grzbiecie i medalika Matki Boskiej Częstochowskiej na piersiach. Chłopców oddał w służbę, sam do pilnowania lasu u pana Polańskiego się zgodził. Ale popom nie było dosyć, że człowieka zniszczyli ze szczętem.

Właśnie z Petersburga przyszła odpowiedź na prośbę, podaną do najwyższego synodu. Odmawiano Błażkowi prawa zostania przy katolickiej wierze. Odpowiedź ta przyszła przez konsystorz chełmski i gminę i nanowo sprawę Błażka przypomniała. Już teraz strażnicy bili go, prowadząc do miasteczka, pop groził Syberją, naczelnik zaś podczas wizyty w gminie pięścią mu wygrażał i obiecywał, że go do więzienia wpakuje. Co najgorsze, że się zaczęli czepiać do księdza i do pana Polańskiego. Jakaś podobno przyszła denuncyacya, że ksiądz Błażka do uporu zachęcał; przenieśli więc pocziwego proboszcza na gorszą parafię, choć dowodu żadnego znaleźć nie mogli. Panu Polańskiemu zaś robili zarzut z tego, że za leśnego trzymał człowieka opierającego się władzy, „uporstwujuszczonego“. Pan Polański bronił siebie i Błażka, ile mógł, ale Błażek, dowiedziawszy się, czemu to strażnicy dwór nachodzą, sam pana o uwolnienie prosił.

Był teraz sam, bez przytułku, bez chleba. Chłopaków jego biciem i znęcaniem zmusili do chodzenia do cerkwi i spowiedzi u popa. Biedne dzieci! „Toćto nie dziecinnej siły potrzeba, żeby przezwyciężyć taką biedę“. Ulitował się nad nimi, ale coś między nim a jego dziećmi stało takiego, że nie byłby od nich przyjął kawałka chleba. Wiedział, że przyjęłoby go jak „swojaka“, aleby może biedy ludziom narobił, jak księdzu i panu... Gdzie się tu podziać

człowiekowi? Śpiewał pieśni nabożne, chodząc po lesie, odmawiał pacierze i nagle przysłała mu myśl, którą miał za zesłaną mu od samego Boga... O, tego mu przecie nie odmówią... To, co inni mieli za karę, on widział przed sobą jako pociechę i szczęście...

Było to w końcu września. Ludzie uwijali się z siewem, narzekając na suszę; ziarna żyta i pszenicy leżały w wyschłej ziemi, jak w popiele; drzewa po ogrodach i lasach stały ze żółtym i poczerwieniałym przed czasem liściem. Ludzie, jak wiewiórki, ścigali, co mogli, na zimę do stodół, piwnic i brogów. Miał każdy roboty po uszy, a tu wójt zwołał sołtysów i kazał na gwałt robić szarwark po drogach. Spędzili ludzie kupę i spieszyli się bardzo, bo gubernator miał przyjechać do miasteczka. Spodziewano się lada dzień, więc konie z powozami były zamówione u obywateli okolicznych, i kucharz pana Polańskiego miał gotować obiad w kancelaryi gminnej. Wywiązał się z tego znakomicie. Gubernator chwalił majonez ze szczupaka, lody i widocznie był zadowolony, bo nawet pisarzowi kilka słów uprzejmych z ust jego się dostało. Był to człowiek z taktem i spokojem, spełniał rolę tępiciela polskości bez zapału i świętej zgrozy, z zimną krwią, wytrwałością i grzecznością dobrze wychowanego człowieka. Lubił wyglądać na wielkiego, czołobitność podwładnych łechtała jego próżność, służalstwo urzędników niższych napępiało go zadowoleniem. Ta mania wielkości sprawiała, że lubił przyjmować prośby i napawać się błagalnym wzrokiem proszących, że udawanie dobroczyńcy i wszechwładnego było mu drogie. Przed zwierciadłem uczył się protekcyjnalnych a pełnych pobłażliwości i grzeczności ukłonów, czuł się stworzonym do władzy.

Gubernator przed kancelaryą gminy—to prawie panujący. Urzędnicy gminy w pewnem oddaleniu, z odkrytymi głowami, ze wzrokiem wyczekującym rozkazu; za nimi tłum

ciekawych, na drzwiach urzędu girlanda, z gałęzi świerku i jagód jarzębiny zrobiona.

Gubernator żegnał urzędników kilku uprzejmymi słowy, wymówionymi od niechcenia, z arystokratycznym lenistwem, gdy odgłos jakiegoś łajania, szeptem, lecz gwałtownie wypowiedzanego, doszedł jego uszu. Odwrócił się i ujrzał strażnika, kułakami odpędzającego jakąś wychudłą i mizerną postać, ubraną w szarą siermięgę. Dostojnik z uśmiechem wyrozumiałym skinął na strażnika. Sądził, że to żebrak jakiś, i widział się już rzucającym białymi, długimi palcami jałmużnę, słyszał głos żebraka błogosławiący...

— Dopuścić tego człowieka do mnie!—wyrzekł.

Staął przed nim Błazek. Gubernator sięgnął do kieszeni, lecz spojrzawszy na chłopca, który mówić zaczynał, skłoniwszy się nisko, wstrzymał się z datkiem.

— Jasnie... najjaśniejszy! wysłuchajcie prośby mojej—wołał Błazek.

— O cóż ty prosisz?

— Ja proszę... najjaśniejszy, proszę, żeby mię z żoną i z dziećmi na Syberyę wysłali.

— Co? — spytał, wychodząc ze spokoju gubernator.

— Co?

— Proszę na Syberyę.

— Na Syberyę? To jakiś waryat—wyrzekł gubernator.

— Tak, tak, to waryat rzeczywiście — podchwycił usługny pisarz.

— Nie, nie, jasnie gubernatorze, ja nie waryat.

Spojrzał swojemi wybladłemi a gorejącemi oczyma w twarz urzędnika, którego wzrok ten przejął trwogą i ciekawością zarazem.

— Ten człowiek nie godzien mówić do waszej ekscelencyi—odezwał się nieśmiało pisarz.

Gubernator skinął znowu ręką, wyszukany gestem łaskawego panującego.

— Możesz mówić—rzekł do Błażka.

— Z żoną mię rozdzielili—jęknięt Błażek. — Zyliśmy z sobą lat dwadzieścia... lubiliśmy się i szanowali. Wywieźli ją do Blindowa z dziećmi młodszymi...

Gubernator spojrział pytająco na pisarza.

— To nie jego prawa żona—podchwycił pisarz.

Wzrok gubernatora pytał ciągle.

— Prawo nie zabrania... — wycodziły jego usta.

— Przyszło rozporządzenie z konsystorza chełmskiego.

— Aal... Gubernator uchylił głowy.

— Brat jego żonaty ze starszą siostrą.

— Któż więc mu dał ślub?

— Ksiądz katolicki. Pokazało się, że to rodzina prawosławna... On jest „uporstwujuszczy“.

— Jaśnie gubernatorze! — mówił Błażek z tym płomieniem w oku, który musieli mieć męczennicy—miałem żonę i dzieci, miałem grunt, chałupę, dobytek... Wszystko mi zabrali... żonę wywieźli... mienie sprzedali na kary i sztrafy. Nie piłem, nie marnowałem, pracowałem po Bożemu, a dziś jestem żebrak na stare lata... O jedno proszę... niech mnie z żoną i dziećmi na Syberyę wywiozą.

— Czy ty nie wiesz, że na Syberyę zbrodniarzy za karę wywożą?

— Wiem, ale tak se myślę, że chyba tam lepiej, niż tutaj. Już tak źle, jak tu, nigdzie być nie może... Tamby mi pewno z żoną i dziećmi mieszkać pozwolili, — tu jam został sam jak palec... zapadłbym tam jak kamień w wodę, i możeby mi już dali spokój...

Gubernator czuł się w trudnem i niemiłym położeniu. Rozumiał niesprawiedliwość, której Błażek stał się ofiarą, ale stali koło niego zgromadzeni urzędnicy powiatowi

i gminni, trzeba więc było zaznaczyć swoje urzędowe, prawosławne przekonania.

— Czy chodzisz do cerkwi, obowiązki religijne spełniasz?—zapytał surowo.

— Jam katolik—zawołał Błażek.

— Jesteś nieszczęśliwy, boś zmienił wiarę ojców... Wróć na łono świętego kościoła prawosławnego!

— Jużescie mi wszystko zabrali—rzekł spokojnie Błażek—jedno mi zostało... to moja wiara.

Dłoń położył na wychudłych piersiach.

— To moje wszystko!—zawołał—to mój skarb jedyny i największy... nikt mi go nie wydrzel... Zabrali mi mienie, żonę, dzieci, tylko mojego Boga, mojej wiary nikt mi nie zabierze!

Gubernator wyjął z kieszeni trzyrubłówkę i z wyuczonym gestem wyciągnął rękę ku Błażkowi.

— Widzę, żeś biedny, nie przy zdrowych zmysłach, mizerny i głodny... Masz na kawałek mięsa!...

— Niech jaśnie gubernator da to lepiej tym psom—wskazywał pisarza i strażników—którzy za kopiejkę Pana Bogaby sprzedali i aż im się ślepie pałą do rubla. Mnie pieniędzmi nie skusi!...

— Jak możecie cierpieć waryatów w gminie?—rzekł spokojnie gubernator, stawiając nogę na stopniu powozu—dla takich ludzi są szpitale... gmina powinna znaleźć fundusze na utrzymanie tego człowieka w szpitalu...

Powóz ruszył i wkrótce znikł w tumanie kurzu.

Pisarz i pop zachwyceni byli pomysłem gubernatora.

— Tak, tak, do szpitala waryatów!—wołał pisarz, uderzając się po kolanach.—Co to jest gubernatorska głowa! Oł, namby z tobą, batiuszka, nic podobnego nie przyszło na myśl! Jużci do szpitala waryatów, bo cóż z takim utrapieńcem zrobić? Kłopot tylko dla wszystkich i tyle!... Zniszczo-

ny, zbiedzony, już i butów na nogach nie ma... cóż od niego teraz wziąć... a przy swoim trzyma się uparcie... do cerkwi i na łańcuchu go nie zaciągniesz. Do szpitala waryatów i niech gmina na niego łoży! To mi gubernator! Onby wart być ministrem i zobaczysz, batiuszka, że jeszcze będzie. Ot, patrzcie, co temu Błażkowi do głowy strzeliło!... Syberya!... To wymyślił!... Musiał mu chyba ksiądz podszepnąć taki projekt... Ale gubernator znalazł na niego sposób... A wszystko tak spokojnie..

— Prawda—potwierdził pop.—Ja nieraz myślałem, że nam jakoś wstyd, żeśmy z tym chłopem nie dali sobie rady... nieładnie to dla władzy, gdy jej wszystkie surowości i kary na nic się nie przydadzą... A teraz wszystko dobrze. Waryat był i kwita!... waryata do uległości się nie zmusza.

Wywieziono Błażka do X... Nawet się nie opierał i taki miał wyraz twarzy, jakby to ciało jego tylko siedziało na wozie obok strażnika, a dusza gdzieś wędrowała po innych krainach. Odmawiał litanię do Matki Boskiej i szeptał: „Matko Najczystsza, przyczyn się za nami!“ gdy konie ruszyły gościńcem.

Pod wieczór stanęli przed szpitalem. Był to budynek stojący za miastem; tylko daleki gwar dochodził do niego. Błażek zszedł z wozu, strażnik zadzwonił do drzwi. Wyszedł posługacz z zapytaniem, jakiego to chorego przywieźli.

— Waryata z gminy Korabin — rzekł strażnik.

— A, to do siostry Julii... Spokojny w tej chwili?

— Ale możeby pan strażnik wszedł ze mną... zaprowadzimy go na salę... waryatom nigdy dowierzać nie można...

Strażnik wszedł, zapisali nazwisko przywiezionego, odczytali pismo urzędowe z gminy i strażnik opuścił Błażka. Na sali otoczyli nowoprzybyłego obłąkami... niektórzy mający jeszcze cień przytomności, inni mający lub bawiący się jak dzieci.

Weszła siostra Julia.

— Cóż, moi chłopcy grzeczni? — zapytała z uśmiechem.

Nieszczęśliwi otoczyli ją, jak rodzina otacza matkę. Dla każdego miała słówko uprzejme lub macierzyńską naganę.

Błażek patrzył na nią zdumionymi oczami. Pierwszy raz widział taki wielki, biały kornet i takie słodkie oczy u kobiety. Zwróciła się nareszcie do niego.

— Dawno przyjechałeś, mój przyjacielu? — zapytała. — Jakże ci jest po drodze? Czujesz się zmęczony? A może głodny?

— Głodnym ja spokojności — odrzekł Błażek — i takiego miejsca, skądby mię już nikt nie ruszał... Może takie miejsce choć między waryatami dla mnie się znajdzie...

Siostra Julia spojrzała na niego zdumiona.

— Poznamy się potrochu lepiej — rzekła — tu niema waryatów; są tylko chorzy... ja się nimi opiekuję... zobaczysz, że nie tak bardzo źle pod moją opieką.

— O, jam chory — rzekł Błażek — ale chorą mam duszę, bo się ona o żonę i dzieci krwawi... i o ich zbawienie...

— Chory na manię religijną — pomyślała siostra.

— Będziemy się razem modlić o ich zbawienie — odezwała się głośno.

Wyszła z sali, a Błażek chciałby był zapytać kogo, co to za pani taka, co z prostym człowiekiem tak „dobrzeńko“ rozmawia, ale otaczali go sami waryaci.

Siostra Julia miała słuszość, że nie tak źle było pod jej opieką. Od dwóch lat już Błażek doświadcza dobrodziejstw tej opieki i pod skrzydłami miłosierdzia odżył dla miłości i nadziei. Stał się on pomocnikiem Sióstr i posługaczem chorych. Rozumie teraz, dlaczego Pan Bóg tak go długo doświadczał... Chciał go mieć całkiem dla siebie... chciał,

by zapomniał o wszystkim, co miał kiedy, żeby się ciałem i duszą oddał tym, co cierpią...

— Józef! Józef! — rozlega się na wszystkie strony po szpitalu. Każdy wzywa jego pomocy, bo wie, że on jej nie odmówi, że najtrudniejsze posługi odda z cierpliwością i zapomnieniem o sobie. Gdy się z siostrą Julią wezmą do dzieła, uspokoić umieją najdzikszy szal wychowañców siostry. Błążek, którego nazwiska w szpitalu nikt nie zna, opowiada biedakom o swojej chacie, o tem, jak przewracał czarne skiby, bronował, ziarno w ziemię rzucał, o „kaştanie“ i „gniadym“, które Bóg wie czyj owies teraz jedzą, o lesie pana Polańskiego, o takich sosnach, co ich trzech ludzi nie obejmie...

O swoich biedach, o stratach, o żonie i dzieciach mówi tylko z siostrą Julią. Jego historia rozeszła się jednak między ludźmi. Często odwiedzający szpital zapytują o Józefa i oglądać go radzi.

Patrzą jak na dziwo, a jest to tylko między tysiącami jedna skromna ofiara.]

